

Melinda Salisbury



Córka zjadaczki
grzechów

ZIELONA
SOWA

Córka zjadaczki grzechów

Melinda Salisbury

Tłumaczenie: Michał Kubiak



Mojej Babci
Florence May Kiernan

Rozdział 1



Nawet brak więźniów nie sprowadza ciszy. Ich krzyki żyją w murach niczym duchy, odzywając się echem pomiędzy odgłosami kroków. Wystarczy zejść do trzewi zamku, poniżej koszar i Komnaty Zwierzeń, by usłyszeć je pośród panującej tam ciszy.

Kiedy strażnicy przyprowadzili mnie tu po raz pierwszy, zapytałam, jakimi uczynkami więźniowie zasłużyli na karę, która zmusiła ich do podobnych krzyków. Jeden ze strażników, Dorin, spojrzał na mnie tylko i zacisnął wargi aż pobieleały, a potem przyspieszył kroku, by szybciej pokonać drogę do Komnaty Zwierzeń. Pamiętam, że poczułam wówczas dreszcz strachu na myśl o czynach, które były zbyt przerażające nawet dla silnego, milczącego strażnika. Obiecałam sobie, że poznam mroczną, ukrytą głęboko pod ziemią tajemnicę. Miałam wtedy trzynaste zniw i byłam beznadziejnie, ślepo naiwna.

*

Kiedy przed wieloma miesiącami przybyłam do zamku, jego przepych i piękno wzbudziły we mnie zachwyt. Kamiennych pałacowych posadzek nie pokrywa sitowie ani słoma z dodatkiem słodko pachnącej lawendy i bazylii. Zamiast tego pokryto je, tkanymi specjalnie dla królowej, dywanami, chodnikami i kobiercami, które tłumią odgłos kroków.

Mury zamku, pod bogatymi gobelinami w barwach czerwieni i błękitu, wykonane są z szarego kamienia z plamkami lśniącej miki. Kandelabry ze zwierzęcych poroży są złoczone, a stopy aksamitnych poduszek z frędzlami utrzymywane w nienagannym porządku. Wszystko tutaj jest uporządkowane, nieskazitelne i idealnie piękne. Cięte róże w kryształowych wazonach mają identyczną wysokość i kolor, a każdy bukiet zaaranżowany jest dokładnie tak samo. W zamku nie ma miejsca dla niczego, co nie byłoby doskonałe.

Moi strażnicy idą sztywno wyprostowani i przezornie zachowują dystans. Gdybym podniosła rękę by dotknąć kogoś z nich, zareagowałiby przerażeniem. Gdybym się potknęła lub zemdleła, gdyby instynktownie spróbowali mnie podtrzymać, podpisaliby tym samym na siebie wyrok śmierci. Nagrodą za chęć pomocy byłoby dla nich natychmiastowe poderżnięcie gardła. Kontakt z moją trującą skórą oznaczałby powolne konanie i każdy zatruty mógłby mówić o szczęściu, gdyby poderżnięto mu gardło.

Tyrek nie miał szczęścia.

*

W Komnacie Zwierzeń moi strażnicy zajmują pozycje u drzwi. Konsyliarz królowej, Rulf, ruchem głowy wskazuje mi zydel i odwraca się, by sprawdzić sprzęt. Półki na ścianach pełne są słoików z mętnymi substancjami, dziwnymi proszkami i nieznanymi liśćmi. Słoje nie wyglądają na uporządkowane w jakikolwiek sposób. Znajdujemy się głęboko pod zamkiem. Nie ma tu okien, a w pełgającym blasku świec nie dostrzegam na naczyniach żadnych etykiet. W pierwszej chwili wydało mi się dziwnym, że Zwierzenia mają odbywać się właśnie tutaj, w podziemnych lochach. Teraz jednak rozumiem przyczynę. Gdybym zawiodła... Lepiej, bym zawiodła tutaj, z dala od wzroku dworzan i królestwa. Lepiej, by stało się to w tajemnej komnacie, gdzieś w połowie drogi pomiędzy zaświatami lochów i rajem Wielkiej Sali.

Siadam na zydlu i wyglądam fałdy spódnicy, a młodszy ze strażników szura stopami po posadzce.

W kamiennej komnacie odgłos wydaje się hałaśliwy i Rulf odwraca się, by posłać mu ostre spojrzenie. Widzę wówczas jego nieruchomą jak maska twarz. Podejrzewam, że nawet gdyby potrafił mówić, nie miałby mi teraz zupełnie nic do powiedzenia.

Dawniej uśmiechałyby się i kręcił głową, słuchając opowieści Tyreka o wspinaczkach na drzewa i skradzionych z kuchni ciastkach. Ruchem ręki skarciłby go za popisywanie się, choć jego wzrok błyszczałby uczuciem do jedyne go syna. Same Zwierzenia trwały zaledwie kilka chwil, ale zdarzało się, że siedziałam w Komnacie godzinami, mając Tyreka na wyciągnięcie ręki i wymieniając z nim opowieści. Strażnicy trzymali się blisko, kątem oka zerkając ciekawie na zajętego eksperymentami Rulfa, ale nie spuszczałając wzroku ze mnie i Tyreka. W owych czasach po Zwierzeniach udać się mogłam jedynie albo do świątyni, albo do własnej komnaty, ale nikt nie zabraniał mi spędzania godzin pod okiem strażników w Komnacie Zwierzeń. Teraz wszystko jest inaczej i mój czas jest znacznie bardziej cenny.

Nie podnoszę wzroku na Rulfa, gdy nacina skórę na mojej ręce i upuszcza kilka kropli krwi do miski. Zwierzenie wymaga dodania jednej kropli krwi do porannicy, śmiertelnej trucizny, na którą nie istnieje żadna znana odtrutka. Czekam ze spuszczoną głową i milczę, a Rulf miesza krew z trucizną i nalewa miksturę do małej fiolki, zatyka ją korkiem i kładzie na moich kolanach. W świetle świec płyn jest oleisty i krystalicznie przejrzysty, nie widać w nim śladu krwi. Odkorkowuję fiolkę i wypijam miksturę.

Wszyscy czekamy, by się przekonać, czy tym razem trucizna mnie zabije. Gram swoją rolę bezbłędnie i zachowuję życie. Odkładam fiolkę na stolik, wygładzam spódnice i wzrokiem daję znak strażnikom.

– Jesteś gotowa, pani? – pyta Dorin, starszy ze strażników. W blasku świec jego twarz wydaje się dziwnie blada. Zwierzenie zakończone, ale to nie koniec moich obowiązków. Opuszczając Komnatę Zwierzeń, czuję na plecach palące spojrzenie Rulfa.

Ruszamy ku schodom, ja i moi strażnicy. Dorin idzie po mojej prawej stronie, a Rivak po lewej. Schodzimy w dół, do lochów, gdzie czekają na mnie więźniowie.

Docierając do Rannego Pokoju, przerywamy służącym sprzątanie resztek po ostatnim posiłku więźniów. Na mój widok czmychają z lękiem, przemykając bokiem wzdłuż ściany, z opuszczonymi głowami i pobielającymi palcami zaciśniętymi na brudnych miskach i kubkach. Dorin daje znak Rivakowi i wchodzi do niewielkiej celi. Przeprowadza inspekcję i ruchem głowy oznajmia, że pomieszczenie jest bezpieczne.

Przy małym, drewnianym stole siedzi dwóch mężczyzn odzianych od stóp do głów w czarne szaty. Ręce mają przywiązane do poręczy krzesel. Powoli unoszą wzrok i patrzą na mnie, a strażnicy zajmują pozycję u drzwi. Obaj strażnicy dobywają mieczy, chociaż jestem bezpieczna nawet tutaj, w celi kryminalistów i zdrajców korony.

– Przynoszę wam błogosławieństwo Daunen Wcielonej. – Staram się, by moje słowa brzmiały dźwięcznie i głośno, by zagłuszyć burczenie w żołądku. – Wasze grzechy nie zostaną po śmierci zjedzone, ale, za sprawą błogosławieństwa, Bóstwa z czasem wam wybaczą.

Żaden z mężczyzn nie wygląda na wdzięcznego. Nie mam do nich pretensji. Zarówno ja, jak i oni, dobrze wiemy, że słowa, które wypowiadam są puste. Bez zjadacza grzechów skazani są na potępienie i moje błogosławieństwo niczego tu nie zmienia. Czekam, by dać im szansę się odezwać. Niektórzy w tej sytuacji obrzucają mnie obelgami, błagają o wstawiennictwo lub o litość. Inni proszą, by pozwolić im umrzeć na sznurze lub od miecza. Pewien zrozpaczony człowiek wolał nawet rozszarpanie przez psy. Ale ci dwaj mężczyźni nie odzywają się słowem, patrzą na mnie tylko beznamiętnym wzrokiem. Jednemu z nich nerwowo drga brew. To jedyny znak, że choćby zauważyli moją obecność.

Żaden z mężczyzn się nie odzywa ani nie wykonuje najmniejszego ruchu. Opuszczam głowę

i dziękuję Bogom za to, że mnie pobłogosławili, a potem zajmuję miejsce za plecami mężczyzn w czerni. Kładę dłonie na ich karkach i wyczuwam palcami zagłębienia, w których wyraźnie wyczuwam pulsowanie krwi pod skórą. Ich serca biją prawie identycznym rytmem. Zamykam oczy i czekam. Kiedy ich zsynchronizowane serca przyspieszają, cofam się i czuję natychmiastową, palącą potrzebę umycia rąk.

Nie muszę czekać długo.

Kilka chwil po tym, jak ich dotknęłam, głowy obu mężczyzn leżą bezwładnie na stole. Płynąca z ich nosów krew barwi ciemne drewno. Widzę, jak cienka czerwona struga przelewa się przez krawędź blatu i ochlapuje rygle mocujące krzesła do podłogi. Rygle spełniają tę samą rolę, co więzy na rękach i nogach skazańców: zapobiegają zsunięciu się martwych ciał na ziemię. Porannica działa szybko i skutecznie. Mężczyzna, którego brew drgała wcześniej nerwowo, patrzy gdzieś daleko szeroko otwartymi, nieruchomymi oczyma. Uświadamiam sobie, że na niego patrzę dopiero wtedy, gdy zaczynają mnie piec powieki. Dokonałam egzekucji niejednego mężczyzny, kobiety i dziecka, ale mimo to czuję się wewnętrznie rozdarta. I nic w tym dziwnego, bo każda egzekucja przypomina mi o tym, jak zabiłam Tyreka.

Tyrek był moim jedynym przyjacielem i jednym z dwóch mieszkańców zamku, którzy zawsze cieszyli się na mój widok. Ze względu na pozycję, którą zajmowałam na dworze królewskim nie mogliśmy przebywać ze sobą nigdzie poza Komnatą Zwierzeń. Spędzane tam chwile mijały nam na opowieściach o rzeczach, które widzieliśmy oraz o tym, co robił ostatnio Tyrek. Nigdy wcześniej nie poznałam nikogo podobnego. Tyrek był nieustraszony i miał własne zdanie na każdy temat. Czas pomiędzy Zwierzeniami wydawał mi się wtedy nieskończenie długi. Kiedy strażnicy po raz kolejny odprowadzali mnie do komnaty Tyrek zawsze czekał w drzwiach z nieodłącznym uśmiechem na ustach.

– No, jesteś – mówił, niecierpliwym gestem odgarniając z twarzy blond włosy. – Pospiesz się, chcę ci coś pokazać.

Po osiągnięciu wymaganego wieku Tyrek chciał zostać jednym z moich strażników i z wielkim zamiłowaniem wyzywał ich do walki, przeciwstawiając ich stalowym mieczom własny, drewniany. Obserwowałam ich popisy siedząc na zydlu, a ojciec Tyreka upuszczał mi krwi koniecznej do Zwierzeń.

– ... no i pchnięcie! – mówił Tyrek, dźgając drewnianą klingą Dorina, który z łatwością ją parował. – Oczywiście tym razem nie zamierzałem zrobić ci krzywdy.

– Oczywiście – przytakiwał Dorin, wzbudzając mój śmiech.

– Młynek, pchnięcie i znowu młynek, a potem... ha! – rechotał, sięgając drewnianym mieczem ramienia Dorina.

Nagrodziłam go oklaskami, a strażnik zasalutował mieczem.

– Poddaję się.

– Widzisz, pani? – mówił potem Tyrek. – Potrafiłbym zapewnić ci bezpieczeństwo.

Tego dnia, kiedy zawalił się mój świat, Tyrek nie ponaglił mnie ani nie powitał opowieściami o trudach treningu. Nawet na mnie nie spojrzął. Po raz pierwszy od dwóch żniw, które spędziłam w zamku, nie uśmiechnął się, a jedynie uklonił. Powinnałam być spodziewać się niebezpieczeństwa, ale byłam całkiem nieświadoma tego, co mnie czeka. Myślałam, że zachowanie Tyreka jest częścią zabawy w rycerza. Byłam ogromnie podekscytowana i ukloniłam mu się jak dama. Nawet milczenie Rulfa miało tego dnia inny charakter i konsyliarz odciągnął syna ode mnie, wręczając mi miseczkę na krew potrzebną do Zwierzenia.

Kiedy drzwi otwarły się z hukiem i do komnaty wpadli Gwardziści Królowej, w pierwszej chwili pomyślałam, że padliśmy ofiarami ataku i obronnym gestem uniosłam ręce. Gwardziści minęli mnie jednak. Usłyszałam, jak coś się stłukło i odwróciłam się na zydlu w chwili, gdy pojмали Tyreka. Jego

twarz poszarzała ze strachu, a Rulf zamarł w bezruchu u boku syna.

– Co tu się dzieje? – krzyknęłam, ale żołnierze zignorowali mnie i wywlekli mojego przyjaciela za drzwi.

Wbiegłam pomiędzy nich i sama moja obecność wystarczyła, by się zawahali.

– Puśćcie go i wyjaśnijcie mi, czego chcecie – zażądałam, ale jedyną ich odpowiedzią było przeczące kręcenie głowami.

– Królowa rozkazała nam go aresztować – powiedział jeden z żołnierzy.

Roześmiałam się, bo myśl o tym, by Tyrek mógł zrobić cokolwiek złego wydała mi się niedorzeczna.

– Pod jakim zarzutem?

– Za zdradę.

Usłyszałam dobiegający z komnaty odgłos przypominający krztuszenie i odwróciłam się. Zobaczyłam Rulfa, który opierał się o drewniany blat i przyciskał rękę do piersi. Żołnierze odeszli, ciągnąc pomiędzy sobą Tyreka, który zwisał w ich rękach bezsilnie jak szmaciana lalka i z niedowierzaniem kręcił głową.

Chciałam pójść za nimi, ale drogę zagroził mi Dorin z mieczem w ręku.

– Pani – powiedział, a w jego oczach dojrzałam ostrzeżenie. Zatrzymałam się.

– Zaprowadźcie mnie do królowej – zażądałam.

Nie musieliśmy iść daleko. Jakby w odpowiedzi na moje żądanie królowa czekała w korytarzu wiodącym do Komnaty Zwierzeń. Miała na sobie suknię z białego i złotego jedwabiu, a jej twarz była jak zwykle łagodna i spokojna. Przypominała anielsko niewinną oblubienicę pory majowych ognisk i jej widok przyniósł mi ulgę. Pomyślałam, że musiało zajść jakieś nieporozumienie i królowa przybyła we własnej osobie po to, by uniewinnić Tyreka.

Ledwo zdążyłam otworzyć usta, by podziękować jej za przyjście, gdy uciszyła mnie uniesioną ręką.

– Za mną – rozkazała. Musieliśmy dobrze wyciągać nogi, by za nią nadążyć. U stóp schodów królowa zatrzymała się nagle i prawie na nią wpadłam, a jeden z moich strażników sapnął z zaskoczenia, zatrzymując się w miejscu.

– Zostawcie nas – rozkazała strażnikom, którzy natychmiast odeszli, z powrotem wchodząc na górę po schodach.

Patrzyłam na królową, czekając, aż się odezwie, a wzdłuż kręgosłupa czułam ostrzegający przed niebezpieczeństwem dreszcz.

– Przez czas dwóch zniw część twojej roli na dworze pozostawała dla ciebie nieznana, Twyllo. Chciałam być pewna, że rozumiesz dar, który przypadł ci w udziale i że potrafisz unieść jego ciężar. – Urwała, wierząc mnie badawczym spojrzeniem. – To dlatego, że twój dar ma swoją cenę, którą zapłacić musi każdy wybraniec. Teraz jednak zaczynasz wkraczać w wiek dojrzały i nie mogę dłużej cię chronić. Musisz przyjąć rolę Daunen Wcielonej.

Nie spuszczałam wzroku z królowej, nie całkiem rozumiejąc, co miała na myśli, mówiąc o cenie. Zgodnie z jej wolą przyjmowałam truciznę i wypełniałam każdy jej rozkaz. Cóż więcej mogłam zrobić?

– Na końcu tego korytarza znajduje się komnata, w której zamknięto chłopca winnego zdrady – powiedziała i znów uniosła rękę, nie chcąc, bym jej przerywała. – Wiem, że nie zechcesz w to uwierzyć, ale zaufaj mi, że śledztwo przeprowadzono skrupulatnie i jego вина nie ulega wątpliwości. Co więcej, ty sama jesteś współwinna.

Urwała, by pozwolić mi zrozumieć wagę jej słów.

– Rozmawiał z tobą po to, by poznać twoje tajemnice, nasze tajemnice. Wkradł się w twoje łaski i pozyskał twoją przyjaźń, i przez cały czas przekazywał każde twoje słowo naszym wrogom.

– Nie! Nie mógł tego zrobić! Nic mu nie powiedziałam! Przecież nie znam żadnych tajemnic!

– Byłaś jego informatorką, Twyllo, a twoja przyjaźń chroniła go przed podejrzeniami. Na szczęście

masz rację i nie wiesz zbyt wiele. Ale opowiadałaś mi o życiu, które tutaj prowadzisz i swoich obowiązkach, które są utajnione i stanowią część świętych obrzędów, a to wielce nas niepokoi. Dlatego to ty musisz wymierzyć mu karę. Rola Daunen Wcielonej to coś więcej, niż tylko pieśni i modły. Musisz dowieść swej wartości, a nie wystarczy w tym celu jedynie przyjmować porannicę. Nie taki jest właściwy cel istnienia zarówno trucizny, jak i ciebie samej.

Wpatrywałam się w królową, nic nie rozumiejąc. Właściwy cel? Kara...?

Gdy zrozumiałam, ogarnęła mnie zimna zgroza. Królowa chciała, bym dotknęła własnego przyjaciela.

Od czasu gdy przybyłam do zamku, co miesiąc przyjmowałam porannicę po to, by dowieść, że jestem Daunen Wcieloną i prawdziwą wybranką Bóstw. Obrzęd mieszania krwi z trucizną i picia mikstury bez konsekwencji świadczył o mojej boskiej naturze.

Myślałam, że ceną za nowe życie, które wiodłam w zamku była niemożność dotykania innych, bo dobrowolnie przyjmowana trucizna odkładała się w mojej skórze. Mój dotyk oznaczał pewną śmierć dla każdego, kogo nie dotknęło błogosławieństwo Bóstw, jak mnie, królową, króla oraz księcia. Cena ta wówczas nie wydawała mi się wygórowana, gdyż rozpoczynając nowe życie, zostawiłam jedyną osobę, która okazywała mi miłość i czułość. Okazało się, że cena jest inna.

Miałam dotykać innych i robić to celowo, na rozkaz, ze świadomością śmiertelnych konsekwencji. Nie istnieje odtrutka na porannicę i nawet najłżejsze dotknięcie mojej odsłoniętej skóry zabijało dorosłego mężczyznę w ciągu kilku sekund. Taka była prawdziwa natura mojej roli i cena, jaką musiałam zapłacić za to, że stałam się wybranką Bóstw. Miałam zostać katem. Zabójczynią. Bronią.

– Nie potrafię – udało mi się w końcu powiedzieć.

– Musisz, Twyllo. Jeżeli bowiem sprzeniewierzysz się powinności wobec Bóstw, nie mogę ręczyć za to, że trucizna w twoich żyłach pozostanie dla ciebie bezpieczna. To z ich woli jesteś na nią odporna i z ich woli wypełniasz swą rolę.

– Ale przecież...

– Dość – przerwała mi królowa. – Oto, co znaczy rola Daunen. Od początku każde jej wcielenie uosabiało jednocześnie nadzieję i sprawiedliwość. Jesteś tu po to, by całe królestwo wiedziało, że żyjemy w erze błogosławieństwa i by porażać swym dotykiem tych, którzy pragną naszej szkody. A teraz pójdziesz i wypełnisz swą powinność. Nie chcesz chyba rozgniewać Bóstw?

– Nie...

– Twoje oddanie przynosi ci honor, Twyllo. – Pokiwała głową królowa.

– Nie. Nie mogę – usłyszałam własne słowa. – Nie potrafię zabić człowieka.

– Słucham?

– Nie mogę być Daunen Wcieloną, jeżeli taka jest natura mojej roli. Nie nadaję się.

Królowa zaśmiała się, wysoko i nienaturalnie.

– Uważasz, że Bóstwa dokonały błędnego wyboru? Że przez pomyłkę tylko udało ci się przeżyć truciznę? A twoja rodzina, twoja siostrzyczka? Jesteś gotowa zrezygnować z żywności i pieniędzy, które im wysyłam tylko dlatego, że nie podoba ci się droga, jaką obrały dla ciebie Bóstwa? – Patrzyła na mnie, powoli kręcąc głową. – Wiesz, że nie możesz się wycofać – powiedział cicho. – Bóstwa nigdy na to nie pozwolą. Oddały cię królestwu Lormere i mnie, i zostałam przyjęta. Przybyłaś tu bez posagu i bez jakichkolwiek perspektyw nawiązania nowych przymierzy przez małżeństwo. Ale ją cię przyjął, Twyllo, bo po to się urodziłaś. Jesteśmy posłuszni Bogom. Ty też musisz być posłuszna.

– Ale...

Spojrzenie królowej odebrało mi głos.

– Zapomnę o tym, że wątpiłaś w moje słowa – powiedziała cicho. – Zapomnę, że wzgardziłaś moją hojnością i opieką. Zapomnę o twojej niewdzięczności. Okażę miłosierdzie. Módl się, by i Bóstwa okazały się miłosierne.

Zrobiłam to, czego ode mnie żądała. Weszłam do komnaty o nagich ścianach, w której mój przyjaciel siedział przywiązany do krzesła. Zakneblowano go czarną szmatą, która wrzynała mu się w policzki, a z jego oczu płynęły łzy. Musiał szarpać pętające go liny, bo jego nadgarstki znaczyły czerwone pręgi. Przód jego bryczesów znaczyła ciemna plama moczu. Zaczerwieniłam się ze wstydu.

Kiedy podeszłam bliżej, zaszamotał głową z boku na bok. Tyrek był moim rówieśnikiem, miał piętnaście żniw. Stojąc w drzwiach, królowa patrzyła, jak dotykam odsłoniętej skóry na jego szyi. Nic się nie stało i pomyślałam, że to same Bóstwa interweniowały by dowieść, że Tyrek jest niewinny. Potem zadygotał konwulsyjnie i cofnęłam dłonie, ale było już za późno. Z jego ust i nosa popłynęła krew i umarł na moich oczach. Mój dotyk zabił go w czasie krótszym niż minuta.

Wpatrywałam się w niego szeroko otwartymi oczyma, ale nie widziałam nic. Królowa odchrząknęła.

– Musiałas to zrobić, by pojąć, jaka jest powinność wybranki Bóstw. Nie możesz już cofnąć swego uczynku. Oto twoje przeznaczenie.

Minęły dwa żniwa od czasu, gdy dokonałam egzekucji jedynego przyjaciela. Dwa żniwa, dwadzieścia cztery Zwierzenia. Tyle właśnie razy musiałam odwiedzać komnatę, z której wywleczono Tyreka, i wypić truciznę, którą go zabiłam. W ciągu tych dwudziestu czterech miesięcy zabiłam łącznie trzynaścioro zdrajców, w tym Tyreka. Zrobiłam to dla królestwa Lormere, dla mojego ludu i dla moich Bóstw.

Jestem bowiem Daunen Wcieloną, odrodzoną córą Bóstw. Światem od zawsze rządziły dwa Bóstwa. Daeg władał za dnia jako Władca Słońca, a jego żona Naeht była Cesarzową Ciemności i do niej należała noc. Wiele tysięcy żniw temu, gdy Lormere było zaledwie skupiskiem zwaśnionych wiosek, chciwej Naeht przestała wystarczać władza nad nocą. Uknuła spisek i uwiodła swego męża, wyczerpując go tak bardzo, że nie mógł wstać. Wówczas Naeht wzbijała się w niebo i sama objęła władzę, skazując cały świat na życie w ciemności. Nic nie mogło przeżyć nastania mroku, bo bez Władcy Słońca nic nie przynosiło ludziom ciepła ani radości.

Ze związku Naeht i Daega narodziła się jednak córka, Daunen. Przychodząc na świat, Daunen śpiewała i jej pieśń obudziła Daega ze snu. Daeg na powrót zajął swe miejsce na nieboskłonie i do Lormere powróciło światło i życie. Wdzięczny Daeg poprzysiągł, że duch Daunen powróci jako symbol nadziei, gdy królestwo Lormere będzie jej najbardziej potrzebowało. Jej znakiem miały być włosy rude niczym wschodzące słońce oraz głos tak piękny, że zdolny obudzić ze snu Boga. Ludzie nazwą ją Daunen Wcieloną, a jej powrót będzie błogosławieństwem dla całej krainy.

Daunen była jednak córką dwojga Bóstw, światła i ciemności, życia i śmierci. Gdy Daeg obiecał przywrócić Daunen światu, Naeht postanowiła, że córka będzie reprezentować również i ją. Daunen uosabia równowagę pomiędzy Bogiem i Boginią, reprezentując śmierć w imieniu matki i życie w imieniu ojca. Każdego miesiąca Wcielona Daunen musi więc przejść próbę trucizny i przeżyć, by udowodnić swą boską naturę. Trucizna musi zaś pozostać w jej skórze, by jej dotyk przynosił śmierć zdrajcom w ten sam sposób, co mroczny dotyk jej matki.

W dniu, w którym królowa zmusiła mnie do zabicia Tyreka towarzyszyło mi dwóch strażników. Jeden z nich niemal natychmiast potem odszedł ze służby, ale wcześniej wyjaśnił mi, dlaczego więźniowie tak głośno krzyczeli. Zaczekał, aż Dorin oddali się, by przynieść mi wieczorny posiłek i ze złośliwym uśmiechem zbliżył się tak blisko, jak pozwalała mu odwaga.

– Chcesz wiedzieć, dlaczego tak krzyczą? Ludzie królowej tną ich nożami – powiedział z uśmiechem, nie czekając na moją odpowiedź. – Wybierają najbardziej tępe ostrza i tną ich tam, gdzie tylko przyjdzie im ochota. Potem polewają nacięcia winiakiem i pozwalają, by palił ranę. A winiak pali

straszliwie, dziewczynko, klnę się na Bóstwa. Pali gardło jak płynny ogień, a w głębokim skaleczeniu pali jak dotyk samego Daega. Nie jest to przyjemne, o nie. Niektórym robią to po wielokroć, zwłaszcza tym najbardziej zatwardziałym.

Przerwał i oblizał wargi, wpatrując się w moją twarz. Chciał się przekonać, jak głęboko zraniły mnie jego słowa.

– Ale nie dlatego krzyczą. Nie, nie dlatego. Krzyczą przez ciebie. Wiedzą, że żaden kat nie robi im tego, co ty. Powiedz mi, dziewczynko, czy teraz już wiesz, dlaczego tak krzyczą?

Nigdy nikomu nie powtórzyłam jego słów. Widziałam dość śmierci, by potrafić niekiedy okazać miłosierdzie. Całkiem jak królowa.

Rozdział 2



Stoję w umywalni mojej komnaty i myję ręce w miednicy, na przemian szorując i płucząc, płucząc i szorując. Przerzywa mi pukanie do drzwi.

– Wejść. – Sięgam po ręcznik, chociaż wcale nie czuję, że ręce są czyste.

Dorin wita mnie lekkim ukłonem.

– Wybacz najście, pani, ale zwołano polowanie.

– Teraz? – Ostatnia rzecz, na którą mam w tej chwili ochotę, to ściganie po lesie niewinnego stworzenia. Wycieram ręce z nadzieją, że Dorin powie mi zaraz, iż mój udział w polowaniu nie jest konieczny i że informuje mnie jedynie o planach królowej na ten dzień.

– Królowa nalega, byś wzięła w nim udział, pani.

Odwracam się i zamykam oczy, po czym zaraz je otwieram, uciekając przed czekającym w ciemności wzrokiem zmarłych. Dlaczego akurat dzisiaj? Polowania urządzone są rzadko, ale akurat dzisiaj...? Mam chęć pójść do świątyni, zamknąć drzwi i nie myśleć o niczym. Chcę poczuć, że moje ręce są czyste.

– Pójdę już, pani. Przygotuj się, proszę – mówi Dorin i wychodzi.

Patrzę w ślad za nim i czuję, jak żołądek zaciska mi się w supeł. Nie ma sensu prosić Dorina, by usprawiedliwił moją nieobecność ani błagać o pozwolenie udania się do świątyni. Królowa wie, że stawię się na wezwanie. Mogłabym tego ranka wysłać stu skazańców na spotkanie ze śmiercią, a i tak wzięłabym udział w polowaniu. Dlatego, że tego zażądała, a mojej rodziny nie stać na to, by stracić otrzymywane co miesiąc pieniądze i żywność. Gdybym ją uraziła, królowa wstrzymałaby dostawy. Raz już to zrobiła i wie, że nie podejmę ryzyka, że nie chcę, by moja młodsza siostra cierpiała bardziej, niż to konieczne. Wie, że czuję się winna za to, że zostawiłam Maryl. Zna mnie. Jestem jej posłuszną marionetką, którą łatwo kontrolować, pociągając za właściwe sznurki. Wystarczy, że pociągnie za sznurek, który wiąże mnie z siostrą, a ja będę posłuszna. Nawet gdyby tak nie było, królowa przemawia głosem Bóstw. To z ich woli mam odbierać życie. Nie mogę przeciwstawiać się woli Bóstw.

Zarzucam płaszcz na ramiona i wychodzę z komnaty, a Dorin już na mnie czeka.

– Gdzie jest Rivak? – pytam, rozglądając się za drugim strażnikiem.

Dorin zaciska wargi.

– Przeniesiono go, pani – odpowiada po chwili.

Dzień zapowiada się coraz lepiej, myślę, chociaż nie jestem zaskoczona. Większość moich strażników odchodzi w ciągu kilku miesięcy od podjęcia służby. Królowa wybiera do roli moich przybocznych wyłącznie wyszkolonych zabójców, szybkich i bezlitosnych, ale znam tylko jednego człowieka na tyle silnego, by stale przebywać u boku dziewczyny zdolnej zabić go jednym dotknięciem. Inni prędzej czy później proszą o przeniesienie, a ich prośby zawsze zostają spełnione. Jestem przekonana, że królowa preferuje taki stan rzeczy. Pozostając ze mną zbyt długo, strażnik mógłby przestać się obawiać, a nawet obdarzyć mnie sympatią. Stałby się wówczas lojalny wobec mnie, nie wobec królowej, a na to nie mogła pozwolić.

Był jeden, jedyny wyjątek. Ale wątpię, by królowa była go świadoma.

Dorin jest ze mną od samego początku. Jest starszy od króla, a na jego skroniach i równo przystrzyżonej brodzie widać pasma siwizny. Nigdy nie ścina włosów, związując je tylko na karku, a spojrzenie jego piwnych oczu jest zawsze uważne i skupione. Dorin jest szorstkim służbistą, strażnikiem doskonałym. Wiem, że nie jesteśmy przyjaciółmi, ale istnieje między nami jakaś więź. Z lękiem myślę o dniu, w którym i on zostanie mi odebrany. Znamy się dobrze i potrafimy przewidzieć swe zachowania jak stare małżeństwo w tańcu. Nie muszę się obawiać, że popełni błąd.

– Czyli zostaliśmy sami? – pytam.

– Tylko tymczasowo, pani. Wczoraj odbyły się próby i myślę, że nowy strażnik dołączy do nas jeszcze dziś. Mam przygotować go do tej roli, gdy ty będziesz na polowaniu. Jak zwykle obowiązki twojej eskorty obejmie na ten czas Gwardia Królowej.

– Czy Rivak został przeniesiony po Zwierzeniu? – pytam, starając się, by nie drżał mi głos.

– Poprosił o przeniesienie już jakiś czas temu, pani, ale królowa dopiero teraz zaakceptowała nowego strażnika.

– Jak długo, twoim zdaniem, zostanie z nami ten nowy? – pytam ze smutnym uśmiechem.

– Zapewne krócej, niż zasługuje na to twoja osoba, pani. Chodźmy już. Lepiej nie kazać królowej czekać – jego życzliwy uśmiech trwa jedynie mgnienie oka i czuję, jak supeł mojego żołądka zaciska się mocniej.

Dorin schodzi po schodach pierwszy, a ja ostrożnie idę za nim, modląc się do Bóstw, by mi go nie odebrano.

Myśliwi już czekają. Damy odziane są w zieleń i srebro, a mężczyźni w błękit i złoto, łowieckie barwy. Ja mam na sobie szkarłatny płaszcz. Królowa lubi, gdy noszę się w czerwieni, wierząc, że podkreśla ona moją rolę, dlatego też większość moich sukien i płaszczy ma odcień czerwieni. Wokół króla uganiają się psy, kłapiąc zębami i w napięciu czekając na sygnał. Istnieje niewiele rzeczy, których nienawidzę bardziej od tych psów.

Bardzo różnią się one od psów z wioski, w której dorastałam. Skarcone nie płoszą się, a pochwalone nie przewracają na plecy, ukazując brzuchy. Te psy mają długie, mocno umięśnione łapy, a ich wielkie łby są płaskie i szerokie. Są mieszańcami alauntów z mastiffami i jeszcze z czymś bardziej dzikim i niebezpiecznym. Mają szorstką sierść upstrzoną rdzawymi i złotymi cętkami. Wiem, że nawet gdyby pozwoliły mi się pogłaskać, nie byłoby to przyjemne. Szczera zęby w chytrych parodiach uśmiechów, ale w ich ślepiach nie ma żadnych uczuć. Przypominają oczy mężczyzn, których straciłam tego ranka. Są puste, pozbawione wszelkiego sumienia i bezduszne.

Wiem wszystko o duszach. Zanim zostałam Daunen Wcieloną byłam córką zjadaczki grzechów.

Salę wypełnia zapach piżmowy odór psów, cuchnących mięsem i śmiercią. Królowa zakrywa twarz zwiewnym szalem. Psy nie gustują w martwym mięsie. Wolą pożerać życie ściganych ofiar i zawsze są skore do polowania. Wiedzą, co oznacza zebrany w sali tłum. Patrzą, jak krążą i biegają w podnieceniu i czuję w ustach gorzki posmak. Mam nadzieję, że dzisiejszego dnia nie przyjdzie im polować na ludzi. Że tym razem ofiarą będzie zwierzę.

Kiedy po raz pierwszy zobaczyłam, jak królowa szczuje psami więźnia, prawie zwymiotowałam śniadanie na posadzkę sali. Skazańcem był złodziej, który obrabował posiadłość któregoś z możnowładców. Wszyscy mieszkańcy królestwa wiedzieli, że wymierzane przez królową kary są szczególnie okrutne. Mimo to widok, zapach i odgłos rozszarpywanego żywca człowieka okazały się nieznośne nawet dla mnie. Dorin skłamał, by mnie chronić i powiedział królowej, że od rana skarżyłam się na mdłości. Odesłano mnie do komnaty na spoczynek i przysłano uzdrowiciela, który dźgał mnie szklaną różdżką i wmusił we mnie napar z cuchnących ziół. Od tego dnia nawiedzają mnie koszmary, w których psy gonią mnie, moją siostrę, Tyreka, a nawet Dorina. Budzę się wtedy drżąca, złana potem

i pewna, że czuję w komnacie ich odór. Jestem przekonana, że – bez względu na słowa królowej – żadna zbrodnia nie zasługuje na taką karę. Z drugiej jednak strony ludzie mówią zapewne to samo o tym, co ja robię, choć zabijam przecież zdrajców królestwa.

– Twylla – słyszę zimny, arystokratyczny głos królowej i natychmiast kłaniam się nisko. Nakazuje mi to ten sam instynkt, który każe polnej myszy bezruch, gdy rozlega się pohukiwanie sowy. – Błogosławione niech będzie Zwierzenie – mówi królowa i wtóruje jej cały dwór. – Po polowaniu możesz udać się do świątyni.

– Dziękuję, Wasza Wysokość – odpowiadam i jeszcze niżej pochylam głowę.

Dwóch Gwardzistów Królowej zajmuje miejsca obok mnie, niezręcznie i niespokojnie trzymając się na odległość. Otwierają się wielkie, drewniane wrota i schodzimy po schodach na dziedziniec, gdzie czekają już osiodłane konie. Królowa i jej strażnicy idą przodem, potem ja i moja asysta, a dalej reszta dworaków.

Wspinam się na szeroki grzbiet konia bez niczyjej pomocy, a Gwardziści z głupimi minami patrzą na moje wysiłki. Potem poganiam wierzchowca, by dołączyć do królewskiego orszaku. Konie są odporne na działanie porannicy i mogę bezpiecznie przeczesać palcami długą grzywę, która opada aż na poję mego spódnicy. Przyjemnie jest dotknąć ciepłej, żywej istoty i mieć pewność, że mój dotyk nie uczyni jej krzywdy.

Rozszerzone, puste oczy i krew plamiąca ciemne drewno...

Przebiega mnie dreszcz i zaciskam palce na grzywie konia, ale zauważam spojrzenie królowej, więc puszczam grzywę i ujmuję w ręce wodze.

Wzdycham z ulgą, gdy królowa wyprzedza orszak króla i jego psy. Cieszę się, że tym razem jedziemy osobno i nie musimy podążać za myśliwymi. Zapewne nie tylko ja się z tego cieszę. Chichotanie psów drażni konie jeszcze bardziej niż jeźdźców. Zdarzało się już, że znudzone pogonią bestie zwały na ziemię konia wraz z jeźdźcem.

Patrzę na góry, które otaczają królestwo z trzech stron, niczym matka nowo narodzone dziecko. Miasteczko Lortune oraz zamek Lormere znajdują się na wschodnim krańcu królestwa. Zamek zbudowano częściowo na naturalnym fundamencie skał i wydaje się, że otaczające twierdzę zabudowania zrodziły się z gór i próbują uciec od nich jak najdalej.

– Góry stanowią naturalną fortecę – powiedziała mi kiedyś matka. – Dlatego właśnie Lormere nigdy nie zostanie zdobyte.

Wielokrotnie mówiono mi, że położenie geograficzne królestwa jest dla nas, jego mieszkańców, szczęśliwym zrządzeniem losu. Góry chronią nas przed inwazją z trzech stron, a poza tym osłania nas też rozległy, gęsty Las Zachodni. Zawsze dysponujemy też przewagą wysokości, bo Las Zachodni rośnie na zboczu wiodącym do płaskowyżu, na którym stoi Lormere.

Za Lasem Zachodnim rozciąga się Tregellan, kraina będąca przez jakiś czas śmiertelnym wrogiem naszego królestwa. Sto żniw temu starliśmy się z nim w krwawej wojnie, rozpoczętej zresztą przez Tregellan. Królestwo Lormere odniosło wtedy zwycięstwo i rodzina królewska podpisała traktat pokojowy z radą Tregellanu.

Za górami leżącymi na północy, gdzie skały ustępują miejsca obrzeżom Tregellanu, leży królestwo Tallith, rozciągając się na zachód i na północ aż do morza. Tallith jest na wpół opuszczone od blisko tysiąca żniw. Pozostały tam jedynie małe wioski toczące z sąsiadami niekończące się wojny o ziemię. W czasach gdy Lormere było jeszcze zaledwie skupiskiem górskich wiosek, rządzonych przez przodków królowej, Tallith było najbogatszym z królestw. Tamtejsza dynastia wymarła jednak i królestwo popadło w ruinę. Ludność zaczęła opuszczać Tallith, z początku pojedynczymi grupami, a potem tłumnie. Niektórzy osiedlili się w Tregellanie, a inni parli dalej, pokonując lasy i góry i docierając w końcu do Lormere. Mówi się, że w żyłach ćwierci ludności naszego królestwa płynie tallithiańska krew. Objawia się ona niekiedy wśród dzieci urodzonych z bożym okiem albo z szarawymi blond włosami, z których

znani byli tallithianie.

Jedziemy pośród drzew i leśnej ciszy. Ziemie Lormere są żyzne, ale leżą na znacznej wysokości, dlatego nadają się głównie pod pastwiska. Uprawiamy ziemniaki, rzepę, pasternak, fasolę i żyto, ale nie mamy dobrych ziem pod uprawę innych zbóż. Dlatego też ziarno importowane jest z Tregellanu, z żyznych terenów uprawnych nad rzeką dzielącą Tregellan i Tallith. Stamtąd sprowadzamy też rzeczne ryby i owoce morza łowione przez rybaków zapuszczających się na niebezpieczne wody Morza Tallithiańskiego. Produkty te uważane są u nas za specjał. I pomyśleć, że przed przybyciem do zamku nigdy nie miałam w ustach białego chleba...

Wśród drzew po lewej stronie orszaku rozlega się szelest i Gwardziści Królowej dobywają mieczy. Po chwili spomiędzy krzewów wyskakuje kuna i trajkocząc gniewnie wspina się na pień starego świerku. Jedna z dam śmieje się cicho, a strażnicy chowają broń z zawstydzonymi minami. Królowa jedzie tuż przede mną i obie nas otacza ochronny kordon. Jej długie, kasztanowe włosy lśnią w plamach słonecznego światła padającego z góry, spomiędzy gałęzi dębów, lip i świerków.

Królowa jest piękna. Widać to w jej profilu, gdy odwraca się by sprawdzić, czy konwój nie gubi szyku. Jej skóra jest blada i nieskazitelna. Ma wysokie kości policzkowe i ciemne oczy, jak wszyscy z jej rodu. Królewska krew nie woda. Wśród dam dworu panuje moda na naśladowanie królewskich kolorów. Damy o jasnych włosach farbują je miksturami z kory i jagód, choć efekty bywają różne. Niejedna też niemal straciła wzrok, zakraplając oczy atropą, próbując ukryć błękitne lub piwne tęczęwki. Z moimi rudymi włosami, zielonymi oczyma i piegowatą skórą wyglądam jak istota z innego świata, którą w pewnym sensie jestem.

Głęboko w lasach na północ od zamku czeka na nas złocisty namiot ozdobiony powiewającymi na wietrze proporcami. Pod płachtą ustawiono długi stół uginający się pod ciężarem jedzenia, którego starczyłoby dla wielokrotnie większego orszaku. Nie brakuje pieczonych dzików, kaczki zapiekanej w miodzie, piernikowych pierożków i gęstego gulaszu, nie wspominając o pieczywie i deserach. Leśne runo nakryto jedwabnymi dywanami przywiezionymi z odległych, egzotycznych miejsc, a wokół krawędzi dywanów przygotowano dla nas pantofle. Królowa zsiada z wierzchowca i wszyscy idziemy w jej ślady – zmieniamy buty do konnej jazdy na pantofle, po czym siadamy do stołu. Zajmuję miejsce po prawej stronie od rzeźbionego krzesła królowej i odsuwam się najdalej, jak pozwala mi na to rozsądek. Moją uwagę zwracają dwie służące, patrzące na mnie i szepczące coś do siebie gorączkowo, po czym wyższa z nich popycha drugą naprzód. Odwracam wzrok, ale zauważam jeszcze tryumfalny uśmiech zwycięskiej służki.

– Wina, pani? – dziewczyna zmuszona mi usługiwać zachowuje bezpieczną odległość i trzyma w rękach karafkę.

– Nie – odpowiadam. – Wody.

Dziewczyna dyga elegancko i po chwili wraca z wodą. Trzymam się sztywno i nieruchomo, a służąca nachyla się do przodu tak mocno, że rozlewa wodę na stół. Widzę, jak wilgoć wsiąka w obrus, niszcząc delikatny jedwab. Dziewczyna ignoruje plamę i natychmiast wraca do koleżanki, by na nowo podjąć szeptane plotki.

Kiedy przybyłam do zamku i powiedziano mi, co się stanie, jeżeli ktokolwiek mnie dotknie, poczułam się niezwykła i potężna niczym królowa. Myślałam, że nikt już nigdy nie będzie mógł mnie uderzyć, uszczypnąć czy odebrać mi mojej własności. Stałam się złośliwa i kiedy nie dostawałam czegoś, czego chciałam, wygrażałam służbie palcem, zachwycając się ich bladym strachem i natychmiastową gorliwością w spełnianiu moich próśb. Wówczas jednak byłam przekonana, że celem zażywania porannicy jest wykazanie mojej wartości. Służący szybko pojęli, że byłam jedynie bronią. Nie mogę mieć pretensji o to, że mnie teraz nienawidzą. Gdybym nie była wówczas tak naiwna, być może nie byłabym też tak okrutna. Mimo wszystko jednak lepiej dla służących, by trzymali się z dala, jeżeli nie chcą

podzielić losu Tyreka.

Królowa leniwie bawi się wachlarzem, otwierając go i zamykając, wypatrując pośród drzew śladu błękitu i nasłuchując dźwięku rogu zwiastującego rychłe przybycie męża. Rzadko czeka na króla w takim skupieniu i cały orszak odczuwa w związku z tym pewne zdenerwowanie. Wszyscy siedzimy w bezruchu, wyprężeni jak struny i prawie nie oddychamy. Rozglądam się dyskretnie, spoglądając to na królową, to ku ścianie lasu.

Podczas polowań nigdy nie wiemy, kiedy dołączą do nas myśliwi. Nie przerwą łowów do czasu, gdy psy powalą zdobycz, a nie można przewidzieć, kiedy to się stanie, jeżeli polują na dziką zwierzynę. Naszym zadaniem jest wyglądać jak zachwycający obrazek i czekać na ich przybycie. Królowa chce mieć pewność, że spisujący wydarzenia dnia na dworze skrybowie uwiecznią wrażenie elegancji, piękna i tradycji. Zdecydowana jest rządzić we własnym, Złotym Wieku Lormere, dlatego też wszystko musi odbywać się w sposób idealny.

– Cóż nam dziś zaśpiewasz, Twyllo? – królowa odwraca się do mnie i przyzywa gestem pazia.

– Czy Wasza Wysokość zechce wysłuchać *Ballady o Lormere, Błękitnej Łani* oraz pieśni o *Caracu i Cedany*?

– Doskonały wybór.

Udawała, że to ja dokonałam wyboru. Ale gdybym wybrała *Jasność i dal* lub *Roześmianą pannę*, obdarzyłaby mnie w odpowiedzi zimnym i mrocznym spojrzeniem.

– Skąd pomysł, że te pieśni będą stosowne do polowania, Twyllo? – zapytałaby cicho, z fałszywym spokojem.

Nauczyłam się już, że wybrane przeze mnie pieśni zawsze śpiewane są podczas polowań. *Ballada o Lormere* opowiada o założeniu królestwa przez odległego przodka królowej. *Błękitna Łania* jest nowszą pieśnią i stanowi opowieść o tym, jak matka królowej została za sprawą błękitnej sukni wzięta omyłkowo za magiczną łanię, na którą polował król, który następnie ocalił ją przed zębami myśliwskich psów.

Carac i Cedany to pieśń bitewna napisana dla dziadków królowej. To ich rządy nazywamy dziś Złotą Erą Lormere, kiedy to Daunen Wcielona była z nami po raz ostatni. Jest to zarazem ulubiona pieśń królowej, która uwielbia słuchać o tym, jak to lormerianie najpierw pokonali najeźdźców z Tregellanu, a następnie, mimo kapitulacji, zdziesiątkowali lud wrażego królestwa i tymczasowo opróżnili jego skarbiec.

Król Carac i królowa Cedany chcieli, by Tregellanie wydali nam swych alchemików, byśmy i my mogli wytwarzać własne złoto. Tregellanie jednak odmówili i zagrozili zabiciem alchemików, by tylko chronić ich tajemnice. Zamiast więc stracić bogactwo Carac i Cedany zgodzili się na olbrzymi okup w alchemicznym złocie, stąd też i nazwa – „Złoty Wiek”. Mówi się, że tregellańscy alchemicy żyją teraz w ukryciu, byśmy nie mogli ich porwać i zmusić do pracy dla nas.

Zanim przybyłam do zamku śpiewałam to, na co przyszła mi ochota i sama wymyślałam zwrotki o niebie, rzece czy o zimorodkach. Kiedy po raz pierwszy wystąpiłam dla króla i królowej jako Daunen Wcielona, zaśpiewałam właśnie jedną z moich zmyślonych piosenek. Królowa była zdegustowana.

– Kto cię tego nauczył?

– Nikt, Wasza Wysokość. Sama wymyśliłam tę piosenkę.

– W takim razie sugeruję, byś ją zapomniała. Jako córka zjadaczki grzechów mogłaś śpiewać, co tylko chciałaś, ale teraz jesteś Daunen Wcieloną i twoje piosenki z pewnością nie spodobałyby się Bóstwom.

W odpowiedzi pokiwałam tylko głową. W owym czasie nadal rozpaczliwie pragnęłam jej zaimponować i dowieść swej wartości. Nie wiedziałam jeszcze, jaką przewidziała dla mnie rolę.

Z lasu dobiega przeraźliwy krzyk i wszyscy odwracamy się w tej samej chwili. Staram się nie

wyobrazić sobie, jak psy dopadały ofiarę. Mam tylko nadzieję, że nie trwało to długo.

– Nadjeżdżają – mówi królowa, wstając i klaszcząc w dłonie. – Szykować ucztę.

Jej polecenie jest zbyt częste. Paziowie przygotowali wszystko na długo przed naszym przyjazdem, ale na dźwięk jej słów zaczynają ruszać się żywiej. Uzupełniają wino w karafkach i stawiają na uginającym się już stole kolejne pasztety i pieczony drób. Odprężam się wraz z pozostałymi dworzanami i – podobnie jak oni – przywołuję na twarz wymuszony uśmiech, odwracając się ku królowej i uprzejmie unosząc brwi, jakbym usłyszała wyborny żart.

Rozlega się dźwięk rogu i nadjeżdżają myśliwi. Wszyscy są spoceni, ale panuje wśród nich tryumfalny nastrój. Zeskakują z koni, a psy wloką za nimi resztki truchła. Cztery największe bestie walczą o resztki i nad sielską, leśną polaną brzmi zajadły warkot i kłapanie zębów. Odwracam wzrok. Po polowaniu nie zostanie żaden ślad, żadne trofea, bo psy pożrą nawet kości. Dla mężczyzn liczył się wszak sam pościg i wyglądają na bardzo zadowolonych z siebie.

Wstajemy na widok nadchodzącego króla i czuję nagły ucisk w żołądku. Wraz z królem nadchodzi bowiem książę.



Otwieram usta ze zdziwienia. Nie mogę uwierzyć, że tak bardzo wyrósł, że wygląda jak prawdziwy książę i w niczym nie przypomina już tego niezdarnego, ponurego chłopaka, którego widywałam niegdyś w drodze do świątyni. Urosły mu ramiona, a kiedy kłania się przed matką, jego ciemne loki muskają kołnierz tuniki. Ze zdumieniem zauważam, że mój narzeczony stał się naprawdę przystojny, choć okrutny wyraz jego rysów i uważne spojrzenie brązowych oczu tak bardzo przywodzą na myśl królową.

Zalewa mnie fala gniewu. Nikt mnie nie uprzedził o jego powrocie. Na samym początku, kiedy królowa sprowadziła mnie do zamku, powiedziała mi, że Naeht ukazała jej się we śnie i oddała jej mnie, wcielenie własnej córki, bym w zastępstwie zmarłej księżniczki została żoną królewskiego potomka. Jedynie małżeństwo z księciem z woli samej Naeht mogło zakończyć moją rolę jako Daunen Wcielonej. Utraciłabym wówczas czystość i nie mogłabym już uosabiać córki Bóstw, ale pewnego dnia zasiadłabym na tronie jako królowa Lormere.

Dworzanie jak jeden mąż kłaniają się najpierw królowi, a potem księciu Merekowi. Ostatnie dwa żniwa spędził w podróży po kantonach królestwa i spędzał czas z pomniejszych możnowładcami, ucząc się historii Lormere i trudnej sztuki władania, a także zawierając przyjaźnie i przymierza. Wiem, że na jakiś czas zatrzymał się w Tregellanie jako gość honorowy i raz podsłuchałam rozmowę służących, wedle której książę miał bawić w Tallith. Nikt jednak nie mówił mi otwarcie, gdzie przebywał ani kiedy wróci, a ja byłam zbyt dumna, by o to pytać.

Książę Merek zajmuje miejsce naprzeciw mnie i czekam z bijącym sercem, by w jakiś sposób zauważył moją obecność. Kiedy zauważam, że mnie ignoruje, węzeł mojego żołądka zaciska się i spuszcza wzrok. Czuję się zraniona, ale nie zaskoczona. Cztery żniwa temu, podczas uroczystej ceremonii, książę położył dłoń na mojej dłoni i na znak narzeczeństwa przepasano nas czerwoną wstęgą. Później już nikt mnie nie dotykał. Miałam nadzieję, że będziemy mogli spędzić razem czas i zostać przyjaciółmi przed ślubem, ale tak się nie stało. Książę nie zamienił ze mną wówczas ani słowa, a po wyjeździe nie wysłał nawet listu, by zapytać, jak się miewam. Nie mogę jednak mieć do niego pretensji. Natura mojej roli przyprawia mnie czasem o mdłości, domyślałam się więc, że również dla księcia musi wydawać się odrażająca. Trudno sobie wyobrazić, by pragnął zaprowadzić do łóżnicy żonę, przed której śmiercionośnym dotykem chroniła go jedynie wola Bóstw.

– Czy polowanie się udało? – pyta królowa, zajmując wraz z królem miejsca u szczytu stołu. Siadam po jej prawej stronie, książę zaś po lewej stronie króla, naprzeciw mnie. Pozostali dworzanie zajmują miejsca uzależnione od ich majętności oraz królewskich łask.

– Istotnie – odpowiada król. – Nielichą pogoń zafundowała nam bestia. Diabelnie wielki jeleni, poroże dwa razy bardziej rozłożyste niż Merek liczy wzrostu – mówi, wskazując głową pasierba. – W końcu jednak udało się go powalić, no i psy miały używanie. – Kiedy to mówi daje się słyszeć ostry trzask od strony, gdzie ucztują psy. Wzdrygam się z odrazy.

– Bardzo mnie to cieszy – królowa odwraca się do syna i wyraz jej twarzy łagodnieje. – Jak ci się polowało, Merek?

– Doskonale, matko – mówi książę, ale w jego przyjemnym dla ucha, głębokim głosie nie ma ani

odrobiny ciepła. Obserwuję go ukradkiem, zauważając każdy szczegół: skrzywienie ust, kiedy zwraca się do matki, ułożenie sylwetki na krześle. – Całkiem przyjemna rozrywka, którą rad bym powtórzył. W Tregellanie brałem niekiedy udział w polowaniach na dziki. Nie mają tam królewskiego dworu, ale pielęgnują dworskie rozrywki.

– Dziwi mnie, że znajdują na to czas – odpowiada sucho królowa. – Byłam przekonana, że podjęcie jakiegokolwiek decyzji zajmuje im dobry miesiąc.

Merek unosi brwi.

– To prawda. Sądzę jednak, że taka jest cena demokracji. Każdy głos zasługuje na wysłuchanie. Ich system rządzenia mógłby działać sprawniej, ale trudno odmówić mu skuteczności. W każdym razie w tamtejszych warunkach.

– W tamtejszych warunkach – powtarza królowa tonem kończącym dyskusję. Merek wlepia wzrok w talerz i znów przypomina niezdarne chłopca, któremu przyrzekłam swą rękę. – Budowa Sali Luster wkrótce zostanie ukończona – ciągnie kojącym tonem królowa, której wyraźnie umknęła irytacja syna. – Jej projekt oparto na oryginalnym budynku z Tallith. Nie brakuje nam tu rozrywek.

– Widziałem w Tregellanie pozostałości oryginalnego budynku. Musiał w swoim czasie robić nieliczne wrażenie.

– Przekonasz się, że nasz okaże się wspanialszy. Osobiście wprowadziłam kilka zmian do projektu. Nie chcieliśmy budować jakiegoś zabytku.

– To jednak nie to samo, co turnieje i polowania – mówi Merek.

– Rzeczywiście, to rozrywka bardziej cywilizowana – odpowiada królowa głosem słodkim jak miód. – Nie jesteśmy dzikusami jak Tregellanie i potrafimy czerpać przyjemność z subtelności. – Merek nie odpowiada i królowa zwraca się z kolei do dworzan. – Mój syn jest prawdziwym obieżyświatem. Mam nadzieję, że Lormere go nie znudzi. – Uśmiecha się do syna i próbuje wziąć go za rękę, ale książę odsuwa się i ostrzegawczo unosi brwi. Potem wbija nóż w pieczoną pierś bażanta i nie spuszczać oka z matki, unosi mięso do ust. Królowa odwraca wzrok, a ja idę za jej przykładem, udając, że nie zauważyłam drobnego buntu księcia. Wewnętrznie jednak cieszę się, że nie uszedł on mojej uwadze.

Królowa przenosi uwagę na dworzan i wszyscy natychmiast przejawiamy wzmożone zainteresowanie zawartością talerzy. Po chwili wydobywa zza dekoltu sukni niewielki, metalowy krążek i zaczyna się nim bawić. Merek odkłada nóż i przygląda się błyskotce.

– Kazałaś zrobić z mojej monety naszyjnik – zauważa cicho, wskazując medalion.

– Nie mogłam przecież dodać jej do skarbcza – odpowiada królowa, zbliżając ozdobę do jego oczu. Merek marszczy brwi.

– Co się stało z awersem? Z flectistą i gwiazdami? – pyta, przyglądając się medalionowi zwięzonymi oczyma. – Kazałaś go zeszlifować?

– Naturalnie. Dlaczego miałabym nosić na szyi starą monetę z wizerunkiem tallithiańskiego muzykanta? Teraz wygląda znacznie lepiej. Nieskazitelny dysk przypomina księżyc Naeht, a złota obwódka to słońce Daega. Zrobiłam z monety prawdziwie lormerańską ozdobę.

Merek kręci głową.

– To była prawdopodobnie ostatnia na świecie tallithiańska moneta z alchemicznego złota. Miała ponad pięćset zniw i stanowiła bezcenny kawałek historii.

– Ale nie naszej, Merek. Mnie interesuje wyłącznie lormerańska historia. Poza tym nie odgadlibyśmy przecież z bezużytecznej, wycofanej z obiegu monety sekretów alchemii.

Królowa chowa ozdobę, a z odległego krańca stołu odzywa się lord Bennel.

– Odnalazłeś Śpiącego Księcia, Wasza Miłość?

Kilku dworzan wybucha śmiechem, a ja próbuję sobie przypomnieć, kim był Śpiący Książę. Jak przez mgłę pamiętam legendę o księciu pogrążonym w zaklętym śnie. Zauważam, że wokół stołu zapadła niebezpieczna cisza. Merek siedzi z komicznie otwartymi ustami, ale królowa... Królowa wlepia w lorda

Bennela spojrzenie pełne wściekłej furii. Atmosfera wokół niej aż gęstnieje od złej aury, jakby Bennel w jakiś sposób śmiertelnie obraził Mereka wzmianką o starej bajce dla dzieci. Pobladli i milczący dworzanie siedzą w bezruchu, czekając, aż coś rozproszy napięcie. Nawet król wygląda na zaniepokojonego.

– Proszę Wasze Wysokości o wybaczenie – mówi pospiesznie lord Bennel. – Nie chciałem przerywać rozmowy.

Królowa nie odpowiada i czuję gniew bijący od jej nieruchomej, gotowej do ataku postaci. Po chwili opiera się o oparcie krzesła i napięcie częściowo się rozluźnia. Dworzanie unoszą do ust kielichy i znów rozlega się odgłos drapania sztućcami talerzy, a służący zaczynają krzątać się wokół stołu. Królowa odsuwa talerz i zauważam kątem oka, że jej ruchy są sztywne i wystudiowane, a w jej oczach nadal czai się niebezpieczeństwo burzy z piorunami.

– Pora, byś nam zaśpiewała, Twyllo – mówi.

Wstaję niezwłocznie w asyście gwardzistów i tłumię w sobie instynktowną chęć ucieczki przed gniewem królowej. Zamiast tego przechodzę na drugi kraniec stołu, by królewska para mogła dobrze mnie widzieć.

– Otrzymałaś wielki dar, mała Twyllo – powiedziała mi królowa po pierwszym Zwierzeniu. – Wybrano cię, byś reprezentowała na tym świecie Daunen, i dzisiejszego dnia oddaliśmy jej twe życie. Lormere długo czekało na twoje ponowne przybycie. Od teraz jesteś namaszczonym świętością, tak jak i ja. To twoje przeznaczenie. W oczach Bóstw jesteś moją córką.

Śpiewam *Caraca i Cedny* i pozwalam, by mój głos szybował pod płachtą namiotu, przypominając wszystkim czas wojny, sprawiedliwego rozlewu krwi i chwały. W pewnym momencie dobiega mnie sykliwy szept i zauważam, że to lord Bennel mówi coś cicho do lady Lorelle, która siedzi sztywno wyprostowana i blada, rozpaczliwie starając się ignorować jego szept. Jej mąż lord Lammos odchyła się na krześle najdalej, jak to możliwe. Odrywam od nich spojrzenie i staram się nie zwracać uwagi na lorda Bennela, choć i czuję, jak zalewa mnie pot. Docieram do refrenu i śpiewam głośniej, starając się zagłuszyć szept i odchyłam głowę, by świetlne refleksy w moich włosach odwróciły uwagę.

Lord Bennel nachyla się bliżej do sąsiadki u stołu i mamrocze pod nosem. Widzę, jak lady Lorelle energicznie kreci głową i wskazuje mnie gestem. Policzki lorda Bennela są czerwone, a wzrok rozmazany i zdaję sobie sprawę, że jest zbyt pijany, by zachować ostrożność. Cóż innego mogłoby wytłumaczyć fakt, że ośmielił się przerwać rozmowę królowej z księciem? Znów podnoszę głos, rozrzucam ramiona i zwracam twarz ku niebu, rozpaczliwie usiłując skupić na sobie uwagę całego dworu.

Ucisza nas trzask tłuczonego szkła i pieśń zamiera mi na ustach. U szczytu stołu królowa trzyma w dłoni nóżkę pucharu, którego czaszę roztrzaskała przed chwilą na krytym złotogłowie blacie.

– Czyżby pieśń Twylli cię nudziła, lordzie Bennel?

Wzrok wszystkich zwraca się ku lordowi, a ja czuję przyspieszone bicie serca i nagłe mdłości.

– Pytałam, czy śpiew Daunen Wcielonej cię znudził?

– W-wybacz, Wasza Wysokość – bełkocze lord Bennel, a jego tłusty kark pokrywają czerwone plamy. – Mówiłem właśnie lady Lorelle, jakie mamy szczęście, że przyszło nam żyć w tak szczęśliwych czasach, kiedy to Daunen Wcielona znów jest wśród nas i... To miał być komplement... – lord wskazuje mnie ręką, przewracając przy tym puchar i rozlewając na obrus czerwone wino.

– Dziwny komplement. Zapewne komplementem o wiele stosowniejszym byłoby wysłuchanie pieśni i docenienie głosu śpiewaczki, co zresztą wyraźnie rozumieją wszyscy poza tobą. Lorelle udało się nie zagłuszać śpiewu.

Widzę, jak lady Lorelle zaciska dłonie w fałdach sukni tak mocno, że bieleją jej kostki palców, a potem orientuję się, że sama robię to samo, plamiąc potem jedwab sukni.

– To prawda, Wasza Wysokość – odpowiada lord Bennel.

– Być może więc to, co nazywasz komplementem było źle obliczone w czasie?

– Tak, Wasza Wysokość.

– Być może lepiej by było, byś opuścił nasze towarzystwo, byśmy mogli cieszyć się darami Bóstw bez ciebie?

– Helewys... – odzywa się król, ale królowa natychmiast ucisza go szorstkim ruchem ręki. Król wlepia w nią ostre spojrzenie i zaciska szczęki, ale nie mówi nic więcej. Zamiast tego odwraca się i patrzy na drzewa.

– W-wasza Wysokość...? – nie rozumie lord Bennel.

– Odejdź. Zagłuszyłeś gadaniną pieśń Daunen Wcielonej i przerwałeś moją prywatną rozmowę z synem niedorzecznym pytaniem. Nie próbuj pokazywać się w moim otoczeniu dopóki nie nabierzesz manier. – Królowa upuszcza resztki pucharu na ziemię i gestem nakazuje przynieść sobie nowy.

Napięcie częściowo mnie opuszcza. Przez jedną, straszną chwilę myślałam, że królowa uzna zachowanie lorda Bennela za zdradę i zażąda, bym go dotknęła. Podnoszę wzrok w oczekiwaniu znaku nakazującego mi kontynuowanie pieśni i widzę, jak lord Bennel przyzywa pazia, by ten przyprowadził jego konia.

– Nie, lordzie Bennel. Pójdiesz piechotą. Da ci to czas na przemyślenie własnej ignorancji.

Czuję, jak serce łomocze mi w piersi. Na oczach całego dworu lord Bennel wstaje sztywno, a potem niezdarnie zdejmuje pantofle i zakłada buty do jazdy konnej. Jeden z nich nie daje się łatwo naciągnąć i policzki lorda powleka barwa purpury.

– Śpiewaj dalej, Twyllo – mówi królowa.

– *Wśród Zachodniego Lasu stanęła piękna Cedany, okrzyk wznosząc...* – Przerywam śpiew, widząc, jak królowa przyzywa mistrza psów.

– Śpiewaj dalej – powtarza gniewnie i staram się śpiewać, ale głos mi drży i widzę, że moja publiczność oddałaby wszystko, by znaleźć się teraz gdzie indziej.

– *Wśród Zachodniego Lasu stanęła piękna Cedany, okrzyk wznosząc: Za Lormere! Niech zginą poganie!...* – Staram się nie patrzeć, gdy Mistrz Psów odciąga dwie mniejsze bestie od resztek posiłku i prowadzi je ku krzesłu zajmowanemu przed chwilą przez lorda Bennela. Lorelle truchleje ze strachu, a szorstka sierść psów ociera się o jedwab jej sukni. Bestie zapamiętują woń ofiary i rzucają się w pościg. Cały świat wydaje się wstrzymać oddech.

– *Do boju ruszył Carac z mieczem krwi złaknionym i runął w gruzy Tregellan, jak przepowiedziała...*

Mija zaledwie chwila i rozlega się wrzask. I ujadanie.

– Zacznij od początku, Twyllo. – Uśmiecha się królowa. – Zagłuszyły cię odgłosy lasu. Tylko tym razem mniej teatralnie, proszę. Jesteś w końcu Daunen Wcieloną, a nie wiejską śpiewaczką.

Zabijam tylko zdrajców, a lord Bennel nim nie był. Zginął jednak za to, że mnie obraził i równie dobrze mogłabym zgładzić go własnoręcznie. Jedno spojrzenie na twarze dworzan zdradza mi, że są tego samego zdania.

Na koniec występu dworzanie nagradzają mnie boleśnie entuzjastycznym aplauzem. Nikt nie chce, by królowa podejrzewała go o brak zaangażowania. Znowu ogarniają mnie mdłości.

– Możesz usiąść, Twyllo – zezwala uprzejmie królowa. Kłaniam się i wtedy zauważam księcia.

Patrzy z przechyloną głową, jakby widział mnie po raz pierwszy. Jego nieodgadniona dotąd twarz nabrała emocji. Czuję, jak miękną mi kolana, jakby palący wzrok księcia wysysał ze mnie siły. Jeszcze przed chwilą pragnęłam jego uwagi, a teraz jego spojrzenie mnie paraliżuje.

Z coraz bardziej czerwieniejącymi policzkami wracam na miejsce i czuję, jak księżę śledzi wzrokiem każdy mój krok. Nikt inny nie odważyłby się tak uporczywie na mnie patrzeć, by królowa nie wzięła przypadkiem spojrzenia za obrazę jej osoby. Księżę nie musi się jednak obawiać utraty życia.

Dobrze wie, że jest jedyną osobą na świecie, której królowa nie poświęciłaby w imię własnych celów.

Służący podają na deser różany pudding, ale nie jestem w stanie przełknąć nawet odrobiny. Zakrywam tylko słodką masą krwistoczerwone płatki. Atmosfera sposepniała i ucztę zaczyna przypominać obrzęd Zjadania Grzechów, podczas którego wszyscy musimy zjeść grzechy Bennela w nadziei, że uda nam się w ten sposób ugłaskać królową.

Księżę nadal patrzy na mnie kiedy odkładam łyżeczkę. Mam wrażenie, że od chwili, gdy usłyszał mój śpiew, ani razu nie spuścił ze mnie oka. Co gorsza, królowa dostrzega jego spojrzenie i patrzy na syna ponuro, z zaciśniętymi ustami, nieustannie bawiąc się medalionem. Słońce znika za chmurą i soczysta zieleń lasu ustępuje miejsca szarości. Królowa wstaje z miejsca i wszyscy natychmiast wstajemy razem z nią.

– Przygotować konie – rozkazuje. – Wracamy.

Zmieniamy pantofle na buty do konnej jazdy, a szybkość, z jaką służący przyprowadzają wierzchowce, każe się domyślać, że przewidywali pospieszny odjazd. W milczeniu dosiadamy koni i ruszamy w drogę powrotną do zamku. Jestem wdzięczna losowi, że jadę w szyku za królewską parą i nie muszę się martwić o to, że ktoś zwróci na mnie uwagę. Wplatom palce w końską grzywę, starając się jak najdłużej cieszyć dotykiem żywej istoty.

Królowa, wraz z całą świtą, jedzie szybko, choć nie mam pojęcia, jak udaje jej się wytrzymać podobne tempo w damskim siodle. Cieszę się jednak, że nie wymaga, bym za nią nadażała. Kiedy docieram na dziedziniec i zatrzymuję klacz pośród spoconych koni, królowa żwawym krokiem wchodzi już po schodach do zamku, a jej mąż i syn zeskakują z siodeł, by podążyć za nią.

Tuż przed przekroczeniem progu księżę odwraca się i patrzy na mnie, a jego spojrzenie odbiera mi władzę w nogach. Patrzymy na siebie przez trzy boleśnie silne uderzenia serca, a potem księżę wchodzi do zamku i zostawia mnie na zewnątrz, rozdygotaną i drżącą.

Dorin podchodzi do mnie w asyście nieznanego mężczyzny. Biorę się w garść i czuję, jak paznokcie żłobią głębokie półksiężycy w skórze zaciśniętych w pięści dłoni.

– Witaj, pani – kłania się Dorin. – Pozwól, że przedstawię ci Liefa, który od dziś należał będzie do twych osobistych strażników.

– Witaj, Lief – mówię, poświęcając strażnikowi szybkie spojrzenie.

– Pani. – Jego głos jest niski i melodyjny. Pobrzmiwa w nim obcy akcent, lekko wznosząca intonacja na końcu słów, która przykuwa moją uwagę i zmusza, bym przyjrzała mu się bliżej. Oczy Liefa mają barwę zieleni i są ciemniejsze od moich, a jasnobrązowe włosy nosi związane wstążką na karku, wbrew panującej modzie. Gdyby je rozpuścił sięgałyby zapewne ramion. Wygląda na niewiele starszego ode mnie. Odczuwam nagłą chęć, by kazać mu odejść póki jeszcze ma szansę. Zamiast tego kiwam tylko głową i odwracam głowę.

Podążam za wzrokiem Dorina, który patrzy, jak paziowie przyprowadzają konia lorda Bennela. Stary strażnik odwraca się do mnie z zaciśniętymi wargami.

– Do świątyni, pani? – pyta, odganiając krążącą nas naszymi głowami pszczołę.

– Tak. Czy możemy chwilę porozmawiać? Sami?

– Zaczekaj tam – nakazuje Dorin nowemu strażnikowi, który kłania się, a następnie obdarza mnie szerokim uśmiechem, łobuzersko ukazując między zębami koniuszek języka. Jego uśmiech jest zarazem rozbijający i zaraźliwy i orientuję się, że sama również się uśmiecham. Potem Dorin znacząco chrząka i Lief odchodzi.

Upewniam się, że jest wystarczająco daleko i odwracam się do najstarszego z moich strażników.

– On nie jest Lormeraninem – zauważam cicho.

Dorin kręci głową i patrzy na mnie wzrokiem, w którym dostrzec można coś przypominającego ojcowską dumę.

– Jesteś spostrzegawcza, pani. Pochodzi z Tregellanu.

– Królowa zrobiła Tregellanina moim strażnikiem? – nie próbuję maskować zdziwienia. Królestwo Lormere wygrało wprawdzie wojnę i żyje obecnie z Tregellanem w pokoju, ale królowa znana jest z niechęci do tamtejszych ludzi. Sama słyszałam, jak nazywa ich leniwymi, chytrymi i umyślowo niewydolnymi.

– Istotnie. Jest dobry... – Dorin znów próbuje odpędzić pszczołę, która w odpowiedzi rzuca się do ataku. Jej żądło sięga ramienia Dorina, który syczy z bólu i zagryza wargę, by głośno nie zakląć.

– Nic ci nie jest? – pytam.

Dorin wzrusza ramionami i ogląda miejsce użądlenia.

– Nie martw się tym, pani.

– Żądło pozostało w skórze? Jeżeli tak, musisz je natychmiast wyciągnąć.

Dorin przygląda się ranie otoczonej zaczerwienioną skórą, a potem wyciąga żądło paznokciami i z odrazą strząsa je na ziemię.

– Powinieneś zrobić sobie okład – mówię.

– Nic mi nie będzie, pani. Będę miał oko na pszczoły.

Już mam się odezwać, kiedy Dorin ciągnie przerwany watek.

– Jak już mówiłem, jest dobry – mówi z rozmysłem i powagą. – Pomimo swego pochodzenia pokonał wszystkich gwardzistów królowej. – Dorin przerywa. – Pokonał również i mnie, pani. Jest szybki i twierdzi, że nie żywi żadnych ciepłych uczuć wobec Tregellanu. Królowa powiedziała, że jako strażnikowi nie brakuje mu umiejętności i że sama będzie spała spokojniej wiedząc, że nad tobą czuwa, bez względu na jego pochodzenie.

– Ja śpię spokojnie dlatego, że to ty czuwasz u moich drzwi – mówię naburmuszona i Dorin uśmiecha się, by natychmiast na powrót przybrać wyraz twarzy służbisty.

– Dziękuję, pani. – Kłania się i nieświadomie rozciera przedramię. – Lief, idziemy – woła młodszego strażnika, który podąża za nim jak gorliwe szczenię. Na ten widok ogarnia mnie smutek. Kiedy tu przybyłam sama, z początku zachowywałam się bardzo podobnie.



Wchodzę do mej świątyni i zamykam wrota, ale nie klękam przed ołtarzem. Zamiast tego niespokojnie przemierzam salę. Lord Bennel, głupi, nieostrożny lord Bennel... Jak mógł się tak upić? Dlaczego nie trzymał języka za zębami? Jak mógł popełnić tak głupi błąd wiedząc, że królowa była już zniecierpliwiona jego niedorzecznym pytaniem o dziecinne bajki? Co takiego się stało, że księżę nagle zaczął mnie zauważać? I dlaczego nie spuszczał mnie z oka?

Tylko cienie na ścianach świątyni odmierzają upływ czasu. Zapalam kadzidło i klękam przed ołtarzem, by prosić Naeht i Daega o pomoc, o możliwość zrozumienia wszystkiego, co się wydarzyło.

Mówię Bóstwom, że nie chcę być niewdzięczna. Wiem, że udzielili mi błogosławieństwa i zawsze dawali mi wszystko, czego pragnęłam. Chciałam przybyć do zamku i oto mieszkam w nim. Chciałam dobrze wyjść za mąż i oto jestem narzeczoną księcia. Bóstwa wysłuchały moich modłów i moje życie stało się takim, o jakim marzyłam. Wiem, że spotkał mnie przywilej i mam wiele szczęścia.

Ale jest narzędziem. Nożem w czyimś ręku.

Wpatruję się w totem Bóstw, okazała rzeźbę z metalu, która w zależności od oświetlenia ukazuje księżyc przesłonięty słońcem lub słońce zasłonięte przez księżyc. Przez pół dnia złoto dominuje nad srebrem, ale wraz ze zmianą oświetlenia srebro staje się wyraźniejsze.

– Czy mogę odwiedzać wieśniaków? – zapytałam królową po namaszczeniu. Marzyłam o tym, by stać na podium przed ludem całego królestwa i błogosławić tłum, który rzucałby mi pod nogi kwiaty, a moja siostra patrzyłaby na mnie oczyma lśniącymi z dumy. – Czy będę mogła ich odwiedzać i śpiewać dla nich?

– W jakim celu? – zapytała z kolei królowa.

– Żeby wiedzieli, że błogosławieństwo Bóstw jest z nimi.

– Twyllo, tak jak ty jesteś Daunen Wcieloną, tak i ja wraz z królem stanowimy wcielenia Naeht i Daega. Wieśniacy wiedzą, że są błogosławieni, ponieważ my istniejemy. Twój dar dostępny jest dla nielicznych, bo jedynie nieliczni potrafią go docenić. Poza tym... – przerwała i spojrzała na mnie z litością. – Poza tym musimy cię chronić. Ludzie będą z niechęcią patrzeć na twoje szczęście jako wybranki Bóstw i wcielenia Daunen, i wielu nie będzie umiało ścierpieć faktu, że pewnego dnia zostaniesz naszą córką. Lepiej będzie, jeżeli pozostaniesz w zamku, gdzie ja i twoi strażnicy będziemy mogli cię przed tym chronić.

*

Wstaję po długiej modlitwie i prostuję zeszywniałe kolana. Zapada już zmrok, więc zapalam świece i spaceruję, by się rozgrzać. W świątyni jest cieplej niż w zamku, a ściany są pobielone i czyste. Pod ścianami stoją ławki dla wiernych, choć tylko ja odwiedzam to miejsce. Pomalowane na biało mury ozdobione są gobelinami. Nie jestem wprawna hafciarką, ale mimo to haftuję czasami, stąd pełno tu wyobrażeń słońca i księżyca. Chciałabym wyszywać polne kwiaty, ale królowej by się to nie spodobało. Może zgodziłaby się, gdybym skupiła się na drogich kwiatkach ogrodowych, ale te z kolei nigdy nie wydawały mi się tak piękne, jak rosnące w pobliżu mojego dawnego domu.

Dwa zniwa temu wybraliśmy się na piknik z okazji siedemnastych urodzin księcia. Wtedy widziałam

go po raz ostatni przed jego wyjazdem na nauki. Była późna wiosna i trwał piękny dzień, na tyle ciepły, byśmy mogli zostawić ciężkie płaszcze w zamku. Przejeżdżaliśmy przez kuchenne ogrody, kiedy nagle wokół nas rozpełtała się istna burza białego puchu. Były to włoski dmuchawców, których całe tysiące wzbily się w górę spod końskich kopyt. Było w tej chwili coś magicznego, jak w burzy w słoneczny dzień lub w niespodziewanych opadach śniegu i pamiętam, że po raz pierwszy od bardzo dawna roześmiałam się w głos. Moją twarz muskał miękki puch i wszędzie wokół widać było tylko biel. Kiedy puch się rozwiął zobaczyłam rozpromienionego, zwróconego twarzą ku słońcu księcia. Na chwilę pochwycił moje spojrzenie i wymieniliśmy uśmiechy, szczęśliwi, że dane nam było doświadczyć tej chwili.

Później wszyscy ogrodnicy stracili palce wskazujące u wiodących dłoni za to, że pozwolili dmuchawcom zarosnąć kuchenny ogród. Kucharka straciła małe palce u obu stóp za sugestię, że królowa mogłaby zechcieć jeść liście dmuchawca w sałatce lub pić napar z jego korzeni. Królowa chciała początkowo kazać odrąbać jej kciuki, ale ostatecznie okazała coś, co jej zdaniem było litością. Inaczej kucharka nie mogłaby pracować.

Zza drzwi świątyni dobiega mnie głos Dorina szkolącego nowego strażnika.

– Kim jest pani?

– Moja pani jest Daunen Wcieloną, uosobieniem córki Bóstw.

– Jaki jest czas Zwierzenia? – pyta Dorin i kaszle.

– Nic ci nie jest...?

– Odpowiedz na pytanie, Lief. Kiedy nadchodzi czas Zwierzenia?

– Ostatniego dnia przed nowiem księżyca.

– Czym jest Zwierzenie?

– Zwierzenie to starożytna ceremonia, która dowodzi, że moja pani z własnej woli służy Bóstwom jako ich wybranka. Moja pani oddaje kroplę krwi, którą miesza się z porannicą, a następnie w akcie wiary wypija miksturę, by dowieść, że Bóstwa wciąż darzą ją łaską.

– Kiedy wolno ci dotknąć pani?

– Nigdy. Jej dotyk jest dla mnie zabójczy.

– Komu wolno dotykać pani?

– Zgodnie z prawem Bóstw – królowej, królowi i księciu.

– Komu jeszcze?

– Nikomu. Jedynie namaszczonym dotyk mojej pani nie przynosi śmierci.

– W porządku, na razie wystarczy – przyznaje niechętnie Dorin.

Uśmiecham się, a potem marszczę nos. Owiewa mnie dym z kadzidła zalatującego jaśminem. Opróżniam kadzielnicę i rozdeptuję żar. Ktoś musiał omyłkowo przysłać inne kadzidło niż zwykle. W świątyni palę plumerię, nie jaśmin. Nigdy jaśmin.

– Twylla.

Odwracam się gwałtownie i ze zdumieniem widzę księcia na progu mej świątyni. Przygląda się, jak wdeptuję w ziemię resztki kadzidła. Książę wchodzi do wnętrza, a ja kłaniam się, czując lekki zawrót głowy.

– Nie przeszkadzam?

W pierwszej chwili szok wywołany samą jego obecnością i tym, że zwraca się do mnie odbiera mi mowę.

– Nie, Wasza Wysokość, wcale... – udaje mi się powiedzieć.

– Nie przerwałem chyba twoich modlitw?

– Nie, Wasza Wysokość, nie modliłam się, tylko... – urywam, nie wiedząc, co powiedzieć.

Książę kiwa głową i na jego ustach pojawia się cień skrywanego uśmiechu. Potem rozgląda się po świątyni.

– Czy to twoje dzieła? – pyta, wskazując hafty na ścianach.

– Tak, Wasza Wysokość.

– Nie nudzi cię tworzenie w kółko tych samych obrazów?

Spoglądam na hafty świadoma przenikliwego spojrzenia jego ciemnych oczu. Zanim przychodzi mi do głowy odpowiedź, znów odzywa się książę.

– Twój występ bardzo mi się podobał.

– Dziękuję, Wasza Wysokość.

– Chciałem też powiedzieć ci, że doceniłem jego... teatralność – wymawia ostatnie słowo z naciskiem i na chwilę tracę oddech. – Wprawdzie finał był inny, niżbym sobie tego życzył, ale pokrzepia mnie świadomość, że od czasu mego wyjazdu pewne rzeczy się tu zmieniły. Niewiele jest na królewskim dworze osób, które nie obawiają się teatralności przy stosownych okazjach. Cieszę się, że się do nich zaliczasz.

Znów nie znajduję odpowiedzi. Użył tego samego słowa, co królowa, ale w jego tonie słychać jedynie aprobatę. Dlaczego? Sam nie podjął żadnej próby ratowania lorda Bennela, dlaczego więc cieszył się z mojej? Kiedy znów patrzę w twarz księcia, jego brwi są uniesione jak w oczekiwaniu na odpowiedź, ale nie przychodzi mi do głowy żadna odpowiedź, która nie zabrzmiałaby jak zdrada lub oskarżenie.

– Kiedy znów zaśpiewasz? – pyta w końcu.

– Jutro, Wasza Wysokość. Co dwa tygodnie stawiam się na audiencji u króla.

– A potem kiedy?

– Kiedy dostanę takie polecenie, Wasza Wysokość – zbyt późno orientuję się, że moje słowa zabrzmiały burkliwie i gburowato, ale nie mam czasu dodać niczego bardziej dwornego.

– A więc Daunen Wcielona śpiewa jedynie z woli króla?

– Śpiewam na życzenie króla lub królowej – odpowiadam, nie rozumiejąc pytania.

Książę kiwa głową, potem znów marszczy brwi i patrzy na ściany świątyni.

– Powinnaś wyszywać kwiaty. Sam zawsze lubiłem dmuchawce – mówi, znów mnie zaskakując, a potem odwraca się na pięcie i odchodzi. Opuszcza świątynię zanim mam czas się uklonić.

Patrzę za nim z otwartymi ustami. Przyszedł do świątyni specjalnie po to, by się ze mną zobaczyć. Ale po co? Z powodu lorda Bennela? I dlaczego wspomniał o dmuchawcach? Czyżby zapamiętał ten dzień sprzed lat? Zerkam na totem Bóstw z próżną nadzieją, że znajdę tam odpowiedź.

Rozgoryczona i zagubiona siadam na ławce i próbuję uporządkować myśli. Poddaję się, gdy zauważam, że zapadła już noc. Mamrocę krótkie podziękowanie Bóstwom, po czym przywołuję strażników i wracam do mojej wieży.

Ale przekraczając próg, natychmiast zdaję sobie sprawę, że i tu nie znajdę schronienia.

Zatrzymuję się w drzwiach tylko na moment, ale uwadze Dorina nie uchodzi nawet chwila mojego wahania.

– Odsuń się, pani. Lief, zabezpiecz drzwi do wieży.

Lief schodzi po schodach na dół, a Dorin dobywa miecza i obchodzi cały pokój, zaglądając za długie, złociste zasłony, pod łóżko, za parawan w umywalni, a nawet do maleńkiej garderoby i ustępu. Nie znajduje niczego, co mogło mnie zaniepokoić.

To dlatego, że intruz dawno już opuścił mój pokój, zostawiając coś na biurku.

Wchodzę do pokoju ze spokojnym uśmiechem na ustach, a Dorin wita mnie uniesieniem brwi.

– Wybacz, zdawało mi się, że coś widziałam... jakiś cień za oknem... może to był ptak? Sowa?

Dorina niełatwo oszukać, ale i tak z wyrazem zamyślenia ogląda okna. Mój pokój zajmuje drugie, najwyższe piętro niewielkiej wieży w zachodnim skrzydle zamku. Mieszkam tu tylko ja i nikt nie zdołałby wspiąć się do okna po nagim i śliskim murze.

– Pani... – Dorin patrzy na okno, a potem na mnie, a na jego czole perli się pot. – Nic ci nie jest?

Kiwam twierdząco głową i uśmiecham się, jak potrafię najlepiej, ale twarz Dorina i tak powleka podejrzliwy cień. Wie, że kłamię, ale nigdy nie zarzuciłby mi kłamstwa.

– Będę na zewnątrz, gdybyś czegoś potrzebowała, pani. Czegokolwiek.

– Dziękuję – mówię cicho.

Kiedy zamykają się drzwi odczekuję pięć uderzeń serca, a potem podchodzę do biurka i otwieram leżący na nim folder. Nie towarzyszy mu żaden liścik ani nic innego, co mogłoby wskazywać na tożsamość darczyńcy. Ale ja wiem, kim on jest.

„Powinnaś wyszywać kwiaty” – powiedział.

Folder jest pełen rysunków kwiatów, głównie tych ogrodowych i ulubionych przez jego matkę. Są w nim róże, maki i irysy rosnące w wypielęgnowanych ogrodach zamku. Na samym końcu znajduję jednak mały skrawek papieru z wyblakłym nieco szkicem kielicha dmuchawca. Oglądam go dokładnie, wygładzając zagięcia, które powstały od wielokrotnego składania arkusza. Nie wiedziałam, że potrafi tak dobrze rysować, ale z drugiej strony w ogóle niewiele wiem o moim przyszłym mężu. Zastanawiam się, czy prezent jest poleceniem, czy też testem i nie wiem, co powinnam dalej zrobić.

Rozkładałam szkice na łóżku, by móc z bliska podziwiać każdy szczegół. Czy zostawił je tutaj jako prezent, czy też tylko pożyczył? Zabieram folder z powrotem do biurka, rozkładałam na szkicach cieniutki pergamin i odrysowuję kwiaty najdokładniej, jak potrafię, szczególną uwagę poświęcając dmuchawcowi. Postanawiam zostawić folder na biurku, by mógł go odebrać, kiedy tylko będzie chciał.

Po kolacji wyjmuję jedwabie i zaczynam sortować je kolorami. Do wyszywania róż postanawiam użyć różowego, w kolorze paznokci mojej siostry, gdy miała zaledwie dzień. Irysy wyszyję z jedwabiu o barwie głębokiego indygo, a maki stłumioną czerwienią, która nie kojarzy się z krwią i strachem. Kielich dmuchawca będzie śnieżnobiały i tak blady, że aby go zauważyć, trzeba będzie oglądać płótno pod światło.

Układałam barwne materiały równo i głośzczę je z przyjemnością. Zamierzam wyszyć gobelin w taki sposób, jakby kwiaty rosły razem swobodnie w naturze i razem pięły się ku słońcu, splątane i dzikie. Pomiędzy łodygami ukryję kielich dmuchawca. Królowa byłaby o nie wściekła i choć wiem, że nigdy ich nie zobaczy, sama myśl o jej złości sprawia mi przyjemność. Jakimś cudem śpię tej nocy dobrze, śniąc o kwiatkach i ciemnych oczach.

*

Rankiem przygotowuję się do wizyty u króla. Zwierzenie odbywa się zawsze w ostatni dzień przed nowym księżycem, w czas śmierci i naturalnego końca. Dzień później królowa wraz z najbardziej zaufanymi dwórkami udaje się zawsze na krótką pielgrzymkę, nad święty staw u stóp Gór Wschodnich. Spędza tam cały dzień, od wschodu słońca do wschodu księżyca. Do stawu wpada gorąca woda wypływająca spod gór, która ma jakoby pomagać kobietom zająć w ciążę, choć nikt nigdy nie ujmuje jej właściwości w tych słowach. Nów księżyca to czas nowego życia i nowego początku.

Pod nieobecność królowej odwiedzam króla i śpiewam dla niego, jak podczas naszego pierwszego spotkania. Królowa uważa moje wizyty i śpiew za pobłażanie czczym zachciankom i nigdy nie jest podczas nich obecna. Mówi, że to frywolne marnowanie mojego daru. Ale król nie wymaga od niej wiele i postanowiła mu ustąpić. Jest to jedyna łaska, jaką kiedykolwiek go obdarzyła.

Pierwszy mąż królowej, czyli poprzedni król, był jej rodzonym bratem. Tradycja wymaga, by Lormere rządziła królewska para i nigdy nie doszło do złamania tego prawa. Dlatego też od wielu pokoleń bracia żenią się z siostrami, by utrzymać czystość królewskiej krwi. Nie ma żadnego prawa, wedle którego para rządzących musi być rodzeństwem. Niechęć do rozcieńczania królewskiej krwi oznacza jednak, że każda para rodziców musi spłodzić co najmniej syna i córkę, by małżeństwo uważane było za udane.

Na wsiach dobrze wiemy, jakie niebezpieczeństwo pociąga za sobą płodzenie potomstwa przez bliskich krewnych. Widujemy kocięta i prosiaki narodzone z podobnych związków, które są niekiedy zdeformowane i ślepe albo szalone. W czystości krwi drzemie pewna siła, ale jej koszt jest wysoki. Jedynym sposobem uniknięcia śmierci lub szaleństwa potomków jest mieszanie krwi.

Królowa i pierwszy król stracili córkę – oraz przyszłą narzeczoną księcia – gdy księżniczka Alianor zmarła przed swoimi trzecimi urodzinami. Wezwano wówczas moją matkę, zjadaczkę grzechów, jak zawsze po śmierci któregoś z mieszkańców Lormere, bez względu na jego pochodzenie.

Moja matka jest grubą kobietą, otyłą od zjadania grzechów zmarłych w postaci przygotowanego specjalnie dla niej, królewskiego posiłku. Zjedanie jest świętem, podczas którego żałobnicy zastawiają wieko trumny pieczywem, mięsem, piwem i innymi pokarmami, a każda potrawa i każdy jej kęs reprezentuje grzech, który zmarły popełnił lub też mógł rzekomo popełnić. Moja matka Zjada je wszystkie. Nie ma wyboru, bo nie istnieje inny sposób oczyszczenia duszy i umożliwienia jej wstępu do Wiecznego Królestwa. Niedokończenie posiłku oznacza skazanie duszy na wieczną tułaczkę w naszym świecie. Wszyscy znamy opowieści o upiorach nawiedzających Las Zachodni za sprawą tych, którym, w przeciwieństwie do mojej matki, nie wystarczyło poświęcenia i nie zdołali dokonać obrzędu Zjedania.

Matka usiadła przed małą trumną księżniczki i zjadła jej grzechy, grzechy doprawione gałką muszkatołową i słodzone cukrem, grzechy zbyt dekadentkie, by mogła je popełnić mała dziewczynka. Jadła, a pierwszy król i królowa opłakiwali śmierć córki. Później próbowali spłodzić następną, bo ośmioletni wówczas książę potrzebował przecież małżonki, by wstąpić na tron. Jednak po upływie dwóch miesięcy od śmierci Alianor król zachorował i zmarł.

Królowa została wdową, a książę nie miał małżonki i był zbyt młody, by rządzić. Królestwo popadło w chaos niepewności. Dobrze pamiętam, jak moja matka najęła dwóch miejscowych zbrojnych w kosi i krótkie miecze, których zadaniem było eskortowanie nas na obrzędy Zjedania. Nawet ona obawiała się bezprawia, które wkradło się w kraj, a moją matkę niełatwo było wystraszyć. Ostatecznie znaleziono jednak wyjście z sytuacji: królowa poślubiła najbliższego kuzyna, który został nowym królem. Było to rozwiązanie niekonwencjonalne, ale rodzice nowego króla byli rodzeństwem rodziców królowej i linia krwi znów była bezpieczna. Mimo tego drugie małżeństwo królowej nie jest uważane za całkowicie czyste. Małżonkowie dorastali razem, ale nie pochodzili z jednego łona, więc i krew z ich krwi nie była całkowicie królewska. Mówi się, że właśnie dlatego królowej nie udało się zająć w ciążę i urodzić dla syna nowej narzeczonej, i to pomimo wielu wizyt nad świętym stawem.

Poznałam przyszłego króla podczas obrzędu Zjedania Grzechów zmarłego władcy i od razu go polubiłam. Byłam wówczas czeladniczką matki i moją rolą było obserwowanie jej podczas obrzędu. Musiałam nauczyć się, w jakiej kolejności należy zjadać grzechy i ile czasu na nie poświęcać, co zależało od powagi przewinienia. Jednak obserwowanie niekończącego się posiłku szybko mnie znudziło. Kiedy matka pogrążyła się w uniesieniu towarzyszącym długim obrzędowi, wymknęłam się na spacer po zamku, śpiewając zmyślane piosenki. Nie zdawałam sobie sprawy, że słuchał mnie przyszły król. Kiedy zaczął klaskać próbowałam uciec do matki, ale zatrzymał mnie i poprosił, bym zaśpiewała coś jeszcze. Pławiłam się w uwadze, którą mi poświęcał i włożyłam w śpiew całe serce. Kiedy nacieszyłam się już aplauzem wziął mnie za rękę i zaprowadził do sali, gdzie odbywało się Zjedanie.

Po opuszczeniu zamku zapytałam matkę, czy przyszły król był moim ojcem. Nigdy nie poznałam mężczyzny, który mnie spłodził, podobnie zresztą jak ojców moich braci i siostry, którzy musieli pochodzić z innych związków mojej matki. Kiedy dowiedziałam się skąd biorą się dzieci, każdy kolejny obrzęd Zjedania Grzechów mężczyzny spędzałam na zastanawianiu się, czy to on był moim ojcem i czy jednym z grzechów, które zjadła matka nie byłam właśnie ja. Przyglądałam się uważnie wszystkim krewnym, szukając u nich podobnych oczu lub włosów, ale nigdy nie znalazłam wśród nich żadnego podobieństwa. Przyszły król również nie był do mnie podobny, ale i tak chciałam, by był moim ojcem.

Wyobrażałam sobie, jak zabiera mnie do zamku jako zaginioną córkę i jak zostaję księżniczką w zastępstwie zmarłej Alianor, a królowa znowu zaczyna się uśmiechać. Matka uderzyła mnie wtedy w twarz, na tyle mocno, by obluzować mleczny ząb, i zabroniła mi kiedykolwiek wymawiać słowa „mój ojciec”.

Cztery żniwa temu pod naszą chatą zatrzymał się olbrzymi powóz w asyście strażników siedzących na czarnych jak noc rumakach. Była to sama królowa. Pamiętam, jak władczyni Lormere stanęła u naszych drzwi w niebieskiej sukni i chciała rozmawiać ze mną. Pomyślałam wtedy, że oto spełniają się wszystkie moje marzenia.

Nie chciałam zostać zjadaczką grzechów. Pragnęłam dorosnąć, wyjść za mąż i wieść szczęśliwe życie. Nie chciałam być wyniosłą i tajemniczą postacią skupioną wyłącznie na swej roli, i nie chciałam żyć w izolacji z jej powodu. Chciałam żyć normalnie.

Przez wiele lat po obrzędzie Zjadania Grzechów króla zamek pozostawał stale w moich myślach. Był taki jasny i piękny, i w niczym nie przypominał mrocznej, ponurej chaty, w której dorastałam. Wyobrażałam sobie, że w zamku każdy miał własny pokój i łóżko, i nie musiał cieśnić się w jednym wraz z trójką rodzeństwa. Mieszkańcy królewskiej siedziby spędzali zapewne dni na wspólnych żartach i wesołości, by wieczorem założyć zdobione klejnotami stroje i spotkać się na obfitej uczcie.

Wezwanie do zamku przez samą królową, która chciała uczynić ze mnie damę, wydawało się cudem. A jednak królowa stanęła pod naszymi drzwiami, pragnąc wziąć mnie na wychowanie.

– A co z jej obowiązkami? Co ze Zjadaniem Grzechów? – zapytała matka. Nie mogłam napatrzeć się na strażników w wypolerowanych do połysku pancerzach, a palce drżały mi z chęci pogłaskania ich aksamitnych płaszczy. – Co z powinnością wobec królestwa?

– Przeznaczona jej ważniejsza powinność – powiedziała królowa, kładąc dłoń na moich włosach.

– Tutaj jest potrzebna – odpowiedziała matka. – Musi poznać swą rolę i opiekować się rodzeństwem. Po mnie to ona zostanie zjadaczką grzechów. Po to się urodziła.

– A ja twierdzę, że urodziła się w innym celu – odparła gładko królowa. – Jej królowa i jej kraj wymagają od niej czegoś innego. Zostaniesz naturalnie sowicie wynagrodzona. Ale najpierw zapytajmy może Twylli, czego ona chce.

Spoglądałam to na złoty powóz królowej, to na matkę, aż zauważyłam kryjącą się w chacie Maryl. Wpatrywała się w królową okrągłymi, lśniąco-czarnymi oczyma i wiedziałam, że sama muszę mieć podobny wyraz twarzy. Pamiętam połataną ubranie siostry i koronkowy szal królowej.

Królowa musiała dojrzeć moje spojrzenie, bo niewiele myśląc zdjęła szal z ramion i podała go Maryl. Nawet nie drgnęła, gdy moja siostra podbiegła i złapała koronki jak małe zwierzątko. Decyzję podjęłam w chwili, gdy zobaczyłam moją potarganą siostrę owiniętą w szal utkany z cienkich jak pajęczyna koronek.

– Moją powinnością jest służyć królowej i królestwu – powiedziałam. Królowa nagrodziła mnie uśmiechem, a matka zatrzasnęła mi drzwi przed nosem.

Wstrząśnięta patrzyłam jeszcze na zamknięte drzwi rodzinnej chaty, gdy królowa ujęła mnie za rękę i zaprowadziła do powozu.

– Musimy kazać uszyć ci kilka nowych sukienek – powiedziała, przyglądając się mojej prostej, czarnej sukieneczynie i krzywiąc usta. – Twoja nowa rola będzie wymagała czegoś bardziej twarzowego. Powiedz mi Twyllo, czy lubisz kolor czerwony?

Wtedy lubiłam czerwień, a teraz jej nie znoszę. Od czasu przybycia do zamku lista rzeczy, których nie lubię bardzo się wydłużyła. W rezultacie nie lubię rzeczy, z których istnienia nie zdawałam sobie sprawy jeszcze cztery żniwa temu.

Ale tylko królowej prawdziwie nienawidzę.



Gdy Dorin i Lief przychodzą, by zabrać mnie na audiencję u króla, czekam na nich ubrana i z upiętymi włosami. Prywatne komnaty królowej i króla zajmują całą wieżę w południowym skrzydle zamku, podobnie jak moje kwatery zachodnią. Jednak do mojej wieży można się dostać tylko jednym korytarzem, a komnaty w wieży południowej są dostępne przez dwa wejścia. Pierwsze znajduje się w sali wielkiej zamku, drugie zaś przez długi korytarz i stanowiącą jego przedłużenie galerię, gdzie dworzanie spędzają czas na plotkach i politykowaniu. Wybieramy drugą drogę i rozmowy dworzan milkną na mój widok. Wszyscy wiedzą, że dziś Daunen Wcielona odwiedza króla i ich ukłony są głębsze niż zwykle. Nikt nie chce podzielić losu lorda Bennela.

Królewscy strażnicy otwierają drzwi do komnaty i zapowiadają moje nadejście, a król wstaje z adamaszkowej sofy, by mnie powitać.

– Twylla – król uśmiecha się na mój widok, a strażnicy ulatniają się, by móc skorzystać z kilku godzin wytchnienia. Zostaję sama z królem w zdobionej złotem, okrągłej komnacie. Wnętrze zaaranżowane jest ze smakiem i artyzmem, pełne miękko wyściełanych sof z podnóżkami i szerokich ław z dębowego drewna. Na bocznych stolikach widać kryształowe karafki i puchary, a wokół głównego stołu dla czterech osób stoją rzeźbione krzesła podobne do tych, które dwór zabiera na polowania. Na ściennych półkach stoją wysadzone klejnotami szkatuły oraz książki o okładkach barwionych na wszystkie kolory tęczy. Komnatę wypełnia wrażenie przywileju i luksusu, przede wszystkim zaś prywatności. Zamek nigdy nie kojarzył mi się z domem, a w królewskiej komnacie czuję się wręcz jak intruz. Znajduję się przecież w osobistym sanktuarium królowej, nad którym czuwają surowe twarze patrzące z portretów jej samej oraz pierwszego króla. Czuję, jak moje stopy zapadają się w gruby dywan wyściełający posadzkę.

– Wasza Wysokość – kłaniam się i odpowiadam królowi uśmiechem. Zawsze go lubiłam i uważam, że nie pasuje do tej komnaty, podobnie zresztą jak ja.

– Jak mija ci dzień? Wyglądasz na zdrową.

– Istotnie jestem zdrowa, panie. Czy mogę zapytać o zdrowie Waszej Wysokości?

– Jestem dziś w przednim humorze, Twyllo, i doczekać się nie mogę czekających mnie atrakcji. Twój śpiew zawsze przynosi mi radość na wiele dni.

Każde nasze spotkanie zaczyna się od identycznej wymiany uprzejmości, jakbyśmy odgrywali z dawna ustalone role. Nieczęsto mam okazję śpiewać, choć ludność królestwa otacza mnie wciąż także za mój głos. Dlatego wizyty u króla stanowią dla mnie rzadką przyjemność, a także możliwość rozmowy. Kiedy zostajemy sami, król zawsze okazuje się wesołym i dobrotliwym towarzyszem.

Zajmuję zwykłe miejsce pod oknem, plecami do witrażowych szyb i pomiędzy ciężkimi kotarami. Zaczynam śpiewać *Balladę o Lormere* i mój głos wypełnia salę. Przestaję być wcieleniem Daunen i jestem Twyllą. Królowa, zamek i towarzysząca memu życiu groza gdzieś znikają. Kocham chwile, kiedy mogę po prostu śpiewać i zapomnieć o wszystkim, kiedy mogę być kimkolwiek zechcę. Śpiew daje mi wolność.

Kończę balladę i mam właśnie zacząć „Jasność i dal”, gdy otwierają się drzwi do komnaty. Książę

wkracza bez zapowiedzi, a kiedy strażnicy zamykają za nim drzwi, serce wskakuje mi do gardła. Już rozumiem, że chciał wiedzieć, kiedy znów zaśpiewam po to, by móc mnie zobaczyć.

– Merek, drogi chłopcze, tak się cieszę, że zdołałeś nas odwiedzić. Twylla miała właśnie rozpocząć *Jasność i dal*.

Merek zerka na mnie, marszcząc brwi.

– Nie znam tej pieśni – mówi.

– Nauczono mnie jej w czasach, gdy byłem młodszy niż ty teraz, a ja z kolei przekazałem ją Twylli.

– Twyllo, czy mogłabyś odejść od okna? W tym świetle widzimy tylko twoją sylwetkę – mówi Merek.

Zerkam na króla, który ruchem głowy wyraża przyzwolenie, i stoję między oknami.

– Teraz lepiej – mówi Merek i rozsiada się na jednej z sof, wyciągając długie nogi i krzyżując je w kostkach i splatając ramiona na piersi. – Kontynuuj, proszę.

Przez chwilę obawiam się, że jego uważny wzrok całkiem mnie onieśmieli, ale zaczynam śpiewać i głos nie odmawia mi posłuszeństwa. Nie patrzę ani na króla, ani na księcia, tylko gdzieś nad ich głowami i śpiewam tak, jakby zależało od tego moje życie. Gdy kończę pieśń król głośno domaga się następnej, nie dając Merekowi czasu na komentarz ani aplauz. Kiedy nadchodzi pora posiłku, jestem już całkiem wyczerpana. Merek wychodzi bez słowa i czuję się tak, jakby do komnaty nagle znów wpuszczono powietrze. Nie zdawałam sobie sprawy, że wstrzymuję oddech aż za księciem nie zamknęły się drzwi.

– Mam nadzieję, że jego obecność ci nie przeszkadzała? – pyta cicho król. – Nie sądziłem, że do nas dołączy.

– Cieszę się, że tu był, panie.

– Zapewne powinniśmy czuć się zaszczytzeni, że uznał nas za godnych swego towarzystwa, nie sądzisz? – pyta ze śmiechem, ale jego wesołość brzmi dziwnie pusto. – To dobry chłopak, a właściwie już mężczyzna. Daruj mi to wyznanie, ale obawiam się, że po długich podróżach zamek będzie dla niego jak klatka. Być może byłoby inaczej, gdyby mógł spędzać czas z kimś w podobnym wieku. Dzieci potrzebują rodzeństwa, nie sądzisz? Miałaś rodzeństwo, Twyllo?

– Tak, panie. Dwóch braci i siostrę. – Na myśl o siostrze czuję nagłe ukłucie w sercu. Oddałabym prawie wszystko, by wiedzieć, jak się miewa i czy jeszcze mnie pamięta. Przypominam sobie, jak widziałam ją po raz ostatni, owiniętą w misterny szal, który zdążył już zapewne rozpaść się w proch. Objęcie roli Daunen oznaczało całkowite zerwanie z dawnym życiem, w tym i rodziną. Nie do końca świadomie podjęłam ten wybór. Kiedy matka zatrzasnęła mi drzwi przed nosem uznałam, że pozbyła się mnie i na tym zakończyła się nasza relacja, ale Maryl... Myślałam, że pozostanie częścią mojego życia, że być może będziemy mogły się odwiedzać i spędzać razem trochę czasu, choćby nawet rzadko. Ale królowa zdecydowała, że kontakty z rodziną oznaczałyby wzgardę wobec mojej nowej roli i musiałyby wywołać gniew Bóstw. Ponadto królowa gardziła moją matką tak samo, jak wszyscy mieszkańcy królestwa. Kobiety z mojej rodziny piastowały jednak godność zjadaczek grzechów od bardzo dawna, dłużej niż ród królowej rządził Lormere, dlatego musiała tolerować moją matkę, która dzierżyła w swych tłustych rękach klucz do Wiecznego Królestwa. Pewnego dnia jednak to Maryl zostanie zjadaczką grzechów, a ja królową i będziemy mogły znowu być siostrami.

Mój umysł przeskakuje w czasie i przez chwilę nie zwracam uwagi na terażniejszość, aż uświadomiam sobie, że król zadał mi pytanie i czeka na odpowiedź. Czerwienieję na twarzy. Wstyd mi, że zachowałam się nieuprzejmie wobec jednej z niewielu osób, która okazuje mi dobroć.

– Wybacz mi, panie, zamyśliłam się...

Król przygląda mi się z niepokojem.

– Nic ci nie jest? Potrzebujesz czegoś?

– Nie, panie, czuję się dobrze. Po prostu na chwilę zagubiłam się we własnych myślach. Wybacz mi

rozkojarzenie, nie chciałam być nieuprzejma.

– Zdarza się nawet najlepszym – uśmiecha się król. – Pytałem, czy pamiętasz księcia Mereka z czasów przed jego podróżami.

– Słabo, Wasza Wysokość.

– Niedawno wspomniałem Helewys, że ty i księżę powinniście spędzać razem więcej czasu. Czasem zdarza jej się zapomnieć, w przeciwieństwie do was dwojga, my wraz z jej pierwszym mężem dorastaliśmy razem. Ja... – urywa w pół słowa, nagle się reflektując. – Księżę sam znajduje sobie zajęcia. Będzie dobrym królem.

– Jeżeli Bóstwa pozwolą, Wasze Królewskie Moście będą nam jeszcze długo panować – odpowiadam gładko.

– Jeżeli Bóstwa pozwolą.

Merek wraca w chwili, gdy mam znów zacząć śpiewać. Wyraz jego twarzy jest nieodgadniony i muszę odwrócić wzrok z obawy, że z mojej można odczytać nazbyt wiele. Nie rozumiem księcia. Niewiele mówi, ale jego wzrok jest jak język, którego nie znam. Nie wiem, czego ode mnie oczekuje.

– Twylla zaśpiewa jeszcze trzy pieśni – mówi król stanowczo. Wiem, że zauważył, jak niezręcznie czuję się w obecności jego pasierba.

– Szkoda – odpowiada Merek. – Miałem nadzieję nauczyć ją kilku pieśni, które poznałem podczas podróży.

– Innym razem – pada odpowiedź. – Twylla dość się dziś napracowała.

Merek spogląda na mnie, a potem na króla.

– A może Twylla chciałaby sama podjąć decyzję?

Król patrzy na mnie wyczekująco, a ja nie wiem, co odpowiedzieć. Jak wybrać między wolą mężczyzny, którego mam poślubić i wolą panującego władcy?

– Nauka nowych pieśni wymaga czasu, którego pozostało nam dziś niewiele – mówię cicho. – Ale z radością nauczę się ich innym razem, gdy będę mogła poświęcić nauce pełnię uwagi. Zrobię to z przyjemnością.

– Doskonały pomysł – mówi król.

Merek nie komentuje i nie zwraca na ojczyzna uwagi, nadal wpatrując się tylko we mnie.

– Innym razem – kiwa głową, a ja zbyt późno uświadamiam sobie, że postąpiłam wedle woli króla.

Biorę głęboki oddech i śpiewam pozostałe pieśni, cały czas patrząc ponad głowami słuchaczy. Kiedy kończę koncert Merek wstaje i kłania się krótko.

– Bardzo ładnie, Twyllo. Bardzo. Miło jest czasem spędzić popołudnie bez teatralnych popisów, prawda?

Opuszcza komnatę równie nagle, jak do niej wszedł, a król wlepia we mnie niepewny wzrok. Moje dłonie i plecy pokrywa pot i pomimo pożegnalnych słów księcia nie mogę pozbyć się wrażenia, że wystawił mnie dziś na próbę. A ja nie przeszłam jej pomyślnie.

Mam ochotę spędzić następny dzień w mojej komnacie. Wstydzę się przyznać przed sobą, że obawiam się pójść do świątyni, gdzie mógłby znaleźć mnie księżę i zadać kolejne, dziwne pytania. Jestem jednak jego narzeczoną, więc biorę się w garść i idę. Na miejscu odkurzam jedwab zakrywający studnię Naeht i prostuję zdobiące ściany gobeliny, śpiewając cicho.

Kiedy mam już wrócić do wieży na posiłek, informuję Dorina i Liefa, że pragnę przejść przez zamkowe ogrody. Wyglądające zza chmur słońce napełnia je światłem, ale daje się w nim już dostrzec delikatny cień jesieni. Wkrótce wszyscy ruszą na pola, do pracy przy żniwach i znów będę się zastanawiać, jak mają się sprawy w moim starym domu i co porabiają moi bracia i matka. Najczęściej jednak myślę o Maryl. Gdzie przepadły te cztery lata od naszego ostatniego spotkania? Ma teraz jedenaście żniw, a jej jasnoblonde włosy ściemniały już pewnie do koloru kukurydzy. Wyobrażam sobie,

jak opuszczają ją dziecinne, miękkie rysy i jak urosła. Być może dorównuje mi już wzrostem? Być może podróżuje z moją matką po całym królestwie, wysoka jak trzcina i pełna gracji, i uczy się, by zostać następną zjadaczką grzechów.

W Lormere zjadaczkami zostają wyłącznie kobiety, bo to kobieta popełniła pierwszy grzech. Naeht uwiodła Daega i ukradła niebo dla siebie, przynosząc ziemi śmierć. Aby odkupić czyn Naeht, Daeg postanowił, że śmiertelna kobieta będzie musiała nosić w sobie grzechy zmarłych i przekazywać kolejnym pokoleniom córek coraz większe ich brzemię. W mojej rodzinie grzech jest dziedziczny, jak przypadłości trapiące królewski ród. Po śmierci mojej matki jej rolę obejmie Maryl, a jej pierwszym zadaniem będzie Zjedzenie Grzechów zmarłej. Wątpię, by posiłek okazał się obfity.

*

Pograżam się w myślach wśród panującego w ogrodzie spokoju, aż z zamyślenia wyrывa mnie głuchy odgłos uderzenia o piaszczystą ziemię. Dorin upadł, ściskając ramię i kiedy zdejmuję rękawicę, wyraźnie widzę zaognioną skórę wokół okazałego pęcherza.

– Dlaczego? Dlaczego mi nie powiedziałaś, że cierpisz? – dopytuję się gorączkowo.

– Nic mi nie jest, pani – mówi Dorin, ale widzę, że to nieprawda. Pod skórą zauważam jasne, krwawe punkciki wokół rany, a twarz starego strażnika powleka chorobliwa bladość.

– Idziemy po kompres – nakazuję, chociaż Dorin niechętnie kręci głową. – Natychmiast. Okład z lawendy, miodu i octu. Proszę cię, nie możemy czekać. – W mojej wsi zmarło kiedyś dziecko w wyniku reakcji na uządlenie pszczoły. – Dorin, musimy iść. I tak zbyt długo z tym zwlekałeś. Rozkazuję ci natychmiast iść do uzdrowiciela! Pomóż mu – mówię do Liefa.

Lief próbuje ująć Dorina za zdrową rękę, ale ten go powstrzymuje.

– Nie, pani. Pójdę sam. Lief zostanie z tobą – mówi i odwraca się do młodego strażnika. – Zabij każdego, kto spróbuje wyrządzić jej krzywdę. Trzymaj się w pobliżu i dbaj, by była bezpieczna. – Lief z powagą kiwa głową. – Wróć, gdy tylko będę mógł, pani – dodaje Dorin.

– Wiem – odpowiadam, próbując się uśmiechnąć. – Idź już, a jeżeli uzdrowiciele każą ci wypocząć, masz wypoczywać. Zobaczmy się niedługo.

Dorin kłania się z grymasem bólu i odchodzi, zostawiając mnie z nowym strażnikiem. Oboje patrzymy za nim, póki nie znika za progiem zamku. Przez chwilę chcę pobiec za nim, pomóc mu i zostać przy nim. Dręczy mnie poczucie winy. Powinnam była wcześniej zauważyć jego ból i zmusić, by natychmiast poszedł do uzdrowiciela. Czy w ten sposób Bóstwa chcą mi powiedzieć, żebym nie haftowała kwiatów? Czy to ostrzeżenie?

Odwracam się, by wrócić do wieży, ale Lief nie rusza się z miejsca. Widzę, że przygląda się chmurze czarnego dymu, która unosi się nad murem otaczającym stajnię i przebiega mnie dreszcz. Wiem, co oznacza ten dym.

Lief przez chwilę przygląda mi się badawczo.

– Wybacz mi ten nietakt, pani – mówi z ukłonem. – Czyżby coś się paliło?

– Nie, to stos pogrzebowy. Lord Bennel... zmarł.

– Proszę o wybaczenie. Nie wiedziałem, że w Lormere pali się zmarłych.

– Dawniej ich grzebaliśmy, ale... Zimy są tu surowe. Ziemia twardnieje i okrucieństwem byłoby kazać ludziom czekać do wiosny z pochówkiem najbliższych.

Lief kiwa głową, a ja zastanawiam się, czy będzie drążył temat. Nie okłamałam go. W zimie wykopanie grobu graniczy z niemożliwością, bo grunt zamarza na kamień, jakby otaczające nas góry chciały odzyskać ziemię, zakradając się pod nasze stopy. Matka królowej zmarła w zimie w czasach, gdy jeszcze grzebaliśmy umarłych. Po obrzędzie Zjadania Grzechów jej trumnę wyniesiono poza zamek, by zwłoki nie rozłożyły się przed nadejściem wiosny.

Psy znalazły ją na długo przed pierwszymi roztopami. Wolą wprawdzie żywe ofiary, ale najwyraźniej zrobiły wyjątek dla swej właścicielki. Król Kyras znalazł na dziedzińcu obrączkę żony

razem z palcem, i wówczas dopiero wszyscy uświadomili sobie, co dokładnie się wydarzyło. Szczątki starej królowej zostały spalone i od tego czasu zwłoki palimy zawsze, bez względu na porę roku.

– Mam nadzieję, że nie cierpiały, pani.

– Miał wypadek. Umarł szybko – odpowiadam i czuję, jak żołądek podchodzi mi do gardła.

– Bardzo mi przykro.

Dziękuję mu skinieniem głowy, po czym ruszam ku wieży, myśląc o Dorinie.

Nic mu nie będzie, wyzdrowieje. Pójdę do świątyni i uproszę Bóstwa. Będę błagać o wybaczenie za moje grzechy. Będę wdzięczna za wszystkie ich dary. Będę ufać w ich wolę.

Mantrę przerywa mi Lief.

– Wybacz pani. Jaki to był wypadek?

Zatrzymuję się. Lief patrzy na mnie, pytająco przechylając głowę.

– Sprzeciwił się królowej – mówię po dłuższej chwili.

Lief patrzy na mnie z uniesionymi brwiami, a ja czekam na następne pytanie. Ale Lief przez chwilę tylko wpatruje się w dym, a potem pochyla głowę, a ja wracam do wieży.

Później tego samego dnia pracuję nad szkicami kwiatów. Nie otrzymałam żadnych wieści o Dorinie, dlatego kiedy otwierają się drzwi do komnaty, spodziewam się za nimi Lief. I rzeczywiście jest to Lief, dziwnie poblady, ale jego obecność natychmiast przyćmiewa królowa, w zielonej sukni i z surowym wyrazem twarzy. Węgiel do szkicowania wypada mi z palców, a ja kłaniam się nisko.

– Możesz wstać, Twyllo – mówi królowa i zamyka drzwi. Zostajemy same w komnacie.

Spełniam jej polecenie, czując, że tracę siłę w nogach. Muszę ugiąć kolana, by nie upaść. Królowa nigdy wcześniej mnie nie odwiedzała. Zostaję wezwana do jej komnat, kiedy chce mnie widzieć, ale nigdy nie przychodzi do mnie. Najpierw księżę, a teraz jej wizyta...

Z opuszczoną głową patrzę, jak rozgląda się po mojej kwaterze, jak wodzi białymi jak kość palcami po złocistej kapie łóżka oraz po drewnianych kolumnach podtrzymujących baldachim. Podchodzi do biurka i przygląda się rozrzuconym szkicom z zaciśniętymi wargami.

– Co to jest?

– Zamierzam wyszyć nowy gobelin, Wasza Wysokość.

– Chcesz wyszywać kwiaty zamiast słońca i księżycy? – pyta z przechyloną głową, ale jej wzrok pozostaje twardy i surowy.

– To... to był pomysł księcia, Wasza Wysokość.

– Kiedy rozmawiałas z księciem? – królowa wbija we mnie ostre spojrzenie.

– Dwa dni temu, Wasza Wysokość. Księżę przyszedł do świątyni – Nie wspominam o tym, że zjawił się też na audiencji u króla.

– Doprawdy? To jego rysunki?

– Tak, Wasza Wysokość. Pożyczył mi je, by pomóc w wyszywaniu.

Królowa nie spuszcza ze mnie wzroku.

– To dobrze. Pora, byście zaczęli spędzać razem czas. Wasze małżeństwo będzie łatwiejsze, jeżeli nie będziecie sobie całkiem obcy. – Uśmiecha się krzywo. – Usiądźmy, Twyllo. Przyszłam z powodu twojego strażnika.

Czekam, aż zajmie moje krzesło, po czym klękam u jej stóp i czekam.

– Jestem dla ciebie dobra, prawda? – pyta.

Czuję, jak mój żołądek staje się bardzo ciężki. – Wasza Wysokość?

– Czy nie postępowałam zawsze dla twojego dobra? Czy nie przywiozłam cię tutaj i nie pokierowałam tobą, byś mogła wypełniać powinność wobec Bóstw? Czy nie zajmuję się twoją rodziną? Czy nie zaprosiłam cię do własnej rodziny i nie obiecałam własnego syna jako przyszłego męża?

– Tak, Wasza Wysokość. Jesteś dla mnie bardzo łaskawa. – Staram się opanować drżenie, choć

z każdym jej słowem czuję się tak, jakby ktoś chodził po moim grobie. Wiem, że wzmianki o łaskach, którymi mnie obdarza zwiastują niebezpieczeństwo.

– Nie mogę pozwolić, byś poruszała się po zamku z jednym tylko strażnikiem, Twyllo. To zbyt niebezpieczne.

– Rozumiem, Wasza Wysokość. Będę chodziła tylko do świątyni.

– Nie, Twyllo, nie rozumiesz. Nie chcę, byś opuszczała komnatę do czasu powrotu drugiego strażnika.

– Ale, Wasza Wysokość... Bóstwa, świątynia... mam obowiązki...

– Bóstwa zrozumieją. Nie musisz oddawać im czci w świątyni, by dostąpić błogosławieństw. Jesteś Daunen Wcieloną i możesz wielbić Bóstwa gdzie zechcesz. Przecież król i ja nie spędzamy całych dni w świątyni. Mówiłam ci już, że służąc mi, służysz i Bóstwom, tak jak służy im ich córka.

– Wasza Wysokość, proszę o wybaczenie, ale czy nie mogłabyś przydzielić mi kogoś innego, aż Dorin nie wyzdrowieje? Czy do tego momentu nie mógłby mnie chronić inny strażnik?

Królowa przygląda mi się z politowaniem.

– Wiem, że nie jesteś naiwna, Twyllo. Twoi strażnicy rezygnują zbyt szybko, by łatwo było znaleźć stosownych zastępców. Myślisz, że dlaczego pozwoliłam, by strzegł cię Tregellanin? Tylko on jeden gotów był objąć stanowisko strażnika. Na szczęście dla ciebie jest na tyle kompetentny, bym miała pewność, że podoła obowiązkowi. Nie zgodziłabym się jednak, by strzegł cię tylko jeden człowiek. Wiesz, jak bardzo cię cenię i jak ważne jest dla mnie twoje bezpieczeństwo. Pozostaniesz tutaj, gdzie będziesz bezpieczna. Nie mówmy o tym więcej.

Jej otwartość wywołuje we mnie dreszcz i uderza mnie myśl o tym, jak bardzo królowa przypomina mi czasem matkę. Obie kontrolują ludzi poprzez manipulację. Królowa przypomina mi, że postępuje z myślą o mnie i jak bardzo byłabym niewdzięczna, gdybym wzgardziła jej staraniami. Moja matka była taka sama. Wykorzystywała poczucie winy oraz wdzięczności, by osiągać swe cele. Nie dysponowała wprawdzie królewską władzą, ale zawsze była gotowa użyć swego statusu, który czasem służył jej jak ostry nóż.

Wszyscy wiedzą, że dusza pozostaje w pobliżu ciała przez trzy dni i nocę po śmierci. Obrzęd Zjadania Grzechów musi się odbyć w tym czasie, by dusza mogła odejść, inaczej bowiem trafi do Lasu Zachodniego, gdzie dołączy do innych potępieńców. Lormere można przemierzyć konno w ciągu doby, ale mojej matce zdarzało się odwlekać wyprawę, by pomścić jakąś domniemaną urazę. Pewnego razu moja matka stawiała się na obrzęd Zjadania Grzechów dziecka, które urodziło się martwe. Przygotowano dla niej jedynie kubek piwa.

– Dziecko nigdy nie poznało świata – przekonywał błagalnie ojciec. – Nie zaznało ani grzechu, ani zła.

Matka z lodowatą pogardą przyjęła zapłatę w postaci sztuki srebra i odjechała. Następnego dnia mężczyzna wezwał nas znowu przez posłańca. Jego żona nie chciała lub nie mogła pozostać wśród żywych po śmierci dziecka i umarła w nocy. Moja matka wysłuchiwała wiadomości i podziękowała posłańcowi.

A potem zamknęła się w swoim pokoju.

Nie wychodziła przez dwa dni i dwie noce, ignorując moje niespokojne pukanie. W drogę wyruszyliśmy dosłownie w ostatniej chwili.

Tym razem czekająca ją uczta była znacznie bardziej obfita.



Tak, wiem, do czego zdolna jest królowa. Podobnie jak moja matka gra tylko po to, by wygrać. Czas nauczył mnie jednak, jak znosić ich zagrania i stało się to moją specjalnością.

– Rozumiem, Wasza Wysokość – odpowiadam. – Masz oczywiście rację i jestem wdzięczna za twoją troskę.

– Jesteś dla mnie jak córka, Twyllo. Nie mogłabym postąpić inaczej.

Jej słowa zbyt dokładnie odzwierciedlają moje myśli i czuję, jak cierpnie mi skóra.

– Dziękuję, Wasza Wysokość.

Królowa kiwa głową i wstaje. Zdażyła już przyjąć moje podziękowanie i całkiem o nim zapomnieć. Kłaniam się nisko, by ukryć widoczny na twarzy gniew. Podnoszę głowę dopiero wtedy, gdy za królową zamykają się drzwi.

Natychmiast potem podchodzę do łóżka i prostuję kapę, by pozbyć się pozostawionego przez jej palce zagięcia. Kiedy rozlega się pukanie do drzwi, wpadam w panikę i sama zaginam kapę, by nie zauważyła różnicy.

– Wejść.

Za drzwiami stoi Lief i oddycham z ulgą. Jego przystojną twarz znaczą strach i zmartwienie, wyrażając te same emocje, które trapią i mnie.

– Królowa powiedziała, że Dorin nie wróci przez jakiś czas i że na mnie spada całość jego obowiązków.

– Tak.

Patrzy na mnie, powoli kiwając głową. Otwiera usta i znów je zamyka, jakby chciał powściągnąć ciszące się na język słowa.

– Doskonale, pani. Czy mam zapalić świece? Może przynieść z kuchni kolację?

– Nie. Jedna ze służących przyniesie jedzenie dla ciebie i dla mnie do drzwi wieży. Zapuka, byś mógł je odebrać. Ale możesz zapalić świece.

Lief kłania się, mija mnie, nie czekając, aż się odsunę i zmusza, bym nerwowo odskoczyła z drogi.

– Pani...?

– Nie... nie powinieneś się zbliżyć.

– Nie jestem wcale tak blisko – odpowiada z uśmiechem.

– Jesteś. Zawsze powinieneś trzymać się co najmniej na wyciągnięcie ręki. Zawsze – mówię drżącym głosem i cofam się o kolejny krok.

– Oczywiście, pani. Wybacz mi, proszę.

Kiedy się odwraca, wyczuwam jego zapach. Pachnie cytrusami, skórą i odrobiną dymu. Jest w tym zapachu coś uspokajającego i wciągam go głęboko do płuc, obserwując krzątającego się po komnacie Lief. Widzę, jak bierze ogarek znad kominka i zapala go, a potem kolejno wszystkie świece. Komnatę wypełnia światło, choć sama zazwyczaj wolę lekki półmrok. Ogarek płoni szybko i Lief potrząsa nim, by się nie oparzyć. Wraca do drzwi i staje przede mną, a potem cofa się o dwa kroki i unosi rękę, trzymając ją przez chwilę wyciągniętą pomiędzy nami. Drgam lekko z zaskoczenia, a wtedy Lief marszczy brwi

i cofa rękę.

– Przyniosę kolację kiedy tylko ją przyślą. Czy mogę zrobić coś jeszcze?

Kręcę przecząco głową i Lief uśmiecha się, prezentując zęby i koniuszek języka, a potem kłania się i wychodzi. Gdy zamykają się za nim drzwi pędzę do lustra, by spróbować tak samo się uśmiechnąć. Wyglądam wyjątkowo głupio.

Moja kolacja pozostaje nietknięta, a krzepnący tłuszcz gulaszu nie zachęca mnie do jedzenia. Dawne życie u boku matki nauczyło mnie przypisywania pewnym pokarmom znaczenia. Znam różnicę pomiędzy jedzeniem i Zjadaniem, ale wbrew sobie znajduję i oceniam czasem wśród porcji grzechy. Najczęściej dostaję podobne posiłki, co królowa, która nigdy nie zniżyłaby się do jedzenia chłopskich potraw, ale czasem trafiam na coś, co znam z dawnych czasów. Kromka chleba z ziarnami oznacza kłamstwo, a kawałek twardego sera – niespłacony dług. Gulasz oznacza upór i zastanawiam się, czy królowa przysłała mi go rozmyślnie.

– Niczego nie zjadłaś, pani – mówi karcąco Lief, przychodząc po tacę.

– Nie.

– Może przynieść coś innego?

– Nie jestem głodna.

– Ale... to takie marnotrawstwo...

Spoglądam na niego zaskoczona.

– Resztki dadzą świniom. Nic się nie zmarnuje.

Lief zatrzymuje się w miejscu. Kiedy schyla się po tacę, jego spojrzenie jest ciężkie jak kamień. Wychodzi z komnaty nie mówiąc nic więcej, ale jego pogarda jest tak wyczuwalna, że mogłaby zrobić wrażenie nawet na samej królowej. Lief zahacza stopą o krawędź drzwi i zamyka je energicznie, aż podmuch gasi kilka świec. Wpatruje się w drzwi z otwartymi ustami. Byłam przekonana, że stałam się odporna na dezaprobatę...

Znów nawiedzają mnie wspomnienia matki i skóra cierpnie mi na całym ciele. Pamiętam cienie pod jej oczyma, upodabniające do zwłok, których grzechy Zjadała. Jej głos wzywający mnie do pokoju, w którym panował wieczny mrok. Okna zakryte były grubymi, wełnianymi kocami i powietrze przesiąkło mdłym zapachem jej ciała. Matka myła się całymi godzinami. Był to jej rytuał i obsesja. Nacierала pachy, krocze i szyję olejkami jaśminowym. W jej pokoju zawsze płonął ogień, w dzień i w nocy, bez względu na porę roku. Siedziałam na małym zydlu, niemal dusząc się z gorąca, a matka leżała w łóżku i uczyła mnie słów oraz obrzędów, które miałyśmy odprawiać. Pociła się w swoim prywatnym piekle i mówiła, że kiedyś to ja zostanę zjadaczką grzechów. Patrzyła na mnie chłodnym wzrokiem, jakby z góry wiedziała, jak bardzo ją rozczaruję.

Podchodzę do okna i wychylam się, wciągając głęboko do płuc hausty czystego, rześkiego powietrza i mocno ściskając krawędź zimnego kamienia. Teraz jestem Daunen. Jestem Daunen Wcieloną.

Na całą noc zostawiam otwarte okiennice.

Śpię nierówno. Raz wypoczywam w lekkim śnie, a pod moimi powiekami błyska feeria światła, by po chwil usnąć głębiej i obudzić się z wrażeniem duszności, zaplątana w pościel. Świt nadchodzi niespiesznie, a ja chcę jak najszybciej mieć tę noc za sobą. Myję się i ubieram, a potem czekam na śniadanie. Mam chęć natychmiast odprawić posiłek wraz ze strażnikiem, by mu pokazać, że nie dam sobą pomiatać. Potem rozlega się pukanie do drzwi.

Do komnaty wchodzi Lief, ostrożnie balansując w jednej ręce tacą ze śniadaniem i natychmiast zapominam o chęci odprawienia go. Zamiast owsianki, chleba i sera na posiłek składają się maślane bułeczki z dżemem, figowa marmolada, miseczka złotego miodu i miękki, biały chleb, który w niczym nie przypomina pełnych ziaren bochnów, jakie jadałam w domu. Trudno byłoby skomponować śniadanie

z bardziej lubianych przeze mnie produktów. Lief bezceremonialnie stawia tacę na szkicach Mereka i odwraca się do mnie z nieśmiałym uśmiechem na wargach, wyciągając spod tuniki bukiet nieco zgniecionych kwiatów.

– Wybacz mi, pani. Zachowałem się wczoraj niestosownie. – Kłania się, podając mi kwiaty.

Przez chwilę nie wiem, jak zareagować i tylko mrugam z zaskoczenia, ale zaraz biorę się w garść.

– Czy mam to traktować jak przeprosiny?

Lief kiwa głową i wskazuje tacę. Dopiero teraz dostrzegam leżący obok noża kawałek papieru.

– Matka nauczyła mnie, że mężczyzna powinien zawsze składać przeprosiny na piśmie, by dama miała pewność, że się z nich nie wycofa.

Podnoszę kartkę i przebiegam ją wzrokiem. Wstydzę się, że nie umiem czytać, ale nie mam zamiaru dopuścić, by się tego domyślił. Udaję, że wczytuję się w słowa, choć linie i łuki na papierze nic dla mnie nie znaczą. Na podstawie lekkiego wyrazu samozadowolenia i wyczekiwania na jego twarzy mogę się jedynie domyślać, że mam przed sobą wywód na temat marnotrawstwa, elokwentnie udający przeprosiny. Przeprosiny puste, bo nie wyznające winy. Kiedy zaczynają mi czerwienić policzki, upuszczam kartkę na tacę i nawet się nie krzywię, gdy ląduje w marmoladzie.

– Ładne słowa. Matka na pewno byłaby z ciebie dumna – pozwalam, by do mojego głosu wkradło się niezadowolenie z samej siebie i kieruję gniew na niego, by choć trochę się go pozbyć. – Ale twoje przeprosiny nie są mi potrzebne, strażniku. Masz prawo do własnych przemyśleń na temat mojego marnotrawstwa, ale nie musisz dzielić się nimi ze mną w żaden sposób, na papierze czy też nie. Odpowiadam przed Bóstwami, nie przed tobą.

Lief otwiera usta i widzę, że chce coś powiedzieć, a potem dostrzegam w jego oczach błysk. Patrzy na kartkę, a kiedy znów się odzywa, jego głos brzmi łagodniej.

– Czy pozwolisz mi odczytać list? Czasem trudno jest przelać myśli na papier i potrzebny jest ton głosu, by wyrazić intencję... pani – dodaje.

Znów czuję przyływ wstydu. Źle oceniłam treść wiadomości i Lief wie już, że jej nie przeczytałam. I że nie umiem czytać. Kiedy nie odpowiadam, podchodzi bliżej i wyciąga dłoń po list, a ja cofam się aż pod ścianę. Zatrzymuje się i uspokajającym gestem pokazuje mi otwarte dłonie. Zbliża się powoli, bardzo powoli, a ja trwam w bezruchu, wstrzymując oddech i nie mogąc oderwać od niego wzroku. Jest coraz bliżej mnie, aż w końcu sięga po list i czuję, jak moje serce na chwilę się zatrzymuje. Chwila trwa, przeciąga się w czasie aż w końcu mija. Lief robi długi krok w tył i otwiera złożoną kartkę.

Lady Twyllo, błagam o wybaczenie. Moje zachowanie wczorajszego wieczora było nieuprzejme, niesprawiedliwione i całkiem niezasłużone. Wiem, że nie mam prawa kwestionować twoich decyzji i z całego serca przepraszam za to, że cię uraziłem. Wiem, że ten list nie odkupi mojej winy, ale pozwól, by stał się pierwszym z wielu gestów, którymi dowiodę swej lojalności wobec ciebie. Pozostaję twoim skromnym sługą.

Lief

Składa kartkę i odkłada ją na biurko, po czym odsuwa się, uważnie mnie obserwując. Muszę odwrócić głowę, by dać sobie chwilę odpoczynku od jego wzroku, by uspokoić myśli i przyspieszone bicie serca. List okazał się wcale nie być obraźliwy.

– Dlaczego? – pytam w końcu świadoma, że nadal patrzy na mnie wyczekująco.

– Co dlaczego, pani?

– Dlaczego tak bardzo przeszkadzało ci, że nie chciałam zjeść kolacji? Jesteś moim strażnikiem, nie opiekunem. Dlaczego obchodzi cię, czy jem?

Tym razem to on się czerwieni.

– Ja...

– Tak?

– Wybacz mi, pani. Nie chodziło mi o twój apetyt, tylko o marnotrawstwo.

Znów to słowo. Marszczę brwi, a Lief mówi dalej.

– Poczuję gniew... nie, nie gniew. Smutek. Zasmuciło mnie to, że dobre jedzenie skończy jako karma dla świń. Nie powinienem był tak się zachować i wiem, że źle zrobiłem, ale moja siostra... W naszym domu się nie przelewa. Dlatego przybyłem tutaj, by utrzymać rodzinę. Kiedy więc powiedziałaś, że... – urywa i wygląda na bardzo nieszczęśliwego. Dobrze go rozumiem.

Kiedyś i u nas się nie przelewało i choć wiem, że z mojego powodu mojej siostrze nie brakuje teraz jedzenia, to i tak spędza całe godziny na ucztach, w których nie może wziąć udziału. Mimo to nie pomyślałam o niej, odsyłając jedzenie. Wiedziałam, że go nie zabraknie. Zapomniałam, że nie muszę już martwić się głodem. Zapomniałam o własnej siostrze.

– Przepraszam – szepczę cicho.

Lief kręci głową, myśląc, że moje przeprosiny skierowane były do niego.

– Ależ nie, pani, to ja przepraszam. To nie twoja wina i dlatego czułem, że muszę cię przeprosić – mówi i wyciąga do mnie bukiet. – Proszę, przyjmij te kwiaty.

Wyciągam ręce, by go zatrzymać.

– Możesz je zostawić na biurku.

– Nie weźmiesz ich ode mnie, pani?

– Lief, dobrze wiesz, że...

– Nie pozwolę, byś mnie dotknęła, pani.

– Nie rozumiesz, ja...

– Wyciągnij tylko ręce.

Kręcę głową.

– Proszę cię, Lief, nie rób tego. Zostaw kwiaty na biurku.

Jest bardzo smutny i wygląda na pokonanego. Nie mogę znieść jego smutku i chcę dać mu coś w zamian za jego wyznanie.

– Ja też mam siostrę – wyrywa mi się. – Maryl. Tak ma na imię.

– Ile ma żniw? – pyta po chwili.

– Jedenaście. Nie widziałam jej od czterech lat, odkąd tu przybyłam.

– Ani razu?

– Nie wolno mi, Bóstwa by się pogniewały – tłumaczę. – Musiałam zostawić za sobą wszystko, by stać się Daunen Wcieloną.

– Ale brakuje ci siostry? – pyta cicho Lief, a ja kiwam głową. – Ona zapewne też za tobą tęskni.

– Jeżeli mnie jeszcze pamięta – odpowiadam równie cicho. – Miała siedem żniw, kiedy się rozstałyśmy. Była bardzo mała. Poza tym nie sądzę, by w moim starym domu często mnie wspomniano. Myślę, że pamięta niewiele.

Lief wbija we mnie palące spojrzenie.

– Nikt nie zapomina ludzi, którzy go kochali – mówi. – Bez względu na wiek i upływ czasu, zawsze pamiętamy, że byliśmy kochani. Siostra o tobie nie zapomni.

Lief kłania się, zamierzając odejść i czuję, jak coś wzbiera w mojej piersi.

– Zaczekaj – mówię, przetykając kulę w gardle. Splatam dłonie próbując zamaskować ich drżenie. Lief patrzy mi w oczy i upuszcza w moje ręce kwiaty, gałązki malwy i anemony, aż w dłoni pozostaje mu tylko kwitnąca gałązka lawendy. Wskazuje ją spojrzeniem zielonych oczu, a potem patrzy znów na mnie, trzymając gałązkę za sam koniuszek, między kciukiem i palcem wskazującym.

A ja chwytam drugi jej koniec.

Przekładam pozostałe kwiaty do lewej dłoni i trzymam łodygę jak linę rzuconą tonącemu. Wiem, że to, co robię jest głupie i niebezpieczne, i serce trzepocze mi w piersi jak skrzydła uwięzionego w dłoni ptaka. Ale mimo niebezpieczeństwa czuję, że tak właśnie powinnam postąpić. Lief przeprosił mnie, by odkupić grzech swego gniewu. Moje wyznanie i przyjęcie kwiatów jest zadośćuczynieniem za moją

arogancję i niewdzięczność. Grzechy zostały odkupione, by mogła istnieć równowaga. Teraz jesteśmy kwita.

Lief puszcza gałązkę lawendy i zostawia ją w mojej dłoni, a ja nie mogę oderwać od niej wzroku. Kłania się i rusza do wyjścia, by pozwolić mi zjeść śniadanie.

– Nie skrzywdzisz mnie – mówi cicho, stojąc w otwartych drzwiach. – Wiem, że mnie nie skrzywdzisz.

Wychodzi i zamyka drzwi, a ja myślę o Tyreku.



Pierwszy tydzień w odosobnieniu okazuje się znośny. Mam wprawę w wynajdywaniu sobie zajęć i czas wypełnia mi śpiewanie, szkicowanie konturów kwiatów na gobelin oraz modlitwy. Dopóki siedzę plecami do okna i trzymam głowę nisko, intensywnie skupiając się na zajęciach, jestem w stanie udawać, że wszystko jest w porządku.

Ale po pierwszym tygodniu do mojej zacisznej komnaty zaczyna wkradać się nuda i zaczynam mieć trudności ze skupieniem uwagi na czymkolwiek poza światem na zewnątrz wieży. Brakuje mi spacerów w ogrodzie i po korytarzach zamku. Brakuje mi świątyni i panującego w niej spokoju, a także wrażenia oderwania od zamku. Poprosiłam, by przyniesiono mi świątynny totem, który wisi teraz na ścianie naprzeciw mojego łóżka, jednak światło w komnacie nie ożywia jego powierzchni i słońce nieustannie zasłania księżyc. Chciałabym wierzyć, że to dobry znak, ale wiem, że to jedynie gra światła. Brak skupienia uniemożliwia mi modlitwę i boję się, że pomimo słów królowej, ściągnę na siebie gniew zaniebawianych Bóstw.

Lief i ja osiągnęliśmy pewne porozumienie, choć nie jest to do końca właściwe słowo. Odkąd przyjął z jego rąk kwiat, istnieje między nami coś niewypowiedzianego. Nie tyle przyjaźń, co poczucie więzi, jakbyśmy oboje podjęli ogromne ryzyko i przeżyli. Wyobrażam sobie, że takie właśnie uczucia są udziałem towarzyszy broni.

Codziennie pytam Lief'a o zdrowie Dorina i codziennie słyszę, że nie czuje się ani lepiej, ani gorzej. Uzdrowiciel jest zdania, że uządlenie pszczoły zaburzyło w nim równowagę humorów i dlatego nadal jest słaby, choć sama rana po uządleniu goi się poprawnie. Bardzo chciałabym pójść go odwiedzić, ale to oczywiście niemożliwe. Zamiast tego proszę Lief'a o przekazywanie moich wiadomości, w których zapewniam Dorina o modłach za jego szybki powrót do zdrowia. Modłę się o to codziennie także dlatego, że jego powrót oznaczał będzie koniec mojego odosobnienia, ale czuję się przy tym samolubna i znów modłę się o wybaczenie.

Szybko stało się dla mnie oczywiste to, co po raz pierwszy zauważyłam, gdy Lief skarcił mnie za marnowanie jedzenia: że nigdy wcześniej nie pracował jako królewski strażnik i bez służącego mu przykładem Dorina nie miał pojęcia, jak się zachowywać. Nie ma pojęcia o dworskim protokole i zdarza mu się zapominać, że powinien zwracać się do mnie „pani”. Zdecydowanie zbyt często rozmawia też ze mną w sposób, który dla Dorina byłby nie do pomyślenia, choć starszy strażnik zna mnie przecież od czterech żniw.

– Skąd się bierze ten barwnik? Kolor jest taki żywy – dziwi się Lief, stojąc w drzwiach komnaty i wskazując jedwabne nici w kolorze indygo. Postanowiłam zaprzestać szkicowania i zacząć wyszywać bez szablonu.

– Nie wiem. Nigdy o to nie pytałam – odpowiadam z tonem zniecierpliwienia w głosie. Lief najwyraźniej go nie słyszy, bo nadal przygląda się, jak rozwijam splątaną nić. Staram się go ignorować, ale jego uparty wzrok sprawia, że igła wypada mi z palców, a nić znowu się płacze. Dopiero moje głośne westchnienie zniecierpliwienia skłania go do wyjścia z komnaty.

– Robią go z morskich ślimaków, pani – mówi później przynosząc mi kolację.

- Co? – z wrażenia upuszczam łyżkę do miski z bulionem, wywołując jego śmiech.
- Twoja fioletowa nić, pani. Barwnik pozyskiwany jest z muszli morskich ślimaków.
- Skąd to wiesz? – pytam z zaciekawioną.
- Zapytałem – Lief uśmiecha się i kłania zawadiacko, wychodząc z komnaty.

Czas mija. Tydzień zamienia się w dwa tygodnie, a Lief coraz więcej czasu spędza u moich drzwi. Moje pytania o zdrowie Dorina traktuje jako okazję do zadania własnych. Pyta o kwiaty, które wyszywam i które z nich lubię najbardziej, a także o to, czy widziałam je wszystkie na własne oczy, czy jedynie na rysunkach. Mówi o metodach wyrabiania barwników i zastanawia się na głos, co by się stało, gdyby je ze sobą wymieszać. Opowiada mi o tregelliańskich kwiatkach i roślinach z takimi szczegółami, że w końcu pytam, czy uczył się kiedyś zawodu zielarza. Moje pytanie go ucisza. Lief marszczy brwi i znajduje jakąś wymówkę, by opuścić komnatę. Nie popełniam drugi raz tego samego błędu i nie pytam więcej o jego przeszłość, bo cisza brzmiąca w mojej komnacie po jego wyjściu napełnia mnie niepokojem.

- Dorin kazał mi odesłać zapasowe miecze do kowala, by je naostrzył, pani – oznajmia pewnego ranka po wymianie ogarków świec na nowe, jak zwykle pozostając chwilę w drzwiach.
- To dobrze – mówię, dzieląc uwagę pomiędzy jego słowa i leżące w dole pod oknem ogrody.
- Wcale nie dobrze, pani. Nie ma już kowala.
- Jak to nie ma?
- Ponoć królowa uznała, że źle podkuł jej konia.

W duchu modlę się w intencji kowala.

- Czy moje gadanie ci przeszkadza, pani? – pyta Lief, czyszcząc paznokcie małym nożykiem.
- Ależ nie, wcale.
- Powiedz mi, jeżeli ci przeszkadza. Nie obrażę się.
- Nie przeszkadzasz mi, Lief.
- Cieszę się – uśmiecha się. – I gdzie ja mam teraz wysłać zapasowe miecze?

Spędzam dni na jedzeniu śniadania, rozmowach z Liefem, które polegają głównie na słuchaniu jego słów, śpiewaniu, jedzeniu obiadu, modlitwie, jedzeniu kolacji i pracy nad gobelinem, aż nadchodzi czas, by udać się na spoczynek. Ale nawet codzienna rutyna przestaje mi wystarczać. Popołudniami odprawiam Liefą, by się pomodlić, ale nie znajduję w modłach zwykłego ukojenia. Wieczorami biorę igłę i znowu ją odkładam, zerkając na siedzącego w drzwiach Liefą, który co dzień czyta tę samą, sfatygowaną książkę. Po dwóch tygodniach żądam, by poczytał mi ją głośno. Książka okazuje się być nieaktualnym kalendarzem rolniczym i co wieczór słucham prognoz pogody sprzed dwudziestu żniw. Co gorsza, coraz częściej orientuję się, że wieczory spędzane beczynnie, z nieruchomą igłą w dłoni, poświęcane słuchaniu jego melodyjnego głosu szybko stają się moją ulubioną częścią dnia.

Nie opuszcza mnie paląca myśl, czy podobnie czułabym się z Tyrekiem, gdyby to on został moim strażnikiem. Lief bardzo przypomina Tyreka. Tak samo jak on zapomina, kim jestem albo też zupełnie o to nie dba. Jest podobnie nieustraszony i spontaniczny i dobrze wiem, że nie powinnam go zachęcać, opowiadać mu o Maryl ani przyjmować od niego kwiatów. Nie chcę pewnego dnia być zmuszona do dotknięcia karku Liefą tylko dlatego, że powiem za dużo. Zwłaszcza jemu, Tregellianinowi, lojalnemu czy nie.

Powtarzam sobie, że w tym, co robimy nie ma niczego złego. Dopóki nie rozmawiamy o królestwie ani o zamku, nie dopuszczam się zdrady królowej i kraju, co zapewnia nam obojgu bezpieczeństwo. Mimo tego jednak niepokój mnie nie opuszcza i nie wiem, co go powoduje. Czuję się tak, jakby coś w moim umyśle nieustannie swędziało i irytowało. Lief zastaje mnie na nerwowym przechadzaniu się po komnacie.

- Jeszcze trochę i zrobisz dziurę w podłodze, pani – mówi z rozbawieniem i uśmiecha się szeroko,

a gdy przewracam oczyma spuszcza wzrok i udaje, że interesują go kamienie posadzki. Uśmiech przychodzi mu łatwo, jakby urodził się po to, by demonstrować zęby całemu światu.

Trzy tygodnie po rozpoczęciu zarządzanego przez królową odosobnienia Lief przynosi mi rankiem śniadanie. Nie wstałam jeszcze z łóżka i siedzę w pościeli, oparta o stos poduszek. Próbowałam przeczytać jego list, ale rozpoznałam tylko jedno słowo: własne imię. Powoli i mozolnie szukałam w innych słowach tych samych liter, ale frustruje mnie nieznamość pozostałych znaków. Słyszając pukanie do drzwi chowam pergamin pod poduszkę.

– Podać dziś śniadanie do łóżka?

– Chyba zasnęłam. Ubiorę się, jeżeli dasz mi chwilę.

– Wybacz, pani, ale jeżeli tylko zechcesz, możesz zjeść śniadanie w łóżku. Jeszcze przez co najmniej kilka dni nie będziesz miała żadnych pilnych obowiązków.

– Bóstwa nie byłyby zadowolone z mojej bezczynności.

– Nawet Bóstwa muszą czasami odpoczywać – uśmiecha się Lief.

Ku własnemu zaskoczeniu sama też się uśmiecham. Lief z namysłem przechyliła głowę i przygląda mi się przez chwilę.

– Powinnaś częściej się uśmiechać, pani. Z uśmiechem bardzo ci do twarzy.

Mój żołądek wywija koziołka i odwracam wzrok.

– Wybacz mi, proszę, to było zbyt bezpośrednie. Nie będę się już odzywał. – Ostrożnie kładzie przede mną tacę i czekam w bezruchu, gdy ostrożnie ustawia ją na moich kolanach. Skinieniem głowy daję mu znać, że jestem zadowolona. Smaruję bułkę kremowym serem, a kiedy tylko Lief wychodzi, wyjmuję spod poduszki list i znów próbuję coś z niego zrozumieć.

Po jakimś czasie drzwi znowu się otwierają. Chowam list przekonana, że to Lief wrócił po tacę, i szybko krzyżuję ramiona na piersi.

Za zasłonę łóżka nie zagląda jednak Lief, a księżę.

Jak oparzona wyskakuję z pościeli, by się uklonić i przewracam tacę. Na domiar złego zaplątuję się w kołdrę i ląduję twarzą na podłodze.

Księżę Merek stoi przede mną z lekkim uśmiechem na ustach, ale zaraz przygryza wargę, by się nie roześmiać.

– Czy mam wezwać strażnika, Twyllo? – pyta już całkiem poważnie, kłaniając się na powitanie.

– Nie – odpowiadam, zrywając się z ziemi i owijając płaszczem. – Proszę o wybaczenie, Wasza Wysokość, nie byłam przygotowana na twoją wizytę. – Czuję, jak policzki czerwienieją mi ze wstydu.

Księżę lustruje mnie wzrokiem od stóp do głowy, a w jego oczach nadal błyszczą wesołe iskierki.

– Nie musisz mi się tak nisko kłaniać, Twyllo. Skinienie głową w zupełności wystarczy. Nie zrobiłaś sobie krzywdy?

– Nie, Wasza Wysokość – mówię stanowczo, choć wiem, że zdradza mnie wyraz twarzy. Czyżby księżę właśnie zażartował? – Nic mi nie jest.

Księżę odwraca się, a uśmiech znika z jego twarzy.

– Przyszedłem zobaczyć, jak postępują prace nad nowym haftem. Matka mówiła mi, że dopiero go projektujesz. Jak ci idzie?

Owijam się płaszczem ciasniej i żałuję, że włosy mam w nieładzie, że zastał mnie w łóżku i że upadłam na twarz. Wpatruje się w rozpięte na ramie płótno z nielicznymi ściegami nici, po czym patrzy na mnie pytająco.

– Nie miałam ostatnio czasu, Wasza Wysokość – próbuję się tłumaczyć.

Jego wargi znów drgają nieznacznie, skrywając uśmiech.

– Rozumiem. Szkoda. Moje rysunki na niewiele ci się przydały?

– Bardzo się przydały, Wasza Wysokość, dziękuję – waham się przez sekundę, po czym podchodzę

do biurka i podnoszę folder z jego szkicami. Kiedy mu go wręczam, marszczy brwi.

– Są twoje, Twyllo. To był prezent.

Moją skórę znów pokrywa szkarłat wstydu i kulę się w sobie, przeklinając swój brak kontroli nad własnym ciałem.

– Wasza Wysokość jest niezwykle łaskawa.

– Zjedz ze mną kolację – mówi nagle i tak szybko, że nie jestem pewna, czy się nie przesłyszałam.

– Wasza Wysokość?

– Zjedz ze mną kolację. Dziś wieczorem. Właściwie to ja przyjdę na kolację do ciebie. Wiem, że moja matka nakazała ci pozostać w komnacie do czasu, aż twój strażnik nie wyzdrowieje.

Otwieram usta ze zdziwienia i wyglądam zapewne jeszcze głupiej niż wcześniej. Staram się wykrztusić słowa podziękowania, ale całkiem straciłam mowę. Moje serce bije za to niezwykle szybko i czuję, jak uszy i palce u stóp pulsują do rytmu.

– Wróć wieczorem – mówi księżę mimo mojego milczenia. Kłania się i robi krok w tył, a wtedy i ja kłaniam się odruchowo, wdzięczna za okazję do ukrycia widocznego na twarzy wyrazu osłupienia. Stojąc już w drzwiach księżę odwraca się jeszcze z psotnym błyskiem w oku.

– Nie musisz ubierać się do kolacji, jeżeli nie masz ochoty – mówi i wychodzi, ale dostrzegam jeszcze uniesiony w uśmiechu kącik jego ust.

Przez chwilę wpatruję się jeszcze w drzwi ze śmiesznie otwartymi ustami, a potem do komnaty wchodzi Lief. Patrzy na mnie przez sekundę z lekko zmarszczonymi brwiami, po czym cofa się pod drzwi.

– Wszystko w porządku, pani?

– Tak, wszystko... wszystko.

– Wyglądasz na nieco... – urywa, wykonując dłonią nieokreślony gest.

– Nie spodziewałam się wizyty księcia.

– Jestem pewien, że to zauważył – odpowiada Lief, wskazując głową mój niekompletny strój.

– Lief! – Chcę go zbesztać, ale orientuję się, że jest już drugim tego dnia mężczyzną, który ogląda mnie niemal w negliżu. – Odwróć się! Nie, odejdz. I przyślij do mnie służące. Niech przyniosą gorącą wodę. W dużych ilościach. Czy mógłbyś się też dowiedzieć, gdzie podziała się moja czerwona, brokatowa suknia? I moje srebrne grzebienie do włosów, które odesłałam do polerowania?

– Wybieramy się gdzieś, pani? – pyta Lief.

– Nie, ale jem dziś wieczorem kolację z księciem. Tutaj.

– Dorin mówił mi, że macie się pobrać.

– To prawda.

– Czy księżę często jada tu kolację, pani?

– Nie – odpowiadam powoli. Uświadamiam sobie, że księżę musiał wiedzieć o moim odosobnieniu, a mimo to zwlekał z wizytą ponad miesiąc. Dlaczego przyszedł do mnie właśnie teraz?

W spojrzeniu Lief'a dostrzegam te same pytania.

– Księżę jest zajęty – mówię, choć nie mam pojęcia, czy to prawda ani dlaczego próbuję się za niego tłumaczyć.

Lief nadal patrzy na mnie z zaciśniętymi ustami, po czym wskazuje pełne jedzenia łóżko.

– Czy mam przynieść coś innego? Jeżeli śniadanie ci nie smakowało, mogłaś mi powiedzieć. Nie było potrzeby nim rzucać – mówi i uśmiecha się, ubawiony własnym żartem. Z kolei ja przewracam tylko oczyma.

– Zaskoczyła mnie wizyta księcia – mówię. – Ale nie, dziękuję, zdążyłam zjeść trochę chleba z serem. Możesz jednak zabrać tacę i poprosić służące, by zmieniły pościel, gdy ja będę się kąpała.

– Jak sobie życzysz.

Lief zabiera tacę z uśmiechem, ale wesołość nie sięga jego oczu i patrzę w ślad za nim, nic nie rozumiejąc.

Kąpiel daje mi czas na myślenie, a słodko pachnąca woda koi moje skołatane nerwy. Zanurzam się po szyję i pozwalam, by moje włosy swobodnie pływały po powierzchni wody. Nigdy wcześniej nie jadłam z księciem kolacji ani też nie spędzałam z nim czasu sam na sam. Ale do jego dwudziestych urodzin pozostało niewiele ponad sześć miesięcy, zapewne więc przygotowuje się do naszego wesela. Na myśl o ślubie czuję się dziwnie pusta w środku, choć wiedziałam przecież, że do niego dojdzie. Zostanę jego żoną... Nie potrafię sobie wyobrazić, jak to jest być czyjąś żoną, nie wspominając o roli królowej. Królowej u boku króla Mereka, matki następców tronu. Na samą myśl o tym czuję nagły skurcz żołądka i siadam wyprostowana, rozchlapując wokół wodę i ściskając krawędzie balii. Sanktuarium mojej kąpeli zostało bezpowrotnie zakłócone.

Resztę popołudnia spędzam na klęczkach, bezmyślnie wpatrując się w totem. Gdy zachodzi słońce zakładam czerwoną suknię i wpinam we włosy srebrne grzebienie. Nie mam czym się zająć do czasu przybycia księcia, więc wracam do wyszywania i tym razem, o dziwo, skupienie na pracy przychodzi bez wysiłku.

Kiedy służba anonsuje przybycie księcia jestem już prawie spokojna.

– Twyllo – książe wita mnie ukłonem. – Mam nadzieję, że zastaję cię w dobrym zdrowiu. Królowa wydała specjalne zezwolenie, bym eskortował cię podczas przechadzki po galerii. Służba przygotowuje w tym czasie twoją komnatę. Twój strażnik pozostanie na miejscu, by doglądać przygotowań.

Otwieram usta ze zdziwienia, a książe przygryza wykrzywioną w półśmiechu wargę. Moje powieki trzepoczą z zaskoczenia i nie jestem pewna, czy dobrze go zrozumiałam.

– Jesteś gotowa, Twyllo? – pyta, kiedy po chwili nadal wlepiam w niego zaskoczony wzrok.

– Tak – niepewnie kiwam głową i biorę się w garść. Książe nie podaje mi ramienia, a jedynie wskazuje gestem, bym szła przodem. Waham się, nie chcąc nieelegancko odwrócić się do niego plecami, ale książe zachęcająco kiwa głową.

– Chodźmy, Twyllo.

Tylko on jeden miał szansę przekonać królową, by pozwoliła mi opuścić komnatę bez straży.

Czuję lekki zawrót głowy, zdając sobie sprawę z jego obecności za moimi plecami. Napotykam spojrzenie Liefa i jestem pewna, że zauważam jego mrugnięcie, ale po sekundzie strażnik patrzy na wprost, sztywno wyprostowany, a Mererek wychodzi z komnaty w ślad za mną. Zatrzymuję się pod drzwiami u stóp schodów i uświadamiam sobie, że boję się wyjść. Oglądam się przez ramię i książe znów zachęca mnie gestem.

– Śmiało, Twyllo. Królowa wyraziła zgodę.

Otwieram drzwi i wchodzę do zachodniego skrzydła zamku, sam na sam z księciem.

Mererek zajmuje miejsce Dorina po mojej prawej stronie, a brak strażnika po lewej sprawia, że czuję się odsłonięta, prawie naga. Nawet kiedy nie muszę przebywać w odosobnieniu, rzadko odwiedzam zamek i niezwykłość spaceru wzmaga wrażenie jego nierealności. Wzrokiem omiatam każdy kąt, szukając oznak jakichś zmian, które mogłyby zajść w otoczeniu podczas mojej nieobecności. Ale mogłabym przysiąc, że stojące w wazonach białe róże nie zostały zmienione od dnia, gdy Dorina użądliła pszczoła. Mam wrażenie, że czas się zatrzymał, jakby cały zamek zapadł w zaklęty sen. Na myśl przychodzi mi Śpiący Książe i zainteresowanie, które Mererek zaczął mi okazywać od czasu polowania. Potem usłyszał mój śpiew podczas wizyty u króla i zaczął mnie ignorować. Czy dlatego właśnie tak długo nie próbował się ze mną zobaczyć?

Zerkam na księcia i zauważam dumny profil, który odziedziczył po matce. Mererek wbija wzrok w drzwi na końcu korytarza i w milczeniu przemierzamy galerię pełną portretów. Idąc, zastanawiam się, co skłoniło go do zaproszenia mnie dzisiaj na kolację i czy pomysł wyszedł od niego, czy też od królowej.

Dopiero po chwili zauważam, że nie tylko mnie towarzyszy tego wieczora eskorta. Książę jest jedynym naturalnym następcą tronu i jego bezpieczeństwo jest kluczowe dla królestwa, dlatego też zazwyczaj towarzyszy mu straż. Dwukrotnie oglądam się do tyłu, próbując zauważyć jakiś ślad ukrytych strażników, ale niczego nie dostrzegam. Mam chęć zapytać księcia, gdzie podziła się jego eskorta i za jakie sznurki musiał pociągnąć, by nikt nie zakłócał naszego spotkania.

Skręcamy do zamkowej galerii i dwaj strażnicy stojący na końcu korytarza natychmiast wychodzą. Nie mogę dłużej powstrzymać ciekawości i odwracam się do księcia z pytającą uniesionymi brwiami.

– Poprosiłem o prywatność – mówi Merek i zatrzymuje się, by podziwiać wiszące na ścianie portrety.

Poprosił o prywatność i po prostu mu ją zapewniono... Przez chwilę czuję zazdrość, ale uczucie mija, gdy spoglądam na ścianę pełną portretów.

Dla księcia widok przodków, których tak bardzo przypomina, musi być nieco upiorny, podobnie zresztą jak portrety kobiet, do których podobna byłaby dziś jego zmarła siostra. Byłam już kiedyś w galerii, tylko raz, na samym początku pobytu w zamku. Wówczas sam król objaśnił mi, kim są postaci na wszystkich portretach po kolei. Rozpoznaję twarze Ceraca i Cedany z ballady. Oboje mają surowe oblicza i dumnie uniesione podbródki.

Na przeciwnej ścianie wisi największy portret ze wszystkich, przedstawiający ojca księcia, zmarłego króla Rohese'a. Merek podchodzi do portretu i zostawia mnie samą, zajęta studiowaniem twarzy przedstawicieli jego rodu. Jeżeli za życia znaczyły je jakiegokolwiek deformacje, malarze roztropnie je zignorowali. Z każdej spośród podobizn wprost bije wrażenie dumy i elegancji. Po chwili dołączam do księcia przed portretem jego ojca.

– Pamiętasz mojego ojca? – pyta.

– Nie, Wasza Wysokość. Nigdy nie miałam przyjemności go poznać. – Pamiętam przyprawione wino, pomarańcza nabijane goździkami, aframon i pstrąga. Pamiętam grzechy króla, które Zjadła moja matka – dumę, próżność, gniew i zazdrość – ale samego króla nigdy nie poznałam. – Byłam jednak tutaj z matką po jego śmierci, podczas obrzędu Zjadania Grzechów.

Merek kiwa głową.

– Tak, pamiętam. Śpiewałaś... – urywa i odwraca się do mnie. – Śpiewałaś, a mój ojciec leżał martwy.

– Bardzo przepraszam, Wasza Wysokość – mamroczę zażenowana.

– Byłaś wtedy bardzo mała – ciągnie Merek. – Pamiętam, że zastanawiałem się wtedy, czy Alianor byłaby w twoim wieku równie niska, czy też wysoka, jak ja i moi rodzice. Twoje włosy wyglądały jak ogień. Nigdy wcześniej nie widziałem niczego podobnego. Nigdy nie widziałem innego dziecka poza moją siostrą.

Nagle rozumiem, co chce powiedzieć. Nie miałam o tym pojęcia, ale musiał widzieć mnie wtedy ze swoim ojczymem.

– Matka nie zauważyła, że się wymknąłem. Nie sądzę, by cię wtedy słyszała. Ale ja cię słyszałem i widziałem. Byłaś zupełnie inna niż ja – mówi dalej, zanim mam czas się odezwać. – Byłaś wolna. Mogłaś śpiewać i tańczyć, a ja musiałem zachować królewską powagę żałoby. Miałem wtedy osiem lat, a już spędziłem dwa miesiące w żałobie po siostrze. Chciałem się bawić i biegać, może nawet śpiewać, ale nie chciałem znów być w żałobie. Prawie nie znałem ojca. Sprawy królestwa nie pozwalały mi spędzać czasu z dziećmi. Trudno jest opłakiwać ideę.

Jego potrzeba zwierzeń i otwartości po czterech latach milczenia wydaje mi się zastraszająco silna i nie wiem, co odpowiedzieć i czy w ogóle powinnam się odzywać. Chcę, by wiedział, że wcale nie byłam wolna, że drogo zapłaciłam za moje zniknięcie jeszcze tego samego dnia, po powrocie do domu. Merek nie daje mi jednak szansy, by się odezwać i zamiast tego odwraca się do portretu ojca.

– Jestem doniego podobny, prawda? Oczywiście wszyscy w mojej rodzinie są do siebie podobni.

Wiesz, dlaczego tak jest. Moja siostra Alianor wyglądałaby dziś jak nasza matka – mówi wskazując gestem portret małej dziewczynki, patrzącej z portretu niewidzącym wzrokiem.

Księżę milknie i porównuje ze sobą twarze z portretów ojca i siostry, a ja odzyskuję w końcu głos.

– Wasza Wysokość na pewno bardzo tęskni za siostrą.

– Prawda jest taka, że prawie jej nie znałem. Była chorowitym dzieckiem i spędzała większość czasu z dala od wszystkiego, co mogłoby pogorszyć jej stan. Moje dzieciństwo było raczej samotne. Ile miałaś wtedy żniw, Twyllo?

– Skończyłam sześć, Wasza Wysokość.

– A teraz skończyłaś siedemnaście?

– Tak, Wasza Wysokość.

– Twyllo... – księżę przygląda mi się. – Możesz coś dla mnie zrobić?

– Oczywiście, Wasza Wysokość.

– Przestań zwracać się do mnie „Wasza Wysokość” kiedy jesteśmy sami. Jesteśmy zaręczeni – uśmiecha się lekko, a moje serce zaczyna bić szybciej. – Na imię mi Merek. Czasem boję się, że zapomnę własnego imienia, bo tak rzadko je słyszę. Proszę cię, mów mi po imieniu.

Kiwam głową, a księżę wyczekująco unosi brwi.

– Merek – mówię na próbę. Słowo przypomina w smaku brzoskwinie, które kradłam w dzieciństwie i wyjadany ukradkiem krem do ciasta. Smakuje jak zakazany owoc.

– Od razu lepiej. Jak wiesz, w przyszłym roku skończę dwadzieścia żniw, choć żniwa mają w zamku nikłe znaczenie. W osiemnastym roku życia nie pomagałem przy żniwach, co oznacza, że tak naprawdę nie jestem jeszcze mężczyzną.

Merek odwraca się i rusza korytarzem galerii, a ja po chwili idę jego śladem. Tym razem zatrzymuje się przed małym portretem młodej kobiety, niezwykle podobnej do Alianor.

– To moja babka, córka sławnego Ceraca i Cedany. Miała wiele szczęścia, że przeżyła dzieciństwo. Nie dawano jej na to wielkich szans.

– Dobrze ją znałeś, Wasza... Merek?

– W ogóle jej nie znałem, zmarła przed moim urodzeniem. Pomimo naszej pozycji członkowie mojej rodziny nie żyją długo. Nie mam pojęcia, dlaczego – mówi gorzko. – To ona sprowadziła psy na królewski dwór. Usłyszała gdzieś o ich istnieniu i zażyczyła sobie ujrzeć je w akcji. Pomysł polowania na wrogów królestwa też wyszedł od niej. Moja babcia była uroczą osobą.

Przypominam sobie, jak mąż starej królowej znalazł jej palec i zastanawiam się, czy żałował wówczas sprowadzenia psów na zamek.

Merek marszczy brwi i krzywi wargi, a potem kiwa głową.

– Powinniśmy już iść. Zapewne przygotowano już kolację, a to miejsce nie należy do moich ulubionych.

Wychodzi z galerii bez słowa i muszę przyspieszyć kroku, by za nim nadążyć. Gdy Merek przekracza próg słyszę za plecami, jak do galerii wracają strażnicy.

W drodze powrotnej nie odzywa się ani słowem. Idzie szybko, stawiając długie kroki i zmuszając mnie do uniesienia rąbeków spódnicy, by nie potknąć się w biegu. Korytarze są teraz znacznie bardziej zatłoczone. Pogłoska o naszym wspólnym spacerze musiała szybko się roznieść i wszyscy dworzanie chcą zobaczyć nas na własne oczy. Merek idzie przez tłum bez słowa, nie odpowiadając nawet na pozdrowienia. Dworzanie pozdrawiają również mnie, ale odsuwają się przy tym jak najdalej, przyciskając plecy do ściany. Nie poświęcam im wiele uwagi. Jestem zajęta rozmyślaniami nad tym, dlaczego księżę zabrał mnie na spacer po galerii, choć wyraźnie nie lubi tam przebywać. Wydaje mi się dziwne, że poprosił o prywatność tylko po to, by udać się do znienawidzonego miejsca. Co mogło go do tego skłonić?



Lief stoi pod drzwiami do mojej komnaty w sztywno uroczystej postawie, a jego twarz przypomina maskę. Otwiera drzwi przed Merekiem, który mija go, nie poświęcając ani sekundy uwagi. Tym razem nie mam wątpliwości i zauważam jego zupełnie celowe mrugnięcie. Muszę zacisnąć wargi, by się nie roześmiać.

Pod oknem ustawiono stół, a moje biurko znalazło się obok łóżka. Płomienie świec migoczą lekko w przeciągu i odbijają się świetlnymi refleksami w srebrnej zastawie. Cienie pełgają po totemie Bóstw. Stół zastawiono pucharami i szklanicami, a pośrodku stoi wazon pełen tuberoz i wrotyczu. Merek ewidentnie postarał się wywołać mniej formalne wrażenie i jego gest wydaje mi się uroczy. Pewnym krokiem podchodzi do stołu i odsuwa dla mnie krzesło, a kiedy sam również siada, gestem daje znak Liefowi. Strażnik nalewa nam wina, jakby całe życie nie robił niczego innego, po czym ulatnia się i zostawia mnie samą z księciem.

Merek siedzi z przechyloną głową i przygląda mi się ponad stołem, powoli sącząc wino, a ja skupiam uwagę na kwiatach w wazonie.

– Wybacz mi śmiałość, ale w tym kolorze nie jest ci szczególnie do twarzy. Suknia wygląda jak coś, co założyłaby moja matka.

– Królowa ją dla mnie wybrała – przyznaję. – Lubi wyraźne barwy, zwłaszcza czerwień. Mówi, że to stosowny kolor dla Daunen i że podoba się też królowi.

– Moja matka nie dba o to, co podoba się królowi.

Odwracam wzrok i unoszę kielich do ust.

– Poczulaś się niezręcznie? – domyśla się Merek. – Chyba nic w tym dziwnego. Gdyby te same słowa wypowiedział ktokolwiek inny, uznano by je za zdradę.

– Możesz mówić, co zechcesz.

– „Wasza Wysokość”? Nie wymawiasz mojego tytułu, ale i tak go słyszę. – Merek uśmiecha się krzywo i bez śladu wesołości. – Wybacz mi, Twyllo. Rzadko mam okazję do swobodnej rozmowy, zwłaszcza z osobami, które sam do rozmowy zapraszam. Myślę jednak, że to rozumiesz. W końcu twoja sytuacja niewiele różni się od mojej. Żadne z nas nie towarzystwa rówieśników ani przyjaciół. W całym Lormere nie ma nikogo, kto byłby do nas podobny. Myślę, że to sprawia, iż patrzymy na świat inaczej niż wszyscy. – Merek przerywa, by upić łyk wina. – Nie męczycie cię to, Twyllo? Że większość czasu jesteś zmuszona spędzać wyłącznie w towarzystwie własnych myśli? Wiem, że masz jeszcze Bóstwa, ale czy ich obecność ci wystarcza? Czy udzielają odpowiedzi na dręczące cię pytania?

Nie jestem pewna, czy oczekuje po mnie odpowiedzi. Mówi rzeczy, z którymi nie mogę się zgodzić, choć bardzo bym chciała. Rozmawia ze mną tak, jakbyśmy byli starymi przyjaciółmi i powiernikami, i mam wrażenie, że słyszę od niego zbyt dużo i zbyt wcześnie. Ucieszyłabym się, gdyby Lief przyniósł jedzenie albo gdyby na stół upadła świeca, podpalając obrus, byle tylko przerwać niezręczną rozmowę.

– Ciężko jest znieść samotność, nawet pośród tłumnego dworu i myślę, że każdy na moim miejscu czułby się tak samo – ciągnie książkę. – Dopóki nie przybyłaś do zamku byłem tu jedynym dzieckiem mojego statusu. Nie miałem rówieśników ani towarzyszy zabaw. Czas spędzałem wyłącznie z mamkami

i nauczycielami. Byłem otoczony ludźmi, ale mimo to żyłem w izolacji. Dlatego myślę, że jesteśmy podobni.

Nadal się nie odzywam, a oczy zaczynają mnie piec od wpatrywania się w obrus.

– Nie odpowiadasz? Twoja wola, ale jesteśmy podobni. Nawet podczas moich nauk i podróży wszyscy zachowywali wobec mnie dystans. Można by pomyśleć, że dwa lata wspólnych wędrówek powinny zbliżyć do siebie podróżnych, ale tak niestety nie było. Z tobą jest tak samo – ludzie trzymają się od ciebie z dala.

– Podobały ci się podróże? – pytam, próbując kontynuować jedyny temat mogący odsunąć jego myśli od analizy podobieństw między nami. Merek przez chwilę patrzy na mnie z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

– Podróże otworzyły mi oczy na wiele spraw – mówi, po czym pstryka palcami i w drzwiach zjawia się Lief.

– Jesteśmy gotowi – mówi strażnikowi ksiązę, po czym z powrotem odwraca się do mnie. – Lepiej teraz rozumiem, jak działają królestwa. – Przerywa, gdy Lief podaje nam jedzenie i dolewa wina. Merek ignoruje jego obecność i odzywa się znowu dopiero wtedy, gdy za strażnikiem zamykają się drzwi. – Ustrój jest prosty. Ziemiemi leżącymi w obrębie Lormere zarządzają lordowie zasiadający w Tajnej Radzie. Moja matka wraz z ojczymem zasięgają ich porad. Lordowie donoszą o wydarzeniach w swoich kantonach, potencjalnych zagrożeniach, potrzebach dzierżawców i tak dalej. Następnie podejmowane są decyzje w sprawie rozwiązań zaistniałych problemów. Moja matka wydaje dekret i przystawia na nim pieczęć, a zadaniem lordów jest wprowadzić go w życie.

– To wszystko?

– W pewnym sensie tak. Każdy z lordów zarządza jedną z części królestwa, jak Lortune, Monkham, Chargate czy Haga. To oni mianują kapłanów, szeryfów oraz lokalnych stróżów porządku, wydają wyroki i zasiadają w sądach, a także spotykają się na audiencjach z dzierżawcami. W zamian otrzymują ze swych ziem dziesięcinę oraz inne dobra. Część tych podatków trafia do korony, w zamian za co lordowie zachowują swe pozycje i tytuły.

Wpatruję się w talerz, na którym ostrygi pływają w sosie z masła i szczypiorku. Ostrygi zjada się jako grzech niekontrolowanej zazdrości. W istocie wszystkie owoce morza związane są z zazdrością. Postanawiam na razie nie kosztować jedzenia.

– Ustrój wydaje się sprawny.

Książę kiwa głową, po czym połyka zawartość muszli ostrygi.

– Działa na pewno sprawniej niż ustrój Tregellanu.

– W jakim sensie?

– Tregellańczycy nie mają monarchy, bo po wojnie nie przywrócono tam już królewskiej władzy. Zamiast tego rządzi tam rada, w której zasiada jeden reprezentant z każdego kantonu. Wydanie dekretu lub zmiana prawa wymaga głosowania i nikt nie może podejmować decyzji w pojedynkę, dlatego proces ten może czasem trwać wiele dni. Dochodziło już do sytuacji, kiedy to problem pozostawał bez rozwiązania, bo nikomu nie udało się uzyskać większości głosów. Ich ustrój jest więc nierychliwy. – Książę uśmiecha się krzywo, a ja przypominam sobie, jak toczył podobną rozmowę z królową podczas polowania. – Tregellan wyprzedza nas jednak o całe lata jeżeli chodzi o rozwój medycyny, no i mają swoich alchemików. Między innymi dlatego starałem się nawiązać tam jak najlepsze koneksje. Tregellańczycy nie zechcą łatwo zdradzić swoich tajemnic, ale jeżeli istnieje jakaś kwestia, w której podzielam zdanie mojej matki, jest nią ważność tych dziedzin dla Lormere. Mam nadzieję, że łatwiej będzie ich skłonić do współpracy i podzielenia się sekretami, kiedy to my zasiądziemy na tronie.

„Zasiądziemy na tronie...” – jego słowa przyprawiają mnie o gęsią skórę.

– Poznałeś któregoś z alchemików?

Jego spojrzenie rozjaśnia się i książę nachyla się nad stołem, niemal kładąc łokcie na blacie.

– Tak, widziałem jednego z nich. Był ściśle strzeżony, ale pozwolono mi zobaczyć część alchemicznego procesu. Nic, co moja matka mogłaby wykorzystać, co zresztą bardzo ją rozczarowało. Większość pracy została wykończona, zanim wpuszczono mnie do komnaty, ale widziałem ostateczną transmutację. Widziałem, jak wytwarzają złoto. Skarbiec Tregellanu nigdy nie będzie świecił pustkami. Szkoda, że ich tajemnica pozostaje w Lormere nieznaną.

Podnosi do ust kolejną ostrygę i wysysa zawartość, po czym upuszcza skorupę do miski.

– Jesteśmy jedynym królestwem, które nie zna tajemnicy alchemii. Tregellan dzięki niej kwitnie. Wykorzystywano ją nawet w Tallith i tamtejsze królestwo było wówczas bogatsze, niż Lormere teraz. W Tallith alchemia była królewskim powołaniem i tylko potomkowie panującego rodu mogli ją uprawiać.

– Czy tego właśnie chcesz? Bogatego królestwa?

– Czy jest coś złego w tym, że chcę, by mój lud się bogacił, a żywność i lekarstwa były powszechnie dostępne?

– Nie, to dobrze... – odpowiadam z wahaniem.

– Uważasz mnie za chciwca?

– Tego nie powiedziałam...

– Czasami można się wiele domyślić z tego, co niewypowiedziane – ripostuje Merek i wypija długi łyk wina.

– Bogactwo nie ocaliło Tallith przed upadkiem – mówię cicho.

Merek przez chwilę wygląda tak, jakby był myślami gdzieś daleko i odkłada na talerz nietkniętą ostrygę.

– To prawda. Widziałem ruiny starego zamku w Tallith. Właśnie tam znalazłem monetę, którą podarowałem matce.

– Jak tam jest? – pytam, rozpaczliwie próbując rozluźnić narosłe między nami napięcie.

Merek podnosi z talerza ostrygę i wpatruje się w nią przez chwilę, by zaraz odłożyć nietkniętą na talerz.

– Ponuro i samotnie. Trudno uwierzyć, że przed pięciuset zniwami Tallith było centrum świata. Zamek jest w ruinie. Pozostała z niego tylko jedna wieża i dwie ściany sali wielkiej. Resztę pochłonęło morze albo zarósł las. Poza szczątkami Sali Luster.

– Nic poza tym nie ocalało? – Nie wiem, dlaczego myśl o ruinie zamku przyprawia mnie o dreszcz. Jak całe królestwo może wymrzeć? Jak Bóstwa mogły całkowicie o nim zapomnieć? Znowu wspominam polowanie i lorda Benneli i z moich ust wrywa się nieproszone pytanie.

– Czy znalazłeś jakiś ślad Śpiącego Księcia?

Merek niecierpliwie mruży oczy.

– Ty też, Twyllo...? To tylko bajka.

Odpycham od siebie talerz na tyle mocno, by zachłapać obrus maślanym sosem.

– Nie chodziło mi o bajkę, tylko o historię Tallith, która jest ponoć prawdziwa. – Niewiele pamiętam z historii, ale wiem, że legenda zawiera ziarno prawdy. Powiadają, że ostatni dziedzic królestwa zachorował i z tego właśnie powodu królestwo ostatecznie upadło.

– Wybacz mi, proszę – mówi Merek szczerze, nachylając się nad stołem. – Zachowałem się niestosownie. Masz oczywiście rację. Historia Tallith głosi, że następca tronu zapadł na dziwną chorobę, która wtrąciła go w długotrwały sen. Bez jego władzy i umiejętności pozwalających napełniać skarbiec, w kraj wkradła się anarchia i królestwo zniszczyły wojny. Tak powiadają. – Merek znów napił się wina. – Ale morał tej historii nas nie dotyczy – dodaje.

– Lormere nigdy nie będzie takie jak Tallith, Twyllo. Przede wszystkim obawiam się, że nie będziemy nigdy tak bogaci. Udało nam się jednak dotąd przetrwać bez alchemii i myślę, że jej tajemnice nie są nam bezwzględnie potrzebne. Ja naprawdę chcę tego, co najlepsze dla Lormere i gotów jestem o to

walczyć – mówi i przygląda mi się badawczo. – Powiedziałem ci już, czego się nauczyłem w ciągu tych dwóch żniw. Teraz twoja kolej.

– Śpiewałam i wykonywałam moją powinność jako Daunen – odpowiadam po chwili milczenia.

– To wszystko? Nie uczyłaś się dworskich rozrywek, jak taniec czy gra na harfie? Nie uczyłaś się czytać?

– Nie miałam na to wiele czasu – odpowiadam i Merek marszczy brwi.

– Oczywiście, przepraszam. Domyślałam się, że karanie zdrajców jest czasochłonne. Dobrze, że chociaż w tym miesiącu nie musiałaś nikogo stracić. Na razie.

Zaciska szczęki i jego twarz przybiera gniewny wyraz, a ja czuję na policzkach palący rumieniec.

Księżę wzdycha i odsuwa talerz.

– Znów muszę cię prosić o wybaczenie. – Sięga po karafkę i dolewa sobie wina. – Co się stało z tymi dziećmi, które śmiały się wesoło na widok niesionych wiatrem dmuchawców? Myślisz, że zniknęły już na zawsze?

Nie jestem w stanie spojrzeć mu w oczy.

Po chwili Merek znów pstryka palcami i zjawia się Lief, by zabrać nasze talerze. Zastanawiam się, czy skarci mnie później za to, że nie tknęłam ostryg. Po chwili wraca z potrawką z gołębia, kopru, szalotek i pasternaku w gęstym sosie.

Merek nie odzywa się i nie patrzy na mnie. Zamiast tego metodycznie kroi i pałaszuje posiłek, pomiędzy kęsami popijając z pucharu wino. Idę za jego przykładem i jestem wdzięczna, że mam na czym skupić uwagę. Kiedy księżę odkłada nóż, robię to samo, choć na moim talerzu pozostało jeszcze sporo jedzenia.

– Chcesz, żebym wyszedł?

– Wasza Wysokość?

– Merek! Prosiłem, byś mówiła mi po imieniu. Skoro już musisz uważać na słowa w mojej obecności, wyświadczy mi prośbę grzeczność i używaj mojego imienia. Zostaniesz przecież moją żoną. Mów mi Merek.

W połowie jego nagłego wybuchu do komnaty zagląda Lief, po czym natychmiast wychodzi, zamykając za sobą drzwi. Zastanawiam się, ile zdążył usłyszeć.

– Przepraszam, nie wiem... – próbuję tłumaczyć.

– Czego nie wiesz? Jak ze mną rozmawiać? Mów wprost. Chciałbym, żebyś czuła się swobodna. Jesteśmy przecież zaręczeni, prawda? Powinniśmy więc rozmawiać i zwierzać się sobie wzajemnie. Na litość Bóstw, powinniśmy przynosić sobie wzajemnie pociechę! Wiem, na czym polega rola Daunen, Twyllo. Czytałem o niej i wiem, czym się zajmujesz.

Kiwam głową i żałuję, że nie poprosiłam go, by wyszedł. Nie chcę o tym rozmawiać. Ani z księciem, ani z nikim innym.

– Nienawidzisz tego – mówi twierdzącym tonem, zmuszając mnie do podniesienia wzroku. – Nienawidzisz być katem. Nie mogę cię za to winić. Matka mówiła mi, że wykonujesz egzekucje i że tego nie znosisz. Dobrze o tym wie.

Słucham go z zaskoczeniem. Od czasu śmierci Tyreka nie rozmawiałam z nikim o mojej roli i byłam pewna, że w żaden sposób nie zdradziłam nikomu swoich uczuć.

– Poprosiłem, by przestała cię do tego zmuszać – jego wyznanie zaskakuje mnie i wpatruję się w Merekę szeroko otwartymi oczyma. – Nie zgodzi się na to aż do naszego ślubu. Wiem, że to jedna z powinności Daunen, ale... – księżę urywa nagle i nachyla się nad stołem z otwartymi ustami. Potem kręci głową i nie dowiaduję się już, co chciał powiedzieć. Zamiast tego podnosi puchar. – Nie czuj się winna. Ci ludzie to zdrajcy. Jako para królewska będziemy musieli czasem wydawać wyroki śmierci.

– Wiem – odpowiadam nie od razu. – Wiem, ale... Nie o to chodzi. W każdym razie nie tylko o to.

– W takim razie o co?

– Czy to grzech? – pytam ostrożnie. – Czy odebranie komuś życia nie jest grzechem bez względu na okoliczności?

– Nie rozumiem.

– Kiedy moja matka Zjadała grzechy poprzedniego kata królowej, podano jej wronę, symbol grzechu morderstwa. Nie chcę, by moja siostra musiała... – nie kończę zdania i zasłaniam usta pucharem.

– Nie chcesz, by twoja siostra musiała Zjeść wronę – mówi Merek, a ja kiwam tylko głową.

– Nie chcę, by musiała to robić. – Sama nie jestem pewna, czy chodzi mi o wronę, czy o Zjedanie Grzechów w ogóle.

Rozmowa o Maryl zawsze jest dla mnie bolesna, podobnie jak samo wspomnianie jej. Zawsze była bliżej związana ze mną niż z naszą matką. Podczas burzy to ja ją przytulałam i usypiałam, gdy dygotała ze strachu. To ja opatrywałam jej skaleczenia i wyciągałam drzazgi, ja nacierałam jej ząbkujące dziąsła olejkami z goździków i ja zaplatałam jej loki wokół twarzy. Moja siostrzyczka była śliczna ze swoimi jasnymi loczkami i słodkim uśmiechem naznaczonym przerwą między górnymi zębami. Była słońcem, szczęściem i radością, i przez pierwszy rok w zamku płakałam z tęsknoty za nią. I tylko ze względu na nią potrafię znieść to, czego wymaga ode mnie królowa.

– Tęsknisz za siostrą i matką? – pyta Merek.

Nie od razu znajduję słowa odpowiedzi.

– Dla mojej matki najważniejsze było zawsze Zjedanie Grzechów i najczęściej troszczyłyśmy się o siebie same. Kiedy matka nie pracowała, zamykała się w swoim pokoju i rozmyślała o wszystkich grzechach, które przyszło jej nosić.

Mówiąc to myślę o wieśniakach, którzy na nasz widok prostowali małe i wskazujące palce, by odegnąć zły los. Pamiętam spojrzenia innych dzieci, których rodzice odciągali od zabaw z nami. Przypominam sobie noc narodzin mojej siostry i znachorkę, która nie zgodziła się do nas przyjść. To ja musiałam pomóc matce urodzić. Pamiętam krew i smród odchodów, i ryki mojej matki, przypominające głos jelenia na rykowisku. Nigdy nie zapomnę, jak jej uda drżały spazmatycznie w przysiadzie i jak wyciągnęłam ręce by ją złapać Maryl, kiedy wydostała się z brzucha matki. To moją twarz zobaczyła jako pierwszą i to ja obmyłam jej twarz i główkę z resztek poporodowego czepka, a teraz... Teraz nie jestem pewna, czy rozpoznałabym w tłumie jej twarz. Zostawiłam ją. Zrobiłam to, by zapewnić rodzinie pieniądze i wyżywienia, ale zostawiłam ją w domu, a to oznaczało, że Maryl musi zostać następną zjadaczką grzechów. To ja powinnam była zająć jej miejsce, ale odeszłam i zostawiłam ją. Moja matka przynajmniej została z córką.

– Moja siostra ma zadanie do wykonania – mówię w końcu. – Jej rola jest jej życiem.

Merek patrzy na mnie uważnie, kiwając głową.

– Czy nie mówiłem, że jesteśmy do siebie podobni?

– Życiem twojej matki jesteś ty – mówię. – Wiesz przecież, że matka cię uwielbia i żyje dla ciebie.

– Na pewno próbuje – przekręca moje słowa Merek.

– Nie o to...

– Wiem, o co ci chodziło. – Księżę podnosi puchar i marszczy brwi widząc, że naczynie jest puste.

– Jak ma na imię twój strażnik?

– Lief.

– Lief! – woła księżę i strażnik otwiera drzwi, patrząc na księcia z uprzejmie pytającym wyrazem twarzy.

– Skończyliśmy już jeść, posprzątaj tu. Masz ochotę na deser, Twyllo?

Kręcę głową w milczeniu, wstydząc się tego, jak księżę zwraca się do Lief.

– Posprzątaj talerze. I więcej wina.

Czuję, jak Lief najeża się na jego słowa, ale Merek wyraźnie tego nie zauważa. Kiedy talerze zostają sprzątnięte, a wino w karafkach uzupełnione, księżę znów unosi kielich.

– O czym marzysz, Twyllo?

– Ja... nie marzę o niczym. Mam wszystko, czego mi trzeba.

– Nie wierzę. Musisz mieć jakieś marzenia. Każdy je ma.

– Chciałabym... chciałabym być szczęśliwa – mówię i natychmiast uświadamiam sobie, że moje słowa brzmią głupio. Jednak ku mojemu zaskoczeniu Merek kiwa głową, a kącik jego ust wykrzywia uśmiech.

– Ja też. Ja też chcę być szczęśliwy.

Książę nie zostaje długo i nie rozmawiamy już o śmierci ani o marzeniach. Zamiast tego opowiada mi o swoich rysunkach i o lekcjach, jakie odebrał w dzieciństwie. Ja z kolei opowiadam mu o moich obawach o zdrowie Dorina i książę obiecuje upewnić się, że mój strażnik ma stosowną opiekę. Teraz łatwiej jest mi z nim rozmawiać i myślę, że jeżeli tak będzie wyglądało nasze małżeństwo, zniosę rolę żony bez trudu. Merek dopija wino i wzywa Lief, każąc mu posłać po swą eskortę i po służbę, która zabierze z mojej komnaty stół i krzesła.

Stoimy obok siebie w ciszy, patrząc jak służące uwijają się z pucharami, świecznikami i wazonem. Dwaj strażnicy z eskorty Mereka wynoszą stół i krzesła, a potem wracają, by wraz z Liefem ustawić biurko z powrotem pod oknem. Kończą pracę i czekają na rozkazy księcia.

– Zaczekajcie na zewnątrz – rozkazuje Merek i strażnicy wychodzą wraz z Liefem.

– Spędziłaś miły wieczór, Twyllo? – pyta książę.

– Tak, Mereku.

– Kłamiesz – mówi łagodnie. – Ale z czasem będzie łatwiej.

Kłania się i wychodzi, a ja patrzę w otwarte na oścież drzwi i mam nadzieję, że ma rację.

Do komnaty wchodzi Lief i odciąga zasłony mojego łóżka, po czym jak zwykle przygotowuje pościel i zapala świecę na nocnym stoliku, ale jego ruchy są szorstkie, wręcz agresywne.

– Dziękuję – odzywam się cicho.

– Pani – odpowiada mrukiwie Lief.

– Czy... wszystko w porządku?

– W najlepszym, pani – odpowiada sztywno.

Patrzę, jak wstrząsa pierzyną, jakby śmiertelnie go obraziła.

– Przykro mi, jeżeli wydał ci się nieuprzejmy – mówię. – Całe życie miał wokół siebie służących i stali się dla niego niewidzialni.

Nie powinnam była tego mówić i Lief gniewnie potrząsa głową.

– Niewidzialni? Wiem, że on jest księciem, a ja strażnikiem, ale jestem taką samą ludzką istotą, jak i on. Poza tytułami nie różnimy się niczym.

– Lief, nie możesz tak mówić.

– Chętnie powiedziałbym więcej – mamrocze. – Przepraszam. Wiem, że to twój narzeczony.

– Nie dlatego nie wolno ci tak mówić. On jest namaszczonego księciem i pewnego dnia zostanie królem. Królowa rozgniewałaby się, gdyby usłyszała, co powiedziałaś.

– Powiedzieć, że ktoś jest świnią bez odrobiny manier to jeszcze nie zdrada – odpowiada Lief.

Jeżeli nie nauczy się trzymać języka za zębami, ściągnie na siebie śmierć, a ten, komu przyjdzie Zjeść jego grzechy nabawi się bólu żołądka od nadmiaru gniewnego aframonu. Pod warunkiem, że ktoś w ogóle zadba o Zjedzenie jego grzechów.

– Musisz się nauczyć kontrolować gniew, Lief.

– Potrafię się kontrolować.

– Nie, nie potrafisz. Nazwałeś księcia świnią.

– To dlatego, że nią jest.

– Gdyby królowa...

– A, ona... – mówi lekceważąco Lief, a mnie wprost opada szczęka.

– Uważaj, Lief – mówię powoli. – Stąpasz po kruchym lodzie. Mówiłam ci o lordzie, który zginął za nieposłuszeństwo wobec królowej, ale nie powiedziałam ci, jak do tego doszło. Królowa kazała poszczuć go psami. Kazała mu odejść przez las i posłała za nim psy, i to za to, że ośmielił się szeptać, kiedy śpiewałam. Rozdarły go na strzępy, a my wszyscy musieliśmy tego słuchać. Słyszeliśmy każdy krzyk, każdy trzask kości i... każdy odgłos. Wiesz, co mi wtedy powiedziała? Kazała mi śpiewać głośniej, żeby zagłuszyć jego wrzaski.

Lief otwiera usta i ponownie je zamyka, a zuchwałstwo opuszcza go z każdym moim słowem.

– Wiesz, kim jestem i co potrafię. Chcesz, bym cię dotknęła, gdy będziesz siedział przywiązany do krzesła? Chcesz, żebym z rozkazu królowej odebrała ci życie za zdradę? Straciłam w ten sposób jedyne przyjaciela, bo dopuścił się zdrady Lormere. I ty możesz być następny, jeżeli nie będziesz ostrożny. Twoja lekkomyślność może cię zgubić. Ja jestem jedną z nich, Lief. Jestem narzeczoną księcia.

Kiedy kończę, oddech rwie mi się ciężko w piersi, a skórę pokrywa rumieniec. Lief patrzy na mnie jak na potwora, którym godzę się być, jeżeli to go przekona. Kłania się i wychodzi z komnaty bez słowa.



Chyba w końcu udało mi się przekonać Lief, ale w rezultacie stał się takim strażnikiem, jakim powinien być od początku.

– Jakież wieści o stanie zdrowia Dorina? – próbuję przywrócić naszą przyjaźń do życia powszednimi pytaniami, ale Lief nie odwraca się nawet od paleniska, gdzie zajęty jest układaniem stosu drewna na opał.

– Jego stan pozostaje bez zmian. Uzdrowiciele robią, co w ich mocy, pani.

– Przekazał dla mnie jakąś wiadomość?

– Nie, pani.

– Powiedz służącym, by przekazali mu moje pozdrowienia. Chcę, żeby wiedział, że o nim myślę.

– Tak, pani. Coś jeszcze? – odwraca się i patrzy na mnie pustym wzrokiem. Zaprzeczam ruchem głowy i wzdrygam się, kiedy za Liefem zamykają się drzwi.

Jego zachowanie sprawia mi ból. Co gorsza czuję się jak hipokrytka za to, że kazałam mu nauczyć się kontrolować gniew, który sama ciągle odczuwam – na moją matkę, na królową, na Dorina i Tyreka. Gniewam się na siebie samą, a czasem nawet na Bóstwa. Bardzo ich potrzebuję, a nie czuję w komnacie ich obecności. Czego mogą ode mnie chcieć? Czego próbują mnie nauczyć?

– Naszą rzeczą nie jest kwestionować poczynań Bóstw – powiedziała mi kiedyś matka. – Daeg daje życie, kiedy uważa to za słuszne, a Naeht odbiera je, bo kieruje nią nieskończona zazdrość. Tylko Bóstwa znają tajemnicę równowagi naszych żywotów, a ich działania zataczają idealne kręgi. Nie mamy rozumieć ich decyzji, a jedynie przyjmować je jako wolę Bóstw.

Wielokrotnie prosiłam Bóstwa o przebaczenie za mój gniew, ale nadal myślę, że zjadaczka grzechów jeść będzie aframon nie tylko po śmierci Lief. Wiem, że Lief musiał zrozumieć, jak działa królewski dwór, choć konsekwencje tej wiedzy są dla mnie bolesne. Nie mogę zabić drugiego przyjaciela. Nie przeżyłabym tego.

Stoję w komnacie i ubieram się, śpiewając *Balladę o Lormere*. Mój głos jest dziwnie zduszony, a widok kłębow czarnego dymu za oknem wcale mi nie pomaga. Kolejny stos pogrzebowy. Nie wiem, kto zginął i dlaczego, ale modlę się, by zasnął spokoju, który mnie ostatnio opuścił. Rozlega się pukanie do drzwi i mam nadzieję zobaczyć za nimi Lief, ale zamiast niego staje przede mną obcy strażnik. Ma pobladłą twarz, a kąciki jego ust wyrażają odrazę. Mówi mi, że królowa rozkazała mnie przyprowadzić. Czuję nagły przypływ nadziei, że królowa przydzieliła mi w końcu nowego strażnika i moje odosobnienia wkrótce się skończy, ale wyraz jego twarzy przekonuje mnie, że się mylę. Królowa ewidentnie nie kłamała mówiąc, że nie ma już strażników gotowych mnie strzec. Zastanawiam się, co takiego zrobił ten nieszczęśnik, któremu nakazano mnie eskortować. Może wyciągnął najkrótszą słomkę albo czymś mu zagroźono? Naraz uświadamiam sobie, że jest sam i nagle wzbiera we mnie panika. To dlatego wezwała mnie królowa. Lief zrezygnował. Opuścił mnie. Zbyt wiele od niego wymagałam i w końcu go straciłam.

– Gdzie mój drugi strażnik? – pytam drżącym głosem.

– Tutaj – woła Lief, biegiem pokonując ostatnie stopnie. – Wybacz mi, pani. Ostrzyłem właśnie

miecz.

Ulga, której doświadczam na jego widok bardzo mnie zaskakuje.

Idziemy pogrążonymi w ciszy korytarzami, ale cisza nie przynosi spokoju. Wszędzie unosi się odór palonego w ogniu ciała, który w okropny sposób kojarzy się z zapachem pieczonego na rożnie prosięcia. W powietrzu daje się wyczuć coś jeszcze, czego nie tłumi nawet odór ciepłopalenia. Wzbijany moimi krokami kurz tańczy w promieniach jasno świecącego słońca, ale mam wrażenie, że cały zamek wstrzymał oddech.

Z przyzwyczajenia skręcam ku długiej galerii, ale przysłany przez królową strażnik nie skręca wraz ze mną i staje mi na drodze. Wszystko odbywa się zbyt szybko, bym miała czas się zatrzymać. Lief okazuje się jednak szybszy od nas obojga i odpycha strażnika z drogi, o włos ratując go od dotknięcia mnie. Wpadam na ścianę, w szoku i bez tchu, a strażnik dobywa miecza i wskazuje Lief'a sztychem.

– Jak śmiesz... – mówi, ale Lief staje tuż przed jego twarzą.

– Chcesz umrzeć, głupcze? – syczy.

Przerażony strażnik chowa miecz do pochwy, ale Lief jeszcze nie skończył mówić. Dłonie ma zaciśnięte w pięści, a jego ramiona drżą z chęci uderzenia nieostrożnego mężczyzny.

– Jakim trzeba być idiota, by nie wiedzieć, jak eskortuje się damę? Szczególnie tę damę? Do królewskich komnat skręca się na południe. Gdybym cię nie ocalił, ten jeden błąd kosztowałby cię życie. Leżałbyś teraz na podłodze w drgawkach, zdychając jak otruty szczur.

Strażnik patrzy to na mnie, to na Lief'a. Zaciskam dłonie z przerażenia i nadal nie mogę złapać tchu. Wszystko odbyło się tak szybko, tak niewiele brakowało...

– Proszę o wybaczenie – mówi strażnik słabym głosem.

– Dlaczego nie skręciłeś? – chce wiedzieć Lief.

Strażnik kręci głową.

– Ja... nie idziemy dziś do królewskich komnat, tylko do Wielkiej Sali.

– Dlaczego? – udaje mi się wykrztusić przez zaciśnięte gardło. – Mówiłeś przecież, że królowa chce mnie widzieć.

– Tak, pani, w Wielkiej Sali. Czeka tam cały dwór.

– Na co? I dlaczego nie wspomniałeś o tym wcześniej? – dopytuje się Lief.

– Myślałem, że wiesz, pani – odpowiada strażnik, a Lief kręci głową w zdumieniu. – W Wielkiej Sali odbywa się proces. Jedna z dam dworu została oskarżona o zdradę.

Mój żołądek zaciska się w węzeł i wymieniam spojrzenia z Liefem. W jego wzroku nie ma już ani odrobiny formalności. Patrzymy na siebie długo, zbyt długo, oboje zaskoczeni i wystraszeni. W końcu Lief kiwa głową i odzyskuje kontrolę, zajmując swe miejsce po mojej lewej stronie.

– W takim razie chodźmy – mówi ponuro i czeka, aż drugi strażnik stanie po mojej prawej ręce, zachowując niezręcznie dużą odległość. Uświadamiam sobie, że choć Merek mógłby mnie dotknąć bez żadnego ryzyka, zawsze zachowuje dystans i nigdy nie ryzykuje najmniejszego kontaktu. Z kolei Lief często znajduje się niebezpiecznie blisko, czasem nawet o cal lub dwa ode mnie.

Nie bez zaskoczenia uświadamiam sobie, że mi się to podoba.

Stoły w Wielkiej Sali odsunięto pod ściany, a w kominku nie płonie ogień. Dworzanie zasiadają na ustawionych w rzędy ławach. Tworzą galerię pobielających jak wosk twarzy, zwróconych ku podwyższeniu, na którym król, królowa i książę zajmują swe miejsca na rzeźbionych fotelach. Rozglądając się za wolnym miejscem zauważam, że wyraźnie rozgniewany król coś mówi, a królowa powoli kręci głową. W końcu odwraca się i królowa wlepia w niego ostry wzrok, a potem przenosi spojrzenie na księcia, ale i on odwraca głowę.

Lief wraz z pozostałym strażnikiem stają z tyłu sali. Po prawej stronie zgromadzili się służący,

paziowie i podkuchenni. Zauważam też Rulfa i natychmiast ogarnia mnie poczucie winy. W Wielkiej Sali zgromadził się cały dwór.

Merek przygląda mi się ze zmarszczonymi brwiami, po czym nachyla się do królowej i szepcze coś, ale jedyną odpowiedzią jest przeczące kręcenie głową. Król znowu zaczyna coś mówić, ale królowa wyraźnie pozostaje niewzruszona. Obaj mężczyźni rezygnują, a król zagryza wargę. Nigdy dotąd nie widziałam go tak rozgniewanego. Merek patrzy na mnie przez chwilę i niemal niezauważalnie wzrusza ramionami, a potem szybko odwraca wzrok. Widzę, że królowa zauważyła moją obecność i szybko siadam na wolnym miejscu z tyłu sali, obok lady Shasty.

Shasta blednie na mój widok i odsuwa się jak najdalej, aż pomiędzy nami dałoby się zmieścić jeszcze z sześć osób. Widzę, jak chwyta za łokieć męża, który opiekuńczym gestem obejmuje ją w talii. Zamykam oczy. Nie wiem, kto staje przed królewskim sądem, ale skoro padło oskarżenie o zdradę, rola kata przypadnie mnie. Za dwa tygodnie, po następnym Zwierzeniu, przyjdzie mi znowu zabić.

Kiedy otwieram oczy, królowa już stoi i lustruje wzrokiem zebranych. Nie tylko ja opuszczam głowę i garbię ramiona. Zadowolona z inspekcji królowa lekko kiwa głową. Drzwi do Wielkiej Sali otwierają się i wchodzą dwaj strażnicy, prowadząc na łańcuchach psy. Pośród nich idzie szlochająca cicho kobieta.

Wszystkich zebranych przebiega dreszcz, lady Shasta głośno wzdycha, a jej mąż zaciska dłoń na jej talii tak mocno, że aż bieleją mu kostki palców. Szlochającą kobietą jest lady Lorelle.

Jej oczy przypominają dwie czarne dziury w bladej twarzy, a dłonie ma splecione, jakby błagała królową o łaskę. Nie jest związana, bo obecność psów wyklucza próbę ucieczki. Szukam wzrokiem jej męża, lorda Lammosa, ale nie mogę go znaleźć. Musi gdzieś tu być wraz z resztą dworzan, ale wiem, że nawet miłość do żony nie skłoni go do przeciwstawienia się królowej.

Oskarżona staje przed obliczem królowej, która przygląda jej się bez śladu litości w oczach, jakby nie rozpoznawała w niej starej przyjaciółki. Wszyscy wstrzymujemy oddech i czekamy na zarzuty.

– Stajesz dziś przede mną pod zarzutem zdrady królestwa Lormere – mówi królowa. – Jeżeli zostaniesz uznana za winną, wyrokiem będzie śmierć, a grzechy twojej duszy nie zostaną Zjedzone.

Lorelle wydaje z siebie rozdzierający jęk i jeden z psów zaczyna gardłowo warczeć. Krew ścina mi się w żyłach i patrzę na Mereka, ale zarówno księżę, jak i król wpatrują się w stół.

– Uznaję cię winną – mówi cicho królowa, jak dziewczynka powierzająca tajemnicę najlepszej przyjaciółce.

Przez tłum przebiega dreszcz. Jest jak zaraźliwa choroba, roznoszona po sali spojrzeniami. Węzeł mojego żołądka zaciska się ciśniej. Słyszę za sobą jakiś odgłos i oglądam się. Lief trzyma dłoń na rękojeści miecza.

Królowa znów się odzywa i szybko odwracam się twarzą ku niej, by nagły ruch Lief'a nie przypomniał jej, że jestem na sali. Ale królowa widzi tylko swoją dawną przyjaciółkę, która dygocze przed nią ze strachu, oskarżona o straszny czyn.

– Jako zdrajczyni zginiesz śmiercią zdrajców. Po następnej...

– Helewys, błagam! – łka lady Lorelle. – Przecież... wychowywałyśmy się razem! Nie zrobiłam nic złego... myślałam, że jest za późno, że jestem już za stara... Nie wiedziałam...

– Po następnym Zwierzeniu zostaniesz odprowadzona do Komnaty Świtu – królowa podnosi głos, by zagłuszyć prośby skazanej. – Zostaniesz stracona za zbrodnie przeciw tronowi Lormere. Niech Bóstwa zlitują się nad twoją duszą.

– Nie – mówi cicho zdecydowany głos.

Wszyscy się rozglądają i po sekundzie uświadamiam sobie, że głos należy do króla.

– Nie, Helewys – powtarza król i wstaje z miejsca, a oczy wszystkich dworzan spoczywają na nim. Merek przygląda się ojczymowi z nieodgadnionym wyrazem twarzy, a królowa powoli odwraca się do męża.

– Śmiesz mi się przeciwstawiać? – Echo jej szeptu niesie się po całej sali.

– To nie jest zdrada, Helewys – odpowiada król. – To dar Bóstw.

Królowa wbija wzrok w jego twarz, a ja nagle rozumiem, jakiej to zbrodni dopuściła się lady Lorelle: zaszła w ciążę i urodzi dziecko lorda Lammosa. Ostatnim dzieckiem urodzonym na królewskim dworze była Alianor i od czasu jej śmierci nikt nie odważył się począć nowego życia. Niepisane porozumienie pomiędzy damami dworu głosiło, że skoro królowa nie może zająć w ciążę, żadna z nich również się na to nie zdecyduje.

Chciała, bym odebrała za to życie lady Lorelle i jej nienarodzonemu dziecku. Nie mogłabym... nie, nie mogłabym zabić dziecka.

– Ona jest zdrajczynią i skazuję ją na śmierć – powtarza królowa.

– A ja ją ułaskawiam. Lady Lorelle, zostałaś ułaskawiona – mówi król zdecydowanym tonem, a ja nie mogę oderwać wzroku od królewskiej pary. Twarz królowej poczerwieniała, a ramiona króla unoszą się ciężko, jakby przebiegł przed chwilą wiele mil. Nigdy, przenigdy nie przewidziałabym podobnego rozwoju wypadków, a twarze dworzan zdradzają mi, że nie tylko ja jestem zaskoczona.

– Nie możesz... – mówi królowa, ale mąż jej przerywa.

– Jestem królem. Mogę – odpowiada i klęka u stóp żony.

Z zaskoczenia nie potrafię stłumić gwałtownego westchnienia i widzę, że jego gest zrobił podobne wrażenie na wszystkich zebranych. Istnieje stary zwyczaj, wedle którego królowa ma prawo błagać króla o łaskę dla skazanego. Za mojej pamięci nigdy go nie stosowano, a już na pewno król nigdy nie klękał przed królową. Na moich oczach tworzona jest historia królestwa.

Król podnosi wzrok na żonę i rozkłada ramiona.

– Proszę cię, Helewys. Okaż łaskę i oszczędź jej życie.

– Sprzeciwiasz mi się? – pyta królowa, a w jej głosie brzmi autentyczne zaciekawienie.

– W tym wypadku tak. – Król pochyla głowę. – Nie zgadzam się, by karą za poczęcie dziecka miała być śmierć.

Królowa patrzy na niego z mieszaniną gniewu i odrazy, po czym wychodzi z sali królewskimi drzwiami, prowadzącymi do jej komnat. Król wstaje powoli i odwraca się twarzą do zebranych.

– Zabierz je stąd – rozkazuje Mistrzowi Psów. Mężczyzna waha się przez chwilę, patrząc w ślad za królową, po czym wyprowadza bestie. Potem król zwraca się ku lady Lorelle, w końcu bezpiecznej w ramionach męża.

– Lordzie Lammos, jeszcze dziś wieczorem zabierzesz lady Lorelle z zamku. Konie będą przygotowane. Wracajcie do Hagi, do swoich włości.

Lord Lammos wyjąkuje podziękowania, a jego żona nie przestaje szlochać i trzymać się męża drżącymi rękami. Razem opuszczają salę.

Król ignoruje zaskoczony tłum dworzan i wychodzi z sali w ślad za królową. Jego ramiona są obwisłe jak po wielkim wysiłku i zatrzymuje się tylko po to, by ucisnąć rękę Mereka. Księżę wstaje i nasze spojrzenia się spotykają. Widzę, jak pytająco unosi brwi, a potem opuszcza salę za matką i ojczymem.

Gdy tylko zamykają się za nim drzwi, na sali odzywa się szmer rozmów.

– Wybacz mi zuchwałość pani, ale powinniśmy stąd wyjść – mówi prędko Lief.

Kiwam głową, w oszołomieniu nie mogąc wykrztusić słowa i ruszam za moim strażnikiem. Król przeciwstawił się królowej i wygrał. Przyglądam się Liefowi, by spróbować odgadnąć jego myśli i zauważam w jego wzroku gorączkowy błysk. Idzie szybko i z trudem tylko dotrzymuję mu kroku.

– Co z drugim strażnikiem? – pytam.

– Zapomnij o nim, to teraz nieważne. W lewo.

Zatrzymuję się w miejscu.

– Dokąd idziemy?

– Zobaczyć się z Dorinem, póki mamy szansę.

– Nie wolno nam...

– Drugi strażnik raczej nie przyzna się królowej, że stracił cię z oczu, prawda? Jeżeli chcesz odwiedzić Dorina, teraz masz na to szansę.

Przez chwilę rozważam jego ofertę, a potem kiwam głową.

– Musimy się spieszyć.

Jesteśmy już w trzewiach zamku, gdy Lief zatrzymuje się i zamyka za nami drzwi.

– Zaczekaj. Jestem ci winien kolejne przeprosiny... Tym razem ich nie spisałem, więc będziesz musiała uwierzyć mi na słowo.

– Nie teraz, Lief...

– Proszę. Ja... chcę, żebyś wiedziała, dlaczego tak się zachowuję. Nie przywykłem do bycia służącym. Zawsze byłem panem samego siebie – wzrusza ramionami i patrzy w górę, jakby zbierał myśli. – Urodziłem się w gospodarstwie, które odziedziczyłem, gdy mój ojciec niespodziewanie zmarł. Miałem na utrzymaniu matkę i młodszą siostrę, a nie potrafiłem związać końca z końcem. Dlatego przybyłem tutaj. Zrządzenie losu sprawiło, że potrzebowałeś akurat nowego strażnika, a ja zjawiłem się w dniu, kiedy sprawdzano umiejętności kandydatów do tej roli. Wiem, że popełniam błędy, ale staram się, pani. Naprawdę się staram.

Przyglądam mu się i czuję, jak strach i litość walczą we mnie o lepsze.

– Dlaczego teraz mi o tym mówisz?

– Ponieważ zasługujesz na wyjaśnienia – odpowiada po chwili Lief, uśmiechając się wstydliwie. – Ponieważ ze mną wytrzymujesz. Poza tym skoro króla stać na odwagę, to mnie też.

– Co przez to rozumiesz?

– Zabiłaby tę kobietę, gdyby jej nie powstrzymał. Zmusiła by ciebie, żebyś ją zabił. I za co? Za to, że zaszła w ciążę? To miała być zbrodnia przeciw tronowi Lormere? Że udało jej się coś, do czego królowa nie była zdolna?

Zakrywam dłonią usta, jakbym to ja wypowiedziała jego słowa.

– Lief, nie możesz...

– Wiem, że nie mogę! Stale mi to powtarzasz i wiem, że masz rację. Nie rozumiem, jak udaje ci się to wszystko wytrzymywać.

– Skąd wiesz, że mi się udaje?

– Nigdy o tym nie wspominasz.

– Co nie znaczy, że o tym nie myślę. Modlę się całymi godzinami, prosząc Bóstwa, by pozwoliły mi to wszystko zrozumieć.

– Próbowalaś prosić, by Bóstwa coś w tej sprawie zrobiły? – pyta Lief i nie jestem pewna, czy sobie ze mnie nie drwi.

– Co mogą zrobić?

– Sam nie wiem. Może chcą, żebyś to ty coś zrobiła. Gdyby wszyscy na raz...

– Jak w Tregellanie? – pytam i Lief blednie na twarzy. – Uważasz, że powinniśmy wszcząć wojnę, której nie zdołamy wygrać? Dokonać zamachu stanu, zebrać resztę sił i zabić królową, króla i księcia? Sugerujesz, że rozwiązaniem jest zdrada?

– Nie – odpowiada natychmiast Lief. – Nie, nie to mam na myśli. Ale może udałoby się przedstawić jej sprawę w sposób racjonalny?

– Naprawdę myślisz, że nikt dotąd na to nie wpadł? Miałam czternaście żniw kiedy lord Grevlas zaplanował uprosić królową, by odprawiła psy. Miał ponoć wielu stronników, ale w końcu poprosił o wstawiennictwo niewłaściwą osobę, która natychmiast opowiedziała o wszystkim królowej. Pozostali stronnicy zrobili to samo. Gdyby działo się to rok później, straciłabym go własnoręcznie.

Lief odwraca wzrok, a potem powoli wypuszcza powietrze i rozluźnia zaciśnięte w pięści palce.

– Nie jesteś taka, jak oni – mówi, znowu patrząc mi w oczy.

– Jestem katem królowej, Lief.

– Dlatego, że cię do tego zmusza.

– To nie ma znaczenia...

– Dla mnie ma – odpowiada cicho. – Dla mnie ma to wielkie znaczenie.

W jego spojrzeniu jest coś tak przeszywającego, że na myśl przychodzi mi Merek. Żołądek zaciska mi się w supeł i muszę odwrócić wzrok.

– Nie istnieje żaden sposób, by zmienić rzeczywistość – odzywa się po chwili, tak cicho, że nie jestem pewna, czy zamierzał wypowiedzieć swe myśli na głos.

– Żaden – odpowiadam i widzę, jak Lief przymyka oczy. – Możemy tylko robić, co w naszej mocy i milczeć. Musimy być niewidzialni jak duchy, bo tylko w ten sposób można tutaj przeżyć. Być jak duch i schodzić królowej z drogi.

– Powinnaś stąd odejść.

– Nie mogę. Wiesz, kim jestem. W moich żyłach płynie trucizna, Lief, i tylko z woli Bóstw jeszcze mnie nie zabiła. Gdybym im się sprzeciwiła, gdybym spróbowała odejść byłabym martwa, zanim zdążyłabym opuścić zamek. Wybaczą moje wątpliwości tylko dlatego, że jestem śmiertelna i chcą sprawdzić moją wolę, ale nie wybaczą mojego odejścia. A nawet gdybym nie zginęła z woli Bóstw, wyręczyłaby je królowa. Sam o tym wiesz, widziałeś przed chwilą to samo, co ja. Zemściłaby się na mnie. Skrzywdziłaby moją siostrę, ciebie... zabiłaby cię tylko za to, że nie powstrzymałeś mnie przed ucieczką. Prawdopodobnie przed zabiciem mnie kazałaby mi zabić ciebie. I być może miałyby słusność, bo to byłaby zdrada, Lief.

– Nie słyszałem ani słowa – odpowiada cicho. – Ani słowa.

Kiwam głową, a Lief wpatruje się we mnie z zaciśniętymi ustami.

– Idź już – mówi. – Idź do Dorina, jest w komnacie na końcu korytarza. Zaczekam tutaj.

Po drodze mijam Komnatę Próby, ale nie jestem w stanie nawet spojrzeć na jej drzwi.

W komnacie Dorina panuje półmrok, rozświetlany jedynie przez blask świec płonących pod miedzianą misą. To z niej unosi się wypełniająca pomieszczenie woń cyprysu. Wyczuwam jeszcze coś, jakiś zapach, od którego cierpnie mi skóra. Dorin leży na sienniku w rogu i jego woskowa, wychudła twarz zdradza, że jest bardzo chory. W pierwszej chwili wydaje mi się, że śpi i odwracam się, by pozwolić mu odpoczywać.

– Co ty tu robisz, pani? – pyta ochrypłym głosem.

– Witaj, Dorin. Przyszłam sprawdzić, jak miewa się mój najbardziej zaufany strażnik.

– Dziękuję, że przyszłaś, pani, i przepraszam za kłopot. Wiem, że cię zawiodłem.

– Nigdy mnie nie zawiodłeś. Jak się czujesz?

– Każdego dnia inaczej, raz lepiej, a raz gorzej. Zapewniam cię, że za dzień lub dwa wrócę do moich obowiązków. Mogę tylko prosić cię o wybaczenie, że się tu w ogóle znalazłem.

Dorin wcale nie wygląda, jakby co dzień czuł się inaczej. Przypomina wychudłe i zmizerowane zwłoki. Gdybym nie wiedziała, że w komnacie nie ma nikogo innego, zapewne bym go nie poznała. Co mu dolega? Jaka choroba może w ciągu trzech tygodni zamienić człowieka w żywego trupa?

– Nie wątpię, że wrócisz – kłamię, uśmiechając się do niego. – Choć muszę przyznać, że Lief świetnie sobie radzi. Zostawiłeś mnie w dobrych rękach. Modlę się o twoje wyzdrowienie.

Dorin kiwa głową, a jego powieki trzepocą i uświadamiam sobie, że zaraz straci przytomność.

– Stuan, starczy na dziś tego piwa – bełkocze.

– Co...? – Dopiero po chwili przypominam sobie, skąd znam to imię. Stuan był moim strażnikiem. Odszedł po tym, jak zabiłam Tyreka. Nie służy w zamku od ponad dwóch zniw.

I nagle wiem, jaki zapach przebija spod woni cyprysu. To makowe łyzy.

Podają Dorinowi makowe łyzy.

Kiedy miałam dziewięć lat, wezwano nas do ratusza w Monkham. Zmarła matka burmistrza. Przeżyła osiemdziesiąt zimy i od dawna chorowała, więc jej śmierć nie jest niespodziewana. Cieszyłam się, że zobaczę ratusz, bo oczekiwałam luksusu podobnego do królewskiego zamku. Rzeczywistość okazała się jednak zupełnie inna. Budynek był mroczny, a pomieszczenie przygotowane do obrzędu Zjadania Grzechów cuchnęło czymś słodkim, co przypominało zgniliznę. Trumnę ustawiono w samym środku sali i burmistrz przygotował zydęł jedynie dla mojej matki. Stałam u jej boku i obserwowałam obrzęd. Uczta nie była obfita, ale pośrodku wieka trumny stało naczynie pełne śmietany przybrane gałązką rozmarynu. Moja matka jadła wszystko po kolei, ale starannie unikała śmietany, nie kosztując nawet łyżeczki. Zostawiła naczynie na sam koniec, gdy wszystkie inne pokarmy zostały już zjedzone. Byłam zaskoczona, gdy się do mnie odezwała.

– Wiesz, co to jest? – spytała.

Kiwnęłam głową, bojąc się powiedzieć choćby słowo. Moja matka nigdy nie odzywała się podczas obrzędu. Nigdy. Zawsze dotąd objaśniała mi szczegóły dopiero w domu, kiedy próbowałam oddychać ustami, by nie wdychać duszącego odoru jaśminu.

– To skwaśniała śmietana, Twyllo.

Zmarszczyłam brwi.

– Dlaczego?

– Oznacza ona, że kobieta straciła dziecko – padła odpowiedź.

Nie rozumiałam, o czym mówi. Utrata dziecka nie była grzechem. Wszyscy wiedzieli, że Bóstwa dają i odbierają wedle swej woli i czasem zdarzało się, że przywoływali do Wiecznego Królestw nienarodzone dzieci. Zjadaczki grzechów znają wszystkie tajemnice zmarłych. Na podstawie pokarmów przygotowanych na pośmierną ucztę można poznać całe życie człowieka i dowiedzieć się, kim był za życia. Widywałam już, jak moja matka jadła gotowane jajka za grzechy złodziei i końską wątrobę za zrzędów. Nigdy wcześniej nie widziałam jednak skwaśniałej śmietany.

– Utrata dziecka to nie grzech – powiedziałam.

– Grzechem jest wypić napar z ziół, który wywoła utratę dziecka – odparła matka. – Napar z poleju, krwawnika, berberysu... i rozmarynu. Skwaśniała śmietana oznacza skwaśniałe mleko życia. Jedynie Naeht ma prawo decydować, kiedy nadszedł kres życia. Nie może tego robić żaden człowiek.

Byłam zbyt mała, by ją zrozumieć i nadal jeszcze wpatrywałam się w trumnę, gdy moja matka wstała i ruszyła do wyjścia, nie tknąwszy skwaśniałej śmietany i nie wypowiedziawszy słów, które dopełniają obrzęd Zjadania Grzechów. Ruszyłam za nią, ale wtedy właśnie ktoś złapał mnie za nadgarstek.

Z mrocznego kąta sali wзираła trupia twarz mężczyzny, którego nos i usta pokrywały otwarte rany. Jego puste, czarne oczy były bezrozumne, a kościste palce ścisnęły mój nadgarstek z zaskakującą siłą. Cuchnął czymś ciężkim i słodkawym.

– Nie ma jej tam, tej wiedźmy – powiedział bełkotliwie, sącąc ślinę z kącików ust. – To wiedźma. Muszą ją spalić, inaczej wróci. Zabiła dziecko. Powtarzała „nie, nie, nie...”, ale i tak zrobiłem jej dziecko, a ona zabiła je magią.

Zaczęłam krzyczeć i do sali wbiegł burmistrz wraz z moją matką.

– Zostaw ją, tato – powiedział, ale stary człowiek trzymał mnie mocno.

– To wiedźma! – ryknął, a potem osunął się na podłogę i uwolnił mój nadgarstek. Burmistrz wyprowadził mnie z sali.

– Choruje na narośla – tłumaczył się przed moją matką, przepaszajaco wykręcając dłonie. – Dajemy mu makowe łyzy na ból. On nie wie, co mówi. Chciał tu być, żeby się pożegnać. Myślałem, że będzie milczał. Wybacz, wielmożna Zjadaczko...

– Co ci powiedział? – zapytała mnie matka.

– Że... że powtarzała „nie, nie”, ale on zrobił jej dziecko. I że była wiedźmą – powtórzyłam drżącym głosem.

Matka zmierzyła burmistrza wzrokiem, jakby oceniała pośmiertną uczkę, a potem cofnęła się do sali. Wróciła po chwili z miską skwaśniałej śmietany, którą wlała sobie do ust. Upuściła naczynie, które roztrzaskało się na ziemi.

– Odpoczywaj w pokoju, pani. Nie wracaj do nas drogami, nie wracaj łąkami. Za twój spokój zastawiam własną duszę – wypluła sakramentalne słowa, ani na chwilę nie spuszczając burmistrza z oka. – Na uczcie po twoim ojcu mają być oczy byka – powiedziała, a burmistrz gwałtownie wciągnął powietrze. – Nie zamierzam ich Zjadać. Nie wezmę na siebie tego grzechu.

Burmistrz chciał wręczyć jej srebrną monetę, ale moja matka jej nie przyjęła. Tylko ten jeden raz nie przyjęła zapłaty.

– Musimy iść, pani – mówi Lief i wracam myślami do terażniejszości, nadal czując na przedramieniu uścisk starca.

Lief zagląda do komnaty Dorina. Jedno spojrzenie na moją twarz wystarcza, by do połowy dobył miecza z pochwy.

– Pani...?

– Nic mi nie jest, Lief – uspokajam go, ale głos mi drży. – Ja tylko...

Lief przygląda się blademu Dorinowi, leżącemu niezgrabnie na sienniku.

– Zaczekaj na zewnątrz, pani. Spróbuję go wygodnie ułożyć.

Kiwam głową i z ulgą wychodzę z komnaty. Opieram się o wilgotną, kamienną ścianę i głęboko oddycham czystym powietrzem. Makowe łązy. Utracone dzieci i czające się w ciemności potwory. I grzech, którego moja matka nie zgodziła się przyjąć... Przeszywa mnie dreszcz i mam nadzieję, że uda mi się otrząsnąć ze wspomnień.

W komnacie Lief wprawnymi ruchami układa głowę Dorina na sienniku. Jest delikatny i zręczny i zastanawiam się, jak umarł jego ojciec.



– Jakie mamy plany na dziś, pani?

Wyglądam przez okno, a moje myśli wędrują pomiędzy Dorinem, królem i królową i samym Liefem. Jego pytanie wytrąca mnie z równowagi.

– My?

– Nie chcę się narzucać, ale pomyślałem, że... Skoro jesteśmy tu oboje, niemądrze byłoby nie skorzystać z towarzystwa. Oczywiście nie chcę nadużywać twojego towarzystwa, ale... gdybyś go szukała, jestem na miejscu.

– Zamierzałam się pomodlić – odpowiadam z uśmiechem.

– Aha – na twarzy Lief'a widać rozczarowanie. – W takim razie nie będę przeszkadzał. Nie ma potrzeby nadużywać uwagi Bóstw.

– Ty nie wierzysz w Bóstwa, prawda, Lief? – pytam, chcąc potwierdzić od dawna nurtujące mnie podejrzenia.

Kręci głową nie spuszczając ze mnie wzroku.

– Nie bardzo, pani.

– Czy wielu Tregellańczyków myśli tak jak ty?

– Tregellan jest inny niż Lormere – wzrusza ramionami Lief. – Rządzi tam rada, nie monarcha. Wiele wagi przywiązujemy do nauki i medycyny. Dla Bóstw pozostaje niewiele miejsca.

– Naprawdę nie dostrzegasz w lekach i osiągnięciach nauki życiodajnych darów Daega?

– W nauce dostrzegam osiągnięcia ludzi, pani. A Bóstwa nigdy nie odpowiedziały nawet na jedną z moich modlitw – dodaje gorzko, po czym kręci głową. – Wybacz mi, proszę. Nie powinienem tak mówić.

– Ależ nie, masz prawo do własnego zdania – odpowiadam, równie jak Lief zaskoczona swoimi słowami. – Bądź jednak ostrożny. Uważaj, z kim się nim dzielisz.

– A tutaj, z tobą? Jestem bezpieczny?

Potakuję ruchem głowy.

– Mimo że jesteś wcieleniem Bogini?

– Daunen jest córką Bóstw, ale sama nie jest Boginią.

Lief lekko wzrusza ramionami i uśmiecha się.

– Może dlatego właśnie lubię ją najbardziej.

Kiedy mieszkałam jeszcze z matką, zbudowałyśmy z siostrą w ogrodzie kryjówkę. Pracowicie wyłamywałyśmy gałęzie krzewu, by uzyskać wewnątrz pustą przestrzeń. Kiedy nasi bracia szli na targ a matka odpoczywała, wczołgiwałyśmy się do kryjówki, chowałyśmy nasze skarby wśród liści i opowiadałyśmy sobie historie. Nikt poza nami nie wiedział o kryjówce. Byłyśmy tam bezpieczne.

Teraz rolę kryjówki spełnia moja komnata. Lief i ja opowiadamy sobie w niej nasze historie. Rozmawiamy o dzieciństwie i wymieniamy anegdoty o dziecinnych przygodach i ludziach z naszych wiosek. Lief pyta o to, jak znalazłam się w zamku, a kiedy mu o tym opowiadam, jest pod wrażeniem.

- Być może i ja powinienem zostać wybrańcem Bóstw.
- Najpierw musiałbyś w nie uwierzyć – uśmiecham się.
- Mógłbym się tego nauczyć – odpowiada Lief, również się uśmiechając.

Potrafisz śpiewać?

Lief prostuje się na całą wysokość i kładzie dłoń na sercu.

Królestwo Lormere, królestwo wśród gór,
spośród ziem zachodu wybrane,
nie zniszczy ni śnieg, ni lód
potęgi jego wiecznotrwalej.

Nie potrafię powstrzymać uśmiechu. Lief jest fatalnym śpiewakiem.

– Co o tym myślisz, pani? – pyta mój strażnik po skończeniu pieśni.

– Myślę, że jesteś świetnym strażnikiem, Lief.

– Ranisz me uczucia – smutno pociąga nosem, po czym uśmiecha się szeroko. – Muszę przyznać, że nawet jako wybrańiec Bóstw nie chciałbym co miesiąc pić trucizny.

– Daunen jest córką dwojga Bóstw, z których jedno daje życie, a drugie je odbiera. Ja odbieram życie dla Naeht, która skradła niebo Daegowi.

Lief poważnie kiwa głową.

– Co byś robiła, gdybyś nie była Daunen Wcieloną i narzeczoną księcia? – pyta po chwili namysłu.

– Zostałabym zjadaczką grzechów.

– Nie o to pytam, pani – wzdycha Lief. – Co byś robiła, gdybyś nie знаła swojego przeznaczenia?

Czego pragniesz?

Zamykam oczy i zastanawiam się nad własnym życiem. Nigdy nie myślałam o tym, jak to jest nie mieć przeznaczenia bo zawsze je miałam. Kiedyś marzyłam o czymś, co wydawało mi się nierealne i tak właśnie trafiłam tutaj. Mówię Liefowi, że nie wiem, co robią ludzie wolni.

– Wolni?

– Wolni jak ty. Możesz pójść, dokąd zechcesz i robić, co zechcesz. Ja nie wiem, jak to jest.

– Nie jestem wolny, pani – odpowiada powoli Lief. – Nie mogę po prostu stąd odejść, zupełnie jak ty. Ty myślisz o możliwościach i wyborach tak, jak ludzie myślą o lataniu. Widzą jastrzębia i myślą sobie, że przyjemnie byłoby umieć latać. Ale gołębie i wróble też potrafią latać, a jakoś nikt nie wyobraża sobie siebie jako wróbla. Nikt nie chce być wróblem.

W jego oczach jest tyle smutku, że na chwilę tracę oddech. Chcę sięgnąć ręką i wymazać jego cierpienie.

– Pójdę zobaczyć, czy przyniesiono nam już kolację – mówi, a ja nagle uświadamiam sobie straszną prawdę: Lief pewnego dnia odejdzie. Być może nie uważa się za wolnego, ale ma prawo odejść, kiedy zechce. Ale ja zostanę w tym zamku na zawsze. Całe moje życie zostało już zaplanowane. Nie mam nawet tyle wolności, co wróbel.

Nie zdaję sobie sprawy z tego, że z moich oczu płyną łzy. Lief wraca i choć szybko wycieram policzki, natychmiast odstawia tacę i klęka u moich stóp.

– Pani...?

– Nic mi nie jest, Lief.

– Czy to przeze mnie? Przez coś, co powiedziałem? Czy mogę ci coś podać, posłać po coś?

– Nie. Zaczekaj... tak. Czy mógłbyś przynieść mi wina? – pytam, ignorując jego pytająco uniesione brwi. – Wina z miodem. Tylko odrobinę.

– Już przynoszę – Lief wychodzi szybkim krokiem i wraca po krótkiej chwili, niosąc tacę z małą butelką i pucharem. Nalewa mi wina i stawia na biurku. Tak naprawdę wcale nie chcę pić, ale nie

przychodzi mi do głowy nic innego, co mogłoby ulżyć mojej melancholii. Wino jest ciepłe i słodkie, i wcale mi nie pomaga. Sama już nie wiem, co jest ze mną nie tak...

Lief siada na podłodze i przygląda mi się z niezwykle poważnym wyrazem twarzy.

– Nie chcę jeszcze bardziej cię przygnębiać, ale służąca, która przyniosła wino przekazała mi też wieści o Dorinie. Jest z nim źle. Zapadł w głęboki sen, z którego nie może się obudzić. Uzdrowiciele mówią, że nic się już nie da zrobić, ale książe twierdzi, że się mylą. Nalega, by posłano po medyka z Tregellanu.

– Medyk z Tregellanu? Tutaj? – ogarnia mnie mieszanina ulgi i lęku. Czy Merek naprawdę zdecydował się na coś podobnego tylko przez wzgląd na starego strażnika? Okrutny głos w moim umyśle mówi mi, że to dla niego okazja, by wreszcie sprowadzić do Lormere upragnioną tregellańską medycynę. Odpycham myśl od siebie, próbując skupić się na słowach Lief'a.

– Książe nakazał ponoć uzdrowicielom, by posłali gońca do Tregellanu. Ponoć bardzo ich to wzburzyło. Nie jestem pewien, co ich bardziej drażni: możliwość przybycia medyka, czy też fakt, że będzie to Tregellańczyk. – Przez jego twarz przebiega cień. – Wybacz mi, pani. To nie czas na takie rozważania.

– Czy medyk będzie potrafił pomóc Dorinowi?

– To może być jego jedyna nadzieja. Na własne oczy widziałem izbę uzdrowiciela. Okadzanie wonnym dymem nic tu nie da. Dorin potrzebuje diagnozy z prawdziwego zdarzenia, a nie gadania o zaburzeniach równowagi humorów. Jeżeli uda się ustalić, co dolega Dorinowi, być może uda się też go wyleczyć.

Mówi jak uczony uzdrowiciel i przypominam sobie, z jaką wprawą zajmował się Dorinem. Lief mówił, że miał zostać rolnikiem, ale czy zwykły rolnik mógłby aż tak dobrze znać się na roślinach i ich właściwościach? Na razie jednak postanawiam o nic nie pytać i mój umysł natychmiast skupia się na innym problemie.

– Mam nadzieję, że moja matka nie dowie się, że posłano po medyka – mówię cicho.

– A co ma z tym wspólnego twoja matka?

Nie podnoszę na niego wzroku. Nie jestem pewna, czy uda mi się znaleźć właściwe słowa, by mu to wyjaśnić. Wiem, że będzie chciał poznać całą prawdę, a ja nie wiem, czy jestem gotowa mu ją wyjawić.

– Matka nie akceptuje metod medyków. Uważa, że jeśli Naeht naznaczyła człowieka jako swego, nie wolno wchodzić jej w drogę.

– Wchodzić jej w drogę...? Czyli próbować go wyleczyć?

– Nie wolno przeciwstawiać się woli Bóstw. Niektóre metody uzdrowicieli są dozwolone, jak zioła czy modlitwy, ale według niej łatwo jest posunąć się za daleko... Moja matka sądzi, że nie wolno odbierać Bóstwom tego, co do nich należy, a to właśnie robią medycy. Ich metody są sprzeczne z naturą. Jeżeli Dorin umrze, matka zażąda wyrównania, inaczej nie Zje jego grzechów.

– Wyrównania?

– Kiedy ktoś jest ciężko chory, można spróbować przebłagać Naeht śmiercią innej istoty – tłumaczę z westchnieniem. – Składa się wtedy ofiarę, zazwyczaj owcę albo świnie. – Albo kozę, odzywa się głos w moim umyśle. – Jeżeli Naeht pozwoli się przebłagać, oszczędzi życie chorego, a matka zaakceptuje wolę Bogini. Nie będzie wówczas chciała ukarać jego duszy.

– Nie rozumiem, co to ma wspólnego z leczeniem.

– Medycy uwiązują duszę do ciała, nie pozwalając jej odejść do Naeht.

– Ale skąd wiadomo, czy to właśnie Naeht nie zgodziła się go wyleczyć?

– Nic nie rozumiesz – odwracam głowę, czując za oczyma narastający ból.

– Wybacz, pani, nie chciałem być grubiański. Kiedy więc przybędzie medyk, zabijemy owcę, i jeżeli wasza Bogini przyjmie ofiarę, Dorin wyzdrowieje? Czy tak to działa?

Kiwam głową, nie chcąc już myśleć i pamiętać.

– A więc tak właśnie zrobimy. Czy to wystarczy, by zadowolić twoją matkę?

– W przeszłości wystarczało, gdy otrzymywała część mięsa ofiarnego zwierzęcia.

– Często się to zdarzało?

– Nie, rzadko. Niewiele rodzin może sobie pozwolić na poświęcenie zwierzęcia, nawet by ratować ukochaną osobę.

– Pamiętasz ostatni raz?

Nie mogę się zmusić, by spojrzeć Liefowi w oczy. Ostatni raz... chodziło wówczas o moją siostrę i wszystko odbyło się inaczej, niż to opowiedziałam. Maryl od wielu dni miała gorączkę i zimne kompresy w niczym nie pomagały. Nie przyjmowała płynów i trzymając jej dłoń, czułam, jak uchodzi z niej życie. Moja matka, wierna służebnica Naeht, zareagowała na mój płacz wzruszeniem ramion.

– Jeżeli Naeht chce, by umarła, to umrze.

– Nic nie możemy zrobić?

– Nie wolno nam nic robić. Wszystko zależy od woli Naeht.

Matka udała się dokonać obrzędu Zjadania, zostawiając mnie samą z umierającą Maryl. Zebrałam się na odwagę i poszłam do mieszkającej w Monkham znachorki. Wybłagałam u niej trochę złocienia i wierzbowej kory, które utarłam i zagotowałam. Kropla po kropli napoiłam siostrę naparem, aż gorączka spadła i Maryl odzyskała przytomność. Kiedy matka wróciła, powiedziałam jej, że zdarzył się cud.

– Naeht jednak jej nie zabrała.

Ale mówiąc to nie mogłam spojrzeć matce w oczy.

Tego wieczora jedliśmy pieczoną kozinę, rzadki specjał przygotowany własnoręcznie przez moją matkę. Byłam pewna, że świętujemy powrót Maryl do zdrowia, więc najadłam się za wszystkie czasy. Godzinę później zwymiotowałam wszystko w koziej zagrodzie za domem. Złotka była moją ulubienicą, moim zwierzątkiem. Przybiegała na zawołanie, lubiła delikatnie skubać rąbek mojej spódnicy i wtykać mi nos do kieszeni.

Nie straciłam jednak siostry, a Naeht dostała swoją ofiarę. Odepchnęłam od siebie myśl o tym, że ofiara ma ugłaskać Boginię tylko chwilowo. Nie wiedziałam, ile czasu pozostało Maryl.

– Ostatni raz... był bardzo dawno temu – mówię Liefowi. – Jak mówiłam, nieczęsto składa się ofiary ze zwierząt. Mało którą rodzinę stać na to, by poświęcić miesięczny zapas mięsa.

Lief wzdycha, kręcąc głową.

– Leczenie i pomaganie chorym nie jest ani grzechem, ani sprzeciwianiem się woli Bóstw. Przecież rośliny, z których medycy wyrabiają lekarstwa pochodzą z ziemi, a wiedza od ludzi, których stworzyły rzekomo właśnie Bóstwa? Ledwie wczoraj mówiłem o tym Dimii...

– Komu?

– Służąca, która przynosi nam jedzenie. Przyniosła też wino dla ciebie i regularnie dopytuje się o zdrowie Dorina. Ona...

– To bardzo miłe z jej strony – przerywam i Lief przez chwilę patrzy na mnie z zaciekawieniem.

– Dimia pyta o zdrowie Dorina, bym mógł przekazywać ci wieści na temat jego stanu. Uwierz mi, że tregellańscy medycy nie mają sobie równych. Jeżeli ktokolwiek może pomóc Dorinowi, to właśnie oni... A potem dla równowagi poświęcimy owcę w ofierze dla Naeht, jeżeli będzie to konieczne. Nie uważasz, pani, że warto to zrobić? Dla Dorina?

– On umrze, prawda? – pytam, patrząc Liefowi w oczy. – Umrze bez pomocy medyków?

– Nikt nie zdoła mu pomóc, jeżeli nie dowiemy się, co mu dolega.

Przypominam sobie cienką, woskową skórę Dorina i jego majaczenia. Wyglądał na półżywego.

– Przecież tak dużo modłę się do Bóstw. Jestem namaszczona w imieniu ich córki...

Lief musiał usłyszeć brzęącą w moim głosie panikę, bo podnosi się na kolana i dolewa mi wino. Jego twarz znajduje się bardzo blisko mojej i czuję w brzuchu dziwne ukłucie.

– Nie przesądzajmy sprawy – mówi. – Teraz wszystko zależy od medyka.

Odwracam się po puchar, a Lief z powrotem siada u moich stóp, zachowując bezpieczną odległość.

– W każdym razie dla nas oznacza to koniec – mówi cicho.

– Jak to? Odchodzisz? – panika wraca i słyszę piskliwe brzmienie własnego głosu.

– Nie, nie – odpowiada pospiesznie. – Zostaję. Ale to... ten czas, który razem spędzamy... To będzie musiało się skończyć, i to bez względu na to, czy Dorin wróci na służbę, czy też twoim drugim strażnikiem zostanie ktoś inny. Nie jestem głupcem i wiem, że to wszystko nie powinno było się zdarzyć. I że nie może trwać.

Lief zamyśla się i marszczy brwi, a ja wypijam kolejny łyk. Zaczynam rozumieć, dlaczego Merek tak lubi wino oraz poczucie ośpienia, które wywołuje.

– Nie mogę teraz o tym myśleć, Lief. Muszę skupić się na Dorinie. Gdybym mogła więcej się modlić, gdyby pozwolono mi pójść do świątyni... Nie potrafię modlić się tutaj... – bełkoczę, a moją wyobraźnię opanowuje wizja utraty Lief'a i powrotu do dawnego życia. Nie będzie już siedział ze mną, rozmawiał i żartował. Już zawsze będzie tylko strażnikiem strzegącym drzwi do mojej komnaty.

– Czy możemy coś zrobić? – pytam.

– Jedynym wyjściem byłoby ubłagać królową, by pozwoliła mi zostać twoim jedynym strażnikiem. Mogłabyś wtedy chodzić do świątyni i odwiedzać Dorina.

– A jeśli Dorin wróci? – Przez jedną, krótką chwilę szaleństwa wyobrażam sobie, jak śmiejemy się wszyscy razem, całą trójką.

– Wtedy pomyślimy, co zrobić – brzmienie jego głosu zdradza mi, że nie wierzy w powrót starszego strażnika. Odpycham od siebie skłębione myśli.

– Królowa nigdy się nie zgodzi. Sam wiesz, co powiedziała. Nie powierzy mojego bezpieczeństwa jednemu strażnikowi.

– W takim razie nie poprosimy królowej, tylko księcia.

– Mereka? A co to zmieni?

– Książę jest twoim narzeczonym i interesuje go twoje bezpieczeństwo i dobre samopoczucie. Odosobnienie w wieży ci nie służy. On dobrze wie, jak cenisz swoją świątynię i jak lubisz się tam modlić. I wie, jak to jest żyć w izolacji.

– Podśłuchiwałeś naszą rozmowę – mówię oskarżycielskim tonem.

– Nie mogłem inaczej, pani. Musiałem zostać w pobliżu na wypadek, gdyby książę mnie wezwał – tłumaczy Lief. – Jestem może niewidzialny, ale mam uszy.

– Królowa będzie wściekła, jeżeli spróbuję coś załatwić za jej plecami.

– Pytanie brzmi, czy odmówi prośbie Mereka? Pozwoliła przecież, byś wyszła z nim na spacer po zamku bez żadnej eskorty. Zgodziła się, by sprowadził do zamku medyka z Tregellanu dla jednego z twoich strażników. Myślisz, że się nie zgodzi, jeżeli książę przedstawi jej twoją prośbę jako własne życzenie?

– Czy wszyscy Tregellańczycy są równie przebiegli jak ty?

– Uwierz mi, pani, że nie jestem przebiegły. Potrafię po prostu omijać przeszkody. – Patrzy na mnie szeroko otwartymi oczyma, a moje serce żywiej bije w piersi. Jego pomysł rozwiązałby wszystkie problemy. Mogłabym opuszczać komnatę i nadal... nadal spędzać czas z Liefem. A Dorin... z Dorinem mogę poradzić sobie sama. Jeżeli wróci... kiedy wróci. Nikomu nie stanie się żadna krzywda.

– Mógłbyś przekazać ode mnie wiadomość księciu? – pytam, wymawiając słowa powoli i z namysłem. – Powiedz, że o nim myślę i że jestem wdzięczna za to, iż stara się pomóc Dorinowi. Poproś go, by wysłał kogoś do świątyni, by na czas mojego odosobnienia modlił się w moim zastępstwie. – Przypominam sobie, co książę powiedział mi podczas naszej kolacji. – Powiedz mu też, że obawiam się, że spędzam zbyt wiele czasu z własnymi myślami. Że jest mi przykro, iż nie zobaczę w tym roku dmuchawców i że mam nadzieję, że on będzie miał okazję nacieszyć się ich widokiem.

Uśmiech Lief'a upewnia mnie w przekonaniu, że słyszał większość naszej rozmowy przy kolacji.

– Czy wszystkie córki Bóstw są równie przebiegłe jak ty, pani?

– Być może i ja potrafię omijać przeszkody – mój uśmiech jest posępny.

Lief uśmiecha się znowu, a potem zabiera się do pracy nad listem. Przyglądam się jego długim, smukłym palcom, którymi ujmuje pióro, a których kostki bieleją przy pracy. Z fascynacją obserwuję, jak prowadzi pióro po papierze i dopiero za drugim razem dociera do mnie jego pytanie.

– Mam wysłać list?

– Tak... zanim opuści mnie odwaga.

Lief zrywa się na nogi z szerokim uśmiechem na twarzy. Wychodzi w pośpiechu i równie szybko wraca.

– Dimia zaniósł list bratu, który jest jednym z ludzi królowej i będzie mógł doręczyć księciu wiadomość.

Wspomnienie imienia służącej przeszywa moje serce nagłym ukłuciem.

– Jak myślisz, jak długo będziemy musieli czekać na odpowiedź?

– Nie wiem, pani. Czy mam poczekać na dole?

– Nie – odpowiadam szybko. – Poczekamy tutaj. To może potrwać.

– Jak sobie życzysz – odpowiada swym niskim głosem Lief.

Okazuje się jednak, że nie musimy czekać długo. Po niecałej godzinie rozlega się nieśmiałe pukanie do drzwi. Lief wymienia ze mną spojrzenia, po czym dobywa miecza i gestem nakazuje mi, bym stanęła za jego plecami.

Otwiera drzwi zdecydowanym ruchem. Na progu stoi niska i ciemnowłosa dziewczyna o pełnych kształtach.

– Czekałam na dole – mówi cichym głosem. – Nie przyszedłeś, więc pomyślałam...

– Dimia, nie wolno ci tu przychodzić – karci ją delikatnie Lief, ale w jego głosie nie ma wyrzutu.

– Wybacz mi, pani – Dimia zwraca się do mnie. – Mój brat dostał rozkaz, by doręczyć wiadomość bezzwłocznie.

Jest bardzo ładna. Nie lubię jej.

– Dziękuję, Dimio. Możesz odejść.

Dziewczyna pochyla głowę, po czym zerka na Liefę z nieśmiałym uśmiechem. Lief również się uśmiecha, a ja znów czuję ukłucie w sercu.

Na mój niecierpliwy znak Lief otwiera wiadomość i czyta ją z grymasem skupienia, a potem na jego twarzy znów gości ten szeroki, szczery uśmiech.

– Co tam wyczytałeś, Lief? Mów!

– Książę wyzwiał mnie na pojedynek o twoją wolność. Mamy się spotkać jeszcze dziś wieczorem.



Idziemy korytarzami zamku oświetlonego blaskiem pochodni. Wypite wino ciąży mi na żołądku, ale Lief wprost promienieje z zadowolenia. Nie rozumiem, co go tak cieszy. Wiem, że podczas prób okazał się znakomitym szermierzem i nawet Dorin otwarcie mówił o tym, jakie zrobił wówczas na nim wrażenie. Merek uczył się jednak szermierki od urodzenia i miał najlepszych nauczycieli w całym królestwie. Mówię Liefowi, żeby nie oczekiwał łatwego zwycięstwa.

– Widziałaś kiedyś księcia w walce?

– Nie, ale domyślam się, że jest dobry.

– Mnie również nigdy nie widziałaś.

– Lief, uczyli go najlepsi szermierze Lormere.

– Ale nigdy dotąd nie był zmuszony walczyć o życie, pani. Jest księciem i nie sądzę, by jego nauczyciele byli dla niego surowi. Wątpię, by ktoś go kiedykolwiek choćby drasnął.

– A ciebie?

– Mnie tak – mówi z uśmiechem. – Strażnicy nie oszczędzali mnie podczas prób. Chcieli mnie rozbroić, próbowali nawet zranić. Pokonałem ich wszystkich.

– Nie bądź zbyt pewny siebie – ostrzegam go. – Księżę nie jest nowicjuszem. Nie wyzwał by cię na pojedynek, gdyby nie uważał, że ma szansę wygrać.

– Po co w ogóle mnie wyzywał? – zastanawia się Lief. – Wystarczyłoby przecież, gdyby przekonał królową, że jeden strażnik jest w stanie skutecznie cię chronić.

– Nikt tak po prostu nie przekonuje królowej, Lief. Nawet księżę.

– Myślę, że zrobił to dla ciebie – ton Lief jest przebiegły. – Myślę, że chce ci udowodnić, że będzie dobrym mężem i postanowił to okazać, pokonując na twoich oczach strażnika.

– Szermiercza sprawność nie znajduje się wysoko na liście cech, które moim zdaniem powinien posiadać dobry mąż – odpowiadam cierpko.

– W takim razie masz szczęście, bo księżę przegra. – Uśmiech Lief w migotliwym świetle pochodni wydaje się złowieszczy.

– Nie rób mu krzywdy – proszę, a Lief zatrzymuje się w miejscu.

– Nigdy bym ci tego nie zrobił – mówi, a ja rumienię się i kiwam głową.

– Chodźmy. Lepiej nie kazać mu czekać.

*

Merek czeka na nas w Wielkiej Sali. Rękawy tuniki ma podwinięte, a u jego pasa wisi miecz. Kłania się na powitanie, i oboje odwzajemniamy jego ukłon.

– Jak się masz, Twyllo? – pyta Merek, wychodząc nam na spotkanie.

– Dobrze, Wasza Wysokość. Czy mogę zapytać o twoje zdrowie?

– Czuję się dobrze, choć mam za sobą dziwny dzień – odpowiada z błyskiem w oku. – Porozmawiamy o tym przy innej okazji. Dziękuję za wiadomość. Myślałem, że nie nauczyłaś się pisać.

– Lief napisał wiadomość pod moje dyktando.

Księżę kiwa głową i przenosi uwagę na Lief.

– Twoim zadaniem jest ochrona tej damy. Obecnie wypełniasz je samotnie.

– Tak, Wasza Wysokość – kłania się Lief.

– Pochodzisz z Tregellanu, prawda? Gdzie się uczyłeś szermierki?

– Nie odebrałem formalnych nauk, Wasza Wysokość.

– W takim razie kto nauczył cię walczyć?

– Mój ojciec, Wasza Wysokość – odpowiada sztywno Lief.

– A kto uczył twego ojca?

– Jego ojciec, mój dziadek.

– Czy ktokolwiek w twojej rodzinie odebrał formalne nauki szermierki? – pyta z niedowierzaniem

Merek, a ja siłą woli proszę Lief, by nie stracił nad sobą panowania.

– Nie. Mój ojciec był rolnikiem, jak jego ojciec przed nim. – odpowiada mój strażnik, dotykając palcami rękojeści miecza.

Merek mierzy go wzrokiem.

– Podobno podczas prób pokonałeś wszystkich strażników?

– Tak, Wasza Wysokość.

Merek kiwa głową, jakby wiedział już to, co chciał wiedzieć.

– Zasady są proste. Jeżeli mnie pokonasz, wydam lady Twylli zezwolenie na opuszczanie komnaty pod twoją wyłączną opieką do czasu, aż wróci drugi strażnik lub zaistnieją inne okoliczności. Muszę być pewien twoich umiejętności, by móc uspokoić matkę, że potrafisz chronić damę – mówi, zwracając się ku mnie, a ja pochylam głowę.

– Proszę o wybaczenie, Wasza Wysokość, ale kto ma stwierdzić, który z nas zwyciężył?

Merek unosi brwi, jakby odpowiedź była oczywista.

– Będziemy walczyć do pierwszej krwi.

Szeroko otwieram oczy ze zdziwienia. Nawet Lief wygląda na zaskoczonego.

– Nie mogę przyjąć tych warunków, Wasza Wysokość – odpowiada z namysłem. – Zranienie namaszczonego członka rodziny królewskiej jest zdradą. Nie mogę wygrać takiego pojedynku.

– Masz moje słowo, że jeśli mnie pokonasz, włos ci z głowy nie spadnie – mówi uroczyście Merek.

– Takie są moje warunki, a sekundantami będą moi strażnicy. – Z cienia wyłaniają się dwaj mężczyźni, kłaniając się księciu. Wcześniej nie zauważyłam ich obecności. – O ile zdołasz mnie pokonać...

Zauważam, jak na sugestię zniewagi Lief prostuje się na całą wysokość.

– A jeżeli przegram, Wasza Wysokość?

– Wówczas lady Twylla pozostanie w odosobnieniu, aż drugi jej strażnik nie wróci do swych obowiązków lub nie zostanie wyznaczony nowy. Chcę mieć pewność, że jesteś w stanie w pojedynkę zapewnić bezpieczeństwo mojej narzeczonej. Pewność tę mogę zdobyć jedynie wtedy, gdy na własne oczy przekonam się, czy rzeczywiście jesteś tak dobry, jak mówią, czy też nie.

Wyraz twarzy Lief twardnieje, a jego dłonie zaciskają się w pięści. Przez dłuższą chwilę patrzy na Mereka, a potem kłania się nieznacznie.

– Przyjmuję warunki.

Merek odwraca się do mnie.

– Twyllo, czy mogłabyś ustąpić nam pola? – prosi, a ja dygam i zajmuję miejsce u stóp podwyższenia dla rodziny królewskiej.

Lief i Merek stają pośrodku sali. Lief kłania się głęboko, a Merek tylko lekko kiwa głową. Obaj dobywają mieczy, trzymając je w nisko opuszczonych dłoniach, po czym równocześnie unoszą broń i zaczynają okrążyć salę. Stawiają ostrożne kroki i każdy z nich bada wzrokiem przeciwnika niczym drapieżnik ofiarę.

Merek atakuje pierwszy. Lief paruje jego cięcie i pojedynek się rozpoczyna.

Merek markuje cięcie w lewo, a Lief cofa się w piruet i niemal udaje mu się sięgnąć klingą

lewego ramienia księcia. Merek w ostatniej chwili paruje i zadaje pchnięcie, które zmusza Lief'a do odskoku. Obaj wydają mi się równie wprawnymi szermierzami. Żadnemu nie udaje się osiągnąć znaczniejszej przewagi nad przeciwnikiem. Każde cięcie zostaje sparowane i po każdym starciu kling obaj nieco się cofają.

Sala rozbrzmiewa echem stali uderzającej o stal. Klingi mieczy zderzają się raz wysoko, raz znów nisko. Nagle Merek zadaje niespodziewane pchnięcie, ale Lief znów go unika. Klinga naznaczyła jednak jego tunikę, pozostawiając niewielkie rozdarcie.

– Niewiele brakowało, Wasza Wysokość – woła wesoło Lief, przyglądając się rozdarciu. Merek kwituje jego słowa parsknięciem, po czym rusza do ataku, zadając potężne, zamazyste cięcie i godząc wprost w korpus Lief'a. Skołatane serce wskakuje mi prawie do gardła, ale Lief paruje cięcie płazem miecza z taką siłą, że Merek musi ująć przedramię lewą ręką, by nie upuścić broni.

Wtedy przekonuję się, jak wprawnym wojownikiem jest Lief.

Umiejętności walczących wcale nie są wyrównane. Lief bawił się dotąd z księciem niczym kot z myszą i pozwalał mu próbować kolejnych kombinacji ciosów, dając mu nadzieję na zwycięstwo. Teraz jednak sam przeszedł do natarcia i atakuje bez wytchnienia, nie dając Merekowi szansy na ripostę i spychając go do defensywy. Kolejne ciosy Lief'a zmuszają księcia do cofania się i zauważam, że Merek zaczyna słabnąć. Stojący obok mnie strażnicy stoją z dobytymi mieczami w pogotowiu. Wcale im się nie dziwię. Natarcie Lief'a wydaje się wprost straszliwe.

W końcu Merek upuszcza miecz na posadzkę i podnosi ręce.

– Ustępuję! – woła, z trudem łapiąc powietrze. – Ustępuję.

Lief natychmiast opuszcza miecz i kłania się. Merek po chwili odpowiada mu lekkim skinieniem głowy. Obaj oddychają z wysiłkiem. Lief chowa miecz, a Merek podnosi broń z podłogi i idzie w jego ślady.

– Nic ci nie jest, Wasza Wysokość? – pytam podchodząc.

– Nie, nic. Twój strażnik nie upuścił mi krwi, ale przez wzgląd na jego umiejętności wolę, żeby tak zostało. – Książę niechętnie kiwa głową w stronę Lief'a. – Zgodnie z ustalonymi warunkami, wolno ci od teraz opuszczać wieżę z jednym strażnikiem. Dopóki będziesz pod jego ochroną, nie obawiam się o twoje bezpieczeństwo.

– Dziękuję, Wasza Wysokość. Czy powinienam poprosić Lief'a o napisanie listu z podziękowaniami także do królowej?

– Chyba lepiej będzie, jeśli to ja z nią porozmawiam – mówi książę z zakłopotaną miną.

– Merek... – Na chwilę zapominam, że nie jesteśmy sami. – Powiedziałaś, że musisz mieć możliwość zapewnienia królowej o moim bezpieczeństwie. Zapewnienia, nie poinformowania. Czy królowa wie o tym, co się tutaj wydarzyło?

– Mój ojczym pochłania teraz większość jej uwagi – kręci głową książę, ale kącik jego ust lekko drga. – Dlatego postanowiłem wziąć byka za rogi. Postaram się porozmawiać z nią jeszcze dziś wieczorem, ale na wszelki wypadek... Nie będę dłużej nalegał, byś pozostawała w wieży, ale gdybyś postanowiła ją opuścić, zachowaj dyskrecję.

– Dziękuję – mówię cicho.

Książę kłania się i przez chwilę patrzy mi w oczy, a potem przenosi spojrzenie na Lief'a.

– To była przyjemna rozrywka. Muszę się przyznać, że w Tregellanie zdarzało mi się ćwiczyć z tamtejszymi żołnierzami. Twój lud potrafi się bić. Być może uda nam się to kiedyś powtórzyć?

– Wedle woli Waszej Wysokości – mówi z ukłonem Lief.

– Do zobaczenia wkrótce, Twyllo – Merek pochyla głowę, po czym opuszcza salę wraz ze swą eskortą.

Ruszam w drogę powrotną korytarzami zamku z Lief'em u boku. Serce nadal mocno bije mi w piersi i dopiero po chwili uświadamiam sobie, że cały czas wstrzymywałam oddech.

– Myślałam, że miałeś zamiar zostać rolnikiem? – zagaduję, gdy zbliżamy się do wieży.

– Tregellańczyk powinien być zdolny do walki. Od czasu wojny wszyscy ojcowie uczą swych synów walki mieczem i nożem oraz strzelania z łuku, bez względu na to, czy są żołnierzami, czy też nie.

– Jesteś dobry – mówię, wchodząc po schodach wieży.

– On też. Zaskoczył mnie.

– Ale nie pokonał. – Zaraz po wejściu do komnaty podchodzę do biurka i nalewam sobie puchar wina, chcąc uspokoić nerwy.

– Pani, czy nie uważasz, że zasłużyłem na kielich wina z miodem?

– Zasłużyłeś na całą karafkę. W końcu wywalczyłeś dla mnie wolność.

– Ot, zwykły dzień pracy – Lief unosi karafkę do ust i krzywi się z bólu.

– Nic ci nie jest?

Lief uśmiecha się dziwnie.

– Chyba mnie trafił.

– Co? Kiedy? – z przerażenia wypijam długi łyk wina.

– Kiedy klinga miecza księcia rozdarła mi tunikę. Być może mnie zranił. Nie będę wiedział na pewno, póki nie obejrzę rany.

– Ale to by oznaczało, że przegrałeś. Musisz mu o tym powiedzieć, Lief, to kwestia honoru...

– Jeżeli mu powiem, znów będziesz tutaj więźniem – wyraz jego twarzy jest nieodgadniony. Chcę coś odpowiedzieć, ale żadne słowa nie przychodzą mi na myśl. Nie chcę żyć w izolacji.

– Może mnie jednak nie zranił – ciągnie Lief, próbując obejrzeć własne ramię. – Pójdę już do swojej komnaty.

– Po co? Dlaczego?

– Przez tę tunikę nie widzę rany, a muszę ją obejrzeć, pani.

– Ja też chcę ją obejrzeć... Och... – czerwienieję na twarzy, nagle rozumiejąc, co Lief ma na myśli. – Cóż, chciałam... Tak, oczywiście... Rozumiem.

– Mogę to zrobić również tutaj, pani, jeżeli chcesz przy tym być.

Kiwam głową, nie mogąc wykrztusić słowa, a moje policzki płoną z zażenowania.

– Dobrze. – Lief odwraca się i odpina pas z mieczem, upuszczając go na podłogę, a potem jednym ruchem zdejmuję tunikę przez głowę.

– Krwawie? – pyta.

Nie mogę odpowiedzieć na jego pytanie, bo wcale nie patrzę na jego ranę.

Nie mogę oderwać wzroku od kształtu jego pleców, od linii kręgosłupa. Lief jest ode mnie znacznie większy. Dlaczego bez tuniki wygląda zupełnie inaczej? Dlaczego brak jednej sztuki odzienia tak bardzo go zmienia?

– Pani? – głos Lief'a wrywa mnie z zamyślenia. Na widok mięśni poruszających się pod jego skórą czuję rozplývające się po całym ciele gorąco.

– Przepraszam – mamrocze, zbyt zawstydzona, by spojrzeć mu w oczy. – Odwróć się.

Muszę stanąć na palcach, by zobaczyć ranę na jego ramieniu i z ulgą zauważam, że Lief nie oszukiwał. Będzie miał siniaka w miejscu, gdzie klinga naznaczyła skórę, ale nie krwawi.

– Nie ma krwi – mówię, po czym chrząkam, by pozbyć się chrapliwego tonu głosu. – Trafił cię, ale nie krwawisz. Będziesz miał rano siniaka, to wszystko.

Lief patrzy w lustro, by obejrzeć ranę, a ja znów się czerwienię na widok jego obojczyka. Odwracam się plecami i opróżniam kielich jednym haustem, po czym szybko dolewam sobie wina. Nagle mam wrażenie, że w komnacie zrobiło się bardzo gorąco i otwieram okno, by wpuścić do wnętrza chłodne, nocne powietrze.

– Przepraszam – powtarzam, choć sama nie wiem, po co. Odwracam się dopiero wtedy, gdy dobiega mnie szelest zakładanej tuniki.

– Nic się nie stało. Teraz wiemy, że nie oszukiwałem. Dobrze, że nie będziesz musiała na mnie donieść.

– Nie zrobiłabym tego – przyznaję.

– Przecież to byłoby kłamstwo, a więc i grzech – mówi Lief, poprawiając tunikę.

– Ale niewielki. – Serce nadal bije mi mocno, a podnosząc do ust kielich, zauważam, że drżą mi palce.

– Dziękuję, pani.

– Twylla – wrywa mi się. – Kiedy jesteśmy sami, możesz mówić do mnie po imieniu. Na to również zasłużyłeś.

– Twylla – powtarza cicho Lief, a brzmienie mojego imienia w jego ustach przyprawia mnie o dreszcz. – Powinnaś odpocząć, Twyllo. Jutro przed nami długi dzień. Pierwszy dzień twojej wolności.

Przyglądając mu się, zauważam, że zakładając tunikę poluzował przytrzymującą włosy wstążkę. Nie mogę przestać myśleć o tym, jakby to było móc ich dotknąć i zapleść na palce ich pasma. Podchodzę do Lief'a jak lunatyczka i unoszę dłoń na wysokość jego klatki piersiowej. Oboje patrzymy na nią przez chwilę, a potem Lief cofa się o krok. Palce mojej dłoni zginają się bezwiednie jak szpony.

– Dobranoc, Twyllo. Miłych snów – mruczy na pożegnanie, po czym kłania się i wychodzi, zamykając za sobą drzwi.

Zostawia mnie samą z moją drżącą, nieposłuszną dłonią.

Noc nie przynosi mi odpoczynku. Na jawie i we śnie moją głowę wypełniają myśli o włosach Lief'a i o tym, jak bardzo chcę ich dotknąć, o jego plecach i ramionach, o jego gładkiej skórze. Pragnęłam go dotknąć, a gdybym to zrobiła, już by nie żył. Nie mogę znaleźć sobie wygodnej pozycji w pościeli, a kiedy się wiercę, komnata zaczyna wirować. Siadam oparta o poduszki i wpatruję się w ciemność. To pewnie przez to wino, myślę. Wypiłam trzy kielichy wina na pusty żołądek, po całym dniu zamartwiania się Dorinem i pojedynkiem. Nic dziwnego, że się zapomniałam...

Wiem, że sama się okłamuję. Chciałam dotknąć Lief'a nie z powodu wina ani wstrząsu. Po jego wyjściu spojrzałam w lustro i zobaczyłam na swojej twarzy wyraz pożądania, jaskrawego jak letnie truskawki. Nie mogę pozwolić sobie na pożądanie. Jestem narzeczoną księcia. Każdego poza nim czeka z moich rąk śmierć.



Rankiem czuję się niewyspana i niespokojna. Serce trzepocze mi w piersi, a skórę ogarniają fale zimna i gorąca na wspomnienie jego klatki piersiowej, pojedynku, jego uśmiechu... Potem przypominam sobie, że Dorin nadal jest chory i ogarnia mnie wstyd. Stale o nim zapominam. Cały mój świat wydaje się splątany i chaotyczny. Niemal mam chęć skryć się przed nim i zostać dziś w komnacie. Wiem jednak, że byłoby to bezcelowe i niewdzięczne po tym, co zrobił Lief, by zapewnić mi wolność.

– Jak twoje ramię? – pytam, kiedy przynosi mi śniadanie.

– Posiniaczone, jak przewidziałas – uśmiecha się Lief. – I trochę sztywne, ale nie na tyle, bym w razie potrzeby nie dał rady kolejnemu napastnikowi.

Głowę wypełnia mi obraz jego nagich ramion i mój uśmiech wypada dość blado.

– Jeżeli jesteś gotowa, możemy już iść. Pogoda jest ładna, ale dość chłodna. Powinnas założyć płaszcz. – Nie czekając na moją zgodę, Lief wyjmuje z garderoby moją szkarłatną pelerynę. Trzyma ją tak, jakby planował założyć mi ją na ramiona.

– Co ty robisz?

– Podaję ci płaszcz – mówi z psotnym błyskiem w oku.

– Lief, nie bądź niemądry. Daj mi to.

– Nie ufasz mi? – pyta, a w jego głosie słychać napięcie.

– Nie możesz mnie dotknąć.

– Nie dotknę. Nie ufasz mi? – powtarza, uważnie mnie obserwując.

Odwracam się i staję sztywno wyprostowana, boleśnie świadoma jego obecności za plecami. Czuję we włosach jego oddech. Materiał peleryny spada na moje ramiona i okrywa je.

– Nie zaryzykowałbym utracenia cię. Myślałem, że po wczorajszym wieczorze powinno to być jasne.

Zapinam pelerynę na kołeczek i pętlę, nie mogąc spojrzeć mu w oczy.

– Dokąd idziemy, pani? Cały zamek stoi przed tobą otworem. – Zwracam uwagę, że znów mnie tytułuje i znów doznaję pomieszania uczuć. Ulga walczy we mnie o lepsze z rozczarowaniem.

– Do świątyni.

– Doskonale.

Lief otwiera przede mną drzwi i kłania się nisko. Nie jestem w stanie powstrzymać uśmiechu. On również się uśmiecha i dostrzegam pomiędzy jego zębami koniuszek języka. Znów czuję ucisk w żołądku.

*

Pomimo zagubienia buzuje we mnie poczucie wolności. Gdy opuszczamy wieżę na moją twarz zakrada się całkiem nieprzystający do roli Daunen uśmiech. Wątpię, by ktokolwiek dotąd radośnie podskakiwał w zamkowych korytarzach, ale to właśnie mam ochotę teraz zrobić. Kozy skaczą, dziewczynki chodzą, powiedziała mi kiedyś matka w rzadkim u niej odruchu rodzicielstwa. Gdybym jednak mogła teraz poskakać, chętnie bym skakała.

Czuję obecność Lief po mojej lewej ręce, jakby coś łączyło ze sobą nasze biodra, kolana i łokcie, nasz szyje i kostki. Kiedy Lief poprawia na biodrach pas z mieczem, wyczuwam jego gest w ruchu

dzielącego nas powietrza. Jestem równie świadoma jego, co samej siebie.

– Czy mogę zaproponować inną trasę, pani? – pyta Lief, gdy idziemy przez zamkowe ogrody.

– Jaką?

– Chciałbym ci coś pokazać, jeśli się zgodzisz.

– Co takiego?

– To niespodzianka – uśmiecha się Lief. – Będziesz bezpieczna.

Widziałam jego pojedynki z Merekiem. Nie obawiam się o własne bezpieczeństwo.

– Nie chcę niepotrzebnie ryzykować. Księżę prosił mnie o dyskrecję.

– Będziemy dyskretni, pani. Obiecuję ci, że nikt się nie dowie, że tam byłaś.

– Nie mogę, Lief.

– Rozumiem, pani. Wybacz mi. To nic ważnego, Dimia pokazała mi to miejsce i...

Znowu ta Dimia.

– Tylko na chwilę – mówię. – Musimy się spieszyć.

Wyczuwam jego uśmiech, choć wcale na niego nie patrzę.

Lief prowadzi mnie za mur zamkowych ogrodów i dalej, pomiędzy stajniami. Zatrzymuję się na chwilę, by pogłaskać po nozdrzach mojego konia, a potem idziemy dalej, przez ogrody kuchenne, gdzie rosły niegdyś dmuchawce i jeszcze dalej. Nie znam tych okolic zamku. Dorin nigdy by mnie tu nie przyprowadził. Na myśl o nim czuję kolejne ukłucie sumienia.

– Jesteśmy na miejscu.

Na chwilę zapominam o Dorinie i o Mereku, a nawet o Liefie. Wszystkie moje zmartwienia i uporczywe myśli znikają i mogę jedynie patrzeć na rozciągający się przede mną ogród. Wszędzie wokół widzę dzikie kwiaty. Byłam przekonana, że ich uprawa jest zabroniona w obrębie zamku, ale rosną tu maki i podbiał, ciemiernik i len, tuberoza i wrotycz.

– To tutaj zebrałaś kwiaty dla mnie...

– Właśnie. Jesteśmy w ogrodzie aptekarskim.

– Czy królowa o nim wie?

– Tak. To tutaj uprawia się wszystkie rośliny potrzebne uzdrowicielom. Królowa nie lubi może patrzeć na dzikie kwiaty, ale nawet ona nie może odmówić im użyteczności. Pójdziemy ścieżką przez ogród – Lief wyciąga ramię, by mnie poprowadzić. – Zachowaj ostrożność, na końcu ogrodu rośnie koralina i cykuta. Nie sądzę jednak, by hodowano tu porannicę.

Idę pomiędzy roślinami, które sięgają mi do kolan i z uśmiechem na twarzy dotykam palcami ich liści. Gdybym wiedziała o tym miejscu, sama narysowałabym kwiaty do haftowania. Jestem gotowa się założyć, że Merok też o nim nie wie. Jego szkice nie pasują do rosnących wokół kwiatów.

Docieramy do centrum ogrodu i siadam na małej, kamiennej ławce, nie odrywając wzroku od chwiejących się na wietrze roślin. Ogród jest feerią kolorów i odcieni, pełen czerwieni, fioletu, żółci, pomarańczy i zieleni. Jestem zachwycona. Nic tutaj nie rośnie na równych grządkach. Najwyraźniej nikt nie próbował zaprowadzić zbytniego porządku wśród półdzikich roślin. Wszędzie wokół kwitną maki i nie jestem w stanie powstrzymać uśmiechu na widok kępy dmuchawców.

– Czy mogę wziąć twój płaszcz, pani? – pyta Lief.

– Po co?

– Nie zmarzniesz, zaufaj mi. Celowo skłamałem, że jest chłodno.

Zdziwiona zdejmuję pelerynę z ramion i podaję ją Liefowi. Ku mojemu dalszemu zaskoczeniu mój strażnik wstrząsa nią, a potem rozściela materiał na trawie.

– Połóż się.

– Nie mogę!

– Dlaczego?

– Bo jestem Daunen Wcieloną.

– Tylko my dwoje będziemy o tym wiedzieli.

– A jeżeli ktoś przyjdzie?

– Nikt tu nie przyjdzie. Służący pracują w zamku lub w stajniach, a i oni zbierają rośliny tylko o zmierzchu lub o świcie. Żaden konsyliarz nie przyjdzie tutaj w środku dnia. Jesteś bezpieczna.

– Nie mogę, Lief.

– Au – mówi Lief, pocierając ramię. – Gdybym nie miał tak obolałego ramienia po pojedynku o twoją wolność, pewnie sam bym się położył.

– To nieuczciwe.

– Wiem – uśmiecha się Lief. – Zachowam czujność, obiecuję.

Muszę przyznać, że jego gra na moich uczuciach odniosła nadspodziewany skutek.

– No dobrze – zgadzam się. – Ale nie wolno ci nikomu o tym powiedzieć.

– Przysięgam.

Opadam na kolana i ostrożnie siadam na pelerynie.

– Musisz się położyć.

– Nie mogę.

– Tylko na chwilę.

Przewracam oczyma i wzdycham, po czym kładę się i pruderyjnie składam dłonie na brzuchu.

A potem wzdycham.

Nade mną rozciąga się bezmiar bezchmurnego, błękitnego nieba. Obracając głowę lekko w lewo lub w prawo widzę łodygi rosnących wokół kwiatów. Perspektywa całkowicie skrywa jednak zamek, co przepełnia mnie uczuciem radości.

– Mogłabym teraz być gdziekolwiek – mamroczę.

– Gdziekolwiek zechcesz – mówi Lief i siada na kamiennej ławce. – Teraz rozumiesz, dlaczego chciałem, byś zobaczyła to miejsce?

– O tak – odpowiadam. Wszystko wokół jest wprost idealne. Zamykam oczy ciesząc się ciepłem słońca na twarzy i udaję, że jestem sama. Nie przez wzgląd na Lief, ale na to, że jest moim strażnikiem. W tej chwili jestem tylko zwykłą dziewczyną leżącą na plecach wśród kwiatów w jeden z ostatnich dni lata.

Wyczuwam obok siebie jakiś ruch i siadam, otwierając oczy. Słońce zamieniło świat wokół w błękit, ale i tak zauważam, że to Lief usiadł obok mnie.

– Co robisz? Miałeś stać na straży.

– Mam dobry słuch, pani. Jeżeli ktoś choćby zbliży się do ogrodu, usłyszę go i zdążę się zerwać, zanim jeszcze nas zauważy.

– Powinniśmy już iść... – mówię z niepokojem.

– Zostanmy jeszcze chwilę. Chcę zobaczyć to, co ty widzisz.

Patrzę na niego przez dłuższą chwilę, a potem kładę się, słysząc w uszach swój przyspieszony puls. Po chwili Lief kładzie się obok mnie, zachowując bezpieczną odległość, ale na tyle blisko, że słyszę jego oddech.

– Wszystko w porządku? – pyta.

– Tak.

– Kiedyś, na rodzinnej farmie, wylegiwaliśmy się tak z moją siostrą.

Wstrzymuję oddech. Lief rzadko opowiada o sobie z własnej woli i nie chcę go spłoszyć. Tym razem jednak mam wrażenie, że chce mi coś powiedzieć.

– Naprawdę? Jak jej na imię? – pytam cicho na wypadek, gdyby wolał zignorować moje pytanie.

– Errin. Jest ode mnie o rok młodsza, tak jak i ty. Wieczorami, po kolacji wymykaliśmy się do ogrodu, by poleżeć na ziemi i popatrzeć na zachód słońca i na gwiazdy. Czasami przyłączali się do nas

rodzice. Matka przynosiła koce i kubki kakao, a ojciec grał na organkach. To było miłe.

Jego słowa sprawiają, że gardło zaciska mi się ze wzruszenia. Jak on to znosi...?

– Na pewno bardzo za nimi tęsknisz.

– Nieustannie. Trudno jest być tak daleko od rodziny i nie wiedzieć dokładnie, jak sobie radzi. Moja matka bardzo źle zniosła śmierć ojca. Był miłością jej życia i trudno jej żyć bez niego. A biedna Errin nie zdążyła ukończyć nauk. Miała zostać zielarką.

A więc stąd tak dużo wie o roślinach.

– Musiała przerwać naukę – ciągnie Lief. – Matka jej potrzebuje. Ale pewnego dnia zarobię dość pieniędzy, by mogła uczyć się dalej. Jak już mówiłem, tutaj mogę lepiej o nich zadbać, jak ty o swoją rodzinę. Oboje musimy robić, co w naszej mocy, by zadbać o swoich najbliższych – dodaje z westchnieniem.

– Jak straciłeś ojca, Lief? – pytam, obracając się na bok i wygładzając spódnice.

Wzdycha i marszczy nos, i przez chwilę myślę, że nie odpowie, że nie zechce dłużej mi się zwierzać.

– W gospodarstwie doszło do wypadku – zaczyna. – Ojciec próbował przeprowadzić na inne miejsce starego byka, wredną bestię, która nienawidziła nas wszystkich. Próbował go zachęcić, żeby się ruszył i byk zaszarżował. Ojciec zdołał odskoczyć, ale nieszczęśliwie upadł na zardzewiałe widły, których zapomnieliśmy odłożyć. Moja siostra oczyściła ranę i opatrzyła go, jest w tym dobra. Ale zanim przybył medyk, ojciec miał już szczękościsk. Tego nie ulecą nawet nasi medycy. Ojciec wiedział, że nie przeżyje – mówi Lief, uśmiechając się smutno.

– Mam nadzieję, że nie cierpiał.

– Trochę to trwało, ale nie cierpiał dzięki makowym łzom. To ja spędzałem z nim wtedy większość czasu. Matka i siostra nie mogły znieść jego agonii.

– Przykro mi, Lief.

– Dziękuję, Twyllo.

Patrzemy na siebie i po raz pierwszy zauważam, że Lief ma piegi na grzbiecie nosa. Są ledwo widoczne, ale czarujące. Ja też mam piegi, na twarzy i na ramionach, na klatce piersiowej i na plecach. Nagle moje myśli znowu opanowuje widok jego nagich ramion i gładkiej skóry i robi mi się bardzo gorąco. Kiedy znowu spoglądam mu w oczy, świat na chwilę się zatrzymuje. Nigdy wcześniej nie byłam tak dojmująco świadoma pulsowania krwi w moich żyłach.

– Mogę cię o coś zapytać, Twyllo? – odzywa się cicho Lief, a ja kiwam głową.

– Kochasz księcia?

Tego się nie spodziewałam.

– Dlaczego chcesz to wiedzieć?

– Ze względu na coś, co powiedział mi Dorin, kiedy tu przybyłem.

– Co ci powiedział Dorin? – pytam, pospiesznie podnosząc się do pozycji siedzącej.

Lief również siada i unosi ręce w uspokajającym geście.

– Nic złego, wierz mi. Opowiadał mi o historii zamku i wspomniał o waszych zaręczynach, i powiedział...

– Co takiego?

– Że twoja rola jest dla ciebie ciężkim brzemieniem i że naszym zadaniem jest – w miarę możliwości – ułatwiać ci jego dźwiganie. Powiedział, że nie zawsze byłeś taka poważna, ale potem doszło do incydentu z jakimś chłopcem, który bardzo cię zmienił. I dlatego powinniśmy starać się uprzyjemnić ci życie.

Odwracam się, nie chcąc patrzeć mu w oczy.

– To, co się stało temu chłopcu... to nie była twoja wina. Wiesz o tym, prawda?

Parskam gorzkim śmiechem, czując bolesny skurcz żołądka.

- Naprawdę? To moje ręce dotknęły jego skóry.
- Nie – jego głos jest zdecydowany. – Robiłaś to, co rozkazano ci zrobić.

Lief milknie na chwilę, a potem:

- Kochasz go?

Zerkam na niego, a potem znowu kładę się na ziemi i zamykam oczy. Tak naprawdę sama nie wiem, co czuję. Nigdy dotąd nie zastanawiałam się nad miłością. Jesteśmy zaręczeni od czasu, gdy tu przybyłam i zawsze wiedziałam, że pewnego dnia zostaniemy małżeństwem. Jestem tego pewna tak samo, jak wschodu słońca czy błękitu nieba. To po prostu fakt.

- Nie wiem – odpowiadam w końcu. – To... to zresztą nie ma znaczenia.
- Czyli go nie kochasz – mówi Lief i kładzie się obok mnie.
- Dlaczego? – otwieram oczy, by na niego spojrzeć.
- Ponieważ kiedy człowiek jest zakochany, ma to dla niego wielkie znaczenie. Bardzo wielkie.
- Skąd wiesz?
- To się po prostu wie – mówi, patrząc mi prosto w oczy.

Wyraz jego twarzy mnie przeraża i sprawia, że myślę o wczorajszej nocy i o tym, jak bardzo chciałam go dotknąć, i moich szeroko otwartych, mrocznych oczach, gdy spojrzałam w lustro.

- Byłeś kiedyś zakochany?
- Twyllo...

Oboje słyszymy odgłos wciągniętego gwałtownie powietrza i zrywamy się na nogi, a Lief do połowy dobywa miecza z pochwy.

Dimia patrzy na nas swymi wielkimi oczyma. Jest blada jak mleko, a jej wzrok jest oskarżeniem.



Dziewczyna unosi rękę do piersi i miętoli kołnierz fartucha.

– Wynoś się – warczy Lief, chowając miecz. – Nie powinnaś tu przychodzić.

– Proszę o wybaczenie, ja... – Dimia odwraca się, by odejść, ale Lief chwyta ją za ramię.

– To ty mi wybacz, Dimio – mówi ze skrucą. – Zaskoczyłaś mnie. Nie chciałem być gwałtowny.

Dimia kiwa głową, ale jej oczy zwężają się, patrząc to na mnie, to na niego. Schylam się po płaszcz i zarzucam go na ramiona, jakby mógł mnie ochronić niczym tarcza.

– Po co tu przyszłaś? – pytam.

Dziewczyna natychmiast spuszcza wzrok.

– Wybacz, pani. Książę wysłał mnie, bym cię znalazła. Szukałam cię wszędzie.

*

Ze zgrozy przewraca mi się w żołądku. Co by się stało, gdyby Merek przyszedł do ogrodu we własnej osobie, gdyby podsłuchiwał moją rozmowę z Liefem? Byliśmy tacy głupi...

– Książę? – pytam najspokojniej, jak potrafię.

– Tak, pani. Przyszedł do twojej wieży, kiedy akurat sprzątałam i polecił, bym cię natychmiast znalazła.

– Nikt nie może wiedzieć, że pani była tutaj, Dimio – mówi stanowczo Lief.

– Ale książę...

– Dimio... – Lief zaczyna coś tłumaczyć, ale przerywam mu w pół słowa.

– Nic nikomu nie powiesz – mówię lodowatym tonem, podchodząc do dziewczyny, choć skóra cierpnie mi na myśl o tym, co muszę jej zrobić. – Zapomnisz, że nas tutaj widziałaś, a jeżeli ktoś cię o to zapyta, będziesz kłamać. Zapomnisz o wszystkim, co usłyszałaś, bo inaczej mogę przypadkiem na ciebie wpaść. Albo na twojego brata. – Podnoszę ręce, by dać jej do zrozumienia, co może się wydarzyć.

Dimia zdaje się blednąć jeszcze bardziej, a zszokowany Lief wlepia we mnie wzrok. Ignoruję go jednak, całą uwagę skupiając na dziewczynie.

– Na twoim miejscu szybko nauczyłabym się milczenia. Rozumiesz?

Dimia w milczeniu kiwa głową.

– Odjedź. Pamiętaj, nie widziałaś nas.

Dziewczyna raz jeszcze kiwa głową, po czym czmycha, pozostawiając mnie z Liefem. Odwracam się, by uniknąć jego wzroku.

– To było niemiłe – karci mnie cicho.

– Nie miałam wyboru – odpowiadam, choć mnie samą ogarniają mdłości za moje słowa.

– Owszem, miałaś. Ona była przerażona, nie widziałaś? I tak nic by nie powiedziała.

– Nie możesz tego wiedzieć. Nie mogłam ryzykować, Lief.

Kiedy w końcu podnoszę na niego wzrok, w jego spojrzeniu jest tyle wyrzutu, że czuję się tak, jakby mnie spoliczkował.

– Dlatego zagroziłaś śmiercią jej samej i jej bratu?

– Nigdy bym tego nie zrobiła. Za nic. Nikt nie wie lepiej ode mnie, jak to jest odebrać komuś życie

i nigdy, przenigdy bym ich nie dotknęła. Ale nie mam na tym świecie innej władzy, Lief. Mam po swojej stronie tylko strach. I jeżeli muszę mówić takie rzeczy po to, żeby cię chronić, to...

Ku mojemu zaskoczeniu Lief przerywa mi wybuchem śmiechu.

– Chronić? Dlaczego chcesz mnie chronić?

– Bo... bo chcę i już.

Przez chwilę przygląda mi się ze zmarszczonymi brwiami.

– Chodź, powinniśmy już wracać.

– Nie bądź na mnie zły.

– Nie jestem zły.

– Próbowałam cię chronić.

– To moim zadaniem jest chronić ciebie. A także chronić innych przed tobą.

Jego słowa są dla mnie jak kolejny policzek. Nigdy wcześniej nie myślałam o tym w ten sposób.

– Przepraszam cię – pytam cicho. – Powiedz jej, że jest mi przykro, i że nigdy nie zrobiłabym jej krzywdy...

– Nie – mówi krótko Lief. – To ty powinnaś ją przeprosić.

– Nie mogę.

– Nie możesz, czy nie chcesz?

Przyspiesza kroku i wyprzedza mnie w marszu, a mnie robi się niedobrze. Wrażenie pogłębia się, gdy zauważam stojącego na progu wieży Mereka. Jego twarz jest posępna i pospiesznie kłaniam się na powitanie.

– Szukałem cię – mówi surowo, ale jego wzrok jest łagodny. Ciaśniej owijam płaszczem ramiona.

– Wybacz mi, Wasza Wysokość. Spacerowałam.

– Prosiłem cię o dyskrecję.

– Byłam dyskretna, Wasza Wysokość – odpowiadam. – Chciałam tylko poczuć ciepło słońca w drodze ze świątyni.

– To nieważne. Nie po to tu przyszedłem – mówi szorstko i serce zjeżdża mi do żołądka.

– Pójdziemy do twojej komnaty. – Przepuszcza mnie przodem, ale zatrzymuje gestem Lief. – Przynies wina – nakazuje, po czym rusza schodami za mną.

Wchodząc po schodach, czuję się tak, jakby moje nogi stały się bardzo ciężkie, jakbym postarzała się o tysiąc lat od chwili spotkania z Dimią. Otwieram drzwi do komnaty i zauważam, że światło słońca gaśnie, zakryte przez chmury.

– Co się stało? – prawie krztuszę się własnymi słowami.

– Chciałem powiedzieć ci osobiście, że... Dorin zmarł. Bardzo mi przykro.

Mrugam bezwiednie, mając wrażenie, że ściany komnaty zbliżają się i zaczynają mnie dusić.

– Twyllo? – słyszę słowa księcia jak z oddali, a potem orientuję się, że leżę na plecach, a nade mną stoją książę i mój strażnik. Nie rozumiem, dlaczego widzę nad sobą sufit, bo przecież wokół powinny być jedynie kwiaty i niebo. Dopiero po chwili uświadamiam sobie, że zemdlałam i jestem we własnej komnacie. Pierwszy raz w życiu zdarzyło mi się zemdleć.

– Co robimy? – pyta Lief. – Ja nie mogę jej dotknąć.

– Ja mogę...

– Nie – słyszę własny głos, znów dobiegający z oddali, i z trudem siadam.

Wyraźnie widzę ulgę w ich oczach. Lief zrywa się po szklanek wody, a Merak klęka obok mnie i wyciąga po nią rękę. Lief patrzy na niego niechętnie, po czym dość gwałtownie wciska mu szklanek w dłoń. Merak niczego nie zauważa i unosi naczynie do moich ust.

– Pij – mówi, więc piję.

– Kiedy to się stało? – pytam, odzyskując oddech.

– Niedawno. Przyszedłem, żeby ci powiedzieć, że jego koniec jest bliski, ale nie zastałem cię

w wieży. Czekaając na ciebie, otrzymałem wieść o jego zgonie.

Dopijam wodę, myśląc o makowych łzach. Gdybym nie poszła z Liefem do ogrodu, Merek by mnie znalazł... mogłabym wówczas być z Dorinem w jego ostatnich chwilach, zdążyć się choćby pożegnać...

– Czy Dorin był sam?

– Był przy nim uzdrowiciel. Nie sądzę, by cierpiał.

– Mogę go zobaczyć?

Merek przygląda mi się ze zbolałym wyrazem twarzy.

– Myślę, że on by tego nie chciał, Twyllo. Wolałby, żebyś zapamiętała go takim, jakim był za życia.

Kiwam głową, nie mogąc się pozbyć uczucia dławienia w gardle.

– Raz jeszcze dziękuję.

– Nie jesteś mi nic winna, a już na pewno nie podziękowania – mówi miękko Merek. Lief przestępuje z nogi na nogę, przypominając księciu o swej obecności jako niechętnej przyzwoitki i Merek wstaje.

– Pójdę już, by pozwolić ci wypoczywać – mówi. – Wkrótce się zobaczymy.

Merek kłania mi się i wychodzi, a Lief żegna go ukłonem.

– Zostanę z tobą – mówi cicho. – Nie powinnaś być teraz sama.

Zastanawiam się, dlaczego mogę mieć tylko jednego przyjaciela na raz. Kiedyś był nim Tyrek, a kiedy go zabrakło – miałam Dorina. Teraz został ze mną tylko Lief. Kto odbierze mi Liefa...?

Nie mogę ani zasnąć, ani nawet udawać, że śpię. Spędzam noc, wyglądając przez okno. Na ciemnym nieboskłonie dostrzegam trzy komety, które przypominają mi ptaki uciekające na zachód przed nadejściem zimy. Znajduję w nich pociechę, jakby były znakiem od Dorina, chcącego mi powiedzieć, że odnalazł spokój, lub jakby to Bóstwa chciały mi przekazać, że nadal mnie kochają. Patrząc na komety aż do wschodu słońca, którego blask całkiem je ukrywa. Nadal pociesza mnie jednak świadomość ich istnienia. Lief w milczeniu siedzi na krześle w kącie komnaty. Co jakiś czas spoglądam na niego i widzę, że czuwa z mieczem na kolanach, i z powagą kiwa głową, gdy nasze spojrzenia się spotykają.

Kiedy Lief idzie po śniadanie, myję się i przebieram, choć robię to raczej z przyzwyczajenia. Nie rozumiem, jak mężczyzna tak silny jak Dorin mógł umrzeć w wyniku użądlenia pszczoły. Wydaje mi się to bardzo głupim wypadkiem.

– Zostajemy dziś w wieży? – dopiero głos Liefa uświadamia mi, że stoi w drzwiach z tacą zastawioną jedzeniem.

– Nie. Mam serdecznie dosyć tej komnaty.

Lief kiwa głową ze zrozumieniem.

– Tak mi przykro, Twyllo.

– Mnie też. – Przykro mi, że zapomniałam o najbardziej zaufanym sprzymierzeńcu i że pozwoliłam mu umrzeć w samotności gdzieś w podziemiach zamku. Bóstwa nie ocaliły go dla mnie.

Wychodząc z wieży, słyszę kojącą muzykę dobiegającą zza zamkowych murów. Jej dźwięki wyglądają ostrą krawędź mojej rozpacz, zamieniając ją w coś nieco bardziej znośnego. Kieruję się w stronę długiej galerii w nadziei zobaczenia grajka na własne oczy przez witrażowe okna. Okazuje się, że pewna drobna, ciemnowłosa dziewczyna wpadła na ten sam pomysł.

– Dimia.

Dziewczyna odwraca się, zauważa mnie i mgła zamyślenia natychmiast opuszcza jej wzrok, ustępując miejsca przerażeniu. Przywiera do ściany i w dziwny sposób przypomina mi mnie samą, kiedy staję przed obliczem królowej.

– Przepraszam – mówię, zanim dziewczyna lub Lief mają szansę się odezwać. – Nie powinnam była ci grozić. Nigdy, przenigdy bym cię nie dotknęła. Przepraszam za to, co powiedziałam.

Dimia patrzy na przez chwilę na mnie, a potem na Liefa. W końcu kiwa głową.

– Nic nikomu nie powiem, pani. I tak nic bym powiedziała, ale nie pozwoliłaś mi dokończyć. Miałam kiedyś dwóch braci na służbie u królowej. Jeden z nich, Asher, bardzo ją rozdrażnił. Powiedziała, że zbyt często się uśmiecha.

Otwieram usta ze zdziwienia i przez chwilę wszyscy milczymy. Flecista w ogrodzie wygrywa trylującą melodię, jednocześnie słodką i melancholijną. Mam ochotę pójść do niego, położyć głowę na jego kolanach i pozwolić, by muzyka przegnała moje zmartwienia.

– Sama więc widzisz, pani... ja wiem – mówi Dimia, cicho i tęsknie.

– Bardzo mi przykro... Czy mogłabyś przy okazji przekazać podziękowania swojemu bratu za to, że doręczył księciu moją wiadomość?

– Dobrze, pani – uśmiech Dimii jest smutny. – Właśnie się do niego wybieram. Ma akurat wolne popołudnie, bo król i książę są na polowaniu, a królowej nie ma w zamku. Mój brat lubi księcia.

Kiwam głową z roztargnieniem, myśląc o tym, co przed chwilą powiedziała.

– Królowej nie ma w zamku?

– Nie, pani. Udała się nad staw. Król z księciem wybrali się na polowanie, ale pozwolili Taulowi zostać. W zamku pozostało niewiele osób i pewnie dlatego ktoś odważył się grać na flecie – Dimia gestem wskazuje okno. – Piękna muzyka, prawda?

Potakuję ruchem głowy, starając się utrzymać spokojny wyraz twarzy. Muzyka i niespodziewana nadzieja napełniają mnie uczuciem ciepła. Mogę pójść, gdzie zechcę i nikt nie będzie próbował mnie zatrzymać. Uśmiecham się na samą myśl o tym.

– Rzeczywiście, piękna. Mam nadzieję, że wykorzystacie z bratem wolność, jaką przyniósł dzisiejszy dzień.

– Tak, pani – Dimia dyga przede mną, po czym znów odwraca się do okna.

Idąc długą galerią, czuję, jak mój uśmiech staje się coraz śmielszy. Lief przygląda mi się ciekawie, ale odzywa się dopiero po tym, jak skręcamy w korytarz.

– Co cię tak ucieszyło?

– Mamy dla siebie cały zamek.

– Co zrobimy z tą wolnością? – pyta z uśmiechem. – Chcesz wrócić do aptekarskiego ogrodu?

Kręcę głową, myśląc o Dorinie.

– Nie dzisiaj. Chciałbym pójść do świątyni, ale możemy wykorzystać okazję i pozwiedzać. Widziałeś już zamkowe ogrody?

– Jeszcze nie.

– Nie ma tam nic szczególnego, tylko klomby i kręte ścieżki, ale moglibyśmy tam posiedzieć i posłuchać muzyki.

– Jakiej muzyki? – pyta Lief z wyrazem zdziwienia wprost wypisanym na twarzy. – Ja nic nie słyszę. Zastanawiałem się nawet, o co chodziło Dimii. Może to halucynacje wywołane przez strach przed tobą...

– Jak to, nic nie słyszysz? – podchodzę do okna i przechylam głowę, nasłuchując. – O, już nic nie słychać. Ale ktoś przed chwilą grał, na flecie albo fletni. Grał coś bardzo ładnego. Chciałabym nauczyć się tej melodii i wymyślić do niej słowa.

– Będę musiał uwierzyć ci na słowo, pani – mówi Lief z psotnym uśmiechem i przez chwilę mam ochotę go pchnąć. Opanowuję się jednak, świadoma konsekwencji i rumieńca, który wykwitł na moich policzkach.

– Nic ci nie jest?

– Trochę mi gorąco. Świeże powietrze dobrze mi robi.

– Może powinnaś była udać się nad staw razem z królową. Podobno w górach jest chłodno.

– Nie zaprosiła mnie. Nigdy mnie nie zaprasza.

– Bardzo nieuprzejmie z jej strony. Ale czy zazwyczaj pod nieobecność królowej nie śpiewasz dla króla?

– Zazwyczaj tak, ale to nie jest dla królowej zwykły dzień na wyprawę nad staw. Musiała mieć jakiś ważny powód, by się tam udać. Nie będę też przecież śpiewać dla króla podczas polowania.

– A ja wolałbym słuchać twojego śpiewu, niż polować – mówi Lief. – Na miejscu króla posłałbym po ciebie, zamiast uganiać się za jeleniami.

– Król uwielbia polować – odpowiadam, nieco zbity z tropu jego komplementem. – Poza tym zaśpiewam dla niego za dwa dni, kiedy królowa znowu... – Przerывam w pół zdania. Po co pojechała nad staw akurat dzisiaj? Rozkład wizyt uzależniony jest od jej własnego cyklu miesięcznego, a przecież dzisiaj księżyc maleje. Królowa nigdy nie udałaby się do świętego źródła przy malejącym księżycu. Malejący księżyc symbolizuje śmierć, to moja pora, pora Daunen. Dokąd więc pojechała królowa? I choć wiem, że król lubi polować, chyba wcale nie pochlebiam sobie myśląc, że wolałby słuchać dzisiaj mojego śpiewu. Dlaczego wszyscy nagle opuścili zamek?

Mija czas trzech uderzeń serca i nagle czuję się tak, jakby goniły mnie psy. Spokój wywołany dźwiękami fletu gdzieś się ulotnił, a jego miejsce zajęła groza i panika. Mam wrażenie, że psy są tuż za moimi plecami, niemal czuję na plecach ich gorący oddech i zęby kłapiące moje kostki. Zamieram w bezruchu, sparaliżowana lękiem.

– Pani? Co się stało? – pyta Lief. – Nic ci nie jest?

– Potrzebuję powietrza.

Ruszam przed siebie szybkim krokiem, choć nogi prawie odmawiają mi posłuszeństwa. Potykam się na schodach, ale odzyskuję równowagę i nie zatrzymuję się, póki nie docieram do zamkowych ogrodów. Upadam na kolana i chowam twarz wśród wonnych kwiatów lawendy.

Coś się dzieje. Każdy nerw w moim ciele ostrzega mnie, że coś jest bardzo nie w porządku. Merek powiedziałby mi przecież wczoraj, że na dziś zaplanowano polowanie. Być może nawet by mnie zaprosił. Łowów nie urządza się zbyt często, a to już drugie w ciągu jednego miesiąca, a dziś nie przypada dzień pielgrzymki królowej nad staw. Ten dzień przypada zawsze nazajutrz po Próbie. Zawsze. Jeden dzień dla śmierci, jeden dzień dla życia. Dlaczego zamek tak nagle opustoszał? Dlaczego porządek miesiąca uległ tak nagłej zmianie? Dlaczego tylko mnie pozostawiono samą?

Odpowiedź uderza mnie jak cios.

Zawsze dotąd miałam dwóch strażników, a teraz zostałam z jednym. Miałam pozostać w odosobnieniu, a teraz wolno mi poruszać się po zamku. Kto by mnie bronił w razie próby ataku? Został ze mną jedynie strażnik, którego sama zachęcałam, by stał się bardziej przyjacielem, niż obrońcą. Ten sam strażnik, który kilka dni temu stoczył z księciem pojedynek o moją wolność i wygrał, wygrał wbrew życzeniom królowej i za jej plecami. Królowa musi wiedzieć, co zrobił Merek.

To pułapka, to musi być pułapka. Ale na kogo...? Na mnie, na Liefę? Czy królowa wie, że staliśmy się przyjaciółmi, że rozmawialiśmy o rzeczach, które uważa za zdradę?

Już wszystko rozumiem. Merek bez wiedzy królowej zwrócił mi wolność. Merek, księżę krwi Lormere, ustąpił w pojedynku przed synem tregelliańskiego rolnika i to nam przyjdzie za to zapłacić. Malejący księżyc, księżyc śmierci. Zapłacimy za to jeszcze dziś, a ja stracę kolejnego przyjaciela, który nigdy nie powinien był nim zostać. Znowu będę winna śmierci jedyne go przyjaciela.

Lief stoi nade mną, wyraźnie zmartwiony.

– Twyllo...?

– Nie. Masz się do mnie zwracać „pani”.

Lief wygląda tak, jakbym go uderzyła i blednie na moich oczach.

– Czyżbym cię czymś uraził?

– Zbyttno się spoufalileś – odpowiadam, ignorując brzmiącą w jego głosie panikę. – Nie możemy... nie mogę być twoją przyjaciółką.

– Twy... pani... co się stało?

– Nie – powtarzam drżącym głosem i zanurzam dłonie w glebie, by ukryć ich dygot. – To był błąd.

Ktoś mógłby się zjawić, a ty byś nie zauważył, bo zajęty jesteś gadaniną. Musisz być czujny. Nie możesz być moim przyjacielem.

Wyrwam dłonie z ziemi i wstaję. Czuję na sobie jego ciężkie spojrzenie i koncentruję się na oddychaniu. Liczę wdechy i wydechy, aż mój puls się uspokaja. Kiedy znów patrzę na Lief, wypisany na jego twarzy ból na chwilę odbiera mi głos.

– Co się stało, Twyllo? Powiedz mi, co się stało? – Jego głos brzmi żałościwie, jak głos dziecka.

– Przestań, Lief. Nie możemy. Nie wolno nam. – Odwracam się na pięcie i odchodzę, próbując zebrać myśli.

Jestem pewna, że królowa chciałaby zobaczyć na własne oczy, jak spotyka nas kara. Wiem, jak bardzo uwielbia podobne przedstawienia. Rozglądam się po ogrodzie, szukając oznak ataku lub pościgu. Ilu ludzi wyśle przeciw Liefowi? Dziesięciu, piętnastu? A może jeszcze więcej? Rozpaczliwie zaciskam palce w pięści.

Czuję za sobą obecność Lief, a jego zmieszanie jest wprost wyczuwalne w powietrzu. Jego krok jest ciężki, nawet nie próbuje ukrywać gniewu.

Do świątyni czy z powrotem do komnaty? Postanawiam wracać do komnaty. W świątyni będziemy zbyt odsłonięci, zbyt narażeni na atak, bo kiedyś w końcu musielibyśmy ją opuścić.

– Wracamy – nakazuję ostro. – Szybko.

Słyszę za sobą jego kroki na drewnianych stopniach i znowu mam wrażenie, że ktoś nas goni, ktoś na nas poluje. Przyspieszam kroku i Lief robi to samo. W pędzie mijamy zaskoczonych paziów, którzy uskakują z drogi, chowając się w drzwiach lub za kotarami.

Docieram do drzwi wieży, unoszę kraj sukni i zaczynam biec. Strach nie pozwala mi się zatrzymać, dopóki nie docieram do szczytu schodów i nie widzę przed sobą drzwi do bezpiecznego schronienia mojej komnaty. Sięgam po klamkę, ale Lief chwyta ją pierwszy i odruchowo odskakuję, by uniknąć kontaktu z jego skórą. Lief jest tak blisko, że przypadam do ściany. Jedną ręką przytrzymuje zamknięte drzwi.

– Co ja takiego zrobiłem? – pyta, a jego oczy płoną jak błędne ogniki.

– Cofnij się – mówię przyparta do ściany.

– Twyllo, nie rób mi tego. Powiedz mi, co się stało.

– Na litość Bóstw, Lief, cofnij się! Stoisz za blisko.

– Najpierw powiedz mi, co się stało. Co takiego zrobiłem, by sobie na to zasłużyć.

– Nic.

– W takim razie nie bądź okrutna i nie traktuj mnie jak innych – mówi Lief i zbliża się o krok.

– Lief, proszę cię, musisz się cofnąć. Jeżeli mnie dotkniesz...

– Co? Co wtedy?

– Umrzesz. Otrujesz się i umrzesz.

– Doprawdy?

– Wiesz, że tak. Próby...

– Próby są kłamstwem.

Kręcę głową, nie spuszczając z niego ostrożnego wzroku. – Próby...

– Są kłamstwem – powtarza. – To jedno wielkie kłamstwo.

Zapada chwila ciszy. Kiedy się odzywam, mój głos jest lodowaty.

– Co ty mówisz?

– Chyba nie możesz w to wierzyć. Zastanów się, Twyllo. Jak możesz nosić w sobie truciznę? Specjalną truciznę, która nie zabija cię tylko dlatego, że masz właściwy kolor włosów i błogosławią cię Bóstwa? Jak to możliwe?

– Nic nie wiesz o Bóstwach, bo nie wierzysz, że istnieją – słyszę, jak moje słowa brzmią bełkotliwie ze strachu przed jego bliskością i przed tym, co mówi.

– Gdyby Bóstwa naprawdę istniały, czy pozwoliłyby królowej robić to, co robi?

– Jestem Daunen Wcieloną. Zostałam namaszczona, moje życie należy do Bóstw...

– Nie jesteś Daunen Wcieloną. Ona nie istnieje. Królowa nadała ci tytuł i puściła w obieg paskudną pogłoskę, żeby wywoływać w ludziach strach. Ona cię wykorzystuje.

– Jak śmiesz? – syczę przez zęby. – Nic nie rozumiesz i nie możesz zrozumieć. Jesteś z Tregellanu, a w Lormere wszystko jest inne i...

– Nie, Twyllo, wcale nie jest. Wiem o tym właśnie dlatego, że pochodzę z Tregellanu. My również wierzyliśmy kiedyś w Bóstwa, ale to było dawno temu. Mimo braku Bóstw nasz kraj nie tylko nie upadł, ale wręcz rozkwitł. Nie rozumiesz? To wszystko wymysły, bajki. Bóstwa cię nie kochają, bo nie istnieją. Nie istnieje też żadna trucizna, która cudownym sposobem cię nie zabija. To stek podłych kłamstw, a ty jesteś przecież zbyt mądra, by w nie wierzyć... – Lief przerywa i gwałtownym ruchem przeczesuje włosy palcami. – Porannica nie jest trucizną. Możesz mi wierzyć, znam się na truciznach. Pamiętaj, że moja siostra jest uzdrowicielką. To kłamstwo, którym królowa zapewnia sobie twoje posłuszeństwo. Nie rozumiesz tego?

– Przestań to powtarzać! – krzyczę mu prosto w twarz.

– Najpierw mnie wysłuchasz! Jeżeli Bóstwa istnieją, dlaczego nie zabiły mnie na miejscu za to, co powiedziałem? Dlaczego mnie nie ukarały?

– Ja... nie wiem...

– Dlatego, że nie istnieją! – wykrzykuje Lief. – Bóstwa to wymysł stworzony po to, żeby królowa mogła rządzić tobą i mną, żeby wymuszać na ludziach posłuszeństwo. Bóstwa to zwykłe kłamstwa. Widziałas kiedyś, żeby lis martwił się, co pomyśla o nim Bóstwa? Albo krowa na pastwisku? Gdyby Bóstwa istniały naprawdę, wszyscy by ich czcili, wszyscy na co dzień odczuwaliby ich obecność. Ale wyznaje się je tylko w Lormere. W Tregellanie nie ma Bóstwa, podobnie jak w Tallith. Czy to ci nic nie mówi? Tu chodzi o władzę, o kontrolę, o posłuszeństwo. Tacy ludzie jak królowa mówią nam, że jeśli nie będziemy postępować zgodnie z wolą Bóstw, zgodnie z jej wolą, nasze dusze będą potępione. Pomyśl o tych wszystkich mordach, których się dopuściła i powiedz mi, czyja dusza bardziej zasługuje na potępienie – twoja czy jej?

– To ja zabijam! – krzyczę. – To ja zabijam zdrajców! Oczywiście, że jestem potępiona.

– Nigdy nikogo nie zabiłaś – mówi dobitnie Lief. – Ani razu.

– Mylisz się.

Lief wydaje z siebie odgłos czystej frustracji i uderza dłońmi o ścianę tuż obok mojej głowy.

– Co mam zrobić, żeby ci udowodnić, że mam rację?

– Nic nie możesz zrobić.

– A jednak mogę – odpowiada Lief, powoli i z namysłem. – Jednak mogę.

Nachyla się i przyciska usta do moich ust.



Odpycham go od siebie z całej siły i próbuję uciec w dół schodów, ale Lief chwytą mnie od tyłu w tali i zakrywa mi usta drugą ręką, dławiąc krzyk w ustach. Próbuję się szamotać, ale wciąga mnie do komnaty i kopnięciem zamyka za nami drzwi. Kiedy mnie puszcza, próbuję wyrwać jego miecz z pochwy, by zabić go, zanim umrze od trucizny.

– Zaczekaj! – Lief chwytą mnie i przyciska do piersi. – Po prostu zaczekaj...

– Ty głupi, szalony... – szlocham. – Puść mnie, bo zatrujesz się jeszcze bardziej!

Ale Lief trzyma mnie mocno, nie puszczając nawet mimo kopniaków celnie wymierzonych w golenie. Czekam, aż zacznie kaszleć i upadnie, aż z jego ust popłynie krew, ale nic podobnego się nie dzieje. Trzyma mnie mocno w ramionach i nie umiera.

Puszcza mnie po kilku chwilach i cofam się o krok, wlepiając w niego spojrzenie.

– Nie umarłem – mówi cicho. – Czuję się dobrze.

– Jesteś młody i silny, trucizna potrzebuje czasu, ale i tak umrzesz.

– Nie umrę, bo nie jesteś trująca.

– To jakieś szaleństwo. Ty zwariowałaś.

– Kłamstwo, Twyllo – odpowiada Lief. – Zwykłe kłamstwo. Nieprawda. Popatrz na mnie tylko – rozkłada ramiona, bym mogła mu się przyjrzeć.

Jego słowa i argumenty wciąż do mnie nie dotarły. Nadal czekam, zdecydowana wyrwać mu miecz i zabić, kiedy tylko zacznie kaszleć lub choćby ciężko oddychać. Śmierć od trucizny jest gorsza, niż od miecza, a oczekiwanie, by zaczęła działać przypomina agonię.

– Coś ty zrobił? – powtarzam w kółko, myśląc o jego dotyku, o jego ustach. Poczułam jego smak, a on poczuł mój. – Dotknąłeś mnie... Jestem Daunen Wcieloną, a ty mnie dotknąłeś! Coś ty zrobił?

– Nie jesteś Daunen Wcieloną.

– Jestem!

– Na twoje Bóstwa, Twyllo, to kłamstwo! – ryczy Lief. – Jesteś zwykłą dziewczyną!

Rzucam się na niego, chcąc gryźć i drapać, całkiem zapominając, że przecież umiera od mojego dotyku. Kopię go, biję i drapię, jak potrafię, cały czas szlochając. Próbuje mnie powstrzymać, ale mu nie pozwalam i okładam pięściami. Sama nie wiem, kiedy nasze usta się spotykają i zamiast go bić, chwytam paznokciami jego twarz i przyciskam się do jego ust. Pocałunek jest gorący, mokry i nieporządny, zderzamy się zębami i zataczamy, a Lief wpada na moje biurko. Czuję w ustach smak krwi z jego wargi rozciętej moimi zębami. Kiedy w końcu go puszczam, jego oczy są jednocześnie jasne i mroczne, a źrenice prawie całkowicie zakrywają zieleni tęczęwek. Oboje ciężko oddychamy i czekamy, patrzemy i czekamy. Lief nie upada, nie zaczyna krwawić z nosa i ust. Nigdy nie widziałam nikogo bardziej żywego.

To on porusza się pierwszy, przygarnia mnie do siebie, przytula i całuje w czubek głowy, a ja poddaję się jego objęciom.

Chyba stoimy przytuleni dość długo, bo gdy wyzwalam twarz z fałdów jego tuniki zauważam, że

cienie w komnacie wydłużyły się i sięgnęły totemu. Lief siedzi na podłodze, a ja na jego kolanach, zupełnie jak dziecko. Obejmuje mnie ramionami i co jakiś czas całuje moje włosy. I nadal żyje. Musiały minąć godziny, a on nie umarł. Lief głaszcze moje ramiona i plecy. Jego palce ani na chwilę nie przestają dotykać mojej skóry. Nadal drzę, choć nie mam pojęcia, czego się boję.

– Twyllo – odzywa się cicho i unosi moją twarz ku swojej.

Widzę jego spuchniętą, rozciętą wargę i potargane włosy sterczące wokół głowy jak aureola. Na jego szyi widnieją ślady moich paznokci.

– Nic ci nie jest? – pyta, patrząc mi w oczy.

– A tobie?

– Zupełnie nic – odpowiada z uśmiechem. Jestem całkiem zdrowy i całkiem żywy.

– Ja... Nie wiem, kim jestem. Nic nie rozumiem. Wiem na pewno tylko jedną rzecz. Zdradziłam księcia. Jestem jego narzeczoną... co ja teraz zrobię?

– Wszystko będzie dobrze – mówi Lief. – Obiecuję. Jutro wszystko stanie się jasne. Zaufaj mi.

Kręcę głową, wiedząc, że się myli, że nie może mieć racji. Zdrada... Symbolizują ją nasiona kozieradki, surowe i gorzkie. Moja trumna będzie nimi cała pokryta.

– Powiedz coś, Twyllo – prosi Lief. – Odezwij się do mnie. Proszę.

Uwalniam się z jego ramion i wstaję, choć w głowie mi wiruje. Jego dotyk i ciepło jego skóry całkiem mnie odurzyły. Zapomniałam już, jaką pociechę przynosi dotyk drugiej osoby. Zalewa mnie fala wspomnień: dotyk dłoni króla, kiedy prowadził mnie z powrotem do matki, zapach szyi mojej siostry, kiedy wtulała się we mnie podczas burzy, gorące dłonie moich braci, przekomarzających się ze mną o jagody i wiśnie. Dotyk skóry na mojej skórze... Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo mi go brakowało.

Kiedy tylko dotyk Lief'a ustaje, natychmiast przypominam sobie, kim jestem.

Odwracam się od niego i podchodzę do lustra. W pierwszej chwili nie rozpoznaję patrzącej na mnie dziewczyny, jej spuchniętych od pocałunków ust i splątanych włosów. Nie wygląda ani jak wybranka Bóstw, ani jak przyszła królowa. Nie przypomina też morderczynie. W dogasającym świetle słońca czerwonozłoty chaos moich włosów przypomina horyzont na zachodzie. W mojej głowie tłoczą się myśli. Włosy Daunen... Narzeczoną księcia... Zdrajczynie.

– Odezwij się do mnie – mówi Lief stając za mną, a ja odsuwam się, unikając jego dotyku. Kiedy mnie dotyka, nie ufam sobie samej, a nikomu i niczemu innemu nie mogę teraz ufać. – Nie odpychaj mnie od siebie, Twyllo. Proszę. Nie odcinaj się ode mnie i nie udawaj, że nie istnieję.

– Ja nie...

– Właśnie to robisz. Spędziłem miesiąc w twoim towarzystwie. Kiedy cię spotkałem, zachowywałaś się właśnie tak, jak teraz. Potem zmieniłaś się i ta zmiana wyszła ci na dobre. Jesteś lepsza od nich wszystkich, od całej królewskiej rodziny, więc nie zachowuj się jak oni.

– Nie powinieneś mówić takich rzeczy.

– Twyllo, nie możesz zaprzeczyć, że...

– Nie, Lief, nie mogę. – Odwracam się do niego. – Ale nie wiem, co czuję.

Przez jego twarz przebiega nagły cień.

– Wiem, że to bardzo wiele jak na jeden raz...

– Nic nie wiesz! Skąd mógłbyś wiedzieć? Ludzie giną dlatego, że jestem Daunen Wcieloną. Mam myśleć, że umarli za kłamstwo? A Merak? Mam zostać jego żoną, Lief, mamy się pobrać na wiosnę przyszłego roku. To, co zrobiliśmy jest zdradą, i to ja wymierzam karę za zdradę. – Nie mogę powstrzymać śmiechu, choć wcale nie czuję się wesoła. – Jak mam cię stracić, skoro jesteś odporny na mój dotyk?

Lief milczy i wpatruje się we mnie swoimi dużymi oczyma. Unosi ręce, by mnie uspokoić lub przekonać.

– Proszę cię – wyciągam ręce przed siebie, by go powstrzymać. – Potrzebuję czasu. Muszę pomyśleć.

– Możemy stąd odejść – mówi cicho, po chwili milczenia.

– Nie słyszałaś, co powiedziałam? Wychodzę za księcia. Nie mogę odejść.

– Nie wychodź za niego. Wyjdź za mnie. Ucieknijmy razem.

– Nie, Lief. Nie mogę, z tysięcy powodów, nie mogę. Wyjedź z Lormere. Ja zajmę się resztą. Wezwę teraz służące, by przygotowały mi kąpiel. Strażników zawołam dopiero po kąpeli. To powinno dać ci dość czasu, by uciec daleko stąd.

Lief patrzy na mnie jeszcze przez chwilę, po czym kiwa głową. Odwracam się, nie chcąc patrzeć, jak odchodzi.

– Zawołam służące – mówi i wychodzi, zamykając za sobą drzwi. Odgłos zapadki brzmi w moich uszach jak oskarżenie.

Oddycham z trudem, doświadczając kolejnych fal emocji. Kiedy tylko zamykam oczy znów mam wrażenie, że Lief mnie całuje i nagły zawrót głowy zmusza mnie do otwarcia powiek. Rozlega się pukanie do drzwi i ruszam, by otworzyć w nadziei, że to on. Ale to tylko służące z gorącą wodą. W milczeniu przyciskam plecy do ściany i czekam, aż tuzin służących uwinie się z dzbanami. Co by się stało, gdybym dotknęła którejś z nich? Wiem, że zaczęłyby krzyczeć, ale czy mój dotyk by je zabił? Sama nie wiem, która możliwość jest gorsza.

Służące wychodzą, a ja rozbieram się i zanurzam w balii. Gorąca woda przyprawia mnie o drżenie, bo wewnętrznie czuję się przemarznięta. Po chwili jednak ogarnia mnie narastające ciepło. Jestem wdzięczna za możliwość zwalenia zaczerwienionej skóry na zbyt gorącą wodę.

Wpatruję się w sufit i opieram ręce o krawędź balii, a moje myśli kłębią się i przekrzykują wzajemnie jak przekupki na targu. Dlaczego mój dotyk nie zadziałał na Liefę? Dlaczego się nie otruł? Wszyscy skazańcy umierali prawie natychmiast, kiedy tylko dotknęłam ich skóry.

Rozmyślałam o czekającej mnie nazajutrz Próbie i o tym, że nie mogę przejść jej pomyślnie. Zawiodłam zaufanie Bóstw. Pocałowałam mężczyznę, który nie jest moim narzeczonym i zwątpiłam w moce, których udzieliły mi Bóstwa. Wiem, że poniosę karę, że trucizna tym razem mnie zabije. A potem kara Bóstw spadnie z kolei na Liefę.

Bo przecież tak musi się stać... prawda?

Wychodzę z balii i owijam się w peniuar, po czym klękam przed wiszącym na ścianie totemem. „Jesteście tam?” – zwracam się do Bóstw. Nigdy nie odpowiadają na moje modlitwy, ale zazwyczaj podczas modłów czuję się spokojna. Tym razem nie czuję nic.

Próbuję odegnać od siebie lęk. Zawsze trudniej mi było rozmawiać z Bóstwami poza świątynią. Postanawiam spędzić w niej noc i błagać o pomoc i wybaczenie. Na pewno poczuje ich obecność wśród oparów kadzidła, mając obok siebie Studnię Naeht.

„Ale powinnaś czuć ich obecność wszędzie” – mówi cichy głos w mojej głowie. Dopiero po chwili uświadamiam sobie, że głos należy nie do Liefę, a do mojej matki.

Próbuję sobie przypomnieć, co słyszałam od matki o Bóstwach. Często mówiła o służbie Naeht, ale wyłącznie w abstrakcyjny sposób. Nigdy nie chodziłyśmy do świątyni, by się tam modlić. Przed przybyciem do zamku nigdy nawet nie byłam w świątyni. Matka nigdy też nie odwoływała się do Bogini. Mówiła jedynie, że działa w jej imieniu i wszystko zawsze działa się z woli Naeht. Ale w takim razie, po co się do niej modliła?

„Twyłlo, tak jak ty jesteś Daunen Wcieloną, tak i ja wraz z królem stanowimy wcielenia Naeht i Daega. Wieśniacy wiedzą, że są błogosławieni, ponieważ my istniejemy” – powiedziała królowa.

„Bóstwa to wymysł stworzony po to, żeby królowa mogła rządzić tobą i mną, żeby wymuszać na ludziach posłuszeństwo” – powiedział Lief.

Na litość Bóstw...

Obejmuję się ramionami, jak robił to Lief. Czyżby miał rację? Ani moja matka, ani królowa nigdy nie powiedziały, że wierzą w Bóstwa. Moja matka ich potrzebuje, bo bez Bóstw nie może istnieć i Wieczne Królestwo, a to oznaczałoby, że zjadaczki grzechów są jedynie częścią żałobnych obrzędów. Królowa potrzebuje ich dlatego, że to strach przed śmiercią wywołuje w ludziach zarówno posłuszeństwo, jak i dobroć oraz potrzebę przebaczenia.

Jakie Bóstwa pozwoliłyby mojej matce i królowej na takie zachowanie, na bawienie się ludźmi i decydowanie o ich życiu? A skoro Bóstwa nie istnieją, to kim jestem ja, skoro nie mogę być Daunen Wcieloną? Jeżeli moją rolą nie jest zabijanie w imieniu Bóstw, to jestem jedynie morderczynią, która zabija z zimną krwią. Na mojej trumnie zabraknie miejsca, bo cała zastawiona będzie wronim mięsem...

Ale Lief powiedział przecież, że to wszystko kłamstwa. Wszystko. Co przez to rozumiał?

Dobiega mnie pukanie do drzwi i przez chwilę mam wrażenie, że serce wyskoczy mi z piersi.

– Wejść – mówię, starając się nadać głosowi spokojne brzmienie.

Z przerażeniem przekonuję się, że za drzwiami stoi Lief z tacą zastawioną jedzeniem.

– Przyniosłem kolację – mówi. – Ale nie wiem, czy jesteś głodna.

– Co ty tu robisz? Kazałam ci odejść.

– Nigdzie nie idę. Wiem, że mam rację, a podczas jutrzejszej Próby i ty się o tym przekonasz.

– Lief, jeżeli coś do mnie czujesz, odejdz.

– Jeżeli odejdę, nie zobaczę wyrazu twojej twarzy, kiedy pojmiesz, że się myliłaś.

– Jesteś niemożliwy – mówię ze złością.

– Ale mam rację.

Wzdycham i odwracam się do niego plecami, jednocześnie zrozpaczona i zachwycona jego zuchwałością.

– Nie ma sensu się kłócić, Twyllo. Zostaję. Jutro zaprowadzę cię do Komnaty Prób, a potem przyjmę z wdziękiem twoje przeprosiny – uśmiecha się Lief. – Ale musisz coś dla mnie zrobić.

– Co takiego?

Lief wręcza mi małą, pustą fiolkę.

– Nie pij jutro porannicy. Odwróć uwagę konsyliarza, żebyś mogła schować miksturę. Oddasz mu pustą fiolkę, żeby się nie zorientował, co zaszło.

– Dlaczego? Po co?

– Sama się przekonasz. Zaufaj mi.

– Stale mnie o to prosisz.

– I jak dotąd nie zawiodłem twojego zaufania – mówi rzeczowo. – Gdybyś mnie potrzebowała, będę na zewnątrz. – Lief kłania się i wychodzi z komnaty i zostawia mnie. Kręcę głową, nie mogąc uwierzyć w jego głupotę.

Patrzę na tacę z kolacją, a potem na totem. Nie chcę jeść. Chcę pójść do świątyni.

Ubieram się i zarzucam na ramiona płaszcz, po czym otwieram drzwi.

– Skoro uparłeś się, żeby zostać, możesz odprowadzić mnie do świątyni – mówię chłodno.

Lief kiwa głową, a jego zaskoczenie jest prawie niezauważalne.

– Tak, pani.

Proszę Lief, by poczekał na zewnątrz i zamykam drzwi do świątyni. Zapalam kadzidło i wszystkie świece, napełniając wnętrze światłem. Nad ołtarzem wyraźnie widać plamę bieli po totemie, wokół którego bielidło wyblakło z czasem. Klękam przed ołtarzem i zamykam oczy, wdychając zapach plumerii. Czekam. „Gdzie jesteście – pytam w myślach. Potrzebuję was. Jestem zagubiona i nie wiem, jaką wybrać drogę. Potrzebuję wskazówki”.

Nie czuję nic. Ani spokoju, ani prawości moich myśli. Nic. Jeżeli Bóstwa istnieją, nie ma ich teraz w mojej świątyni.

Wstaję i ubieram się jeszcze przed świtem, a kiedy Lief puka do moich drzwi, na zewnątrz nadal jest ciemno. Przepęlnia mnie dziwny spokój. Ku własnemu zaskoczeniu spałam zupełnie dobrze, bez koszmarów o śmierci i wygnaniu ani snów o splecionych ciałach i niezapomnianych, zielonych oczach. Nie otrzymałam też we śnie żadnych wiadomości od Bóstw. Mam wrażenie, że obserwuję samą siebie, stojąc z boku, jakby wydarzenia mnie bezpośrednio nie dotyczyły. Widzę siebie idącą o krok przed Liefem i drugim strażnikiem, którego przydzieliła mi królowa na czas Próby. Moja suknia ślizga się po kamiennej posadzce, kiedy mijamy poziom koszar i schodzimy niżej, do podziemnych trzewi zamku.

Wszędzie wokół unosi się odór polowania i ostry zapach psów. Czy to możliwe, że jeszcze wczoraj byłam przekonana, iż królowa odbierze mi Liefą? Jego słowa sprawiły, że całkiem o tym zapomniałam. Musiałam się mylić, ale nie opuszcza mnie wrażenie, że gdyby królowa faktycznie coś planowała, byłaby ubawiona, wiedząc, że zamknęliśmy się w komnacie i ułatwiliśmy jej zadanie.

Powinno mi odczuwać strach, powinno mi drzeć na całym ciele, ale jestem jak odrętwiała. Czekam, aż Lief zapuka do drzwi Komnaty Prób i zaanonsuje moje przyście Rulfowi.

Już po chwili siedzę na zydlu i wpatruję się w ścianę, ignorując trzech mężczyzn i widmowy śmiech Tyreka. Jestem spokojna, pewna tego, co musi się wydarzyć. Być może Bóstwa odrzucą moją krew już w chwili, gdy Rulf zmiesza ją z porannicą, a może mikstura stanie się czarna i Rulf natychmiast będzie wiedział, że dopuściłam się zdrady królestwa. A może czerń powlecze niebo i wszyscy jednocześnie dowiedzą się o mojej zdradzie...? Mam tylko nadzieję, że zdążę ochronić Liefą przed drugim strażnikiem, dać mu czas na ucieczkę. Zaciskam i rozluźniam palce ułożonej na kolanach dłoni, ale Rulf cmoka z przyganą i przestaje, gdy jego nóż upuszcza mi krwi. W drugiej dłoni mam fiolkę, którą dostałam od Liefą. Wiem, że mnie teraz obserwuje, bo czuję na sobie jego wzrok. Bez jakichkolwiek emocji przyglądam się, jak Rulf zbiera kroplę mojej krwi do przygotowanej wcześniej miseczki.

Drugi ze strażników staje obok Rulfa, który miesza krew z trucizną, a Lief uważnie obserwuje ich obydwu. Korzystam z okazji, by mu się przyjrzeć. Jest blady, a skóra jego twarzy wydaje się mocniej niż zwykle napinać na wysokich kościach policzkowych. Nieustannie zaciska i rozprostowuje palce na rękojeści miecza. Chyba jednak wcale nie jest tak całkiem pewien własnych słów o kłamstwach i wymysłach stworzonych po to, by kontrolować ciemny lud. Co robi, kiedy nasza zdrada zostanie odkryta? Czy spróbuje zabić Rulfa i strażnika, by utorować sobie drogę ucieczki? Czy spróbuje zabrać mnie ze sobą?

Rulf upuszcza fiolkę na moje kolana i w tej samej chwili rozlega się trzask pękającego szkła. Moje serce na chwilę przestaje bić. Wiem, że nadeszła chwila prawdy, że odkryto naszą zdradę. Rulf pospiesznie podchodzi do Liefą, który pochyła się i próbuje wyzbierać leżące na podłodze szkło z rozbitych słoików. Bez sekundy zastanowienia chowam fiolkę z porannicą w rękawie i wyjmuję korek z pustej fiolki. Odkładam ją na stół i odwracam się w stronę zamieszania.

– Bardzo przepraszam – mówi Lief, zbierając największe odłamki szkła, a Rulf przegania go gestem, gniewnie i bezgłośnie poruszając ustami.

Chwilę później opuszczamy komnatę.

*

Lief czeka, aż zostaniemy sami u stóp mojej wieży, po czym wyciąga rękę.

– Daj mi fiolkę.

Podaję mu wyjęte z rękawa naczynie, przypadkiem muskając palcami jego palce. Zanim mam szansę go powstrzymać, Lief wyjmuje korek z fiolki, wacha zawartość i wlewa ją sobie do ust.

Kiedy zaczyna się krzywić, rozpaczliwym gestem łapię go za tunikę, ale Lief mnie uspokaja.

– Wyciąg... z jarzębiny – wykasłuje i robi minę, która w innych okolicznościach pewnie by mnie rozbawiła. – Wyciąg z jarzębiny rozpuszczony w alkoholu. Matka zmuszała mnie, bym pił go za karę, kiedy zdarzyło mi się zakląć. Gorzki, ale nieszkodliwy, a już na pewno nie trujący – mówi i chowa fiolkę

do kieszeni na piersi.

Puszczam jego tunikę i cofam się. Nie wypiąłam porannicy i nikt się nie zorientował, nawet uczony zielarz znający tajemnicę Próby. Bóstwa rządzące każdym moim ruchem mnie nie ukarały. Wczorajszego dnia dotknęłam i pocałowałam mężczyznę, który nie umarł, choć nikt spoza rodziny królewskiej nie ma prawa przeżyć mojego dotyku. Ten sam mężczyzna wypił truciznę, którą przyjmowałam co miesiąc od czterech żniw. A potem powiedział mi, że jest ona zaledwie karą za dziecinne przekleństwa.

Nie spełniła się żadna z rzeczy, w które wierzyłam, w które nauczono mnie wierzyć.

Lief mówił prawdę. Wszyscy poza nim mnie okłamywali.

Bóstwa mnie nie pobłogosławiły, nie jestem Daunen Wcieloną. Sama nie wiem, kim jestem.

Mijam Liefa w przejściu i wchodzę po schodach wieży, wracając do komnaty.

– Napisz wiadomość do Mereka – mówię, nie dając mu szansy ani się odezwać, ani mnie objąć. – Poproś, by natychmiast przyszedł do mojej świątyni.



Przechadzam się nerwowo po świątyni, gniewnie popatrując na drzwi. Lief czeka na zewnątrz, by zaanonsować nadejście Mereka i dać mi czas na zebranie myśli i odzyskanie spokoju. Muszę poznać fakty. Chcę wiedzieć wszystko.

– Jego Wysokość, książę Merek – anonsuje Lief. Książę wchodzi do świątyni i kieruje się ku mnie z wyraźnie przejętym wyrazem twarzy. Maskę spokoju, w którą z takim trudem zamieniłam swoją twarz natychmiast zaczyna pękać, ale zanim Merek nie pozwala mi się odezwać.

– Twyllo, domyślam się, że wieści już do ciebie dotarły, ale zapewniam cię, że nie ma się czym przejmować. – W pierwszej chwili jego słowa mnie oszałamiają. Skąd może wiedzieć...? – To tylko lekka gorączka, zapewne skutek polowania.

– O czym ty mówisz? – pytam.

– O zdrowiu króla. Czy nie dlatego chciałaś się ze mną widzieć?

Kręcę głową w odpowiedzi.

– Co dolega królowi?

– Gorączka, jak już mówiłem. Wyzdrowieje. Oczywiście twoja jutrzejsza audyencja u króla została odwołana. Matka tego zażądała, by się upewnić, że gorączka jest niegroźna. Osobiście jestem przekonany, że król wkrótce sam po ciebie pośle.

Patrzę na niego, groźnie marszcząc brwi, ale mój gniew gdzieś wyparował.

– Nie martw się, proszę. Twój strażnik cierpiał na coś innego – ciągnie książę, błędnie odczytując wyraz mojej twarzy. – Pewnie rozbawi cię wieść, że moja matka postanowiła nie opuszczać jutro zamku, by pielęgnować króla – wykrzywia usta w charakterystycznym półuśmiechu, ale zaraz poważnieje, zauważając moje milczenie. – Co się stało? Dlaczego po mnie posłałaś? Czy chodzi o Próbę? Coś wydarzyło się podczas Próby?

Jego słowa wystarczają, by na nowo wyzwolić we mnie wściekłość.

– Z jakiej rośliny wyrabia się porannicę? – pytam głosem kruchym jak szkło.

– Nie rozumiem...

– Z jakiej rośliny wyrabia się porannicę? – powtarzam. – Za nic nie potrafię przypomnieć sobie rośliny o takiej nazwie. Truciznę wyrabia się rośliny, tak?

– Ja... nie jestem pewien. Chyba tak – mówi zdecydowanie Merek, ale waha się przez jedną sekundę. A ja zauważam, że jego oczy odrobinę się rozszerzyły. – Twyllo, o co chodzi?

– Przyszło mi do głowy dzisiejszego ranka, kiedy upuszczano mi krwi i pojono trucizną, że właściwie nie wiem, co piję. Wiem, jak porannica działa, ale nie wiem, skąd się bierze. A chciałabym wiedzieć. Nie sądzisz, że stosownym przybraniem ołtarza byłyby jej kwiaty? – Każde moje słowo jest precyzyjnie dobrane. Z pewną satysfakcją uświadamiam sobie, że brzmię zupełnie jak królowa w chwilach, gdy jest najbardziej niebezpieczna. Merek również to zauważa i jego twarz blednie.

– To chyba nie byłoby stosowne – mówi, odwracając się w stronę wyjścia.

– Zapewne niełatwo byłoby przystroić ołtarz kwiatami nieistniejącej rośliny – mówię tak spokojnie, że Merek prawie puszcza moją uwagę mimo uszu.

Ale tylko prawie.

– Z kim rozmawiałaś?

Wiem, że powinnam być zachwycona, bo jego odpowiedź oznacza, że Lief ma rację i nie jestem morderczynią. Zamiast tego czuję się jednak tak, jakby ktoś zmiażdżył moją duszę, a w mojej czaszce odzywa się tępy, powalający ból.

– Twyllo, kto ci powiedział...?

– Nikt nie musiał mi nic mówić, Merek. Po prostu nie jestem tak głupia, jak wszyscy uważacie.

– Twyllo, nikt nie...

– Okłamaliście mnie! – wykrzykuję w twarz dziedzica tronu. – Wszyscy mnie okłamaliście!

– Ja nigdy...

– Czy cokolwiek z tego, co mi mówiono było prawdą? – pytam, a Merek skrywa twarz w dłoniach.

– Cokolwiek? A Próby? Jak umierają zdrajcy, skoro trucizna nie jest prawdziwa?

– Proszę, pozwól mi wyjaśnić – Merek wyciąga ku mnie ręce uspokajającym gestem. – Proszę.

Milknę nie za sprawą wyrazu jego twarzy, ale dlatego, że powiedział „proszę”. Przypominam sobie, z kim rozmawiam, bo słowo to brzmi w jego ustach dziwnie nie na miejscu. Sztywno kiwam głową i czekam, i tym razem to Merek przechadza się nerwowo.

– My... Królestwo... nadszedł kryzys. Ludzie byli niespokojni i niewiele brakowało, by rozpoczęły się prawdziwe rozruchy i bunt. Musieliśmy przywrócić ludziom wiarę. Pomysł wyszedł od mojej matki.

– Oczywiście... – słowa prawie więzną mi w gardle. – Ale jak wprowadziliście go w życie? Do dziś byłam przekonana, że odebrałam życie trzynastu osobom. Jeżeli nie zginęli z mojej ręki, to co ich zabiło?

– Wszyscy zostali otruci zanim jeszcze wprowadzono ich do komnaty – mówi Merek powoli. Widzę, jak waży słowa i ocenia moje reakcje i staram się nie zdradzać po sobie żadnych emocji. – W ostatnim posiłku podano im wyciąg z oleandra.

– Czy któryś z nich wiedział?

Merek przecząco kręci głową.

– A więc wszyscy umarli w przekonaniu, że to ja ich zabijam? Tyrek też?

Merek waha się i znów zaprzecza ruchem głowy.

– Co to znaczy...?

– On wiedział. On jeden.

Muszę oprzeć się o ołtarz, żeby nie upaść i spróbować poukładać nowe informacje w głowie.

– Dlatego właśnie umarł, prawda? Musiał umrzeć, bo poznał prawdę.

– Tak. Planował ci powiedzieć – mówi Merek, patrząc w podłogę.

– I dlatego go zabito...

– Ubzdurał sobie, że się w tobie zakochał – dodaje niepewnie Merek.

– Czy to zdrada, zakochać się we mnie?

– Proszę cię, Twyllo. Lormere czekała katastrofa. Musisz zrozumieć – mówi błagalnym tonem, ale ja cofam się przed nim ze wstrętem. – Królestwo było zagrożone, ludzie potrzebowali... potrzebowali nadziei. Ludzie muszą w coś wierzyć, a legendy mówią, że Daunen przynosi nadzieję...

Słyszając potwierdzenie z jego ust, doświadczam okropnego uczucia, porównywalnego ze świadomością nieobecności Bóstw w świątyni. To, czego się domyślałam, stało się rzeczywistością.

– A więc jestem... symbolem? Całe moje życie tutaj miało służyć temu, bym była symbolem królestwa? Dlaczego?

Merek wygląda na straszliwie nieszczęśliwego, a jego usta zdradzają cierpienie.

– Mój ojciec zmarł, a po nim Alianor. Od ślubu mojej matki i ojczyzna minęły lata, ale nie udało im się począć córki. Ludzie bali się tego, co stanie się z Lormere, kiedy moja matka umrze, a ja zostanę bez królowej, z którą mógłbym zasiąść na tronie. Wtedy matka przypominała sobie legendy o Daunen, o córce

Bogini, która przybywała do Lormere w niespokojnych czasach, przynosząc nadzieję i sprawiedliwość. A mój ojczym przypominał sobie ciebie, twoje rude włosy i głos... Daunen nie pojawiła się od stu lat i nikt z żyjących jej nie pamiętał. Ostatnim razem pojawiła się podczas wojny, wszędzie ginęli ludzie, ale dzięki Daunen zjednoczyliśmy siły i pokonaliśmy wrogów. Dzięki Daunen i wierze, którą ludzie odzyskali za jej sprawą. Gdyby Daunen wróciła, lud by się uspokoił i nabrał przekonania, że wszystko się ułoży. A ja... ja potrzebowałem narzeczonej. Rodzina królewska zawsze pochodziła z naszego rodu. Jeżeli miałem poślubić kogoś niespokrewnionego, moja narieczona musiała być co najmniej wcielonym cudem...

– Musieliśmy zamienić legendę w fakt, rozumiesz – ciągnie Merek, nie podnosząc wzroku. – Nie mogliśmy po prostu znaleźć dziewczyny z ludu, nazwać jej wybranką Bóstw i osadzić na tronie wraz ze mną. Lud nigdy by tego nie zaakceptował. Musieliśmy sprawić, by uwierzyli w jej boską naturę. Kłamstwo musiało być doskonałe.

– I dlatego dodaliście do legendy własne szczegóły? Moc nowej Daunen pochodzi od Bóstw, dlatego potrafi zabić jednym dotknięciem? – parskam. – Zgrabne kłamstwo, muszę przyznać. Któż zechciałby je podważyć, wiedząc, co mogłoby go spotkać?

– Twyllo...

– Przetrzymanywaliście mnie w wieży, w izolacji i pod strażą, żeby udawać, że jestem darem Bóstw? Daliście mi piękną świątynię i powiedzieliście wszystkim, że jestem morderczynią. I wszyscy w to uwierzyli, ja też. Bo wszyscy jesteśmy tylko ciemnym ludem. Dobrze zrozumiałam?

– Ja naprawdę chciałem ci o wszystkim powiedzieć, Twyllo – wzdycha książę. – Ale wyjechałem na nauki, a potem... Przepraszam. Nie było innego wyjścia. Nie chcieliśmy być wobec ciebie okrutni... – Merek przerywa, nabiera tchu, przełyka ślinę. – Byłaś córką kobiety z ludu. Nie mogliśmy ogłosić naszych zaręczyn i pozwolić, by ludzie wątpili w twoje pochodzenie. Moja matka wymyśliła porannicę jako dowód twojej szczególnej natury. Zapisy o czasach, gdy Daunen żyła wśród nas, są niejasne, szczególnie jeżeli chodzi o wymierzanie przez nią kary. Matce łatwo było dodać do tych opowieści kilka szczegółów, by je uwiarygodnić. Powiedzieliśmy wszystkim, że trucizna się ciebie nie ima, żeby udowodnić, iż podobnie jak my jesteś namaszczona przez Bóstwa... I że w związku z tym jesteś idealną kandydatką na moją narzeczoną.

– Ale Rulf i Tyrek wiedzieli?

Merek odwraca wzrok.

– Rulf musiał poznać prawdę, ale matka kazała wyciąć mu język, żeby nikomu nie zdradził tajemnicy. Chłopiec nie miał się nigdy dowiedzieć i nie wiem, jak się domyślił, ale kiedy moja matka to odkryła...

Czuję nagły przyływ mdłości i muszę zacisnąć szczęki, by nie zwymiotować. Wszystko przeze mnie. Przeze mnie wycięto Rulfowi język i zamordowano mu syna. Wszystko po to, żeby uczynić ze mnie symbol.

– Wierzyłam, że Bóstwa mnie pobłogosławiły. Pozwalaliście mi je czcić i śpiewać o nich pieśni. A ty, Merek? Wierzyłeś kiedyś w Bóstwa?

Książę po dłuższej chwili kręci głową.

– Jakie to ma znaczenie? – pyta.

– Dla mnie miało – odpowiadam cicho i mijam go, odchodząc.

– Dokąd idziesz?

– Do wieży. Muszę pomyśleć.

– O czym? – Merek dotyka mojego ramienia i zatrzymuje mnie. Odwracam się, by spojrzeć mu w oczy.

– O tym, dlaczego mężczyzna, którego mam poślubić pozwolił mi wierzyć, że jestem morderczynią.

– To część roli Daunen. Zawsze tak było.

– Ale tylko ja byłam przekonana, że jestem odpowiednikiem katowskiego topora, prawda?

Merek składa dłonie jak do modlitwy.

– W legendach udało nam się odszukać niewiele szczegółów na temat Daunen, ale wiedzieliśmy, że posyłała na śmierć wrogów Lormere. Zdrajców. Moja matka potraktowała to dosłownie, by nikt nie odważył się targnąć na twoje życie. Wszyscy uważali, że jesteś odporna na trucizny, więc nikt nie spróbowałby cię otruć. Twoja skóra miała być trująca, więc nikt nie odważyłby się do ciebie zbliżyć. Czasy się zmieniły i Bogowie nie mieli już tych samych mocy co dawniej. Musieliśmy im je zwrócić.

Patrzę na niego dobrą chwilę, a potem odwracam się, by odejść.

– Nie odchodź, Twyllo, proszę. Spróbuj zrozumieć, że nie mogliśmy powiedzieć ci prawdy. Jeżeli całe królestwo miało nam uwierzyć, pierwsza musiałaś uwierzyć ty. Przybyłaś do zamku jeszcze jako dziecko, nie zdołałabyś zachować prawdy w tajemnicy.

– Tajemnice powierzano mi od urodzenia – wypluwam z siebie. – Miałam zostać Zjadaczką Grzechów królestwa Lormere, nie zapominaj o tym.

– Gdybym był na miejscu... Od teraz wszystko będzie inaczej, przysięgam. Wszystko. Nie będzie więcej tajemnic.

Zakrywam twarz dłońmi, chcąc w ten sposób odgrodzić się od niego i stoję tak dłuższą chwilę, zasłaniając się palcami jak tarczą, póki nie jestem pewna, że zdołam się odezwać, nie krzycząc.

– Prosisz mnie, bym wiele zrozumiała jak na jeden raz, Merek. To musi potrwać. Nie od razu się z tym wszystkim uporam.

Po długiej chwili książę kiwa głową.

– Od teraz możesz pytać mnie o wszystko, kiedy tylko zechcesz. Zawsze odpowiem szczerze na każde twoje pytanie.

– Dziękuję – mówię cicho i zostawiam go samego w pustej świątyni.

W milczeniu wracam z Liefem do wieży, i kiedy tylko przekraczamy próg, przyciskam go do drzwi i całuję, jakby od jego ust zależało moje życie.

Kłęczymy naprzeciw siebie na podłodze komnaty i trzymamy się za ręce. Całe moje ciało wibruje od przyjemności, jaką przynosi mi z pozoru nieznaczny, a tak ważny dotyk. Moje palce są ruchliwe, nie mogę się powstrzymać, by nie wodzić nimi po wnętrzu jego dłoni i kostkach jego palców. Lief robi to samo, splatając dłonie z moimi i oboje nieustannie się uśmiechamy, aż zaczynają boleć mnie policzki.

– Jesteś mi winien wyjaśnienia – mówię.

– A ty mnie przeprosiny – przekomarza się Lief.

– Proszę cię, powiedz mi. Powiedz, skąd wiedziałeś, jak rozpoznałeś kłamstwo.

Lief opiera się o ścianę i przygląda mi się z przechyloną głową.

– Twyllo, królestwo Lormere ma wprawdzie ogromną armię, ale osiągnięcia tutejszej nauki nie dorównują tregellańskiej. Nikt dotąd nie prześcignął nas w dziedzinie medycyny i wiedzy o lekach. Gdyby istniała trucizna działająca przez skórę, wiedzielibyśmy o tym, możesz mi wierzyć. Sami byśmy jej używali. Lormere przetrwało całe stulecie bez Daunen, aż stała się ona mitem, bajką, jak postacie z twoich ballad lub Śpiący Książę. Nagle znikąd pojawia się nowa Daunen. Dlaczego? Po co tak zwane Bóstwa miałyby znów zesłać wam swoją córkę? A może to wcale nie były Bóstwa, tylko ktoś realny, kogo motywacja nie miała nic wspólnego z ich wolą.

Zastanawiam się nad słowami Liefem, nie spuszczaając go z oka. Poprzednia Daunen ocaliła Lormere podczas wojny. Tregellan dokonał inwazji na królestwo. Merek mówił mi, że jego babka była wówczas chora i nie oczekiwano, że uda jej się dożyć dorosłości. Czyżby poprzednia Daunen była kimś podobnym do mnie? Zwykłą dziewczyną przysposobianą do roli królowej na wypadek, gdyby prawowita dziedziczka tronu zmarła? Czy tak właśnie powstała postać Daunen? Jako marionetka rodem z mitów,

nazwana córką Bóstw po to, by spacyfikować lud?

– Dlaczego nie powiedzieli mi prawdy, kiedy tu przybyłam? Przecież zrozumiałabym, że to dla dobra królestwa. Kochałam królową. Dlaczego mi nie zaufała?

Lief palcem kreśli kółka na wierzchu mojej dłoni.

– Przypuszczam, że to z powodu Zjadania Grzechów – wyjaśnia cicho Lief. – Nawet teraz, kiedy o tym mówisz, łatwo jest się zorientować, że ten zwyczaj jest ci bliski. Zajmował w twoim życiu tak wiele miejsca, że królowa i pozostali musieli wypełnić je czymś jeszcze większym. Dlatego nadali ci pozornie ważniejszą rolę i nazwali ją przeznaczeniem. A tobie nigdy nie przyszłoby do głowy, by kwestionować przeznaczenie, bo tak cię wychowano. Któż wybrałby Zjadanie Grzechów zamiast życia w królewskim zamku?

– Zjadanie Grzechów... – powtarzam, przypominając sobie to, czego nie chciałam pamiętać.

Byłam wtedy bardzo mała, a Maryl była jeszcze niemowlęciem. Całymi godzinami kołysałam ją i nosiłam na rękach, żeby tylko uciszyć jej straszny, przeszywający płacz, od którego jej buzia robiła się czerwona. Moja matka siedziała w swojej izbie i wychodziła stamtąd tylko po to, by przystawić małą do piersi. Kiedy Maryl w końcu zasypiała byłam tak wykończona, że głowa sama mi opadała.

– Chodź – powiedziała matka, a ja weszłam do jej izby pełnej wonnego zaduchu.

– Nasze zajęcie jest bardzo stare – powiedziała wtedy, jakby wracała do dopiero co przerwanej rozmowy. – Stare i ponadczasowe. Zawsze taki było i takim musi pozostać.

Czułam, jak opadają mi powieki, a panujące w izbie ciepło coraz bardziej mnie usypia.

– Kobiety takie jak my istniały w czasach, gdy nie było jeszcze Bóstw ani królów – powiedziała matka. – Kiedy zajmowali swoje królestwa, zaczęli mówić nam, dlaczego robimy to, co robimy. Ale nie robimy tego dla nich, moja mała. Robimy to dlatego, że ktoś musi, bo grzech istniał na długo przed Bóstwami i królami. Grzech istniał zawsze. Rozumiesz, co mówię?

Pokiwałam głową, przebudzona z półsnu, choć wcale nie rozumiałam znaczenia jej słów.

– To my jesteśmy najstarsze – dodała matka. – To my zapewniamy im bezpieczeństwo.

Odwracam wzrok od Lief'a i puszczam jego dłoń. Jego wyjaśnienia mają sens, ale nie chcę ich zaakceptować. Nie chcę, by to wszystko było takie proste. Poświęciłam cztery lata życia służbie Bóstwom, czekając na dzień, gdy miałam zostać żoną Mereka. Nie potrafię tak po prostu przyjąć do wiadomości, że całe moje życie w zamku nie było wynikiem przeznaczenia, ale zaledwie mojego głosu oraz koloru włosów, że służyło tylko manii wielkości szalonej kobiety. I że tylu ludzi zginęło z jego powodu.

– Czy w Tregellanie też odbywa się Zjadanie Grzechów? – pytam, a Lief twierdząco kiwa głową. – Opowiedz mi, jak to się odbywa.

Lief wygląda na zaskoczonego moją prośbą.

– Chyba tak samo, jak tutaj. Zjadacz grzechów spożywa ustawione na trumnie pokarmy, a rodzina żegna zmarłego. Potem odbywa się pochówek. Zwyczaj jest taki sam i stanowi część obrzędów pogrzebowych.

– Tutaj to działa inaczej, Lief. I nie jest częścią obrzędu.

Lief wzrusza ramionami.

– Przypuszczam, że Zjadanie Grzechów przetrwało jako tradycja po tym, jak w Tregellanie zarzucono wiarę w Bóstwa. Być może zachowano ją, żeby nie zmieniać zbyt drastycznie pogrzebowych obyczajów.

Symboliczny gest... Mam wrażenie, że żadne z moich przeznaczeń nie było nigdy trwalsze od pajęczyn. – W co wierzą Tregellańczycy?

– W nic. Przed upadkiem monarchii ludzie wierzyli w Bóstwa, ale wiara zanikła w trakcie

rewolucji. Myślę, że nikt nie miał wtedy na nią czasu. W mniejszych wsiach nadal żyją wyznawcy.

– Wyznawcy naszych Bóstw?

– Nie. Wierzą w Dąb i Ostrokrzew.

– Macie własne Bóstwa? Więc jednak nie żartowałeś.

– Nie, nie żartowałem.

– Jak mogą istnieć różne Bóstwa, Lief?

– Nie sądzę, by istniały jakiegokolwiek Bóstwa – odpowiada cicho. – Ale myślę, że istnieją ludzie, którym łatwiej jest żyć wierząc, że ktoś lub coś nad nimi czuwa.

Z nagłym skurczem w żołądku uświadamiam sobie, że to właśnie miała na myśli moja matka.

– Nic nie czułam w świątyni – mówię z goryczą. – Zupełnie nic, choć nawet wtedy bardzo chciałam coś poczuć.

Lief przytula mnie, a ja próbuję sobie uświadomić to, co zawsze przeczuwałam, ale czego nigdy do końca nie rozumiałam.

– Przykro mi – mówi, a ja kręcę tylko głową. – Co teraz zrobisz?

– Nie wiem. Ale nie mogę chyba zostać tutaj i udawać, że reprezentuję córkę Bogini.

– A księżę?

– Nie mogę... teraz już nie mogę za niego wyjść. Nie mogę rządzić u jego boku i poświęcić swego życia jemu i jego rodzinie.

– Z powodu tych wszystkich kłamstw?

– I dlatego, że zakochałam się w kimś innym – słowa same wyrrywają mi się z ust.

– Co...?

Uświadamiam sobie, co powiedziałam i co naprawdę czuję. Słyszę dzwonięcie w uszach i krew uderza mi do głowy, ale to prawda, najprawdziwsza prawda na świecie. Jestem zakochana. To jest właśnie ta tajemnicza słabość, która mnie ostatnio trapiła. Nie zdawałam sobie sprawy, że się zakochuję. Jak na kogoś, kto często śpiewa o miłości kiepsko sobie radzę z jej rozpoznawaniem.

– Zakochałam się w tobie – mówię szeptem.

Lief spija słowa z moich ust, a potem całuje mnie i wysysa ze mnie wszystkie zmartwienia. Pozwalam mu na to i na jakiś czas zapominam o dręczących mnie pytaniach. Skupiam się na smaku jego ust i na dotyku jego dłoni na mojej talii.

Kiedy tylko Lief się odsuwa, zaczynam za nim tęsknić i przywieram do niego mocniej, spragniona dotyku, którego tak długo byłam pozbawiona. Posłusznie obejmuje mnie ramionami, a ja opieram się plecami o jego pierś. I wszystko jest dobrze. Wiem, że tam właśnie jest moje miejsce.

– Co teraz zrobimy? – pytam po chwili.

– Z czym? – mruczy mi Lief do ucha.

– Co dalej?

– To zależy od ciebie i od tego, czego chcesz.

– Sama nie wiem. Chcę stąd odejść, ale nie mogę tego zrobić. Nigdy nie udałoby mi się uciec, nawet z twoją pomocą. Ale nie mogę tu zostać.

– Gdybym... gdybym znalazł sposób... odeszłabyś ze mną?

W odpowiedzi odwracam się i mocno przyciskam usta do jego ust.

– A więc... tak? – Lief odzyskuje oddech i przygląda mi się uważnie. – Chcesz być ze mną? – Widzę, że próbuje zamaskować nadzieję, ale bez trudu wyczytuję ją z jego twarzy.

– Chcę być z tobą – odpowiadam, myśląc o królowej, która tak bardzo starała się zrobić ze mnie posłuszną marionetkę. Ale to właśnie ona postawiła na mojej drodze kogoś, kto na to nie pozwolił. W czasie niewiele dłuższym od miesiąca Lief zniweczył cztery żniwa jej starań. Wyobrażam sobie jej furie, kiedy dowie się, że jej się sprzeciwił i uśmiecham się. Opieram się o Liefę, ciesząc się jego dotykiem.

– Co dalej? – pyta.

– Poprosimy Bóstwa o cud – odpowiadam z bladym uśmiechem.

Czuję uśmiech na jego twarzy wspartej o moją skroń i Lief ujmuję moje dłonie.

– Być może jest sposób. Muszę to jeszcze sprawdzić, ale Dimia wspominała o ukrytym przejściu. Służący używają go, by wymykać się z zamku do rodzinnych wiosek. Podczas twojej jutrzejszej audiencji u króla zakradnę się tam i sprawdzę, czy to rzeczywiście prawda.

– Nie możesz – ostrzegam go, przypominając sobie słowa Mereka ze świątyni. – Audiencja została przełożona. Król złapał gorączkę podczas polowania i nie spotkam się z nim, póki nie wyzdrowieje. Ale... – sama uświadamiam sobie, co powiedziałam. – Moglibyśmy uciec dzisiaj, póki wszyscy skupiają uwagę na królu!

– Wątpię, żeby Merek skupiony był dziś na królu – mówi przytomnie Lief. – Przypuszczam, że jego myśli krążą raczej wokół ciebie. Poza tym nie wiem jeszcze, gdzie znajduje się przejście i dokąd prowadzi. Żeby wydostać się z Lormere na dobre, będziemy potrzebowali koni. Nie możemy ryzykować schwytania podczas próby ucieczki. Musimy być daleko zanim ktokolwiek zorientuje się, że zniknęliśmy. Na tyle daleko, by królowa nie zdołała nas osiągnąć. Bo ona z całą pewnością pośle za tobą pościg. Nie pozwoli ci odejść. Masz jednak szczęście, bo ja również nie pozwolę ci odejść – dodaje i delikatnie ściska moje palce, a potem całuje mnie w ucho, jakby składał pieczęć na uroczystej przysiędze. – Na początek udamy się do mojej matki. Mieszka za Lasem Zachodnim. Napiszę do niej, żeby przygotowała nam konie na zmianę i niezbędne zapasy. Stamtąd pojedziemy do Tregellanu i dalej na północ, do Tallith. Tam już królowa nas nie dosięgnie.

– Dobry plan – kiwam głową, nieco pocieszona.

– Jeżeli mam być szczery, od dawna chodziło mi to po głowie – uśmiecha się Lief.

– Aha... – mówię cicho i na moich ustach znów pojawia się uśmiech. Nie jestem już córką zjadaczki grzechów ani Daunen Wcieloną. Jestem kimś innym, kimś zupełnie nowym. Przestałam być zamkniętym w zamku potworem albo słowikiem w złotej klatce.

– Kiedy możemy wyruszyć? – pytam.

– Za kilka dni. Tyle wystarczy, żeby wszystko przygotować. Musisz zapakować wszystko, co chcesz zabrać i trzymać bagaż w łatwo dostępnym miejscu, żeby był gotów do podróży.

– Niczego stąd nie chcę – odpowiadam natychmiast.

– W takim razie nie będziemy mieli wiele bagażu – Lief znów się uśmiecha, a jego oddech wicherzy mi włosy.

– Musimy być ostrożni – mówię bardziej do siebie, niż do niego, a Lief głaszcze moje dłonie i nadgarstki swymi długimi palcami. Przemykam oczy z zadowolenia. – Nikt nie może niczego podejrzewać. Merek musi być przekonany, że pogodziłam się z prawdą o Daunen i że jestem gotowa uczestniczyć w dalszej maskaradzie.

– Ale mogę cię całować, kiedy będziemy sami?

– Taki jesteś głodny moich pocałunków?

– Jak wilk – jego uśmiech rzeczywiście jest nieco wilczy. – Sama nie wiesz, jaka jesteś śliczna, prawda?

– Wystarczy, Lief – mówię, wiercąc się w jego ramionach.

– A jeżeli nie zamilknę?

– Znajdę sposób, żeby cię uciszyć.

– Śmiało.

Odwracam się twarzą do niego i rozchyłam usta, a potem powoli nachylam się, by go pocałować, czując pod skórą przyspieszone bicie serca. Otwieram oczy i zauważam, że on również na mnie patrzy. Nasze usta poruszają się delikatnie. Przez cały czas patrzymy sobie w oczy, a nasze wargi muskają się lekko. Czuję zawrót głowy i zamykam powieki, skupiając się na jego dotyku i tańcu naszych języków.

Tym razem to on się odsuwa i głaszcze mnie po policzku.

– Za kilka dni będziemy już w naszym własnym domu, w bezpiecznym miejscu, gdzie nikt nie zdoła zrobić nam krzywdy. – Całuje moją dłoń, po czym kładzie ją na swoim sercu. Przez materiał tuniki wyraźnie wyczuwam fiołkę, którą schował.

– Oto twoja fiołka – mówi i oddaje mi naczynie. – Zachowaj ją na pamiątkę.

Przyjmuję fiołkę, czując, jak moje serce twardnieje. Wyzwalam się z jego objęć i wstaję, by raz jeszcze spojrzeć na symbol tego, co przez cztery ostatnie żniwa kontrolowało moje życie. Potem ciskam fiołką przez okno, najmocniej jak potrafię, i wracam w objęcia Liefa. Nasz pocałunek jest równie nieunikniony co zachód słońca nad lasem.



Dawniej musiałam dokładać wszelkich starań, by nikogo nie dotknąć, a teraz muszę splatać palce, aby powstrzymać się przed dotykaniem Lief'a. W nocy prawie nie spałam. Konieczność odesłania Lief'a z komnaty bolała równie mocno, co świadomość, że jest tuż za drzwiami. Jest tak blisko, a zarazem tak daleko... Brak jego dotyku wydaje mi się czymś nienaturalnym i nie mogę się doczekać okazji, by dotknąć palcami jego przedramienia lub pozwolić mu ująć swój nadgarstek. Nie zdawałam sobie sprawy, że można odczuwać naraz tak wiele emocji. Gniew, nadzieja, strach, pożądanie, radość i zmartwienie kotłują się we mnie i przeraża mnie myśl o tym, że ktoś mógłby rozpoznać mój stan i donieść o wszystkim królowej. Chcę, by ostatecznie się dowiedziała, ale musimy wówczas być daleko, poza jej zasięgiem.

Natłok nowych możliwości jest upajający. Wszystko wydaje mi się jaśniejsze, wyraźniejsze, lepsze. Nawet nie patrząc na Lief'a, wiem, jaki jest wyraz jego twarzy i na co patrzy. Szczególnie wtedy, gdy patrzy na mnie. Wyczuwam go równie wyraźnie, jak objęcia jego ramion. Uśmiecham się, gdy powiew wiatru przynosi woń dymu i limonki, jego zapach, który czuję na swojej skórze nawet wtedy, gdy odgarniam z twarzy włosy.

Nieustannie towarzyszy mi też lęk. Gdy spacerujemy po zamku odgłos jego kroków na kamieniach posadzki wybija rytm mojego imienia, a ja odpowiadam rytmem Lief'a. Dręczy mnie obawa, że wystarczy dobrze wsłuchać się w odgłos kroków, by poznać naszą tajemnicę. Dopóki nie nadejdzie czas ucieczki muszę żyć podwójnym życiem, jak szpiegdy i zdrajcy, których rzekomo zabiłam. Tylko że ja nie jestem szpiegiem i pragnę, by moje uczucia były równie jaskrawo widoczne co mój czerwony płaszcz. Moje emocje są wzburzone niczym woda w świętym stawie, i nadzieja walczy we mnie o lepsze z lękiem.

Nie jestem w stanie wysiedzieć w komnacie, bo mimo braku snu, nie mogę znaleźć sobie miejsca. Proszę Lief'a, by wyszedł wraz ze mną do zamkowego ogrodu. Mam cichą nadzieję, że chłodne powietrze odstraszy przypadkowe osoby i będziemy sami, by móc dalej snuć plany ucieczki. Jednak gdy tylko znajdujemy się w obrębie murów ograniczających ogród, natychmiast zauważam Mereka. Siedzi na ławce i pustym wzrokiem wpatruje się w mur, a jego strażnicy trzymają się przy przeciwległej ścianie ogrodu. Panika ściska mi żołądek i chcę odejść, ale wtedy właśnie księżę woła mnie po imieniu.

– Twyllo.

– Wasza Wysokość – dygam i pochylam nisko głowę, by ukryć twarz przekonana, że natychmiast zauważy wypisany na niej lęk.

– Możesz zostawić nas samych – mówi księżę Liefowi, który waha się tylko przez sekundę, po czym kłania się i odchodzi. Zatrzymuje się w łukowo sklepionej bramie do ogrodu, by stanąć na straży. Jego opanowanie jest godne podziwu.

– Ja... miałem nadzieję, że cię tu dziś spotkam. Wiem, że obiecałem dać ci czas do namysłu, ale... nie chcę, żeby utrudniało nam to kontakty.

– Jak zdrowie króla?

– Podobno lepiej, znacznie lepiej. Odzyskał apetyt i zażądał, by wszyscy przestali wreszcie się nad nim uzalać. Domyślałam się, że chodziło mu głównie o to, by uwolnić się spod nadzoru mojej matki.

Brakuje jej talentu pielęgniarki.

Nie jestem w stanie się przemóc, by spojrzeć mu w oczy, i to nie tylko dlatego, że nadal jestem rozgniewana.

– Przekaż proszę królowi moje życzenia powrotu do zdrowia. Nie chciałam ci przeszkadzać. Pójdę już.

– Twyllo, zaczekaj – prosi cicho Merek. – Jeżeli twój gniew naprawi to, co się między nami stało, niech tak będzie. Obiecałem ci szczerść i dotrzymam słowa. Proszę, nie odchodź.

Stoimy w niezręcznej ciszy. Wiem, że księżę czeka, aż się odezwę, ale nie przychodzi mi do głowy nic, co mogłabym powiedzieć, a co nie zabrzmiałoby jak oskarżenie. Zerkam na Liefę i zauważam, że ignoruje nas z wystudiowaną nonszalancją, ale słucha każdego słowa.

– Brakowało mi cię na polowaniu – mówi w końcu Merek.

– Nie przepadam za polowaniami.

Księżę wzdycha i przeczesuje palcami czarne loki.

– Jesteśmy więc podobnego zdania. Sam również za nimi nie przepadam.

– Doprawdy? Słyszałam, jak mówiłaś królowej, że to przyjemna rozrywka. Chyba nie kłamałaś? – nie mogę się powstrzymać, by nie rozjątrzyć rany.

Merek kiwa głową, jakby przyjmował mój wyrzut.

– Nie kłamałam. Możliwość opuszczenia zamku i konna przejażdżka po lesie były całkiem przyjemne, ale samo polowanie... nie przepadam za tymi bestiami, które król nazywa psami. Potrafię też wyobrazić sobie lepsze rozrywki, niż uganianie się po lasach za biednymi stworzeniami... Zwłaszcza wtedy, kiedy są nimi ludzie. Nie zgadzam się z tym i za naszego panowania nigdy na to nie pozwolę.

Czuję, że mi się przygląda, ale nie mogę spojrzeć mu w oczy. Nie teraz, kiedy mówi tak szczerze. Po kilku chwilach przerwy, które spędzam na upartym wpatrywaniu się w klomby kwiatów Merek podejmuje wątek.

– Kiedy to my zasiądziemy na tronie, polowania nie będą częścią życia dworu, a w każdym razie nie w obecnej formie. Chciałbym ożywić dawną tradycję polowania z sokołami. Jest to rozrywka nie tylko bardziej elegancka, ale i dostępna zarówno dla panów, jak i dam. Mogłabyś mieć własnego ptaka, na przykład drzemlika.

Nadal milczę i wpatruję się w kwiaty, pragnąc obejrzeć się i sprawdzić, co robi Lief i czy nas obserwuje.

– Cieszysz się na myśl o najbliższym koncercie? Kiedy król odzyska zdrowie?

– Naturalnie. Czy i tam razem do nas dołączysz?

– Tak, jeżeli się zgodzisz.

– Mamy zostać małżeństwem. Czy moja zgoda ma znaczenia?

– Dla mnie tak. Domyślam się, że lubisz mieć choćby złudzenie wyboru.

Przez chwilę milczę i patrzę w niebo.

– Powinnam już wracać. Chyba zanoszą się deszcz.

– Pozwól, że cię później odwiedzę – mówi pospiesznie Merek. – Przyniosę wino i będziemy mogli porozmawiać jak należy. Chcę naprawić naszą relację. Twyllo. Zgodzisz się na moją wizytę?

– Jeżeli sobie tego życzysz – przyzwalam. Jeżeli udam, że zawieram pokój z księciem, Lief i ja nie będziemy musieli się obawiać, że będzie śledził każdy mój krok.

– Dziękuję.

Od wyjścia z ogrodu dzieli nas zaledwie kilka kroków. Widzę stąd Liefę, który stoi sztywno wyprostowany i udaje, że zapewnia nam prywatność.

– Do wieczora – żegna się Merek, kiedy zatrzymuję się obok mojego strażnika. Oboje się kłaniamy i księżę odchodzi, a Lief patrzy za nim z furią w oczach.

Zawracam do ogrodu, jakby chciała raz jeszcze obejść rzędy klombów. Lief idzie u mojego boku.

– Zamierza odwiedzić cię dziś wieczorem? – pyta, ledwo poruszając wargami.

– Tak. Chce, byśmy się pogodzili.

– A ty? Co zrobisz?

– Powiem mu, że rozumiem, iż robił to, co uważał za słuszne, ale jego postępowanie mnie zraniło i namieszało mi w głowie i potrzebuję trochę czasu dla siebie, by wszystko do końca przemyśleć. Zapytam, czy się zgodzi, bym go wtedy zawiadomiła. Jestem pewna, że się zgodzi.

Lief potakująco kiwa głową.

– A potem uciekniemy i nie będzie nas dłużej niepokoił.

W drodze powrotnej wstępuję do świątyni. Po raz pierwszy zauważam, jak brudne są jej ściany i ile kurzu zgromadziło się na posadzce. Ławki wydają się wręcz nazbyt czyste i nowe, nie widać na nich śladów ludzkiej obecności. Świątynia stała się pustym, pozbawionym znaczenia budynkiem.

Miałam nadzieję, że Merek przyjdzie wczesnym wieczorem, ale nie zjawia się. Lief wchodzi do komnaty, by zapalić świece i stara się być jak najbliżej mnie, napełniając powietrze zapachem skóry i limonek, od którego aż kręci mi się w głowie. Nie mamy odwagi rozmawiać, bo księżę i jego eskorta mogą nadejść w każdej chwili.

Świece wypalają się do ogarków i czuję, jak powieki zaczynają mi sennie ciążyć. Otwieram drzwi i Lief podnosi głowę, uśmiechając się swobodnie.

– Zamierzam udać się na spoczynek – mówię głośno. – Gdyby księżę jednak się zjawił, powiedz mu proszę, że przykro mi go rozczarować, ale poszłam spać. Możesz mu też powiedzieć, że jest świnią najpodlejszego gatunku – dodaję szeptem.

– Tak, pani – mówi Lief i zniża głos do szeptu – Właśnie dlatego postanowiłem ukraść jego konia podczas naszej ucieczki.

– Czy będziesz dziś jeszcze czegoś potrzebowała, pani? – pyta, kiedy śmieję się cicho z jego uwagi.

– To wszystko na dziś – odpowiadam, ale powoli kiwam głową, zaprzeczając własnym słowom. – Możesz pójść spać. – Podnoszę twarz ku niemu i Lief nachyla się, by mnie pocałować. Przelotny pocałunek jednak mi nie wystarcza i wychodzę z komnaty, by złapać go za rękę i nacieszyć się jego ustami.

Po chwili odsuwam się niechętnie i cicho zamykam drzwi, do ostatniej chwili dotykając dłoni Liefą.

Gaszę świece i kładę się do łóżka, gdzie mocno obejmuję poduszki. Już niedługo, myślę. Przeżyłam tu cztery zniwa, więc kilka kolejnych dni niczego nie zmieni.

Rozlega się ciche pukanie i drzwi lekko się uchylają.

– Twyllo.

– Tak? – siadam w pościeli słysząc szept Liefą.

– Pomyślałem, że mógłbym zostawić drzwi nieco uchylone, by mieć pewność, że jesteś bezpieczna. Nie powinienem zostawiać cię na łasce włóczęgów, którzy mogliby zechcieć zakraść się do twojej komnaty. Nie chciałbym, żeby ktoś zarzucił mi zaniedbanie obowiązków jako twego strażnika.

Uśmiecham się szeroko i wygodnie układam w pościeli.

– Podziwiam twoje poczucie obowiązku.

– A ja podziwiam twój podziw.

Chichoczę cicho, a potem słyszę, jak Lief kładzie swoje poślanie przy drzwiach i układa się w nim. Kładę się na boku, twarzą w stronę drzwi. Nie widzę Liefą, bo księżyc na niebie jest jedynie wąskim sierpem i w jego bladym świetle nie można rozróżnić szczegółów. Słyszę jednak jego oddech i szelest materiału przy każdym ruchu.

– Opowiedz mi coś – jego głos w ciemności wydaje się niższy, inny niż za dnia.

– Nie znam żadnych bajek, matka nigdy mi nic nie opowiadała – mówię, na próżno szukając w pamięci jakichś opowieści. – Znasz historię o Śpiącym Księżciu?

– Oczywiście, że znam. – w jego głosie słychać uśmiech. – Każde dziecko w Tregellanie ją zna. Opowiedz coś innego.

– Ja nie znam nawet tej opowieści – przyznaję. – W każdym razie niezbyt dobrze. Opowiedział mi ją kiedyś jeden z braci, dawno temu, jeszcze przed narodzinami Maryl. Ostatnio ciągle ktoś wspomina o tej legendzie, nawet ty mówiłeś o niej ledwie wczoraj. Pamiętam tylko, że księżę zachorował i usnął, a jego królestwo upadło.

Słyszę szelest siennika i głos Lief'a znów brzmi zwyczajnie. Domyślam się, że musiał usiąść na posłaniu.

– Mogę opowiedzieć ci wersję, którą znam, ale to nie jest wesoła historia. Nie ma szczęśliwego zakończenia.

– Opowiedz – proszę.

– Dobrze – Lief nabiera tchu i zaczyna opowieść.

– Przed pięciuset laty królestwo Tallith rozkwitało. Mówiono, że było wręcz królestwem ze złota. Otaczał je mur z siedmioma wieżami, z których każda poświęcona była jednej z cnót: miłości, pięknu, łasce, rycerskości i... pozostałych zapomniałem – słyszę, jak uśmiecha się przeprasza. – W każdym razie królestwo Tallith było niezdobyte, a tamtejsi medycy i alchemicy znali tajemnice, które są dla nas już niedostępne. Lud królestwa żył w zdrowiu i dostatku. Nie było tam żebraków i niewielu chorowało. Był to raj, ograniczony z jednej strony lasem, a z drugiej morzem. I to morze ostatecznie przyniosło mu zgubę.

– Tak... – szepczę cicho, powoli przypominając sobie opowieść.

– Król Tallith kazał zbudować statki, które miały przemierzyć morze. Po powrocie marynarze opowiadali o niezwykłych królestwach leżących na wschodzie i o panujących tam obyczajach. Przywozili też korzenne przyprawy i tkaniny, jakich nikt nigdy dotąd nie oglądał. Wraz z nimi zza morza przybyły jednak szczury, których wcześniej na tych ziemiach nie było. Szczury przybyły pod pokładami statków i zeszyły na brzeg, i obfitujące w żywność królestwo Tallith szybko zostało przez nie całkiem opanowane. Król znów wysłał więc marynarzy za morze, aby znaleźli tam szczurołapa.

– Stało się tak, jak zarządził król i szczurołap przybył wraz z synem i córką. Natychmiast zaprowadzono ich do zamku, gdzie król zaproponował synowi szczurołapa rękę swej córki w zamian za uwolnienie Tallith od plagi gryzoni. Szczurołap jednak odmówił. Powiedział, że zgodzi się wytepić szczury w zamian za małżeństwo jego córki z królewskim synem. Król nie mógł się zgodzić, bo córka szczurołapa zostałaby wówczas królową i matką następców tronu. W zamian proponował zaszczyty i bogactwa, ale szczurołap pozostał nieugięty: żądał małżeństwa księcia ze swoją córką.

– Szczury stopniowo pożerały zapasy jedzenia, zanieczyszczały wodę i gryzły niemowlęta w kołyskach. Lud był wzburzony i król musiał ustąpić. Obiecał więc szczurołapowi, że księżę ożeni się z jego córką. Szczurołap wydobył wówczas z kieszeni fujarkę i zaczął grać. Ruszył ulicami Tallith i wkrótce potem wszystkie szczury zaczęły wpełzać z kryjówek, by za nim podążyć. Kiedy szczurołap wywabił już wszystkie gryzonie, zaprowadził je nad morze. Szczury utonęły, a królestwo zostało uratowane.

Siadam na łóżku, zafascynowana opowieścią i czekając na ciąg dalszy.

– To jeszcze nie koniec – mówię. – Wiem, że księżę zapadł na dziwną chorobę i zasnął... – urywam, przypominając sobie jak Lief mówił mi o głębokim śnie Dorina. Przed oczyma staje mi postać starego strażnika. Pamiętam, jak leżał na sienniku, wychudły i jakby wysuszony. Przez jedną, straszną chwilę twarz Dorina zastępuje twarz Mereka, a potem Lief'a. Czuję gęsią skórę na całym ciele.

Lief nie zauważył mojego przerażenia.

– Księżę nie zachorował, Twyllo. Został przeklęty. Zapada w głęboki sen w wyniku klątwy.

– Klątwy? Skąd o tym wiesz?

– Z książek. Kiedy Errin i ja byliśmy jeszcze mali, moja matka zawsze kończyła opowieść w chwili,

gdy szczury topiły się w morzu. Oboje myśleliśmy, że zakończyła się szczęśliwie, choć pewnie nie dla szczurów... A potem pewnej zimy sam zachorowałem i bardzo się nudziłem. Matka dała mi księgę pełną starych mitów i legend, żebym miał czym się zająć. Chyba zapomniała, że księga zawiera też pełną wersję legendy o Śpiącym Księżciu. Wtedy właśnie ją poznałem. Chcesz posłuchać?

– Tak – mówię, choć wcale nie jestem pewna, czy naprawdę chcę.

– Dobrze. Szczurołap pozbył się szczurów i wrócił do zamku, gdzie miał się odbyć ślub jego córki z księciem. Król odmówił jednak dotrzymania umowy i próbował go przekupić. Szczurołap wpadł w furję i ukrył się w jaskini, gdzie przywołał zjawę. Poprosił ją o nałożenie klątwy na zdradzieckiego króla, a także na jego syna i synów jego synów. Zjawa zgodziła się, ale szczurołap nie wiedział o jednym: jego córka była pewna, że wkrótce zostanie żoną księcia i pozwoliła mu się uwieść. Nosiła pod sercem syna księcia w chwili, gdy spadła na nią klątwa. Król, księżę i córka szczurołapa zapadli w dziwny, głęboki sen, z którego nikt nie potrafił ich obudzić. Król zmarł z wycieńczenia w ciągu kilku tygodni, ale księżę i córka szczurołapa spali nadal. Szczurołap codziennie pielęgnował córkę, sącząc jej do ust miód i wodę, by zachować przy życiu i ją, i dziecko.

– Jego wysiłki okazały się jednak niewystarczające. Córka szczurołapa powiła syna, nie budząc się ze snu, a następnie zmarła. Ojciec pochował ją i zabrał ze sobą jej zdrowe dziecko. Księżę zaś spał dalej, choć nikt go nie doglądał. Poza lekką bladością jego stan wcale się nie zmieniał. Nie zbudził się nawet wtedy, gdy Tallith ostatecznie upadło.

Czuję nagły chłód i szczerzej otulam się kołdrą.

– Nie dziwię się, że matka nie opowiedziała ci całej historii.

– To jeszcze nie koniec – mówi Lief. – Minęło może ze sto żniw i w Tregellanie zaginęła dziewczyna. Wraz z przyjaciółmi zbierała w lesie grzyby, ale odłączyła się od grupy. Zorganizowano poszukiwania, ale nikomu nie udało się jej odnaleźć. Uznano że zjadły ją wilki, aż pewien wędrowny minstrel powiedział, że widział dziewczynę. Wedle jego słów miała podążać za mężczyzną grającym na fujarce. Kierowali się do Tallith.

– Szczurołap – szepczę.

– Wnuk szczurołapa – poprawia mnie Lief. Nagły zwrot akcji opowieści przeszywa mnie dreszczem.

– Szczurołap zmarł wiele lat wcześniej, ale dziecko, które nieświadomie przeklął, żyło nadal. Klątwa skazała chłopca na wieczne życie, którego nie mogła przerwać śmierć. Rodzina dziewczyny podążyła do Tallith, ale było już za późno. Znaleźli ją obok katafalku Śpiącego Księcia. Trzymał w zakrwawionych rękach resztki swojego serca wyrwanego z piersi.

Z wrażenie zakrywam twarz dłońmi.

– Od tego czasu raz na sto żniw przeklęty wnuk szczurołapa powraca. Nazywają go Nosicielem. Powraca, by przemierzać krainę w poszukiwaniu ofiary dla swego ojca. Podobno jeśli uda mu się sprowadzić dziewczynę pod niebem, na którym pojawiają się słoneczne siostry, Śpiący Księżę obudzi się na dobre, by pożreć serca wszystkich dziewcząt w całej krainie.

– Wolalabym, żebyś mi o tym nie mówił... – przyznaję. – Żałuję, że zapytałam. W legendzie, którą opowiedział mi brat nie było mowy o dziecku i Nosicielu. Teraz już nigdy nie uda mi się zasnąć.

Lief śmieje się cicho.

– Z biegiem lat opowieść się zmieniała i istnieje zapewne tyle jej wersji, co wsi w całej krainie. Na tym polega problem z baśniami: z czasem ulegają zniekształceniu. Niektórzy mówią, że Nosiciela można przywołać, jeżeli tylko posiada się jego totem. Nikt jednak nie wie ani czym ów totem jest, ani jak przywołać Nosiciela, ani też co się stanie, gdy już się go przywoła. Inni powiadają, że Śpiącego Księcia można uleczyć miłością. Gdyby Nosiciel sprowadził jego prawdziwą miłość, Księżę nie pożre jej serca, ale powita pocałunkiem i królestwo Tallith się odrodzi. Jeszcze inni są przekonani, że to tylko bajki dla dzieci, a Tallith upadło, bo opanowała je krwawa plaga, która zabiła większość ludności. Nie bierz sobie tego wszystkiego do serca, ukochana.

– To musi być straszne, spać tak długo – mówię, naciągając kołdrę aż pod brodę. – Wszyscy ludzie, których znał i kochał zmarli dawno temu... Na jego miejscu wolałabym się nie obudzić. Nie zniosłabym takiego smutku.

– Ja byłbym nie tyle smutny, co wściekły. Gdybym został przeklęty za obietnicą złamaną przez mego ojca, miałbym ochotę zrównać z ziemią cały świat. Wyobraź sobie, że się budzisz i dowiadujesz się, że za górską granicą naród rządony przez zbyt blisko spokrewnionych wieśniaków stał się królestwem, a tobie zostały jedynie ruiny i jedna koszula na grzbiecie.

– Ja też należę do tych wieśniaków – przypominam mu.

– Wiesz przecież, że to nie ja tak myślę i co do ciebie czuję – mówi Lief, a ja rumienię się w ciemności. – Wyobrażam sobie po prostu punkt widzenia księcia. Zasnął jako dziedzic królestwa, a obudził się jako nędzarz w nowym, nieznanym świecie... To nie byłoby przyjemne. Zresztą nieważne, to przecież tylko opowieść, bajka dla dzieci.

– Zaczynam się cieszyć, że moja matka nie opowiadała nam bajek. Myślę, że ta akurat trochę za bardzo przypadłaby jej do gustu... Czy twoja matka dowiedziała się w końcu, że przeczytałeś całą legendę?

– Zorientowała się, kiedy nakryła mnie kiedyś, jak stałem na straży przy łóżku Errin – mówi Lief z uśmiechem w głosie. – Strasznie się bałem, że przyjdzie po nią Nosiciel.

– Była na ciebie zła?

– Nie. Myślę, że była raczej zadowolona, iż w końcu coś przeczytałem. Jej ojciec był introligatorem i półki w naszym domu uginały się od starych ksiąg, ale ja zawsze wolałem bawić się na dworze. Z nas dwojga to Errin jest miłośniczką książek.

W milczeniu wyobrażam sobie młodego Lief, w świetle księżycy czuwającego nad uspioną dziewczynką.

– Żałuję, że nie umiem czytać – mówię po jakimś czasie.

– Zawsze możesz się nauczyć. Pomogę ci.

– Naprawdę mnie nauczyłbyś? Pisać też?

– Jeżeli chcesz, możemy zacząć już teraz.

– Przecież jest ciemno.

– Masz rację – Lief głośno plaska dłonią w swoje czoło. – Gdybyśmy tylko mieli jakiś sposób, żeby oświetlić komnatę... Jakąś świecę albo coś podobnego...

Wyjmuję poduszkę spod głowy i ciskam nią w jego kierunku. Rozlega się stłumione „uff”, które wywołuje na mojej twarzy psotny uśmiech. Po chwili dobiega mnie szelest siennika i odgłos kroków

– Nic ci nie jest? – upewniam się.

– Nie, nic. – Moje łóżko przechyliło się lekko, kiedy Lief opiera się o nie, by znaleźć drogę w ciemnej komnacie. Obchodzi posłanie i szuka hubki i krzesiwa. Iskry wydobywają z mroku jego profil i w końcu świeca zapala się jasnym płomieniem. Jego podświetlona od dołu twarz zmienia się i z drżeniem przyglądam się widocznej na niej grze światła i cieni.

– Mogę użyć twojego pióra i pergaminu?

– Możesz.

Lief bierze przybory do pisania i zapala jeszcze kilka świec, napełniając komnatę łagodnym, ciepłym blaskiem, a potem podchodzi do mojego łóżka.

– Przesuń się.

– Co...?

– Przesuń się. Inaczej się nie zmieszczę.

– Tutaj? Na moim łóżku?

– Dlaczego nie?

– Bo... – skóra na twarzy piecze mnie od rumieńców. – Bo to przecież moje łóżko...

– Jest wygodniejsze od podłogi. Obiecuję nie narazić na szwank twojej cnoty... w każdym razie nie bardziej, niż dotychczas – mówi z uśmiechem samozadowolenia, za który lekko uderzam go w ramię.

Siada obok mnie na pościeli, by zapewnić mi odrobinę poczucia bezpieczeństwa, i układa pergamin na kolanach. Ostrożnie ustawia kałamarz na moich kolanach, zanurza w atramencie koniuszek pióra i szybkimi ruchami kreśli na papierze kilka znaków.

– Rozpoznajesz którąś z tych liter? – pyta, unosząc pergamin przed moimi oczyma i odstawiając kałamarz.

– Nie... zaczekaj, tak... ta jest w moim imieniu – mówię, przyglądając się uważnie znakom i wskazując trójkątny znak.

– Ta litera to A, jest ostatnią literą twojego imienia. To jest M, podobna do litery W, która również znajduje się w twoim imieniu.

– A i M – powtarzam.

– Rozpoznajesz jeszcze jakieś?

Wpatruję się w pergamin, w skupieniu marszcząc brwi.

– Wiem, że już je gdzieś widziałam, ale nie wiem, co oznaczają – przyznaję ze wstydem.

– Wkrótce się dowiesz – obiecuje Lief i wskazuje pierwszą literę. – To jest K.

– K – powtarzam.

– To jest O, a to C...

– Są do siebie bardzo podobne.

– Nie, są inne, tylko wyglądają podobnie. Zobacz – Lief dodaje dwie małe kreseczki na końcach niepełnego okręgu litery C. – Teraz widzisz różnicę?

Przytakuję, choć nie rozumiem, co zmieniły dwie kreseczki.

– Następna litera to H – mówi Lief, przyglądając mi się.

– H... a to jest C? – upewniam się.

– Bardzo dobrze. Razem wymawia się je jak samo H.

– KOCH... – powtarzam i nagle rozumiem, co znaczą litery na pergaminie. – Kocham cię!

Nigdy wcześniej uśmiech Lief'a nie wydawał mi się równie radosny.

– Skąd wiedziałaś?

– Bo tak to brzmi, jeżeli szybko wymówić razem litery. Czyli to jest C, to I, a to E?

– Dokładnie tak. Chcesz spróbować pisać sama?

Kiwam głową i Lief wręcza mi pióro i kałamarz. Nachylam się nad pergaminem i starannie kopiuję litery. Potrafię rysować, ale pisanie jest trudne, bo trzeba starać się nakreślić znaki podobnej wielkości. Kiedy kończę moje znaki wyglądają znacznie mniej zręcznie od napisanych przez Lief'a, ale to nie przeszkadza mu wynagrodzić mnie uśmiechem i czułym spojrzeniem. Odstawia na miejsce kałamarz wraz z piórem i wyjmuję pergamin z moich rąk. Osusza atrament delikatnym dmuchnięciem i przedziera arkusz na dwie połówki. W milczeniu wręcza mi część, którą sam zapisał i zabiera papier z moimi niezdarnymi znakami.

Obracam się w pościeli i szperam pod poduszką w poszukiwaniu jego pierwszego listu. Kiedy go wyjmuję, Lief patrzy na mnie ze zdumieniem.

– Zachowałaś mój list?

– Oczywiście.

– Twy... – Przerzywa mu odgłos, od którego oboje drętwiejemy.

Ktoś otworzył drzwi u stóp schodów mojej wieży.



Lief zrywa się z łóżka, przeskakuje komnatę i dobywa miecza, który zostawił obok posłania. Okrzykuje intruza i od nagłego odgłosu zaczyna mi brzęczeć w uszach.

– Kto tam? Ostrzegam, że jestem uzbrojony i z radością cię zabiję, jeżeli zrobisz jeszcze choćby krok w stronę komnaty mojej pani.

– Lepiej nie – odpowiada oschły i flegmatyczny głos.

– Merek? – Nie dowierzam, czując nagłą zgrozę.

– A któżby inny? – Księżę staje w drzwiach naprzeciw Liefowi. – Wybacz mi proszę późną porę wizyty... choć widzę, że jeszcze nie spałaś – mówi, ruchem głowy wskazując płonące świece.

– Jeszcze nie – wpatruję się w Liefowi, usiłując zamaskować drżenie głosu.

Merek również przygląda się Liefowi, który chowa miecz do pochwy ze znudzonym wyrazem twarzy, a potem kopnięciem przesuwa swój siennik, by Merek mógł wejść do komnaty.

– Dlaczego drzwi były otwarte? – pyta Merek. Ze strachu całkiem zasycha mi w ustach.

– Żeby lady Twylla mogła uciec, gdyby zaszła taka potrzeba – odpowiada bez wahania Lief. – Sam je otworzyłem, gdy tylko usłyszałem kroki u stóp wieży. Moja pani zaproponowała to rozwiązanie, kiedy rozpocząłem służbę jako strażnik. Zatrzymałbym intruza w komnacie, a lady Twylla mogłaby uciec do kwatery straży i zamknąć się tam na klucz.

– Dlaczego właśnie tam? – dopytuje się Merek.

– Bo tam trzymamy zapasowe miecze i noże, a poza tym komnata straży znajduje się niżej i moja pani mogłaby w razie potrzeby uciec przez okno.

Jego zręczne kłamstwa nie tylko padają gładko, ale i brzmią bardzo rozsądnie. Sama jestem zaskoczona, jak łatwo w nie uwierzyć.

– Wydawało mi się, że w ten sposób będę najbezpieczniejsza – dodaję od siebie, choć mój głos nie brzmi nawet w połowie tak pewnie, co głos Liefowi.

– Czy wszystko w porządku? – pyta Merek.

– Poza faktem, że jest środek nocy, a w mojej komnacie znajduje się dwóch mężczyzn? Tak.

Oba spuszczają głowy, ale jestem pewna, że Lief robi to tylko po to, by ukryć uśmiech.

– Proszę o wybaczenie – sumituje się Merek. – Nie chciałem, byś pomyślała, że zapomniałem o naszym spotkaniu. Matka przedstawiła mi dość długi raport na temat Tallith, dlatego się spóźniłem. Wrócę jutro.

– Jak sobie życzysz.

– Jeszcze jedno... – księżę odwraca się w drzwiach. – Zauważyłem, że na drzwiach na dole wieży jest rygiel. Być może praktyczniej i bezpieczniej byłoby z niego korzystać, zamiast uciekać i barykadować się w strażnicy?

Rygiel. Zapomniałam o ryglu na drzwiach... Jak mogłam być tak głupia?

– Masz absolutną rację. Lief, zamknij proszę drzwi na rygiel, kiedy tylko księżę wyjdzie.

Obaj mężczyźni kłaniają się i wychodzą. Po kilku chwilach słyszę stukot zamykanego rygla i Lief wraca do komnaty.

Moje serce nadal wali jak młotem. Niewiele brakowało, byśmy zostali przyłapani.

– Wybacz mi, ukochana.

– Ale co? To nie była twoja wina, a gdybyś nie zadziałał tak szybko...

– Nie o to chodzi. Wybacz, że zapomniałem mu powiedzieć, że jest świnią najpodlejszego gatunku. Mimo woli nie potrafię powstrzymać wybuchu śmiechu.

– Będziemy musieli być bardziej ostrożni – mówi Lief.

– Jak mogliśmy zapomnieć o ryglu na drzwiach?

– Być może dobrze się złożyło. Teraz będziemy mogli twierdzić, że są zamknięte na rozkaz księcia.

– Tak, to dobry pomysł. Nikt nie powinien niczego podejrzewać.

Lief patrzy na mnie przez chwilę, po czym spuszcza wzrok z nagłym zawstydzeniem.

– Skoro drzwi mają pozostać zaryglowane, moglibyśmy do czasu naszej ucieczki spędzać każdą noc razem. Oczywiście gdybyś chciała...

Przez chwilę nie jestem w stanie się odezwać, bo tracę oddech na samą myśl o jego obecności w moim łóżku, każdej nocy, tak bardzo blisko...

– Tak – mówię cicho.

Lief podchodzi do łóżka, a jego kroki rozbrzmiewają w niespokojnym rytmie mojego serca. Po chwili leży już przy mnie. Obracam się na plecy i wlepiam spojrzenie w baldachim, a Lief sięga ręką i delikatnie ściska moje palce.

– Nie proszę o zbyt wiele? – pyta niskim, nabrzmiałym od emocji głosem.

Nie ufam swemu głosowi, więc tylko kręcę przecząco głową.

Lief całuje mnie w policzek i przez chwilę mam wrażenie, że stracę nad sobą panowanie.

– Podczas jutrzejszej wizyty księcia zapytam Dimię o ukryte przejście. Możesz odprawić mnie na ten czas, żebym mógł je zbadać. Przy okazji obejrzę też stajnie.

Kiwam głową. Leżąc obok Lief'a i rozmawiając z nim o naszych planach mam bardzo dorosłe wrażenie domowego spokoju.

– Dobranoc, Twyllo – szepcze mi na ucho Lief i odwraca się na swoją stronę łóżka. Po długiej chwili pełnej napięcia odwracam się do niego plecami, a Lief obejmuje mnie i przytula się do mnie całym ciałem. Wyraźnie czuję, że jego serce bije równie mocno, jak i moje. Do snu kołysze mnie jego spokojny oddech na mojej szyi.

Rankiem zaraz po przebudzeniu w łagodnym świetle świtu z rozkoszą przypominam sobie uczucie jego ciała obok mojego i uśmiecham się do siebie, nie otwierając oczu.

– Co cię tak rozbawiło?

Otwieram powieki i widzę Lief'a siedzącego na krześle naprzeciw łóżka. W pierwszej chwili nie jestem w stanie nic powiedzieć, bo jego rozpuszczone włosy i figlarnie pytający wyraz twarzy i uniesionych brwi całkiem wypełniają moje myśli.

– Powiesz mi?

– Merek – mówię gorączkowo.

– Merek rzeczywiście jest zabawny – przyznaje z uśmiechem Lief.

– Nie o to chodzi, głupku. Merek ma tu dzisiaj przyjść, być może już jest w drodze...

Lief kręci głową.

– Drzwi nadal są zaryglowane. Zamierzałem obudzić cię pocałunkiem, jak księżę z bajki, ale zauważyłem, że uśmiechasz się jak obłąkana. – Nachyla się i muska ustami moje wargi, a potem wplata palce w moje włosy i całuje mnie naprawdę, głęboko i gorąco. – A teraz powiedz mi, co cię rozbawiło – mruczy z ustami naprzeciw moich ust.

– Po prostu obudziłam się szczęśliwa.

– Z jakiegoś szczególnego powodu?

– Nie, zupełnie bez powodu – mówię i uśmiecham się, kiedy delikatnie chwyta moją wargę między zęby. – No dobrze, miałam powód.

– Powiesz mi, jaki?

– To byłoby bardzo niedyskretne z mojej strony. Dama nigdy nie zdradza swych tajemnic.

– W takim razie dama będzie musiała zapomnieć dziś o śniadaniu.

– Nie odważysz się.

– Tak myślisz? – pyta z szelmowskim uśmiechem Lief.

Uśmiecham się do niego tak słodko, jak tylko potrafię. Nachyla się i znowu chwyta moją dolną wargę zębami, a potem odsuwa się, pozostawiając mnie z dziwnym bólem w dolnej części brzucha.

– Masz szczęście, że jesteś piękna – uśmiecha się Lief. – Niedługo wrócę.

– Pospiesz się – wołam za nim i wślizguję się pod kołdrę. Na moment zwijam się w mały, szczęśliwy kłębek, a potem z rozkoszą się przeciągam i obdarzam baldachim promiennym uśmiechem.

Lief rzeczywiście wraca po niedługiej chwili, by mnie pocałować i postawić mi na kolanach tacę ze śniadaniem.

– Dimia zniknęła – mówi, kiedy zabieram się za jedzenie.

– Jak to zniknęła? – pytam, dzieląc bułkę.

– Śniadanie przyniosła dziś inna służąca, moja marudna o poranku damo. Powiedziała mi, że Dimia odeszła.

– Nie jestem zaskoczona – mówię. – Sam słyszałeś, co mówiła o swoim bracie i o królowej. Być może wraz z drugim bratem doszli do wniosku, że dalsza służba w zamku nie jest warta ryzyka. Zamierzała się z nim zobaczyć tego dnia, kiedy... urywam. – Być może właśnie wtedy odeszli, kiedy królowej nie było w zamku.

– Chyba że to właśnie królowa postanowiła się jej pozbyć.

– Wątpię, by królowa była świadoma istnienia Dimii, zresztą, na szczęście dla dziewczyny. Tylko co my teraz zrobimy? Jak dowiemy się, gdzie szukać ukrytego przejścia?

– Będziemy się trzymali planu. Odpraw mnie na czas wizyty księcia, a spróbuję dowiedzieć się jak najwięcej.

Jego słowa wywołują na mojej twarzy rumieniec. Przypominam sobie, jak szeptaaliśmy w ciemności i robi mi się gorąco.

Lief uśmiecha się, jakby dobrze znał moje myśli.

– Obiecuj, że pod moją nieobecność nie zakochasz się w Mereku.

Rzucam w niego resztkami bułki.

Mam dziś wyraźnie zbyt wiele energii. Siedzę przed haftem rozpiętym na ramie, a mój żołądek ściskają emocje. U moich stóp siedzi Lief, zajęty rozplątywaniem jedwabnych nici. Do czasu przybycia Mereka wypełniam sobie czas śpiewaniem. Staram się zachowywać normalnie, ale już nie pamiętam, czym jest normalność. Przeraza mnie myśl o tym, że mogę zdradzić się przed księciem zbyt częstym spoglądaniem na Lief'a lub choćby uśmiechem, bo przecież powinnam być wściekła na Mereka i przygnębiona po śmierci Dorina.

Pukanie do drzwi rozlega się jednocześnie znacznie wcześniej i znacznie później, niż bym sobie tego życzyła.

– Jesteś gotowa? – pyta Lief. Potakuję i poprawiam włosy.

Schodzi w dół wieży, by wprowadzić księcia, a ja staram się uspokoić oddech. Nie jestem pewna, dlaczego nagle ogarnęło mnie uczucie paniki.

– Jego Wysokość książę – mówi Lief. Wstaję i z szacunkiem pochylam głowę.

– Twyllo – wita mnie Merok, wchodząc do komnaty. – Mam nadzieję, że dobrze spałaś.

Bezwiednie spoglądam na czekającego w drzwiach Lief'a i Merok podąża wzrokiem za moim

spojrzeniem.

– Zaczekaj na zewnątrz – odprawia go ruchem dłoni, zanim mam szansę się odezwać.

– Widzę, że praca postępuje – mówi, przyglądając się haftowi, kiedy za Liefem zamykają się drzwi.

– Cieszę się, że przynajmniej pod tym względem mogłem ci w czymś pomóc. Zastanawiałem się jednak, czy nie zechciałabyś na trochę odłożyć pracy. Zakończono budowę Sali Luster i miałem nadzieję, że zechcesz mi towarzyszyć podczas jej zwiedzania. Będziemy tam mogli spokojnie porozmawiać.

– Czy nie możemy rozmawiać tutaj? – pytam.

– Możemy – Merek marszczy brwi. – Ale chciałbym, żebyś poszła ze mną. Nie widziałem dotąd ukończonej budowli i chciałbym dzielić tę chwilę z tobą.

– Czym jest Sala Luster?

– To podarunek dla mnie, od mojej matki – mówi, krzywiąc wargi. – Kiedy tylko dowiedziała się, że zamierzam zwiedzić Tallith, poleciła przynieść sobie wszystkie pochodzące stamtąd księgi, które po upadku królestwa zachowały się w Tregellanie. W jednej z nich musiała znaleźć plany oryginalnej Sali Luster i postanowiła zbudować tu jej kopię jako prezent na moje powitanie. Chyba chciała skusić mnie do powrotu. – Skrzywione usta księcia mają okrutny wyraz. – W skrócie można opisać to miejsce jako salę pełną luster ustawionych w taki sposób, by wykrzywiać i zniekształcać prawdę. Można więc stanąć przed jednym zwierciadłem i widzieć swe odbicie w wielu innych, od tyłu lub i boku jednocześnie. Chciałabyś pójść ze mną?

– Oczywiście – mówię z uśmiechem i wygładzam suknię. – Brzmi intrygująco.

Merek podchodzi do drzwi i kiedy odwraca się tyłem, pozwalam sobie na chwilę odpoczynku od sztucznego uśmiechu.

– Zabieram lady Twyllę do Sali Luster – informuje księżę Lief. – Nie będziesz nam potrzebny.

Wrócimy później.

– Kiedy, Wasza Wysokość? – pyta Lief i zarówno ja, jak i Merek zatrzymujemy się jak wryci.

– Słucham? – głos księcia jest zimny i pobrzmiwa w nim niedowierzanie. Patrząc na Lief, ale on z kolei nieustępliwie wpatruje się w Mereka.

– Kiedy wróci moja pani, Wasza Wysokość?

– Uważasz, że to twoja sprawa?

– Moją sprawą jest bezpieczeństwo mojej pani, Wasza Wysokość – odpowiada gładko Lief.

– Zapewniam cię, że ze mną będzie bezpieczna – odpowiada Merek tonem równie gładkim, co Lief.

– Stoczyliśmy pojedynek i nie sądzę, bym zbyt sobie pochlebiał twierdząc, że dotrzymałem ci pola. Wprawdzie cię nie pokonałem, ale jestem pewien, że jestem w stanie bronić mojej damy. Jest w końcu moją przyszłą żoną. Zapraszam, Twyllo – mówi i gestem wskazuje mi wyjście.

Waham się, ale ruszam przodem. Nie słyszę jednak za sobą kroków księcia i oglądam się przez ramię. Ani Merek, ani Lief nie ruszyli się nawet o krok. Wydają się pogrążeni w milczącym pojedynku woli. Żaden z nich nie wykonuje najmniejszego gestu i nie wypowiada choćby słowa. Stoją naprzeciw sobie i nieustępliwie patrzą sobie wzajemnie prosto w oczy. Napięcie pomiędzy nimi jest wręcz wyczuwalne, ostre i niebezpieczne, aż cierpnie mi skóra. Widzę, jak pięść Lief opada w kierunku pasa i głośno wciągamy powietrze. Odgłos przełamuje zakłęcie i Merek odwraca się, ze straszliwym spokojem ignorując Lief. Patrząc nad jego ramieniem, kiedy się zbliża i zauważam, że dłoń Lief drży. Mimo napięcia, jakie towarzyszyło konfrontacji, twarz księcia jest całkowicie spokojna.

– Chodźmy, Twyllo – mówi i mogę jedynie iść za nim, opuszczając wieże bez mojego strażnika. Znowu zostaję z księciem sam na sam.

Również tym razem nie towarzyszy nam żadna eskorta, a mijani dworzanie witają nas uśmiechami i ukłonami. Różnica w ich zachowaniu, kiedy widzą mnie w towarzystwie Mereka, jest wprost uderzająca. Przestają uważać mnie za potwora i zaczynają myśleć o mnie jak o przyszłej królowej.

Wewnętrznie nadal dygoczę, ale nie daję niczego po sobie poznać i odwzajemniam ich uśmiechy, starając się z wdziękiem odpowiadać na ukłony. Przez cały czas zastanawiam się, czy Merek wspomni o zachowaniu Liefy, a jeżeli tak, jak mu je wyjaśnię? Co podkusiło Liefę, by prowokować księcia, skoro dał mu doskonałą wymówkę do wprowadzenia w życie naszego planu? Merek milczy jednak, a my zbliżamy się do drzwi Wielkiej Sali. Tuż przed nimi książę skręca w lewo i prowadzi mnie korytarzem w stronę wschodniej wieży. To tu mieściły się kiedyś komnaty królewskich dzieci. Książęta i księżniczki wraz z nieprzeliczonymi rzeszami służących i nauczycieli zajmowali całą wieżę.

U drzwi do wieży, która jest wyższą i wspanialszą wersją mojej, salutuje księciu dwóch strażników. Kłaniają się i bez słowa otwierają drzwi. Merek gestem zaprasza mnie, bym szła przodem.

Za drzwiami znajduje się mały przedsionek, ledwo zdolny pomieścić nas oboje i nagle staję się boleśnie świadoma bliskości Mereka.

– Przesuń się, proszę – mówi i zgodnie z jego poleceniem przyciskam się do kamiennej ściany. Książę podchodzi do zwisającej z sufitu czarnej kotary i odsuwa ją na bok. Dalej znajduje się następna komnata.

– Zapraszam – mówi Merek i przepuszcza mnie przodem.

Wchodząc do Sali Luster, najpierw zauważam swoje odbicia. Unoszę rękę i moją uwagę przykuwa widziany kątem oka ruch po prawej stronie. To znowu ja, tym razem odwrócona profilem. Odwracam się, by przyjrzeć się odbiciu dokładniej i w kolejnym zwierciadle widzę się od tyłu. Przez chwilę odwracam się w różne strony i przechadzam po sali, by zobaczyć się za każdym razem w innym zwierciadle i z całkiem innej strony. Nie jestem w stanie powstrzymać śmiechu. Wszędzie gdzie się nie odwrócę wita mnie moja własna postać.

– To jeszcze nie wszystko.

Merek otacza mnie ze wszystkich stron. Na każde odbicie Twylli przypada stojący za nią książę, a kiedy odwracam się w jego stronę, setki moich postaci robią to samo.

– Idź wprost przed siebie. Trzymaj przed sobą wyprostowaną rękę, by nie wpaść na któreś ze zwierciadeł. To miejsce zbudowano jako labirynt luster. – Gestem demonstruje mi, co ma na myśli.

Jestem pewna, że mimo wyciągniętej przed siebie dłoni zaraz wpadnie na któreś z luster, ale tak się nie dzieje. Zamiast tego Merek znika, jakby przeszedł na drugą stronę którejś ze szklanych tafli. Ruszam za nim i zauważam, że znajdujemy się w kolejnej komnacie o lustrzanych ścianach.

– Zatrzymaj się – poleca książę. Staję w miejscu, nie opuszczając dłoni. – Spójrz – mówi i odwraca się. Powtarzam jego ruch, ale znów widzę wokół to samo: jesteśmy wszędzie, a nasze postacie widoczne są z każdej możliwej perspektywy. – Podejdź tutaj. Stań na moim miejscu.

Z zakłopotaniem robię to, co nakazał. Staję na jego miejscu i... wzdycham. Moje odbicie zniknęło, ale książę jest wszędzie wokół mnie. Mam wrażenie, że otacza mnie cały tłum jego kopii. Patrzę na niego, a raczej tam, gdzie wydaje mi się, że stoi. Merek uśmiecha się i robi krok w przód, a krąg wokół mnie zacieśnia się.

– Przestań – mówię, czując nieprzyjemny dreszcz na plecach. Wszystkie odbicia Mereka jednocześnie kręcą głowami.

– Nie wiesz, gdzie jestem? – pyta.

Odwracam się i już chcę wskazać go palcem, ale okazuje się, że wskazuję lustrzane odbicie. Sytuacja powtarza się kilka razy z rzędu i za każdym razem książę kręci głową.

– Merek, proszę, nie podoba mi się tutaj – odwracam się wokół własnej osi, nie mając już pewności, gdzie znajduje się wejście do komnaty.

– Spróbuj zgadnąć jeszcze raz.

Tym razem obracam się wolniej, przyglądając się uważnie wszystkim odbiciom i szukając wzrokiem wejścia, by ułatwić sobie wybór. Robię mały krok w lewo i zauważam lukę pomiędzy zwierciadłami, w której udaje mi się dostrzec jego ramię.

– Tu jesteś – mówię i wskazuję go palcem. W tej samej chwili dostrzegam za ramieniem księcia jakiś ruch. Brązowe włosy związane na karku, ciemnozielony kaftan i skórzane bryczesy... Nerwowo nabieram powietrza i Merek odwraca się, zdradzając swoją kryjówkę. Znalazłam go, ale jakoś nie odczuwam w związku z tym żadnej satysfakcji.

Lief wszedł za nami do lustrzanego labiryntu, gdzie nie ma żadnych szans się ukryć i gdzie każda powierzchnia zdradza prawdę...

– Brawo – mówi Merek, ale zaraz marszczy brwi, wpatrując się w moje odbicie w jednym z luster. – Co się stało?

– Niespodziewanie zobaczyłam samą siebie i sama się wystraszyłam, to wszystko – mówię, nie patrząc mu w oczy.

– Łatwo stracić tutaj orientację – przytakuje Merek. – Chodźmy, to jeszcze nie koniec. Nie będę już więcej znikał ci z oczu. W każdym razie nie umyślnie – dodaje i ruszam w ślad za nim, powoli i ostrożnie, asekurując się wyciągniętą ręką.

Idąc przez salę pełną zwierciadeł i odbić usiłuję przekonać samą siebie, że to niemożliwe, że Lief nie mógł tu przyjść. Musiałby przecież minąć strażników, no i usłyszeliibyśmy odgłos otwieranych drzwi...

Merek idzie pewnym krokiem. Wcale nie wydaje się dezorientowany i ledwo dotrzymuję mu kroku. Pośród zwierciadeł pełno jest zakamarków i niewidocznych na pierwszy rzut oka kryjówek, które staram się wypatrzeć. Wszechobecne zwierciadła sprawiają, że sala wydaje się znacznie większa niż jest w rzeczywistości. Co chwilę dostrzegam odbicie rąbka własnej sukni albo ręki Mereka i odwracam się, by im się przyjrzeć, i za każdym razem widzę w zwierciadłach jedynie swoją własną, przestraszoną twarz.

– Podoba ci się? – pyta Merek, zatrzymując się w pomieszczeniu podzielonym na trzy rozwidlające się ścieżki.

– Nie – odpowiadam szczerze. – Nie podoba mi się.

– A mnie się tu podoba. Wszystko jest tu wyraźnie widoczne i nie ma mowy o żadnym oszustwie. Szkoda, że całe życie nie może wyglądać podobnie.

– Rzeczywiście, szkoda – mówię ostrzej, niż zamierzałam i Merek wyraźnie traci rezon. – Wybacz mi. Wiem, że w tym oszustwie nie było twojej winy. Twoja matka będzie na pewno zadowolona, że jej prezent przypadł ci do gustu.

– O tak, z całą pewnością nie omieszka sama sobie pogratulować – parska księżę. W chwili gdy to mówi, Lief wyłania się zza jego pleców niczym zjawą.

– Szokuje cię to, że mówię o matce w ten sposób? – Merek błędnie odczytuje wyraz mojej twarzy. – Myślę, że po tym, czego ostatnio się dowiedziałaś mogę być z tobą szczery. Dobrze wiesz, jaka jest moja matka.

Kiwam głową w milczeniu i udaję, że przyglądam się własnemu odbiciu w lustrze, w rzeczywistości jednak próbuję ustalić, gdzie dokładnie stoi Lief i w których lustrach można dostrzec jego postać. Sama widzę go jedynie przed sobą, za plecami Mereka, wiem jednak, że to jedynie odbicie. Spoglądam na lewo i na prawo, ale niczego nie zauważam. Księżę podąża za moim spojrzeniem i upewniam się, że i on niczego nie dostrzegł.

– Twyllo?

– Tak...? Przepraszam, to przez te lustra...

– Jesteśmy do siebie bardzo podobni, ty i ja – mówi księżę i zbliża się o krok. Za jego plecami widzę, jak twarz Liefa tężeje, a jego palce sięgają w stronę wiszącego u pasa miecza. – Oboje gramy swoje role i przebywamy w swoistych więzieniach, nie wspominając już o naszych matkach. Nigdy wcześniej nie było w moim życiu nikogo, komu mógłbym się szczerze zwierzyć... no, prawie nikogo – uśmiecha się. – Kiedyś zwierzałem się nauczycielom i nianiom, ale i oni z czasem odeszli. Jestem bardzo samotny, Twyllo – mówi cicho.

Nagły ruch po mojej prawej stronie sprawia, że bezwiednie się obracam i zauważam Liefę we własnej osobie. Stoi w miejscu, z którego dostrzec go można jedynie w lustrze stojącym za plecami księcia. Merek znowu podąża wzrokiem za moim spojrzeniem, ale jestem pewna, że ze swego miejsca widzi jedynie mnie.

Zbliżam się o krok do Mereka, by zatrzymać go w miejscu i nie pozwolić mu zauważyć Liefę.

– Nie przyprowadziłem cię tu bez powodu – mówi książę. Twarz Liefę w lustrze stanowi odbicie targających mną emocji: lęku, ostrożności i niepewności.

– Tak?

– Moja matka... nie jest dobrą królową.

– Merek, nie wolno ci...

– Tutaj możemy rozmawiać otwarcie, jesteśmy sami. Wiem, że się ze mną zgadzasz. Obserwuję cię od czasu, gdy wróciłem do zamku. Widziałem, jak próbowałaś ocalić lorda Bennela. Dobrze wiesz, że królowa nie jest dobrą władczynią. Nieważne, czy mówisz to głośno, czy jedynie myślisz. To zdrada, ale również i prawda. Matka pragnie chwały kosztem królestwa, łaje i poniża mojego ojczyma, zabija własnych przyjaciół. Jest okrutna i mściwa, a jej rządy nie wychodzą Lormere na dobre. To nie może trwać, rozumiesz? Zdążyłem wiele zobaczyć odkąd tu wróciłem i nie mogę pozwolić, by ten stan rzeczy trwał. Nie pozwala mi na to moje sumienie, a także dobro Lormere i twoje bezpieczeństwo. Moja matka jest zbyt głęboko zakorzeniona we własnym pochodzeniu i wychowaniu. Obawiam się, że oszalała. Ciągłe mówi o czystości krwi i o dziedzictwie, i... – Merek przerywa i wyraźnie się waha. – Twyllo, czy mogę ci zaufać?

Przygląda mi się z uwagą, a ja potakuję ruchem głowy.

– Poprosiłem, by nasz ślub został przyspieszony. Po raz pierwszy, odkąd sięgam pamięcią, pozycja mojej matki jest osłabiona. Pozwoliła, by mój ojczym publicznie jej się sprzeciwił i nie kwestionowała mojej decyzji o zwróceniu ci wolności bez jej wiedzy i zgody. Jeżeli wszyscy wykonamy ruch razem, powinno nam się udać przeprowadzić wszystko w sposób pokojowy. Nadszedł czas, by działać. Chcę, żebyśmy się pobrali i objęli rządy nad królestwem. Do czasu naszego ślubu nie mogę nic zrobić, a wiem, że coś zrobić muszę.

Patrzę na księcia, a Liefę na mnie. Nie wiem, co robić.

– Ale... twoje urodziny jeszcze...

– Jakie to ma znaczenie? – pyta Merek i zbliża się o kolejny krok. – Oboje jesteśmy dorośli i od zawsze wiemy, że zostaniemy małżeństwem. Na co więc czekać? Znasz już prawdę na temat Daunen, więc nie ma potrzeby dłużej podtrzymywać fikcji. Chcę pojąć cię za żonę już teraz – mówi i pieczętuje swoje słowa pocałunkiem.



Merek jest bardzo chłodny i kiedy mnie całuje jego usta przypominają mi usta posągu. Pocałunki Liefa są gorące, a w jego dotyku jest żar. Merek cofa się o krok i przygląda mi się z przechyloną głową. Wzrokiem szukam w lustrach odbicia Liefa, ale nigdzie go nie widzę i zastanawiam się, gdzie zniknął.

– Przepraszam, Twyllo – słyszę słowa księcia.

– Czy moje zdanie na temat tego wszystkiego też się liczy?

– Co masz na myśli? Jesteśmy zaręczeni, prawie jesteśmy małżeństwem. Byłaś obecna podczas ceremonii i zgodziłaś się oddać mi swą rękę. Ślub to jedynie formalność.

Milczę, a księżę wpatruje się we mnie zwężonymi oczyma.

– Czy jestem dla ciebie aż tak odrażający, Twyllo? Czujesz do mnie obrzydzenie?

Otwieram usta, by coś powiedzieć, ale księżę nie pozwala mi się odezwać.

– Nie próbuj kłamać – mówi. – Myślisz, że nie zauważyłem, że okazujesz więcej względów swoim strażnikom niż mnie? Nie tylko ty zostałeś wykorzystana, nie tylko tobą manipulowano. Zawsze wiedziałem, jakie jest moje przeznaczenie. Nie miałem wyboru.

Jeszcze rok temu, a nawet przed miesiącem musiałabym się z nim zgodzić. Ale nie teraz.

– Nie chciałem, by nasz związek rozpoczął się w taki sposób – ciągnie księżę. – Wiedziałem, że niełatwo będzie wyjawić ci prawdę. Myślałem jednak, że będziesz szczęśliwa wiedząc, że nie jesteś morderczynią.

– Czy nie możesz powiedzieć wszystkim, że mnie nie chcesz? – pytam z desperacją.

Merek chwyta mnie za ramię i przyciąga do siebie.

– Modliłem się o ciebie – wypluwa mi słowa w twarz. – Nie wierzę w Bóstwa, ale i tak się o ciebie modliłem. Każdego wieczora przez jedenaście lat prosiłem Bóstwa, by mnie do ciebie zaprowadziły, by pozwoliły mi ciebie zatrzymać. Śniłem o tobie. Słuchałem twojego śpiewu i cieszyłem się, że to ty zostaniesz moją żoną. Skoro muszę się ożenić, a wierz mi, że nie mam w tym względzie żadnego wyboru, ożenię się z tobą. Nie chcę żony, która jest moją krewną. Prędzej odbiorę sobie życie, niż się na to zgodzę. Przez dwa lata czekałem na moment, gdy powrócę do zamku, by w końcu móc być z tobą. Chcę, żebyś została moją żoną. Zawsze chciałem tylko ciebie.

Puszcza mnie i odwraca się do luster. Kiedy znów się odzywa, jego głos jest już spokojny.

– Wiem, że wymagam od ciebie bardzo dużo i że wiele ostatnio przeszłaś. Każę odprowadzić cię do wieży, żebyś mogła wypocząć przed dzisiejszym wieczorem.

– Dlaczego? Co ma się stać wieczorem?

– Zwołałem ucztę z okazji przyspieszenia daty naszego ślubu. Chcę to ogłosić teraz, póki pozycja mojej matki jest osłabiona i chcę to zrobić w sposób zgodny z dworskim obyczajem. Zaraz potem będziesz mogła przeprowadzić się do królewskich komnat i przygotować się do ślubu.

Merek bierze mnie za rękę i ciągnie przez Salę Luster, za czarną kotarę. Zatrzymuje się dopiero w przedsionku.

– Żałuję, że dowiedziałaś się o tym w taki sposób – mówi, widząc mój wzrok. – Będę dobrym mężem, Twyllo. Będę się starał, by twoje życie było możliwie najłatwiejsze – unosi moją dłoń i składa

na niej pocałunek, po czym dotyka moimi palcami swego policzka, równie zimnego, co jego usta. – Nadszedł właściwy czas. Musimy uderzyć teraz, dopóki królowa jest bezbronna. Królestwo tego od nas wymaga. Do zobaczenia później.

Merek otwiera drzwi i oddaje mnie w ręce dwóch strażników o surowych minach. Odchodzę, zapominając o pożegnaniowym ukłonie. Dochodzę do wniosku, że teraz nie ma to już żadnego znaczenia.

Nie wiem, gdzie jest Lief, czy został w Sali Luster, czy też wyszedł w międzyczasie. Jeżeli został, z pewnością słyszał każde słowo księcia.

Okazuje się, że Lief czeka na mnie za drzwiami wieży.

W pierwszej chwili trudno mi go rozpoznać. Włosy ma w nieładzie, powieki zaczerwienione, a iskry w jego oczach zgasły. Strażnicy odchodzą, a ja powoli zbliżam się do Lief. Patrzy na mnie beznamiętnie, przytrzymując drzwi i gestem zapraszając do środka. Wchodząc po schodach, nasłuchuję jego kroków, których rytm tym razem ostro kontrastuje z rytmem mojego serca.

– Lief... – mówię zaraz po wejściu do komnaty.

– Chyba powinienem zacząć zwracać się do ciebie „Wasza Wysokość” – mówi i składa drwiący ukłon, a ja nie potrafię dłużej wstrzymać łez i zaczynam płakać.

Oddałabym wszystko, by mnie pocieszył, ale Lief stoi nade mną i bez emocji przygląda się moim łzom.

Kiedy brakuje mi już łez, pozostaje mi tylko odwrócić się od nieruchomego Lief, by umyć twarz. Wtedy obejmuje mnie mocno ramionami i wtula twarz w moją szyję. Stoimy tak dobrą chwilę i odwracam się dopiero wtedy, gdy czuję wilgoć na skórze. Policzki Lief są mokre od łez. Moje serce prawie pęka na widok wyrazu jego złamanej, pozbawionej nadziei twarzy.

– Zamierzałem się z tobą ożenić – mówi z trudem i radość miesza się we mnie z przerażeniem.

– Nadal możesz mnie poślubić – szepczę, wyciągając ku niemu ręce. – Wciąż jeszcze możemy uciec, choćby teraz.

Lief kręci głową.

– Nie mamy czasu, Twyllo. W najlepszym razie mielibyśmy zaledwie kilka godzin przewagi nad pościgiem.

– Ale po dzisiejszym wieczorze nasz czas całkiem się skończy. Musimy uciekać jeszcze dziś. Nie mogę za niego wyjść, nie mogę z nim być...

– Pocałował cię – mówi powoli Lief.

– Nie chciałam, żeby to zrobił.

– Miałem ochotę go zabić.

– Ucieknijmy, Lief. Wówczas nie będzie to już miało znaczenia.

– On jest księciem, Twyllo. Nie mogę zaoferować ci nic lepszego...

– Już to zrobiłeś!

Lief przygarnia mnie do siebie. Nasze usta się spotykają i czuję smak soli. Próbuję scałować ją z jego warg, ale sól za każdym razem wraca i po chwili już nie wiem, czy to moje łzy, czy Lief.

– Musi istnieć jakiś sposób – mówię. – Oboje jesteśmy sprytni i nie urodziliśmy się w tym zamku. Wiemy, jak żyć poza nim. Znalazłeś ukryte przejście? Przecież do ucieczki nie potrzebujemy niczego więcej. Uda nam się.

Lief kiwa głową i odwraca się do mnie plecami. Prostuje się i wstrzymuje oddech, by opanować płacz. Kiedy się do mnie odwraca, znów jest sobą, a w jego oczach dostrzegam te same iskry, które pokochałam.

– Uciekniemy jutrzejszej nocy. Zawiadomię siostrę, by wszystko przygotowała.

– To niemożliwe. – Po uczcie książę zamierza przenieść mnie do królewskich komnat, gdzie mam się przygotowywać do ślubu. To musi się stać dzisiejszej nocy.

Lief blednie.

– To poważne ryzyko. Wszyscy będą się przygotowywać do uczty.

– Jeżeli zostaniemy, ryzykujemy utratą jedynej szansy.

Lief przytula mnie i znów jestem bezpieczna w jego ramionach.

– Nie dostanie cię – mruczy. – Jesteś moja, Twyllo, moja ukochana. Nie oddam cię nikomu, choćby żądał tego książę albo królowa.

– Nie chcę za niego wyjść – mówię.

– Nie dojdzie do tego, obiecuję. Nie pozwolę na to, choćbym miał zginąć.

– Nie mów tak – proszę. – Nie mów takich rzeczy.

– Gdyby się o nas dowiedzieli, nie mogłabyś już poślubić księcia.

– Zabiliby cię.

– Ale ciebie być może by oszczędzili.

– Wolalabym zginąć z tobą! Nie mogę wrócić do tego, co było kiedyś. Nie pozostało mi nic poza tobą.

Lief nie protestuje, kiedy prowadzę go do swego łóżka.

Po wszystkim leżymy spleceni ramionami i nogami, a ja wsłuchuję się we wspólny rytm naszych oddechów. Oboje jesteśmy złani potem i nasza skóra klei się, jakby nic już nie mogło nas rozdzielić. Moje kończyny są ciężkie, a dogasające światło popołudniowego słońca sprawia, że chcę zwinąć się w kłębek obok Lief'a i zasnąć. Dotyka wargami mojego czoła, a ja odchylam głowę i uśmiecham się, patrząc mu w oczy.

– Niezupełnie o taką ucieczkę mi chodziło – mówi cicho. – Ale nie zamierzam narzekać. Dobrze się czujesz?

– Bardzo dobrze – uśmiecham się, a na widok jego uśmiechu moja skóra znów zaczyna się rozgrzewać. – A co do ucieczki, przemyślałam to i sądzę, że uda nam się wymknąć po uczcie.

– Przemyślałaś to? – pyta Lief opierając głowę na łokciu i przyglądając mi się z uniesionymi brwiami i cieniem uśmiechu na ustach. – Kiedy?

Rumienię się i chowam twarz.

– Nie, nie wtedy. Teraz, przed chwilą. Podczas uczty udam, że boli mnie głowa i wrócę do komnaty. Uciekniemy, kiedy wszyscy będą świętować. Do rana będziemy już wiele mil stąd i nikt nie zdąży się zorientować, co zaszło. Będzie za późno na pościg. W każdym razie mam taką nadzieję.

Widzę, jak Lief rozważa moje słowa.

– Chodź – mówi i wyplątuję się z moich objęć. Wstaję za nim, a Lief zarzuca futro na moje ramiona. Okrywam się nim ze wstydem, ale jedno spojrzenie na jego twarz, widok wypisanej na niej radości i nadziei każe mi zapomnieć o pruderii.

Lief prowadzi mnie do okna i staje za mną z ramionami wokół mojej talii. Opiera podbródek na moim ramieniu i wskazuje znikające za drzewami słońce.

– Patrz, oto Las Zachodni. Daleko za nim jest nasz nowy dom.

Kiwam głową, opierając się o jego pierś.

– Uciekniemy jeszcze dziś wieczorem. Dziś wieczorem wszystko się skończy.

– Wszystko się zacznie – mówię.

– Tak, wszystko się zacznie. Na razie jednak musimy przygotować się do uczty. Czy mam wezwać służące, by przygotowały ci kąpiel?

– Nie, dziękuję. – Nie chcę się kąpać. Wolę zachować na skórze jego zapach.

– Czy mam zostawić cię samą, żebyś mogła się ubrać?

Mam chęć poprosić go, żeby został i mi pomógł, ale ostatecznie kiwam głową.

– Niedługo będę gotowa.

– Gdybyś mnie potrzebowała, będę na zewnątrz.

Lief obraca mnie ku sobie i całuje, a ja z chęcią poddaję się jego wargom. Otwierając oczy, zauważam, że w komnacie zrobiło się wyraźnie ciemniej.

– Idź już – mówię. – Muszę się przygotować.

Lief kłania mi się stojąc w drzwiach, a jego gorące spojrzenie niemal pali mi skórę. Trudno mi ignorować ból, jaki odczuwam, gdy zamyka za sobą drzwi.

Dzisiejszego wieczora do twarzy mi w czerwonej sukni. Rumieniec na moich policzkach wcale nie zbladł i kolor sukni doskonale do nich pasuje. Tym razem nie sprawiam wrażenie przytłoczonej czerwienią, ale dominuję nad jej ostrym odcieniem. Promienieję z ekscytacji, oczy mi błyszczą, a skóra lśni. Mam wrażenie, że wyraźnie widać po mnie to, co zrobiliśmy z Liefem, ale zupełnie o to nie dbam. Niech cały dwór wierzy, że z radością wychodzę za Mereka, że to dlatego nie jestem w stanie powściągnąć uśmiechu i niemal świecę własnym światłem. Jeszcze dzisiejszej nocy opuszczę królewski dwór na zawsze.

Kiedy Lief wchodzi do komnaty, by odprowadzić mnie do Sali Wielkiej zamku, szczęka opada mu komicznie. Nie próbuję powstrzymać śmiechu zachwytu. Obracam się, by mógł się przyjrzeć, jak leży na mnie suknia. Kiedy wpadam w jego ramiona i całuję, Lief obejmuje dłońmi moją twarz. Trzyma mnie tak delikatnie i ostrożnie, że ogarnia mnie nagły strach i przywieram do jego ciała, szukając w nim pociechy. Uwalnia mnie po krótkiej, zbyt krótkiej chwili, a jego oczy znów mają mroczny wyraz. Jest w nich obietnica, od której mój żołądek ciasno się zaciska.

– Zostańmy tu jeszcze chwilę – proszę.

– Po co? – pyta z domyślnym uśmiechem Lief, za co wynagradzam go pacnięciem w ramię.

– Kiedy tylko opuścimy tę komnatę, znowu staniesz się moim strażnikiem, a ja Daunen Wcieloną. Chciałabym, żebyśmy jeszcze przez chwilę mogli być tylko Liefem i Twyllą.

– Kiedy dzisiejszy wieczór dobiegnie końca, zawsze już będziemy tylko Liefem i Twyllą.

– Wiem – uśmiecham się. – Pozwolisz mi jeszcze przez chwilę poćwiczyć?

Lief przechyla głowę i w zamyśleniu przygryza wargę.

– Czy podczas tych uczt są tańce?

– Czasami.

– W takim razie lepiej coś zaśpiewaj.

Lief bierze mnie w ramiona i moja dusza wzlatuje radośnie, a cały świat nabiera kolorów. Zaczynam cicho śpiewać *Jasność i dal*, wirując po komnacie razem z Liefem. Jedną ręką trzyma mnie w talii, drugą zaś kładzie na moim ramieniu. Opieram się o jego rękę i tańczymy, i aż do końca piosenki świat jest doskonały, wszystko jest dobrze i nie mogłabym wprost być bardziej szczęśliwa. W połowie piosenki śmiech odbiera mi głos i Lief podejmuje śpiew, strasznie przy tym fałszując. Kończymy pieśń chórem, a potem opiera czoło na mojej głowie i oboje łapiemy oddech, uspokajając rozszalałe bicie serc.

Uczucie radości nie opuszcza mnie, kiedy w ślad za damami i dworzanami wchodzimy do wielkiej sali w sercu zamku. Wszyscy wokół są odświętnie ubrani. Klejnoty dam odbijają światło kandelabrow i lśnią na tle jedwabiów sukien, a panowie kroczą sztywno w rzadko noszonych, eleganckich bryczesach. Salę wypełnia gwar podekscytowanych rozmów i migotanie gestykulujących dłoni, a zamkowe korytarze pełne są korzennego zapachu wyczekiwania. Nawet ostra twarz lady Shasty wydaje mi się tego dnia piękniejsza. Wiem, że po dzisiejszym wieczorze nigdy więcej nie będę musiała na nią patrzeć.

Kolejni dworzanie rozstępują się przed nami, jakbym już została ukoronowana, mamrocą moje imię i kłaniają się.

Merek czeka pod drzwiami sali. W jego czarnych włosach lśni złoty diadem, a na aksamitnym dublecie nosi odświętną szarfę w barwach purpury i brązu. Tryumfalnym gestem podaje mi ramię i cała radość nagle ze mnie wyparowuje. Księżę prowadzi mnie do stojącego na podwyższeniu stołu. Idziemy

szpalerem dworzan, którzy pospiesznie podnoszą się z miejsc i składają nam ukłony. Merek odsuwa dla mnie krzesło po prawej ręce króla, za co nagradzam go skromnym uśmiechem.

Przed zajęciem miejsca kłaniam się królowi i królowej. Cała rodzina przystrojona jest w rodowe klejnoty. Na głowach królewskiej pary pyszną się korony, a ich szaty zdobione są cennymi futrami. Berło stoi oparte o krzesło króla. Ze zdziwieniem zauważam, że choć królowa wygląda na zadowoloną, król jest wyraźnie blady i chyba jeszcze nie opuściła go gorączka. Spodziewałam się, że będzie inaczej, ale to królowa spogląda na mnie z matczyną dumą i z uśmiechem na twarzy. Siadam na swoim miejscu, a Merek krótkim gestem opiera dłoń na moim ramieniu, po czym siada obok królowej, która nachyla się i całuje go w policzek. Księżę wyraźnie sztywnieje, ale uśmiecha się wymuszenie. Królowa ani na chwilę nie przestaje uśmiechać się do mnie.

Sadowię się na krześle, przepatrując salę w poszukiwaniu Lief'a. Nasza więź przyciąga ku niemu mój wzrok i zauważam go w końcu. Stoi obok wejścia na korytarz prowadzący do królewskich komnat. Lief przez sekundę odwzajemnia moje spojrzenie, po czym odwraca głowę i wraca do obserwowania sali. Ciesząc się jeszcze ciepłem jego spojrzenia pozwalam, by służący nalał mi wina i wypijam łyk, skinieniem głowy odpowiadając na uśmiechy dworzan. Wszyscy ewidentnie wiedzą, po co się zebraliśmy. Na ich twarzach maluje się wyraz szczęścia i gotowości do wzniesienia radosnego toastu za nasze zdrowie i pomyślność. Atmosfera jest zupełnie inna, niż podczas ostatniego zgromadzenia w wielkiej sali. Kątem oka zauważam, że król wyciąga rękę i dotyka dłoni królowej, która nie tylko nie odtrąca jego gestu, ale i odpowiada mu uśmiechem. Albo jej pozycja rzeczywiście jest osłabiona, albo też pogodziła się z tym, co musi się wydarzyć.

Jemy i pijemy, a salę wypełniają wesołe dźwięki lutni i harf przechadzają się pomiędzy stołami minstreli. Grają pieśni o Lormere, które to ja zazwyczaj śpiewam. Król i królowa pogrążeni są w cichej rozmowie, której nie słyszę, ale cieszy mnie, że okazują sobie wzajemnie ciepłe uczucia. Być może życie w Lormere rzeczywiście zmienia się na lepsze i wcale nie jestem tu dłużej potrzebna. Królowa podaje królowi kapłona na własnym talerzu i z uśmiechem myślę o dniu, kiedy będę podawała jedzenie Liefowi. Zauważam jednak spojrzenie i uśmiech Mereka, i sama zajmuję się jedzeniem.

Kiedy ukradkiem zerkam na Lief'a, jego spojrzenie skierowane jest na księcia. Lief wpatruje się w niego twardym jak krzemień wzrokiem spod zwężonych powiek i chyba w ogóle nie przejmuje się tym, że ktoś mógłby je zauważyć.

Na jakiś niewidoczny sygnał muzycy przestają grać i wszyscy zwracają głowy w stronę królewskiego stołu. Król i królowa wymieniają spojrzenia i wstają, uciszając gwar rozmów w całej sali. Patrzymy na siebie z Liefem i staram się przekazać mu wzrokiem, jak bardzo chcę być z nim, daleko stąd.

– Dziękujemy, że zechcieliście dziś do nas dołączyć – odzywa się król. – Jak wiecie, Lormere zbudowano na fundamentach dumnych tradycji, które zawsze napełniały nas siłą w toku długiej i chwalebnej historii królestwa. Odparliśmy wiele zagrożeń, zarówno z odległych stron, jak i bliskich, i udało nam się przetrwać każde z nich – spoglądam na Lief'a i powstrzymuję uśmiech wiedząc, że oboje myślimy w tej chwili o Tregellanie.

– I dalej będziemy nie tylko trwać, ale i rozkwitać – królowa gładko podejmuje wątek i uśmiecha się, a cały dwór odpowiada jej uśmiechami. – Dziś nasze myśli wybiegają w przyszłość. Jak wiecie, Bóstwa w swej dobroci obdarzyły mnie zarówno synem, jak i córką, ale ich wolą było odebrać nam ukochaną Alianor. Na początku pogrążyliśmy się w rozpacz, nie wiedzieliśmy bowiem, w jaki sposób zawiedliśmy oczekiwania Bóstw. Mają one jednak plany, które nam, śmiertelnym rzadko dane jest poznać. Odbierając jedną ręką, obdarowują nas drugą. I tak zesłali nam Twyllę, Daunen Wcieloną, która jest równie bliska naszym sercom, co własna córka. Mieszka w zamku od wielu lat, wraz z nami wypatrując tęsknie dnia, w którym poślubi Mereka i stanie się naszą prawdziwą córką.

Merek wstaje i podchodzi do mnie. Podnoszę się z miejsca i pozwalam, by położył dłoń na mojej, jak podczas ceremonii naszych zaręczyn.

– Dlatego też z wielką radością oznajmiam wam dziś, że zaślubiny nastąpią jeszcze przed końcem tego roku – mówi królowa, uśmiechając się do nas. – Ostatniego dnia tegorocznych żniw mój syn Merek poślubi swą wybrankę i nastanie nowy Złoty Wiek.

Sala wybucha oklaskami i radosnymi okrzykami. Dworzanie wznoszą kielichy do toastów i ze zdwojoną energią zabierają się za konsumpcję trunków. Merek wraz ze mną staje przed królewskim stołem i uśmiechając się do mnie kiwnięciem głowy dziękuje dworzanom za wiwaty. Król i królowa wstają, promieniejąc radością, a mój wzrok biegnie ku Liefowi.

Zauważam, że patrzy gdzieś obok mnie, że marszczy brwi wpatrując się w króla i że wszyscy pozostali dworzanie idą w jego ślady.

Odwracam się i widzę, że król stoi obok królowej w bezruchu, a jego uśmiech zamienił się w zastygły grymas. Oboje z księciem ruszamy w jego stronę, ale jest już za późno: król upada na stół ze straszliwym hałasem, drapiąc obrus palcami i zrzucając na posadzkę puchar.

Wiwaty zamieniają się w krzyki przerażenia.



Krzyki milkną równie nagle, jak wybuchły. Na podwyższenie wbiegają strażnicy z dobytymi mieczami, jakby zamierzali odeprzeć atak na króla. Zacieśniają obronny kordon, a król usiłuje wstać, odpędzając strażników gestami ręki. Cofam się instynktownie przed strażnikami, a Merek chwytą mnie za ramię i prowadzi za stół, gdzie zajmuje obronną pozycję, osłaniając mnie przed resztą sali własnym ciałem niczym tarczą. Patrzę ponad jego ramieniem, na próżno usiłując wypatrzyć Liefę. Królowa klęka obok swego małżonka i przykłada dłoń do jego czoła. Król mówi coś do niej, ale w hałasie nie rozróżniam jego słów. Czuję jednak, że Merek mocniej zaciska palce na moim ramieniu, wrywając z moich ust bolesny jęk. Dworzanie przyglądają się zamieszaniu z otwartymi ustami jak czarne dziury w poblądłych twarzach. Stoją w bezruchu, zamarli niczym żywy obraz i wielu z nich trzyma dłonie na sercach, nie spuszczać oczu z królewskiego stołu.

Dwóch spośród królewskich strażników próbuje pomóc władcy wstać. Nogi odmawiają mu jednak posłuszeństwa i zmuszeni są podnieść go za nogi i ramiona. Król sprawia wrażenie zawstydzonego, kiedy strażnicy wynoszą go z sali. Królowa patrzy w ślad za nimi i zasłania usta dłonią. Opuszcza ją dopiero po chwili, po czym rzuca Merekowi rozgorączkowane spojrzenie i sama również opuszcza salę.

Merek patrzy na mnie spomiędzy zwięzionych powiek i puszcza moje ramię.

– Zostań tutaj – poleca. – Niczego nie jedz i nie pij, ale zostań w sali, dopóki pozostali jej nie opuszczą. Nie daj po sobie poznać, że stało się coś poważnego. Niech myślą, że to nic takiego i że mogą kontynuować ucztę. Wyjdź razem z wszystkimi i udaj się prosto do wieży. Zrozumiałas?

Kiwam głową w oniemiałym milczeniu i Merek wychodzi, zostawiając mnie na podwyższeniu w otoczeniu strażników. Nagle wzrok wszystkich zebranych pada na mnie, a ja nie jestem w stanie się ruszyć.

– Król zaniemógł – mówię drżącym głosem. – Nie jest to jednak nic poważnego, Bóstwom niech będą dzięki. Jego Wysokość książę Merek nalega, byśmy wszyscy pozostali w sali i kontynuowali uroczystość.

Wszyscy siadają, ale przyglądają mi się podejrzliwie i nikt nie rusza jedzenia ani trunków. Po sali rozchodzi się szmer ściszonych rozmów. Co jakiś czas dostrzegam rzucone w moją stronę spojrzenia, mroczne i nieufne, i jestem boleśnie świadoma tego, jak bardzo samotnie czuję się na podwyższeniu. Patrzę na resztki uczyty i na służących, którzy kręcą się w pobliżu wyjścia, gotowi do ucieczki w każdej chwili. Wiem, że wszyscy dworzanie ze mną włącznie również mają ochotę jak najszybciej opuścić salę. Nie mija wiele czasu i z tłumu wyłamuje się pierwsza osoba. Nie jestem królową i wiem, że nie wzbudzam takiego strachu jak ona.

– Pójdę pomodlić się o zdrowie króla, pani – oświadcza lady Shasta i wstaje z miejsca. Połowa dworzan idzie w jej ślady.

Widzę stojącego przy drzwiach Liefę, który wpatruje się we mnie ze zmarszczonymi brwiami.

– I ja się pomodłę – mówię, szybko wstając i schodząc z podwyższenia. Idę żwawo, zmuszając dworzan do rozstąpienia się. Wyraźnie słyszę, jak ktoś mamrocze słowo „trucizna”. Szepty i pomruki ścigają mnie aż do drzwi sali i zauważam, że pomimo deklaracji o chęci modłów za zdrowie króla nikt

nie spieszy się do wyjścia. Lief zajmuje miejsce u mego boku, zachowując nieodgadniony wyraz twarzy.

– Teraz? – pyta cicho, a ja milcząco zaprzeczam ruchem głowy i kieruję się w stronę wieży.

– Kiedy, Twyllo? – chce wiedzieć Lief, kiedy pokonujemy ostatni zakręt korytarza.

– Merek kazał mi wrócić prosto do wieży – mówię, kiedy otwiera przede mną drzwi.

– A jakie to ma znaczenia? To może być dla nas niepowtarzalna szansa – mówi wchodząc po schodach o krok za mną. – Wszyscy będą myśleli tylko o królu i... – Lief odwraca się słysząc, że ktoś otwiera drzwi u stóp schodów. – Kto idzie?

Nie słysząc odpowiedzi, Lief prowadzi mnie szybko po kilku ostatnich stopniach i wchodzi do komnaty w ślad za mną, po czym dobywa miecza i odwraca się w stronę drzwi. Do komnaty wchodzi Merek. Mija i mnie, i Lief, a potem opiera się o parapet okna.

– Co się stało? – pytam. – Czy król...

– Wyjdź i zostań pod drzwiami – nakazuje Liefowi księżę, nawet na niego nie patrząc. – Nie wpuszczaj nikogo.

Lief zerka na mnie, a kiedy potakuję, kłania się sztywno i wychodzi, do ostatniej chwili wierząc mnie wzrokiem.

– Twoje szczęście i bezpieczeństwo są dla mnie ważne, Twyllo – zaczyna Merek nie odwracając się od okna, kiedy tylko za Liefem zamykają się drzwi. Jego słowa brzmią tak, jakby przygotował je sobie wcześniej, co w nieprzyjemny sposób kojarzy mi się z jego matką.

– Jestem szczęśliwa i bezpieczna, Merek.

– Nie – księżę kręci głową, po czym odwraca się do mnie i na chwilę traci oddech. Poza dwiema czerwonymi plamami na policzkach jego twarz jest blada jak u trupa. Włosy ma w nieładzie, jakby próbował je sobie powyrywać. Strach zaciska ma wnętrzości lodowatymi okowami, aż czuję jedynie pustkę. Merek podchodzi do mnie i ujmuje moją dłoń. Muszę zwalczyć chęć wyrwania się.

– Nie rozumiesz – mówi. – Muszę cię prosić, żebyś zrobiła coś dla mnie... Dla nas.

Kręcę głową, nic nie rozumiejąc, a księżę potrząsa dłońmi trzymającymi moją dłoń.

– To ważne, choć zabrzmi strasznie. Musisz to zrobić, bo inaczej... – urywa.

– Merek, czy możesz mi powiedzieć, o co chodzi? Obiecałeś mi prawdomówność. Co się dzieje?

Merek patrzy na mnie z wahaniem i oblizuje wargi.

– Myślę, że moja matka otruła króla. Nie, nie myślę. Jestem tego pewien.

Usiłuję zrozumieć, co mówi, a moje powieki trzepoczą z zaskoczenia.

– Nie rozumiem...

– Wygląda na to, że prośba o łaskę dla lady Lorelle była dla mojej matki kroplą, która przelała czarę. Nigdy nie było między nimi miłości, ale matka nie mogła pozwolić, by umniejszała jej władzę. A teraz to... Nie sądzę, by król przeżył dzisiejszą noc. Byłaś na sali, widziałaś wszystko...

– Ależ to zapewne tylko nawrót gorączki, nic więcej. Wystarczy trochę odpoczynku i...

– Nie sądzę, by król był chory. Za pierwszym razem źle oceniła dawkę trucizny, a dziś podjęła drugą próbę. Mój ojczym nie dożyje świtu, Twyllo.

– Jakiej trucizny? Chyba nie wyciągu z oleandra? – pytam czując, jak włosy jeżą mi się na karku. Merek kręci głową.

– Nie mam pojęcia, ale napiszę do moich kontaktów w Tregellanie i opiszę objawy. Może oni będą potrafili je rozpoznać i powiązać z jakimś znanym sobie środkiem.

– Merek, dlaczego miałyby to zrobić? – pytam cicho.

– Bo matka nie może dłużej znieść tego, że mój ojczym nie okazał się być mężem i królem, jakiego potrzebuje. Myślę, że zamierza po raz trzeci wyjść za mąż.

– Za kogo?

– Za mnie.

Patrzę na niego z niedowierzaniem i czuję, jak z odrazy ogarniają mnie mdłości.

– Jak to...? Jak możesz tak mówić?

– Ona sama to powiedziała – Merek zakrywa usta, jakby próbował siłą wepchnąć sobie słowa z powrotem do ust, jakby wypowiedzenie ich na głos odebrało mu na zawsze coś bezcennego.

Nigdy w całym moim życiu, podczas żadnego obrzędu Zjadania Grzechów ani podczas żadnej egzekucji nie widziałam człowieka tak całkowicie zagubionego.

– Słyszałem każde jej słowo – ciągnie Merek, odjmując dłoń od ust. – Poszedłem za nią do komnaty, do której zanieśiono króla i czekałem za drzwiami, by podsłuchać ich rozmowę. Wszystko mi powiedziała. Mówiła, że do świtu będzie po wszystkim, a kiedy on umrze, pozostaniemy tylko ona i ja. Powiedziała, że wie, co to oznacza i co będzie musiała zrobić. Że nie będzie się to w żaden sposób różnić od poślubienia własnego brata.

Patrzę na niego w osłupieniu.

– Merek, to... to szaleństwo!

– To nie ja jestem szalony! – wykrzykuje księżę, a ja cofam się o krok, spłoszona jego nagłym wybuchem. – To jej słowa, Twyllo. Ona je wypowiedziała i to ona jest obłąkana. Nie ja. Ona chce, by dwoje dzieci z królewskiego rodu zasiadło na tronie, zawsze tego chciała. Pragnie przywrócić Złoty Wiek Lormere i osadzić na tronie siostrę i brata jako królewską parę. Ale najpierw zmarł mój ojciec, a potem Alianor i moja matka nie urodziła więcej dzieci. Nie rozumiesz? Ona go nienawidzi. Nigdy nie mogłaby naprawdę go pokochać, w końcu jest zaledwie jej kuzynem, ale zawiódł jej oczekiwania, nie mogąc spłodzić z nią dla mnie siostry, choćby i przyrodniej. Zawiódł ją, więc postanowiła się go pozbyć, żeby móc wyjść za mnie. Nie będzie mogła zasiadać na tronie bez króla u boku, a ja jestem ostatnim potomkiem rodu. Dlatego muszę zostać jej mężem.

Opieram się o biurko, by złapać równowagę.

– Przecież ja nadal tu jestem. Co zrobi ze mną? Czy i mnie planuje zabić? W ten sposób chce oczyścić sobie drogę do ciebie?

W oczach Mereka błyszczy desperacja.

– Nie czekałem, by usłyszeć, czy planuje cię zamordować. Przyszedłem do ciebie natychmiast, kiedy tylko potwierdziła moje podejrzenia.

– Potwierdziła...? Domyślałeś się, co zamierza?

– Od dawna miałem swoje podejrzenia... Często mówiła o tym, co stanie się z Lormere, jeżeli królestwem nie będzie władał ktoś z naszej linii krwi. Mówiła, że brak ci cech potrzebnych królowej i że nie powinna zmuszać mnie do małżeństwa z kimś, kto tak bardzo się od nas różni... Próbowałem powiedzieć ci o wszystkim w Sali Luster, ale wydawało mi się to wówczas zbyt melodramatyczne. Teraz jednak mój ojczym jest umierający i jestem pewien, że to ona za tym stoi. Wykonała swój ruch, Twyllo.

– Musisz komuś powiedzieć – odsuwam się od niego, zbliżając się do drzwi. – Ona nie może tego zrobić, nie może zabić króla. To zdrada.

– Komu mam powiedzieć? – pyta, przyciągając mnie z powrotem do siebie. – Któż ma więcej władzy od niej? Któż może ją powstrzymać?

Patrzę na Mereka i po raz pierwszy zastanawiam się, czy również i on nie jest odrobinę szalony.

– Co możemy zrobić? Zostanę otruta? A może... – w mojej głowie pojawia się myśl, a wraz z nią isierka nadziei. – Może zmusi cię, żebyś mnie odesłał? Czy o to chcesz mnie prosić? – pytam wiedząc, że jeżeli mnie odprawi, będę mogła odejść z Liefem.

Twarz Mereka tężeje, a skóra na kościach policzkowych napina się od otwartych w niemym krzyku ust.

– Gdybym cię odprawił, być może by cię nie zabiła. Być może przynajmniej ty byłabyś bezpieczna. Ale ja bym tego nie przeżył – mówi, patrząc na mnie szeroko otwartymi oczyma. – Rzuciłbym się z tej wieży. Miałbym poślubić własną matkę? Pojąć ją za żonę? – Na samą myśl Merek dygocze na całym ciele. – Dlatego muszę prosić o pomoc ciebie. Poza tobą nie pozostał mi nikt.

Na jego twarzy wypisana jest rozpaczliwa prośba.

– Wiem, że nie mam prawa o cokolwiek cię prosić – mówi. – Wiem, że wiele od ciebie wymagam, prosząc, byś stanęła po mojej stronie i zaufała mi pomimo tego, co przed tobą ukrywałem. Ale jeżeli mi pomożesz, dopóki oboje będziemy, żyli będę codziennie okazywał ci wdzięczność. Będiesz miała wszystko, co tylko zechcesz. Wystarczy, że o to poprosisz.

– Czego ode mnie potrzebujesz? – pytam.

– Musimy się pobrać kiedy tylko mój ojczym umrze. Mając u boku królową, będę mógł objąć tron, a matkę umieścić gdzieś, gdzie nikomu nie zdoła wyrządzić krzywdy.

– Ona mnie zabije – mówię. – Zamorduje mnie zanim zdążymy przygotować wesele.

– Nie zdąży, jeżeli będziemy się spieszyć – odpowiada Merek i znowu przyciska moją dłoń do piersi. – Musimy działać, zanim zdąży się zorientować, co planujemy. Żeby zmylić jej czujność, możemy nawet udawać, że chcemy przełożyć ślub przez wzgląd na żałobę po królu. Dopóki będzie wierzyła, że wszystko odbywa się zgodnie z jej planem, nie zdecyduje się wyrządzić ci krzywdy. Zbyt wiele trupów wywołałoby podejrzenia. Nie będziemy musieli długo się ukrywać.

Mam wrażenie, że ściany komnaty zaczynają zaciskać się wokół mnie.

– Kiedy? – pytam.

– Jutrzejszej nocy. Muszę posłać po kapłana, ale znam kogoś zaufanego. Nie będzie żadnej uroczystości, tylko my dwoje i świadkowie. Wiem, że proszę ci o popełnienie zdrady i wierz mi, że zdaję sobie sprawę, że nie ma do tego prawa. Ale to nasza jedyna szansa, Twyllo. Musimy to zakończyć już teraz, bo jeżeli będziemy zwlekać, oboje zginiemy. To musi się stać jutro.

Jutro...

Jeżeli się zgodzę, nigdy nie odzyskam wolności, ale co się stanie, jeżeli odmówię? Królowa zabije mnie, by móc wyjść za Mereka. Wierzę, że zdolna jest do wszystkiego, byle tylko zachować koronę. Jeżeli zostanę, stracę Liefę i siebie samą, ale jeżeli ucieknę... Merek odbierze sobie życie. Wiem to na pewno, bo widzę prawdę w jego oczach, a jeżeli mu odmówię i nie zgodzę się stanąć po jego stronie, być może zrobi to jeszcze dzisiejszej nocy. Byłabym wówczas równie winna jego śmierci, jakbym zabiła go własnoręcznie. Uciekłabym z zamku, wiedząc, że wydałam na niego wyrok śmierci. Merek umarłby po to, żebym mogła zostać z Liefem. Oddałby za nas życie.

Merek klęka przede mną i obejmuje mnie w tali, opierając policzek o mój brzuch. W jego ciemnych oczach widzę wyraz grozy. Tak bardzo przypomina swoją matkę.

– Proszę cię, Twyllo – mówi cicho. – Bez ciebie mi się to nie uda.

– Merek... – nie mam czasu odpowiedzieć, bo drzwi otwierają się gwałtownie i do komnaty wpada potężny strażnik o zaczerwienionej twarzy. Próbuje odepchnąć z drogi Liefę i Merek zrywa się na równe nogi, poblądły jak płótno.

– Wybacz mi, Najjaśniejszy Panie – mówi i klęka przed Merekiem, który patrzy na mnie oczyma tak szeroko otwartymi, że wokół tęczy widać obwódki białka.

– Jak mnie nazwałś? – upewnia się Merek, z wysiłkiem wymawiając słowa. Lief przestaje szarpać się ze strażnikiem, przeczuwając znaczenie pozdrowienia.

– Jej Wysokość królowa nalegała, bym natychmiast tu pobiegł – sapie z wysiłkiem strażnik. – Król zmarł – mężczyzna patrzy na nas wyczekująco, a jego słowa odzywają się echem w zapadłej nagle ciszy. – Król zmarł – powtarza, kiedy nikt nie jest w stanie wykrztusić słowa. – Król zmarł.

Merek patrzy na mnie raz jeszcze, a na jego wynędzniałej nagle twarzy pojawia się rozpaczliwe cierpienie. Palcami szarpie kołnierz tuniki, zaciskając ją niczym stryczek.

Powinność albo wybór. Moje życie albo jego.

Jak w transie klękam przed Merekiem i kończę formułkę.

– Niech żyje król.

Potem kiwam głową, tylko raz, i jego twarz rozjaśnia się i wygładza. Widzę, jak wypuszcza głęboko

wstrzymywane powietrze. Unosi mnie z kolan i obejmuje.

– Dziękuję – szepcze mi na ucho, a moje serce pęka na dwoje.

Odwracam wzrok, niezdolna się odezwać, a Merek całuje moją dłoń.

– Dziękuję – mówi raz jeszcze i odwraca się do strażnika. – Pozostawimy damę jej modłom – mówi.

Strażnik kłania się i obaj wychodzą.

Lief wodzi wzrokiem pomiędzy zamkniętymi drzwiami i mną.

– Nigdzie nie uciekniemy, prawda? – pyta.

– Lief...

– Obiecałaś. Mówiłaś, że nigdy za niego nie wyjdiesz. Wybrałaś mnie.

Zlitujcie się, Bóstwa...

– Lief... – głos załamuje mi się i nie potrafię wymówić słów, którymi złamałabym złożoną mu obietnicę. Nie mogę porzucić Mereka. Jeżeli to zrobię, odbierze sobie życie, a jego śmierć stanie się naszym przekleństwem, spadnie na całe Lormere jak klątwa. Uciekając wydałabym wyrok na wszystkich mieszkańców krainy, bo Lormere podzieliłoby los Tallith, stając się zapomnianym, upadłym królestwem. Ale Lief nigdy by tego nie pojął.

Kiwa głową i odwraca się, by wyjść.

– Proszę cię! – wołam. – Nie zostawiaj mnie!

– Nie proś mnie, bym został i patrzył, jak zostajesz jego żoną – mówi. – Nie możesz mieć wszystkiego, Twyllo.

– Nie chcę wszystkiego, chcę ciebie!

– W takim razie chodź ze mną – tym razem to jemu załamuje się głos, a moje serce wpada w taki dygot, jakby chciało wyskoczyć mi z piersi wprost w jego ręce.

– Nie mogę...

– Dlaczego? Co takiego się zmieniło, Twyllo? Co on ci powiedział?

Kręcę głową, próbując znaleźć jakiś sposób, by wytłumaczyć mu, o co poprosił mnie Merek i dlaczego nie mogę mu odmówić. Ale słowa więzną mi w gardle i patrzę na Liefę w milczeniu.

Lief przygląda mi się. Bardzo długo.

– W takim razie żegnaj.

I odchodzi, zostawiając mnie samą.

Godzinę później drzwi znów się otwierają i spodziewam się ujrzeć w nich Liefę, rozgorączkowanego i żądającego wyjaśnień. Ale do komnaty wchodzi Merek. Jego spojrzenie jest znacznie jaśniejsze niż wcześniej.

– Twyllo? – podbiega do mnie natychmiast. Od chwili odejścia Liefę nawet się nie poruszyłam. Merek delikatnie prowadzi mnie w stronę łóżka i skłania, bym usiadła, a potem wychodzi, by po chwili wrócić z pucharem w ręku. Bez słowa wychylam zawartość, która okazuje się być palącym gardło winiakiem. Powinnam była się domyślić, że to alkohol...

– Nic ci nie jest? – pyta Merek, a kiedy odwracam się, by na niego spojrzeć, moja twarz i całe ciało ogarnia odrętwienie, jakby nie należało już do mnie. Nic już we mnie nie pozostało. Czuję jedynie wszechogarniającą pustkę.

– Odezwij się, moja miła.

Moja miła. Poddaję się rozpacz, nie mogąc dłużej jej znieść. Merek obejmuje mnie, ale jego ramiona są jak sploty węża. Nie te ramiona, nie ten zapach, nie ten mężczyzna.

– Matka udała się nad staw, aby się modlić – mówi, krzywiąc wargi, a ja czuję na plecach dreszcz. Oboje wiemy, o co modli się królowa i dlaczego udała się nad święty staw płodności. – Powiedziałem jej, że chcemy odłożyć datę ślubu ze względu na to, co się wydarzyło. Zgodziła się dać nam tyle czasu, ile tylko zechcemy. Powiedziała, że Lormere zrozumie.

Kiwam głową, próbując usiąść o własnych siłach.

Merek odgarnia włosy z mojej twarzy. Jego gest jest tak pełen czułości, że znów czuję napływające do oczu łzy.

– Wiem, że moje słowa cię przestraszyły, ale obiecuję ci, że wszystko się ułoży. Wszystko odbędzie się zgodnie z naszym planem. Musimy tylko się pobrać, a potem odbędzie się koronacja i oboje będziemy bezpieczni.

Zamykam oczy, ale natychmiast je otwieram, bo pod powiekami ukazuje mi się przerażona twarz Liefa.

– Posłano już po twoją matkę – ciągnie Merek. – Kiedy tylko dokona Zjadania Grzechów, a ciało króla spłonie na stosie pogrzebowym, będziemy mogli się pobrać. Wówczas nie będziesz już miała czego się obawiać. Będziemy wolni.

Mój głośny szloch całkiem go zaskakuje. Kręcę głową, próbując się uspokoić.

– Mam przynieść coś na uspokojenie? – pyta.

Znowu mogę jedynie zaprzeczyć ruchem głowy. W końcu biorę głęboki oddech, świadoma tego, że dokonałam już wyboru i pozwoliłam, by Lief odszedł beze mnie.

– Wybacz mi – mówię.

– Nie ma czego wybaczać. Wiem, że w ostatnich dniach przysporzyłem ci wyłącznie niedoli, ale nie minie kilka dni, a oboje będziemy bezpieczni. Natychmiast po koronacji uzyskam kontrolę nad matką.

Dopiero po chwili przypominam sobie, co powiedział wcześniej.

– Moja matka tu przybędzie?

– Jest zjadaczką grzechów, obyczaj wymaga jej obecności. Chcesz się z nią zobaczyć?

– Nie, nie sędzę – odpowiadam bez wahania. – Moje życie jest teraz tutaj.

– Ze mną – mówi Merek, nie próbując zamaskować tryumfu w głosie.



Wszystkie okna w zamku zostaną zasłonięte, a lustra okryte czarnymi trenami. Srebrna zastawa w wielkiej sali zostanie zastąpiona cynową, a każda odbijająca światło powierzchnia zostanie albo zmatowiona, albo zakryta. Służące i pokojówki będą pracować całą noc, aby zdążyć uszyć czarne szaty, suknie i tuniki, które rano po pospiesznych przymiarkach założą wszyscy dworzanie.

Cały zamek przygotowuje się do żałoby po śmierci króla, a Merek siedzi w mojej komnacie i mówi o tym, co pragnie zmienić i co wspólnie możemy osiągnąć. Po kilku godzinach błagam go, by pozwolił mi odpocząć.

– Wybacz mi, ukochana, oczywiście powinnaś odpocząć – mówi, ujmując w dłonie moją twarz. – Każ strażnikowi zamknąć za mną drzwi do wieży i nie otwierać ich nikomu poza mną.

– On odszedł – mówię głuchym głosem. – Musiał wracać do domu.

– W takim razie do czasu naszego ślubu to ja będę twoim strażnikiem – Merek całuje mnie w czoło. – Zejdź ze mną na dół i zarygluj drzwi. Przyjdę po ciebie rano.

Robię, co mi każe i staram się powściągnąć dreszcz, kiedy na pożegnanie dotyka mojego policzka swą zimną dłonią. Waham się przez chwilę z ręką na ryglu wiedząc, że jeżeli go zamknę, Lief nie będzie mógł wrócić. Potem przypominam sobie wyraz jego twarzy zanim odszedł i uświadamiam sobie, że nie wróci. Zasuвам rygiel i znużonym, powolnym krokiem wracam do swojej komnaty.

Sen nie nadchodzi, spędzam więc noc na wspomnianiu każdego słowa Lief'a. Nie mogę przestać myśleć o tym, czy mnie teraz nienawidzi. Powiadają, że ludzie, którym amputowano kończynę nadal ją czują, i takiego właśnie widmowego uczucia teraz doświadczam. Głęboko w duszy wiem, że Lief odszedł nie na chwilę, ale na zawsze. Świadomość ta nie daje mi spokoju. Wiem, że zawiodłam i jego, i samą siebie, i nawet fakt, że postąpiłam słusznie nie przynosi mi żadnej pociechy. Do świtu siedzę przy oknie z twarzą przy zasłonie. O wschodzie słońca biorę kąpiel i zakładam żałobną suknię. Czekam, aż Merek przyjdzie po mnie jak obiecał, ale nikt się nie zjawia. Służące nie przynoszą mi śniadania, nikt nie czuwa nad moim bezpieczeństwem ani nie mówi mi, dokąd powinnam się udać. Czekam przy oknie i czekam, obserwując wznoszącą się coraz wyżej tarczę słońca, ale nadal nikt się nie zjawia. Przez chwilę rozważam, czy nie powinnam pozostać w komnacie, by za kilka lat ktoś znalazł przy oknie moje wyschnięte kości.

W końcu jednak ogarnia mnie gniew na samą siebie za to, że się nad sobą użalam. Wybrałam swoją drogę, więc zmuszam się by wstać, wygładzić fałdy czarnej sukni i opuścić wieżę. Po raz pierwszy od mojego przybycia do zamku nie towarzyszy mi eskorta.

Moja reputacja mnie wyprzedza i spodziewam się, że dworzanie wykorzystają brak strażników i powitają mnie lękiem i podejrzeniami, a może nawet okrutnymi komentarzami. Zastanawiam się nawet, czy nie powitałabym ich z ulgą, mogąc przestać myśleć o nim, o jego odejściu. Mogłabym skupić się na nowym źródle bólu. Korytarze zamku są jednak puste i wydają mi się równie rozległe, co ocean, o którym opowiadali mi bracia. Unoszę się wśród nich niczym wrak statku, z dala od lądu, od domu i bezpiecznej

przystani. Nie trzyma mnie żadna kotwica, nie niesie żaden prąd. Wchodzę do królewskich komnat, zapowiedziana przez strażników. W środku czeka już Merek wraz z królową. A więc jednak zapomniał o swojej obietnicy.

– Przybyła twoja matka – mówi królowa.

– Twylla nie życzy sobie jej widzieć – mówi Merek. – Nie weźmie udziału w obrzędzie Zjadania Grzechów.

Królowa przygląda mi się przez chwilę.

– Obawiam się, że będziesz musiała się zjawić, Twyllo. Taka jest cena wejścia do rodziny królewskiej. Czasami musimy robić rzeczy, które są dla nas bolesne i dla większego dobra zapominają o własnych potrzebach.

Myślę o tym, co z powodu królowej poświęciłam dla większego dobra i moje serce obraca się w kamień.

– Rozumiem, Wasza Wysokość – mówię z kamienną twarzą.

– To dobrze. Musze się przebrać, powinniśmy zacząć jak najwcześniej. Kuchnia przygotowała już ucztę żałobną, po której zajmiemy się znalezieniem tych, którzy odpowiadają za tę tragedię oraz ich egzekucją.

– Domyślasz się, kto mógł to zrobić? – pyta spokojnym tonem Merek, choć wyraz jego oczu jest twardy i bezlitosny.

– Tregellańczyk – odpowiada królowa i moje serce na chwilę przestaje bić. – Któż inny mógłby pragnąć śmierci króla Lormere? Od dłuższego czasu podejrzewam, że Tregellańczycy wcale nie są tak pokojowo nastawieni, jak sami twierdzą, a teraz moje podejrzania się potwierdziły. Sam mówiłeś, Merek, że ich wiedza z zakresu nauk i medycyny dalece wykracza poza naszą. Teraz wiemy, dlaczego nigdy nie chcieli się nią dzielić. Wszystko wskazuje na to, że zamierzają wykorzystać ją ku zgubie Lormere. To wypowiedzenie wojny, Merek. Nie będziemy tolerowali zamachu na życie rodziny królewskiej. Jeżeli Tregellan chce wojny, to będzie ją miał

Przypominam sobie, jak Lief wyjaśnił mi, że porannica jest zwykłym wymysłem. Wiedział o tym właśnie dlatego, że Tregellańczycy znają się na truciznach. Wszyscy o tym wiedzą, i w świetle tej wiedzy podejrzania nabierają znamion prawdopodobieństwa.

– Nie stać nas na wojnę, matko – mówi Merek. – Nie mamy też żadnych dowodów, że Tregellan maczał palce w śmierci króla.

– Trucizna sama w sobie stanowi wystarczający dowód – mówi królowa, niemal wypluwając słowa. – Tregellańczycy wiedzą o truciznach wszystko. To w końcu broń tchórzy.

Merek zerka na mnie i marszczy brwi.

– Być może lepiej by było porozmawiać o tym później – mówi. Królowa uśmiecha się posepnie.

– Nie zamierzam mówić o niczym innym, dopóki w Lormere nie zostanie przywrócony porządek – mówi i opuszcza komnatę, podkreślając groźbę złowieszczym szelestem sukni.

Patrzę w ślad za królową, a potem zauważam spojrzenie Mereka.

– Dobrze się spisałaś – mówi. – Niczego się nie domyśla.

– Nawet nie udaje żałoby po królu.

Uśmiech Mereka przechodzi w otwarty śmiech, stłumiony przez grube kotary w oknach.

– Dlaczego miałyby udawać? Jest przekonana, że stoi u progu własnego Złotego Wieku. Obchodzą ją jedynie korona oraz chwała.

– Myślisz, że ludzie uwierzą, że to Tregellańczycy zabili króla?

– Tak sądzę. Czy ty wątpiłabyś w jej słowa, gdybym nie powiedział ci, co podsłuchałem? – jego słowa boleśnie przypominają mi o Liefie. – Lepiej dla nas, by była przekonana, że daliśmy się jej omamić. Niech wierzy, że jej plan się powiedzie. Później pomścimy śmierć mojego ojczyma.

Nadal nie do końca mogę uwierzyć, że królowa zabiła własnego męża i zamierza poślubić swego

syna, by nie stracić korony.

– Po wszystkim odeślemy ją daleko stąd – mówi cicho Merek. – U stóp Gór Wschodnich działa zamknięty klasztor dla kobiet, gdzie będzie mogła spędzić resztę swego życia z dala od nas.

Merek wstaje i nalewa sobie wina i czekamy na królową, oboje zamyśleni i milczący. Królowa wraca po chwili w woalce z czarnych koronek, która nie skrywa jednak widocznego w jej oczach błysku. Merek podaje mi ramię i odwraca się do matki dopiero wtedy, gdy odmawiam. Królowa z akceptacją kiwa mi głową i wychodzimy z komnaty.

Nie odwiedzałam tej części zamku od czasu obrzędu Zjadania Grzechów starego króla, a wówczas byłam jeszcze dzieckiem. Sala żałobna znajduje się za koszarami, w krypcie niedaleko północnej wieży zamku. Panuje w niej nastrój spokoju i grobowej zadumy, która kłóci się z burzą targających mną emocji. Ból złamanego serca walczy we mnie z lękiem, a poczucie straty z grozą. Żadne z tych uczuć nie ma nic wspólnego ze śmiercią nieszczęsnego króla.

Moja matka czeka przy trumnie, a jej olbrzymia sylwetka emanuje spokojem. Zawsze potrafiła wypełniać swoją obecnością każde pomieszczenie, i to wcale nie tylko ze względu na swoją tuszę. Ma w sobie coś, co nakazuje zwrócić na nią uwagę i nawet w obecności królowej i księcia to właśnie ona kontroluje sytuację. Stoi na szeroko rozstawionych nogach, z ramionami skrzyżowanymi na piersi, odziana w czarną szatę swej profesji. Zdażyłam już zapomnieć, jak bardzo jest wysoka. Przyglądam się jej twarzy, próbując odnaleźć w niej ślad rodzinnego podobieństwa. Niczego takiego nie zauważam. Matka wpatruje się w trumnę i nie podnosi na mnie wzroku, gdy wchodzę do sali razem z Merekiem i królową. Wieko trumny ozdobione jest królewskim herbem i zastawione niewielką liczbą dań. Jest ich znacznie mniej niż na uczcie pogrzebowej starego króla i Alianor. Matce się to nie spodoba.

Zajmujemy przygotowane miejsca i obrzęd Zjadania rozpoczyna się. Matka jak zwykle działa niespiesznie i metodycznie. Trzy kęsy chleba i łyk piwa, potem kęs szynki i znowu piwo. Jako Zjadaczka Grzechów jest niezłomna jak koń pociągowy ciągnący pług przez pole. Fałdy tłuszczu na jej ramieniu trzęsą się, gdy sięga po jabłko. Wgryza się w nie z trzaskiem, który w ciszy krypty brzmi wręcz ogłuszająco, ale wydaje się nie zwracać na to uwagi. Nieustannie planuje kolejność Zjadania, taksując wzrokiem przygotowane potrawy.

Zawsze zaczyna od najmniejszych grzechów, jak pospolite kłamstwa, oszustwa czy gniewne słowa, by z czasem przejść do najcięższych i najbardziej obfitych. W dzieciństwie podczas szczególnie ekstrawaganckich uczt pogrzebowych zdarzało mi się martwić, że jej żołądek zapełni się, zanim dotrze do najpoważniejszych grzechów, ale nie zdarzyło się to ani razu. Często miałam wrażenie, że smak drobnych grzechów zaostrza jej tylko apetyt na najcięższe. Król nie popełnił w życiu niczego strasznego i jego grzechy są pospolite. Moja matka zdecydowanie woli grzeszników o bardziej różnorodnych życiorysach.

Przyglądając się jej pracy, czuję, jak ogarnia mnie spokój, jak mimo upływu lat znajomy obrzęd Zjadania przynosi mi ukojenie. Jest czymś, co nie może się zmienić i zawsze pozostanie taki sam. Siedząca po mojej prawej ręce królowa wierci się i niespokojnie wykręca ruchliwymi jak węgorze palcami. Moja matka z kolei wydaje się poruszać coraz wolniej i nagle uderza mnie myśl, że tak właśnie jest. Królowa chce przyspieszyć obrzęd i oznajmia to mową ciała, a moja matka celowo go opóźnia. Nie zamierza pozwolić, by królowa kontrolowała Zjadanie. Śmierć jest dziedziną mojej matki i obrzęd ma postępować wedle jej tempa. Ze zdumieniem po raz pierwszy zdaję sobie sprawę z władzy, jaką posiada moja matka, a która pozwala jej sprawić, by pod dachem królowej czas płynął tempem narzuconym tylko przez nią, mistrzynię ceremonii. Jedyne prawa, jakim jest posłuszna, są prawa Zjadania. Choćby wokół rozgrywały się epokowe wydarzenia i szalały ukryte bitwy, moja matka zwycięży, póki stosownie wypełni swoją rolę. A rola mojej matki jest jej życiem. W otchłani rozpaczki dostrzegam maleńki okruch nadziei. Czy mi się to podoba czy też nie, jestem córką mojej matki. A skoro moja matka potrafi zwycięsko wyjść z konfrontacji z królową, być może mnie uda się to samo. Wyciągnę naukę z jej

zachowania i postaram się ją naśladować. Bez względu na koszty pozostanę wierna mojej roli i dzięki temu nigdy nie poniosę porażki.

Merek przygląda mi się z nieodgadnionym wyrazem twarzy, a potem wraca do obserwowania mojej matki przy pracy. Czas w niewielkim stopniu zmienił jej wygląd, wplatając w jej włosy zaledwie kilka nitok siwizny i ryjąc zmarszczki wokół oczu, które stają się wyraźniejsze, kiedy mruży oczy i zaglądając do kufła sprawdza, ile zostało w nim jeszcze piwa.

Zastanawiam się, jak wygląda teraz moja siostra i nagle zauważam jej nieobecność. Jako córka Zjadaczki Grzechów powinna być tutaj z matką i przyuczać się do swej przyszłej roli, obserwując obrzęd. Spoglądam na Mereka, ale ten nie odrywa oczu od trumny ojczyma.

Pomimo celowej powolności mojej matki obrzęd Zjadania dobiega końca w ciągu godziny. Zaraz po jego zakończeniu królowa wstaje i wychodzi, nie odzywając się choćby słowem.

Moja matka i wypowiada słowa kończące obrzęd.

– Odpoczywaj w pokoju, panie. Nie wracaj do nas drogami, nie wracaj łąkami. Za twój spokój zastawiam własną duszę.

Sakramentalne słowa jak zwykle wywołują u mnie dreszcz, a Merek wyjmuje z sakiewki srebrną monetę i wręcza ją mojej matce, która chowa zapłatę w fałdach sukni. Potem kłania się księciu i odwraca się, by odejść.

– Nie przywitasz się z córką? – Jego słowa zaskakują mnie i odbijają się bolesnym echem wśród ścian krypty.

Matka zatrzymuje się i powoli lustruje mnie wzrokiem.

– Ona nie jest moją córką, Najjaśniejszy Panie. Wasza matka zdecydowała o tym w dniu, kiedy ją zabrała. Jak to ją teraz nazywają...? Daunen Wcielona? – Na jej wargach pojawia się cień lekceważącego uśmiechu.

– Gdzie jest Maryl? – Pytanie samo wyrzywa mi się z ust.

Matka przygląda mi się takim wzrokiem, jakby potrafiła dostrzec wszystkie moje grzechy i ślady rąk Liefa na moim ciele.

– Umarła. Zachorowała i zabrała ją gorączka – mówi bez śladu smutku w głosie.

– Kiedy to się stało?

– Dwa żniwa temu – odpowiada i zwraca się do Mereka. – Czy to wszystko? Najjaśniejszy Panie? Wiem, że nie tylko ja usłyszałam w jej głosie wzgardę, bo Merek mocno ściska moją dłoń.

– Możesz odejść.

Dwa żniwa temu. Maryl nie żyje od dwóch lat i nikt mi o tym nie powiedział.

Kiedy tylko moja matka opuszcza kryptę, odwracam się do Mereka.

– Wiedziałaś o tym? – pytam.

– Oczywiście, że nie – odpowiada. – Byłem wtedy w podróży, Twyllo, przecież wiesz.

– Ale twoja matka musiała wiedzieć, prawda? – syczę przez zęby.

Merek powoli kiwa głową.

– Owszem, musiała. Proszę cię, Twyllo – mówi, widząc, że otwieram usta. – Nie dziś. Straciłem jedyne go ojca, jakiego znałem i nie możemy sobie pozwolić na to, by ją rozżłościć. Jesteśmy już tak blisko celu, moja kochana. Będziemy mieli dość czasu, by ukarać ją za wszystkie jej grzechy. – Niepewnie ściska moją dłoń, po czym wychodzi.

Patrzę w ślad za nim, nie mogąc wykrztusić słowa. Nie rozumiem, jak może być tak bezduszny i lekceważyć fakt, że straciłam siostrę? Szczególnie teraz, kiedy sam stracił ojczyma? Próbuję przywołać w pamięci twarz Maryl i uświadamiam sobie, że nie potrafię, że i jej wspomnienie straciłam na zawsze. Jak niewolnica znosiłam wszystko, co mi nakazano, wierząc, że robię to dla dobra siostry, a ona od dwóch lat nie potrzebowała mojego poświęcenia. Nikt mi nie powiedział. Nikt nawet nie pomyślał, że chciałabym wiedzieć o jej śmierci.

I co w tym dziwnego? Czy choćby raz dałam komukolwiek do zrozumienia, że los Maryl mnie interesuje?

Nigdy tak naprawdę nie próbowałam o nią walczyć. Mogłam domagać się prawa do odwiedzin, mogłam prosić o nie Mereka i króla. Nie próbowałam dowiadywać się o jej los, nie próbowałam zdobyć wieści na jej temat ani groźbami, ani przekupstwem. Wykorzystałam swoją reputację na dworze, by zapewnić sobie dodatkowe porcje ciastek, ale nie po to, by dowiedzieć się choćby o zdrowie młodszej siostry. Nigdy nie próbowałam się z nią skontaktować. Użalałam się nad swoim losem i tęskniłam za Maryl, ale nie zrobiłam kompletnie nic, żeby jeszcze raz ją zobaczyć.

Tak bardzo chciałam opuścić dom matki i umknąć od przeznaczonej mi roli zjadaczki grzechów, że pozostawiłam to brzemię mojej siedmioletniej siostrze, a sama zamieszkałam w królewskim zamku. Skazałam ją na życie, którego sama nienawidziłam i powtarzałam sobie w duchu, że to nic złego, bo dzięki mnie moja rodzina regularnie otrzymuje od królowej pieniądze. Oszukiwałam samą siebie, udając, że robię to dla dobra Maryl i opłakiwałam naszą rozłąkę, litując się nad własną niedolą. Nawet dziś przypominałam sobie o niej dopiero w ostatniej chwili.

Poświęciłam własną siostrę w zamian za szansę zostania księżniczką. Byłam chciwa i samolubna, i ukrywałam to za maską pobożnej powinności oraz wyznaczonej mi roli.

O tak, naprawdę jestem córką mojej matki i córką królowej. Nigdy wcześniej tak wyraźnie nie zdawałam sobie z tego sprawy.

Po raz pierwszy uderza mnie myśl, że zasłużyłam na to, by zostać żoną Mereka. Zasługuję na to, by zostać w zamku na zawsze. Teraz rozumiem, jakie jest moje przeznaczenie. Nadeszła pora, bym przestała marzyć o rzeczach, których mieć nie mogę i skupiła się na swojej powinności. Wyjdę za Mereka i zostanę królową. Nie zasługuję na nic innego.

Trumna z ciałem króla płonie na stosie. Merek pije wino, a królowa robi niekończące się notatki w oprawnej w skórę księdze. Wpatruję się w nią i z trudem powstrzymuję chęć uderzenia jej i wykrzyczenia w twarz całej mojej nienawiści. Musiała świetnie się bawić, widząc, jak snuję się po zamku z melancholijną miną i niewinnym spojrzeniem, jak ginę wśród cieni niczym zjawa i chowam się za spódnicami Bóstw, tęskniąc za czymś, co nie istnieje. Wiedziała, że jestem tchórzem i pielęgnowała we mnie tę cechę. Za to nienawidzę jej najbardziej.

Dlatego właśnie wyobrażam sobie wyraz jej twarzy, kiedy Merek będzie zakładał mi na głowę koronę, jej koronę. Moja siostra nie żyje, a Lief odszedł. Zabrała mi wszystko, a teraz ja to samo zrobię jej. Odbiorę jej to, co ceni najbardziej i dowie się, co to znaczy cierpieć.

Kiedy bicie w dzwony oznajmia, że stos pogrzebowy się wypalił, królowa wzrusza ramionami, jakby uwalniała się spod ciężaru płaszcza i nalewa sobie wina. Bez pośpiechu opróżnia puchar, po czym wstaje.

– Muszę wysłać kilka listów – mówi do Mereka. – Będziesz musiał przystawić na nich pieczęć obok mojej. Rozkazałam aresztować wszystkich Tregellan w królestwie.

Z wrażenia prawie tracę równowagę, a Merek podnosi wzrok znad pucharu. Lief... Nie, Lief odszedł zeszłej nocy. Musi być już za granicą królestwa i poza zasięgiem królowej.

– Zamierzam znaleźć mordercę i pomścić króla – ciągnie królowa, nie zauważając mojego przerażenia lub tylko je ignorując. – Obawiam się, Twyllo, że w najbliższej przyszłości będziesz miała wiele pracy.

Dopiero po chwili dociera do mnie, że mówi o obowiązkach Daunen. Merek nie powiedział jej, że wiem, iż porannica jest fikcją. Królowa chce, bym dotknęła zatrutych, niewinnych ludzi.

– Z radością ukarzę osobę, która zabiła króla – mówię zimno. – Sprawi mi to ogromną przyjemność. Królowa kiwa głową, przyglądając mi się dziwnym wzrokiem.

– Przykro mi, że dopiero po śmierci mego męża zrozumiałaś, jak bardzo jesteś tu ceniona – mówi

i nie jestem pewna, czy naprawdę usłyszałam w jej głosie groźbę, czy też tylko popadam w paranoję. – A teraz wybaczcie mi oboje, mam wiele do zrobienia. – Wstaje i rusza do wyjścia, ale zatrzymuje się pod drzwiami. – Twyllo, twój strażnik jest Tregellaninem, prawda? Gdzie jest teraz?

– Musiał wracać do rodzinnego domu – odpowiada za mnie Merek. – Sam zapewnię Twylli bezpieczeństwo. Nie powierzyłbym nikomu opieki nad nią, skoro więzień jest na wolności.

– Odszedł? Dziwne – mówi królowa. – Dziwne, że jedyny Tregellanin w zamku odszedł zaraz po śmierci króla. – Opuszcza komnatę, nie poświęcając mi choćby jednego spojrzenia i muszę zacisnąć zęby, żeby nie zacząć krzyczeć. Po raz kolejny dziękuję w duchu wszelkim istniejącym i nieistniejącym Bóstwom za to, że Lief jest już daleko stąd.

– Jestem ci wdzięczny – mówi Merek, przyglądając mi się z przechyloną głową.

– Za co?

– Za to, że zrobiłaś to, o co prosiłem. Wiem, ile musiało cię to kosztować.

– Sam powiedziałaś, że teraz nie pora...

– Ale po dzisiejszym wieczorze będziemy mieli przed sobą całe życie – uśmiecha się Merek.

Choć nic dzisiaj nie jadłam, nagle robi mi się niedobrze.

– Chyba pójdę trochę odpocząć – mówię. – Wczorajsza noc była długa, a chcę przygotować się na wieczór.

– Rzeczywiście powinnaś odpocząć. Odprowadzę cię do komnaty. Myślę, że najlepiej będzie, jeżeli tam zostaniesz, z dala od mojej matki. Posłałem już po znajomego kapłana z Hagi, mam się z nim spotkać przy Bramie Wodnej dziś wieczorem. Zawiadomię cię o wszystkim. Już niedługo, Twyllo.

Merek bierze mnie za rękę i prowadzi do zachodniej wieży, przyjmując po drodze kondolencje z ust niewielkich dworzan. Sam prawie się nie odzywa i tylko delikatnie ścisną moje palce.

Wchodzi do komnaty w ślad za mną i zagląda pod łóżko oraz za zasłony, jakby spodziewał się, że może się tam czaić królowa z nożem w zębach.

– Zarygluj drzwi – przypomina mi Merek. Zasuwa rygiel, ale kiedy tylko odgłos jego kroków cichnie w oddali, podnoszę go z powrotem. Będę gotowa, jeżeli królowa zechce mnie zaatakować. Po drodze zaglądam jeszcze do komnaty Dorina i Lief. Na skrzyni obok pryczy Dorina nadal stoją jego rzeczy: mały żołnierz z cyny oraz nóż.

Nóż zabieram ze sobą.

Tak, niech królowa po mnie przyjdzie. Mam z nią rachunki do wyrównania. Za Maryl. I za mnie.

Wchodzę do swojej komnaty i na moich ustach zaciska się czyjaś dłoń. Brawura natychmiast mnie opuszcza, a napastnik wciąga mnie do środka i zatraskuje drzwi. Na oślep wymachuję nożem, krzycząc głucho w jego dławiącą dłoń. Potem puszcza mnie, a kiedy się odwracam, widzę przed sobą mojego strażnika. Przygląda mi się rozpalonym wzrokiem, zagryzając wargę. Upuszczam nóż na ziemię i wszelkie szlachetne myśli o tym, by dumnie wyjść na spotkanie przeznaczenia natychmiast mnie opuszczają.

Patrzmy na siebie, ostrożnie próbując odczytać swe intencje.

A potem wpadamy na siebie, nie wiedząc i nie dbając o to, kto wykonał pierwszy ruch, świadomi jedynie palącego nas pożądania i tego, że nasze ciała pasują do siebie tak naturalnie.

Gdzieś daleko dusza króla odchodzi tam, gdzie trafiają wszystkie dusze. Do Wiecznego Królestwa albo całkiem donikąd.



Leżymy obok siebie na podłodze mojej komnaty, skuleni na czerwonym dywanie obok łóżka. Jego palce gładzą piegi na moich ramionach, jakby sporządzał mapę konstelacji gwiazd, łącząc znamiona w kształty i rysunki. Widzę, jak bardzo skupia się na tym zajęciu, jak uśmiech wykrzywia jego policzek, kiedy udaje mu się narysować przyjemny dla oka wzór i jak marszczy brwi, nie znajdując sposobu połączenia wzorów w rysunki. Jak dotąd żadne z nas się nie odezwało. Próbuję zmusić się, by powiedzieć mu, że musi uciekać, bo inaczej królowa znajdzie go i wyśle do piekła pod zamkiem, gdzie strażnicy potną go nożami. Ale jeżeli to powiem, będzie musiał usłuchać, a ja nie zniosę jego ponownego odejścia.

Lief patrzy mi w oczy i całuje, a potem siada.

– Musimy postanowić, co robić dalej – mówi. – Nie mogę cię zostawić, ale jeżeli zostanę, nie będę umiał trzymać się z daleka. A wówczas ksiązę zostanie rogaczem.

– Musisz odejść – udaje mi się w końcu powiedzieć. – Królowa mówi wszystkim, że to Tregellanin otruł króla. Jeżeli tu zostaniesz, aresztują cię i będą przesłuchiwać.

– W takim razie odejdz ze mną. Weź swój los we własne ręce i ucieknijmy razem. Myślałem, że tego właśnie chcesz? – porusza ustami, próbując znaleźć właściwe słowa. – Nie mogę tu zostać, i to nie tylko ze względu na szaleństwa królowej. Nie mógłbym patrzeć, jak wychodzisz za innego mężczyznę. Owszem, ksiązę będzie się czuł zraniony i tak, wyśle za nami pościg – słowa szybko padają z jego ust. – Ale chyba warto zaryzykować, skoro ucieczka daje nam szansę, by być razem? Wierzę w nas, wierzę, że jesteśmy sobie przeznaczeni. Wolałbym umrzeć niż żyć bez ciebie. Ale jeżeli ty czujesz inaczej, jeżeli... – chcę mu przerwać, ale delikatnym gestem dotyka palcem moich ust. – Jeżeli czujesz inaczej, zrozumieć i odejdę. Nigdy więcej nie będę cię niepokoił. Ale przemyśl to, proszę. Czy naprawdę możesz zostać tutaj, skoro odchodząc zabiorę z sobą twoje serce?

Próbuję uniknąć jego spojrzenia, ale Lief nie pozwala mi na to i ujmuję mnie za podbródek, żebym musiała patrzeć mu w oczy.

– Pora, żebyś podjęła decyzję – mówi cicho. – Wystarczająco długo robiłaś to, czego chce ksiązę, ja albo królowa. Musisz wybrać, czego sama chcesz. Albo on, albo ja. Nie będę wpływał na twoją decyzję ani zmuszał cię do zmiany zdania, nie będę też starał się sprawić, byś czuła się winna. Obiecuję. Wybór należy do ciebie... pod warunkiem, że wybierzesz mnie – jego czuły, niepewny uśmiech prawie łamie mi serce.

– Wiedziałam.

Ostry głos królowej odrywa nas od siebie. Stoi w drzwiach do komnaty, pobladła jak płótno poza dwiema plamami czerwieni na policzkach.

Lief zakrywa mnie własnym ciałem, by oszczędzić mi wstydu przed uzbrojonymi strażnikami z eskorty królowej. Leżę naga i przerażona i nie mogę się ruszyć, nie mogę zrobić zupełnie nic. Nie, to niemożliwe...

Królowa wpatruje się w nas wzrokiem pełnym jednocześnie furii i tryumfu.

– Wstańcie i okryjcie się.

– Pozwól nam się przynajmniej ubrać, przez wzgląd na przyzwoitość – mówi Lief, wyciągając rękę w stronę królowej, jakby chciał osłonić nas przed jej gniewem.

– Jakie masz prawo, by prosić mnie o jakiegokolwiek względy? – pyta królowa. – Otrułeś mojego męża i uwiodłeś narzeczoną syna, a teraz śmiesz prosić mnie o dobrą wolę?

– Nie zabiłem... – odzywa się Lief, ale królowa podnosi głos, by go zagłuszyć.

– Wszyscy widzieliśmy waszą hańbę i żadne ubrania nie skryją hańby, jakiej się tu dopuściliście. Oboje jesteście aresztowani za zdradę, za spisek przeciwko koronie Lormere. Albo ubierzecie się szybko, albo wywloką was stąd nago.

Lief otwiera usta, by zaprotestować, ale w tej właśnie chwili strażnicy ruszają w naszą stronę. Na myśl o tym, że królowa każe wlec mnie nago przez cały zamek, z moich ust wyrывa się jęk. Lief zauważa, że ze strachu nie mogę się ruszyć i pomaga mi wstać, nadal starając się jak najlepiej osłaniać mnie własnym ciałem. Ręce tak mi się trzęsą, że musi założyć na mnie suknię i ubrać mnie jak garderobiana. Patrząc ponad jego ramieniem, zauważam, że strażnicy odwrócili wzrok, ale królowa nie przestaje nam się przyglądać i z uśmiechem na ustach rozkoszuje się naszym poniżeniem.

– Kocham cię – szepcze Lief, zawiązując troczki mojej sukni.

Lief nie odwraca się, dumnie patrząc królowej w twarz. Ubiera się powoli, z rozmysłem, w dziwnej parodii uwodzenia. Kiedy sięga po pas z mieczem, na znak dany przez królową strażnicy rzucają się na niego. Nie mam czasu nawet krzyknąć. Jeden z nich uderza Lief'a w kark głowicą miecza i z przerażeniem widzę, jak upada na podłogę. Dwaj kolejni strażnicy natychmiast zaczynają kopać go w kręgosłup i żebra.

– Nie, przestańcie! – udaje mi się wykrztusić i rzucam się, by mu pomóc, ale królowa chwyta mnie za rękę i zmusza, bym patrzyła, jak strażnicy biją Lief'a. Każdy jego jęk wywołuje u mnie odruchowy okrzyk i skręcam się w uścisku królowej, jakby to mnie kopano, ale królowa trzyma mnie z zaskakującą siłą. Jeden ze strażników uśmiecha się do mnie wyzywająco. W odpowiedzi obnażam zęby, próbując wyrwać się z uścisku.

– Dostyc – mówi znudzonym tonem królowa, kiedy Lief przestaje już jęczeć i traci przytomność. – Zabrać mordercę. – Strażnicy wynoszą Lief'a z komnaty.

– Zaczekajcie na zewnątrz – rozkazuje pozostałym strażnikom, którzy kłaniają się i posłusznie wychodzą, zamykając drzwi do komnaty. Kiedy zostajemy same, królowa popycha mnie mocno. Potykam się i padam na ziemię, wprost w kałużę krwi. Wpatruję się w nią z całą nienawiścią, na jaką mnie stać, dysząc ciężko, a ona przygląda mi się chłodno.

– Jak można być tak głupią – odzywa się w końcu. – Jak można być tak głupią, by mogąc poślubić księcia, oddać się chłopskiemu synowi. Ale tak jest lepiej. Byłabyś fatalną królową. Nie potrafisz dokonywać właściwych wyborów.

– Nigdy nie miałam szansy dokonać żadnego wyboru – wypluwam z siebie.

– Jesteś głupia, Twyllo. Od początku miałaś wybór – cedzi królowa. – Przybyłaś tu z własnej woli, opuszczając dom i rodzinę. Z własnej woli zaprzyjaźniłaś się z synem konsyliarza i zagroziłaś tym samym koronie. I z własnej woli oddałaś się strażnikowi, który zabił mojego męża. Pomagałaś mu? Nauczył cię swoich tregellańskich sztuczek? Czy to dlatego mogłaś go dotknąć, nie zabijając na miejscu?

– Niczego mnie nie nauczył! Wiem, co zrobiłaś! Wiem o Daunen i o porannicy... – mój krzyk przerywa policzek, tak silny, że dzwoni mi w uszach.

– Próbujesz pogłębić swoją zdradę? – syczy królowa, zerkając w stronę drzwi i uświadamiam sobie, że to gra i – ze względu na czekających na zewnątrz komnaty strażników – musi starać się zachować pozory.

– To ty... – zaczynam, ale przerywa mi uniesioną groźnie dłonią.

– Urządę publiczny proces – ciągnie. – Na oczach całego dworu rozpatrzę wszystkie zarzuty, twoje czyny i słowa. Zawiodłaś zaufanie, jakie pokładało w tobie królestwo. Za zdradę czeka cię śmierć, a twoje grzechy nie zostaną zjedzone. To i tak zbyt łagodna kara za to, że będąc narzeczoną mojego syna,

rozłożyłaś nogi przed innym mężczyzną. Mój syn cię kochał.

Na jej słowa gniew nagle ze mnie ulatuje i muszę odwrócić wzrok, nie mogąc znieść płonącego w jej oczach oskarżenia.

– Przez jakiś czas miałam nadzieję, że okażesz się godna moich synów – mówi królowa, paląc mnie spojrzeniem. – Bo mam dwóch synów, jednego rodzzonego i jednego odziedziczonego. Lormere jest moim synem tak samo jak Merek. Pielęgnowałam królestwo z równą dbałością, co własnego syna, a ty zawiodłaś i Lormere, i Mereka. Wszystko to, co się stało, jest twoją winą, i pewnego dnia również Merek to zrozumie. Straże! – woła, ale to Merek wchodzi do komnaty i przejmuje mnie lodowata groza.

– Co tu się dzieje? – pyta gniewnie, przebiegając spojrzeniem od matki do mnie i marszcząc brwi.

– Ją zapytaj – królowa popycha mnie naprzód i upadam u stóp księcia.

– Twyllo? – odzywa się cicho Merek.

– Powiedz mu! – krzyczy królowa. – Wyznaj swoją winę!

Nie potrafię wyznać stojącemu nade mną mężczyźnie, co mu zrobiłam i co planowałam zrobić.

– Wystarczy, matko. Żądam wyjaśnień.

– Znalazłam ją tutaj ze strażnikiem – mówi królowo, oskarżycielskim gestem wskazując mnie palcem. – I to w dniu, kiedy pożegnaliśmy twojego ojczyma. Oboje byli nadzy. Zdradziła cię.

Na moich oczach widoczny na twarzy Mereka gniew ustępuje miejsca wyrazowi cierpienia.

– To nieprawda. Twyllo, powiedz, że to nieprawda. Nie zrobiłabyś mi tego po tym, o czym rozmawialiśmy, po moich zwierzeniach...

– Przepraszam – nic więcej nie jestem w stanie powiedzieć. Nic więcej mówić nie muszę.

Merek skrywa twarz w dłoniach, z mojej winy całkiem pokonany.

– Wiedziałem – mówi. – Wiedziałem, że ubzdurał sobie, że jest w tobie zakochany. Tylko ślepiec by tego nie dostrzegł. Ale ty... myślałem, że mnie rozumiesz. Na litość Bóstw, jakież ze mnie głupiec! Myślałem, że jesteś po mojej stronie!

– Merek, proszę... – moją prośbę przerywa gest królowej, która unosi rękę do kolejnego ciosu. Policzek niesie się echem w komnacie. Dotykam twarzy, czując rozlewające się po skórze palące ciepło.

– Nie waż się zwracać do mojego syna po imieniu, ty mała dziwko – syczy mi w twarz królowa. – Ośmielasz się pokładać z kochankiem, a potem prosić księcia o pomoc?

Merek uspokajającym gestem kładzie dłoń na jej ramieniu. Patrzy na mnie zimnym wzrokiem, a jego twarz jest równie nieodgadniona, jak w dniu jego powrotu do zamku.

– Dym stosu pogrzebowego mego ojczyma jeszcze się nie rozwiął. Dzisiejszego ranka wraz z nami uczestniczyłaś w obrzędzie Zjadania jego grzechów, a po południu znajduję cię ze strażnikiem w wieży pogrążonego w żałobie zamku – mówi cicho. – Jesteś oskarżona o zdradę korony Lormere – bezwiednie powtarza słowa matki. – O łasce nie może być mowy. Oto cena, którą przyjdzie ci zapłacić za to, co mi zrobiłaś.

Merek odwraca się na pięcie i wychodzi z komnaty, ale zauważam, że jego ramiona drżą od wstrzymywanego szlochu.

– Wiesz, co mnie w tym wszystkim najbardziej zadziwia, Twyllo? – pyta szeptem królowa. Jej ton jest poufny, niemal matczynej. – To, że sama ściągnęłaś na siebie nieszczęście. Straciłaś mojego syna i dałaś mi to, czego chciałam, a ja prawie nie musiałam kiwnąć palcem. Dzięki tobie wszystko potoczyło się gładko. Zaprawdę, warto to jakoś uczcić, nie sądzisz?

Przyglądam się jej w milczeniu.

– Już wiem – mówi. – Nie zostaniesz powieszona. Zapolujemy na ciebie. Osobiście zaprowadzę cię do lasu.

– Nie...

– O tak. Zbiorę cały dwór – królowa kiwa głową. – Myślę, że najpierw zmusimy cię, żebyś się przyglądała, jak psy jedzą żywcem twojego kochanka. A może poszczujemy was oboje i wówczas

zobaczymy, jak bardzo cię kocha? Myślisz, że zasłoni cię własnym ciałem zanim wyrwą ci serce? – Zaczynam dygotać, a królowa śmieje się w głos. – Myślę, że powinniśmy przyjmować zakłady. To dopiero będzie zabawa. Zobaczymy, jak daleko uda wam się uciec, zanim psy was dopadną? Zanim upadniecie na kolana i będziecie błagać? O, mam pomysł... Wiesz, co miał zwyczaj robić mój ojciec? Podcinał ścięgna ściganym skazańcom, a potem zostawiał ich w lesie, dając godzinę czasu na ucieczkę. Rohese zniósł ten zwyczaj, bo uważał, że psy mają niesprawiedliwą przewagę. Ale myślę, że nadszedł czas, by go przywrócić.

Nachyla się nade mną i jej medalion zawisa nad moją twarzą. Wizerunek muzykanta i trzech gwiazd przesłania mi całe pole widzenia.

– Nie mogę się doczekać, by zobaczyć, jak oboje pełzacie – szepcze mi na ucho, po czym wychodzi z komnaty.

– Zabrać ją – rzuca w stronę strażników.

Próbuję krzyczeć, ale mój głos jest zduszony i głuchy. Grube rękawice strażników obcierają mi skórę. Nogi odmawiają mi posłuszeństwa i muszą mnie na wpół ciągnąć, na wpół nieść.

Korytarze są pełne dworzan. Damy, lordowie i paziowie stają się świadkami mojego ostatecznego upadku. Nikt się nie odzywa, nie drwi ze mnie i nie lży, nikt nie pluje. Wszyscy przyglądają się tylko w milczeniu, kiedy strażnicy prowadzą mnie przez zamek i koszary aż do lochów.

Wtrącają mnie do ciasnej, wilgotnej celi. Upadam na przegniłe sitowie. Kiedy z metalicznym hukiem zatraskują zakratowane drzwi i przekręcają klucz w zamku, otwieram usta do krzyku, ale oddech opuszcza moje ciało bezgłośnie. Z rozpaczyny drapię gnijące sitowie i uderzam pięściami w klepisko, nie czując nic poza strachem i pustką po ogromnej stracie.

W lochach panuje półmrok, a jedynym źródłem światła jest tląca się w korytarzu pochodnia. Ciszę przerywają jedynie krople wody kapiące z wysokiego sklepienia. Nikt nie krzyczy i nawet ja wpycham sobie do ust pięść, by zdusić wrzask.

Przez kraty nie widzę strażników, więc zaczynam cicho nawoływać.

– Lief? Lief, jesteś tutaj?

Zanim zauważam ruch, dociera do mnie grobowy zaduch i instynktownie cofam się pod ścianę celi. Pomiędzy kratami pojawia się sylwetka zwierzęcia o długich, umięśnionych nogach i płaskiej głowie, w której lśni zbyt wiele zębów. Złana potem przyciskam się do zimnych kamieni ściany, a bestia rzuca się na kraty i tym razem nie udaje mi się powstrzymać ochryplego wrzasku. Celę wypełnia metaliczny odgłos uderzenia o kraty i ogar skomli. Dopiero wtedy zauważam łańcuch na jego szyi. Przez chwilę wpatruje się we mnie tymi bezdusznymi, pustymi ślepiami, po czym znika w mroku. Wie, że może pozwolić sobie na cierpliwość. Ofiara mu nie ucieknie. Przez pulsujący odgłos krwi w uszach słyszę, jak ogar kładzie się w jakimś wilgotnym kącie i znów zagryzam zęby na pięści, by nie zacząć krzyczeć.

Wpatruję się w ciemność, starając się dostrzec w niej jakiś ruch. Najciszej jak potrafię wolną ręką przeczesuję z odrazą sitowie na klepisku, a kiedy twarda drzazga wbija mi się pod paznokieć, tylko głuchy warkot psa powstrzymuje mnie przed jękiem. Po ciągnącej się w nieskończoność chwili wydaję drzazgę i wracam do rozgarniania sitowia w poszukiwaniu czegoś, co mogło by posłużyć za broń. Zmuszam się do opanowania narastającej paniki. Bestia jest za kratami i nie może się do mnie dostać, choć ze strachem uświadamiam sobie, że ktoś zawsze może ją wpuścić...

Nie znajduję niczego w sitowiu i pokonana opieram się o ścianę, wracając myślami do Lief. Z drżeniem serca myślę o tym, że być może leży nieprzytomny lub umierający od razów, które zadali mu strażnicy. Jeżeli prawdą jest, co powiedział mi kiedyś jeden ze strażników o tym, co robi się ze skazańcami wolałabym, żeby Lief umarł. Nie mogłabym słuchać jego zduszonych kneblem krzyków. Nie chcę, by krzyk był jedynym, co z niego zostanie. Lepiej by było, gdyby umarł już teraz.

Uświadamiam sobie, że z mojej winy być może już nie żyje.

Wolność wyboru... przez wiele lat pragnęłam jej i idealizowałam jako nieosiągalne marzenie, a teraz z bólem muszę przyznać rację królowej. Zawsze miałam wybór, ale nie odpowiadały mi dostępne możliwości, dlatego wolałam udawać, że brak mi wolności. Raz za razem sama ściągałam na siebie nieszczęście, a na koniec pociągnęłam za sobą Liefę. W myślach odtwarzam słowa królowej, nie mogąc pozbyć się obrazu jej medalionu z wizerunkiem muzykanta.

– Nie mogę się doczekać, by zobaczyć, jak oboje pełzacie...

W ciemności jestem sama z moimi myślami i pomimo wyczuwalnego odoru psów zaczyna napełniać mnie dziwny spokój. Łzy wysychają, a serce zwalnia do zwykłego, równego tempa. Jutro o tej porze przestanę istnieć, a wraz ze mną odejdzie wszystko, czego dokonałam i czego mogłam dokonać. Czy po śmierci spotkamy się z Liefem jako zjawy w Zachodnim Lesie, by włączyć się wśród drzew? Czy zostanie w nas dość świadomości, by się wzajemnie rozpoznać? Zastanawiam się, czy moja matka będzie smutna, gdy dowie się o mojej śmierci i czy umieranie boli. Przypominam sobie opowieść Liefę o Śpiącym Księżciu. Psy królowej wyrwą mi serce, zupełnie jak księżę z bajki... Rozumiem, dlaczego matka Liefę nigdy nie opowiedziała mu całej historii Śpiącego Księcia. Sama nie wiem, dlaczego mogę przestać o niej myśleć. Przypominam sobie Nosiciela sprowadzającego swemu ojcu dziewczęta, które umierają, by on mógł się zbudzić. Dziewczęta takie jak ja, zabrane z domu do zrujnowanego zamku, by nasycić głód potwora. I mnie zabrano z domu, bym stała się marionetką bestii. Nie wierzę już w Bóstwa, ale modłę się do nich i tak.

Kulę się na brudnym klepisku i zapadam w sen, w którym Śpiący Książęta, psy i Bóstwa śmieją się ze mnie na zmianę. Widzę białowłosego mężczyznę w koronie, bijącego pokłony Bogini odzianej w czerń, i Boga grającego na fujarce, kąsanego przez psy pod niebem naznaczonym trzema gwiazdami. Budzę się nagle i natychmiast siadam, wpatrzona w ścianę celi.

Po pierwszym polowaniu urządzonym dla uczczenia jego powrotu Merek zapytał matkę o medalion zrobiony z monety, którą przywiózł jej z Tallith. Powiedział, że był na niej muzykant, a królowa przyznała, że kazała spiłować monetę, by zrobić z niej prawdziwie lormerańską ozdobę. Ale ja widziałam jej medalion, na którym był muzykant z fujarką i trzy spadające gwiazdy. Lief wspominał o słonecznych siostrach, ale nie spytałam go, czym one były. A może chodziło o spadające gwiazdy?

Krew w moich żyłach zamienia się w lód.

Nie, to nie były spadające gwiazdy. Komety. W noc śmierci Dorina widziałam na nocnym niebie trzy komety. Trzy komety, trzy gwiazdy na medalionie.

Następnego dnia i ja, i Dimia słyszałyśmy na dziedzińcu muzykę. Lief nie słyszał nic. Ktoś grał na flecie.

Wtedy po raz ostatni widzieliśmy Dimię.

Czyżby odeszła z powodu muzyki? Odeszła w ślad za Nosicielem?

Lief powiedział, że wedle jednej z wersji legendy Śpiący Książę mógł obudzić się na zawsze, gdyby Nosiciel sprowadził mu dziewczynę, gdy na niebie pojawią się słoneczne siostry. A Nosiciela mógł przywołać ktoś, kto miałby jego totem i wiedział, czym on jest. Królowa ma medalion z wizerunkiem flecisty, którego wcześniej na nim nie było. Flecisty pod niebem pełnym komet.

Medalion jest totemem.

Królowa przyzwała Nosiciela.



Niespokojnie chodzę po celi, a tren mojej sukni upiornie szeleści po wyschniętym sitowiu. Ogar próbuje zerwać się z łańcucha, ale jestem zbyt przejęta, by się wystraszyć.

Czuję w sercu dodającą otuchy pewność, choć skóra cierpię mi na całym ciele. Królowa przywołała Nosiciela, który przybył na jej wezwanie. To dlatego kazała opróżnić zamek. Była pewna, że nadal siedzę zamknięta w wieży. Wiedziała, kiedy na niebie pojawią się komety. Służą jej ludzie zajmujący się śledzeniem ruchów ciał niebieskich oraz ścieżek, jakimi wędrują Naeht i Daeg. Urządziła polowanie, by opróżnić zamek z mężczyzn i zabrała z sobą damy dworu, pozostawiając służące na łasce Nosiciela.

Zakrywam usta, by nie jęknąć. Biedna, bezbronna i nieszkodliwa Dimia nie żyje, a jeżeli legenda mówiąca, że Śpiący Książę może obudzić się na dobre, kiedy na niebie pojawią się słoneczne siostry rzeczywiście jest prawdziwa, Śpiący Książę powrócił. Ale do czego potrzebny jest królowej? Chce przecież poślubić Mereka, nie dziedzica tronu Tallith.

Podchodzę do krat, ignorując rzucającego się na łańcuchu psa.

– Merek! – krzyczę, waląc pięściami w żelazne kraty. – Merek! Sprowadźcie księcia... sprowadźcie króla! Proszę! Jest tam kto? Merek!

Wołam i wołam, aż całkiem zdzieram gardło, a dłonie pulsują bólem. Nikt nie odpowiada na moje wołania i nawet nie wiem, czy w podziemiach jest ktokolwiek oprócz mnie. Pies dawno już porzucił próby sforsowania krat i zamiast tego wlepia we mnie tylko wzrok mówiący, że jest już za późno. Zrozpaczona opadam na klepisko i zwijam się w drżący ze strachu kłębek.

Musiałam zasnąć, bo kiedy otwieram oczy za kratami stoi Merek. Pies siedzi u jego boku, a Merek trzyma go za łańcuch. Z jakiegoś powodu fakt, że wcześniej go nie usłyszałam zmraza mi krew w żyłach bardziej niż jego puste spojrzenie. Przez chwilę oboje milczymy, a mnie zasycha w ustach na myśl o tym, że Merek zechce otworzyć kratę i wpuścić bestię do mojej celi. Znika na chwilę i już tracę nadzieję, gdy zjawia się ponownie, tym razem bez psa.

– Wzywałaś mnie – mówi bez wstępu.

Wstaję i próbuję rozprostować ściernięte od zimnego klepiska kończyny.

– Merek... Wasza Wysokość... królowa przyzywała Nosiciela – zaskakuje mnie to, jak spokojnie brzmi mój głos.

Merek unosi brew.

– Słucham?

– Królowa przywołała Nosiciela z Tallith, syna Śpiącego Księcia. Przywołała go tutaj, a on zabrał jedną ze służących, Dimię, tę samą, którą przysłałeś po mnie w dniu śmierci Dorina. Zabrał ją Nosiciel, a to oznacza, że Śpiący Książę się przebudził.

– Nie przypuszczałem, że będziesz próbowała się ratować udając obłęd – mówi ze smutkiem Merek.

– Niczego nie udaję! Musisz mnie wysłuchać! Medalion, który dałeś królowej, ta moneta z Tallith. Podczas polowania była pusta, pamiętasz? Zapytałeś, czy kazała zeszlifować flecistę i gwiazdy, co sama

potwierdziła. Ale medalion nie jest już pusty, wizerunek flecisty znów się na nim pojawił. Zobaczyłam go, kiedy mnie znalazła.

Merek odwraca wzrok z wyrazem odrazy na twarzy.

– Twyllo, co...

– Wezwała flecistę! Noc przed ostatnim polowaniem na niebie pojawiły się komety, słoneczne siostry. Legenda mówi, że jeżeli przyzwać flecistę pod niebem z kometami, wówczas serce, które zje Śpiący Książę przebudzi go na stałe. Wezwała go, opróżniła cały zamek, a Nosiciel zabrał Dimię. Królowa zbudziła Śpiącego Księcia.

– Po to mnie wezwałaś? Żeby mi powiedzieć, że bajka dla dzieci jest prawdą? Na litość Bóstw, Twyllo, czy nie dość już wyrządziłaś szkód? Czy za mało jeszcze wycierpiałem? Straciłem ojczyma, a moja narzeczona... Ja... nie przyszedłem tu po to, żeby tego słuchać.

– W takim razie po co? – pytam zapalczywie.

– Myślałem, że... że jakoś się wytłumaczysz. Ze pomożesz mi zrozumieć.

Niespodziewanie czuję, jak do oczu napływają mi łzy. Zauważam, że Merek wygląda na dużo starszego i bardzo zmęczonego. Zaczynam rozumieć, że przyszedł do mnie, by usłyszeć wyjaśnienia, w które mógłby uwierzyć. Nawet teraz chce mi przebaczyć.

– Me... Wasza Wysokość... Przepraszam. Chciałam wielu rzeczy, ale nie twojej krzywdy – mówię cicho.

Merek przyjmuje moje przeprosiny skinieniem głowy.

– Chcę wiedzieć, od jak dawna to trwa.

– Od dnia przed ostatnią Próba. Od czasu polowania.

– Kochasz go?

– Tak – szepczę.

Merek zaciska wargi i mruga oczyma, jakbym go uderzyła. Powoli siada na ziemi przed moją celą, jak mały chłopiec krzyżując nogi. Przez chwilę czuję się tak, jakbym to ja miała mu przebaczyć. Czuję wokół ciężar mego dawnego życia, życia córki zjadaczki grzechów, przynoszącej pokój i odkupienie.

– Ożeniłbym się z tobą mimo wszystko – mówi, nie patrząc mi w oczy. – Gdybyśmy powiedzieli, że cię zmusił... – urywa.

Siadam na sitowiu i sięgam między kratami, by wziąć go za rękę. Znowu mam wrażenie, że to on potrzebuje przebaczenia, a nie ja. Nie wyrywa się i nie odchodzi.

– Nie zmusił mnie, Merek – mówię najłagodniej jak tylko potrafię.

– Dwór nie musi się o tym dowiedzieć – odpowiada pospiesznie. – Podczas procesu możesz zeznać, że cię zaatakował. Jeżeli to powiesz, będę mógł cię ułaskawić. Zapomnimy o wszystkim i będziemy mogli się pobrać.

– A jeżeli odmówię?

– Będziesz sądzona za zdradę i zostaniesz skazana na śmierć.

– Mam wyjść za ciebie albo umrzeć? Jak mam na to odpowiedzieć?

– Powiedz, że za mnie wyjdiesz – na jego ustach widać cień uśmiechu.

– Merek, nie zasługujesz na takie życie – mówię, zapominając się na chwilę. – Nie zasługujesz na żonę, która cię skrzywdziła, a potem wyszła za ciebie po to, by ocalić własną skórę.

– Wiem. Ale tej właśnie żony chcę. Zawsze chciałem tylko ciebie – jego smutek sprawia, że zanim jeszcze kończy zdanie słowo „tak” samo ciśnię mi się na usta.

Ale nie mogę się zgodzić, a Merek widzi to w moim spojrzeniu.

– Będziesz sądzona za cudzołóstwo i złamanie przysięgi narzeczeństwa – mówi, spuszcżając wzrok. – Uznano to za zdradę, ponieważ jestem księciem. Twój strażnik będzie odpowiadał za zdradę większą, jaką jest królobójstwo.

– Królobójstwo? Przecież wiesz, że nie on zabił króla! Sam mówiłeś, że to ona...

– Myślisz, że mnie to obchodzi? – krzyczy mi w twarz Merek. – Naprawdę myślisz, że obchodzi mnie, za co zginie?

– Ale królowej wszystko ujdzie płazem, a kiedy już zabije Liefę i mnie, wyjdzie za ciebie. A traktat z Tregellanem...

Dopiero teraz dociera do mnie cały ogrom planu królowej.

– Merek, musisz mnie wysłuchać. Królowa przyzwała Nosiciela i otruła króla po to, aby dopaść Śpiącego Księcia, ostatniego z królewskiego rodu Tallith. Ona chce mieć własnego alchemika. Chce go tu ściągnąć i zmusić, by wyrabiał dla niej złoto. W ten sposób kiedy już straci Liefę i złamie traktat z Tregellanem, będzie mogła sfinansować wojnę. Słyszałaś, co powiedziała: zabójstwo króla przez Tregellanina stanowi akt wojny. Sam powiedziałeś, że Lormere na wojnę nie stać, ale gdyby królowa miała pod kontrolą alchemika, skarbiec byłby niewyczerpany. Merek, ona to wszystko zaplanowała! Zbudziła go po to, by został jej nadwornym alchemikiem. Zapytaj brata Dimii, ma na imię Taul. Taul powie ci, że nie wie, gdzie jest jego siostra. Myślisz, że odeszłaby z zamku, nie mówiąc bratu ani słowa? – Wiem, że wszystko, co mówię jest prawdą, a poczucie pewności napełnia mnie aż do kości.

– Wystarczy, Twylo – Merek wstaje i odwraca się do wyjścia.

– Merek, proszę! Wysłuchaj mnie!

Spogląda na mnie raz jeszcze, a jego twarz ściąga gniew.

– Dość już usłyszałem. Twój proces rozpocznie się jutro o świcie. Pogódź się z Bóstwami lub wszystkim tym, co dla ciebie ważne.

Kłania się krótko i odchodzi, pozostawiając mnie na kolanach na klepisku celi. Czeka, aż się oddali i dopiero wtedy pozwalam łzom płynąć.

Czas płynie, ale nie widząc słońca nie zdaję sobie sprawy z nadejścia świtu aż do chwili, gdy do mojej celi dociera odgłos zbliżających się kroków. Otrząsam się z odrętwienia i wstaję, przytrzymując się krat. Głęboko wciągam do płuc powietrze, a dwaj strażnicy odmierzoną krokiem stają przed moją celą. Jeden z nich niesie pochodnię, a drugi klucze, którymi otwiera zakratowane drzwi i gestem nakazuje mi wyjść.

Opuszczam celę wolnym, ale pewnym krokiem. Całą noc myślałam i wiem już, co muszę zrobić. Dwór musi się dowiedzieć o planach królowej nawet, jeżeli nie ocali mi to życia. Jeżeli tylko ktoś mnie wysłucha, być może przy odrobinie szczęścia da się ją powstrzymać. Strażnicy związują mi ręce za plecami, i zanim mam szansę zaprotestować, kneblują mi usta brudną szmatą. Szamoczę się i próbuję krzyknąć, ale knebel spełnia swe zadanie, więc udaje mi się wydać z siebie jedynie zduszony, nieartykułowany jęk. Brutalnie prowadzą mnie za łokcie, ale trzymają się z dala od odsłoniętej skóry i zastanawiam się, czy królowa postanowiła do końca utrzymywać pozory.

Wyprowadzają mnie z lochów i kierujemy się w stronę wielkiej sali. Na zewnątrz wstaje błądy świt, a moje serce bije tak silnie, jakby miało zaraz wyskoczyć z piersi. Wszystko stracone.

Drzwi wielkiej sali zostają otwarte i strażnicy wciągają mnie do środka. Ławki ustawiono w rzędach, podobnie jak podczas procesu lady Lorelle. Twarze wszystkich zwrócone są ku podwyższeniu, na którym zasiada królowa wraz z Merekiem. Królowa bardzo stara się wyglądać poważnie i surowo, ale jej prawdziwy nastrój zdradzają pełgające w oczach iskry. Merek wygląda jak człowiek, któremu nie pozostało już nic do stracenia. Jego ceremonialna szarfa zwisa z ramienia i nieporządnie układa się na piersi, a jego wynędzniałą od smutku twarz otacza dziki gąszcz włosów. Zastanawiam się, co robi, kiedy Lief i ja zostaniemy straceni, a królowa do końca wcieli w życie swój plan.

Kiedy strażnicy zatrzymują mnie przed podwyższeniem, słyszę za sobą odgłosy szamotaniny. Kiedy się odwracam, zauważam wleczoną brutalnie Liefę. On również jest zakneblowany, a skóra wokół jego

oczu jest poczerwiała i spuchnięta. Wydaj się, że po pobiciu przez ludzi królowej ledwo jest w stanie utrzymać się na nogach i instynktownie próbuję się do niego zbliżyć. Strażnik zatrzymuje mnie jednak w miejscu i mogę się jedynie przyglądać, jak Lief z wysiłkiem próbuje się wyprostować.

– Nastął smutny dzień dla Lormere – mówi królowa, choć wyraz jej twarzy zdradza raczej radość. – Smutek nie jest w moim życiu niczym nowym. Straciłam już córkę oraz dwóch mężów, którzy odeszli na wieczny spoczynek przede mną. Ale żadne z tych wydarzeń nie zasmuciło mnie tak bardzo, jak chwila, gdy znalazłam dziewczynę, którą nazywaliśmy Daunen Wcieloną w łóżku ze strażnikiem.

Lief przygląda mi się wzrokiem pełnym cierpienia, a w sali wybucha wrzawa.

– Jak to możliwe? – woła ktoś.

– Na litość Bóstw!

– Daunen – zawodzi ktoś inny, a tłum powtarza za nim. Daunen, Daunen, Daunen... Wrzawa jest nie do wytrzymania.

Królowa przez chwilę przygląda mi się z tryumfem w oczach, po czym podnosi głos, by przekrzyczeć tłum.

– Wiem, jak bolesnym jest pozwolić omamić się oszustce. Wiem, jak trudno jest przyjąć do wiadomości tak diaboliczną zdradę, ale musimy wysłuchać całej prawdy. Znalazłam bowiem zdrajczynię w jej komnacie, nago, w ramionach jej strażnika, i to zaledwie kilka godzin po pogrzebie króla. Jest winna cudzołóstwa, dopuściła się zdrady księcia oraz was wszystkich, całego królestwa. Ale to jeszcze nie wszystko, bo to jej kochanek własnoręcznie zamordował króla!

Po sali niczym grom przetacza się niski pomruk ściszonych rozmów dworzan. Potrząsam głową, próbując poluzować knebel, by móc powiedzieć wszystkim prawdę.

– Wszyscy widzieliście, jak król upadł podczas uczy. Został otruty i zmarł w bólach kilka godzin później. Otruł go ten człowiek, ten Tregellanin – mówi, wskazując na Lief. – To tregellański szpieg i gdybym nie przyłapała go w łóżku z Twyllą, bez wątpienia otruliby również i mnie, i księcia. Zapewne to dzięki swej niecnej wiedzy udało mu się wykorzystać dziewczynę, samemu nie padając przy tym ofiarą trucizny. Tregellanie mają swoje sposoby. Przyznaję z bólem, że nie jestem pewna, czy i ona nie była zamieszana w jego morderczy spisek, że nie zachęcała go do zbrodni i czy nie zapłaciła mu własnym ciałem i za truciznę, i za odtrutkę.

Lief wpatruje się w królową z nieskrywaną nienawiścią i wiem, że dodatkowo pogarsza swoją sytuację, nie próbując nawet się szamotać. Dlatego sama krzyczę w knebel i próbuję wyrwać się strażnikom.

Merek jak dotąd wpatrywał się obojętnie w drzwi do sali, teraz jednak uderza dłonią w stół, uciszając zarówno mnie, jak i dworzan.

– Twyllo, czy to naprawdę pora na teatralne popisy? – mówi powoli, patrząc mi w oczy.

Teatralne popisy...

„Miło jest czasem spędzić popołudnie bez teatralnych popisów” – powiedział po tym, jak śpiewałam dla jego ojczyma.

Kiedy mu się przyglądam, odchyła szarfę i widzę przypięty do jego tuniki kwiat. Kwiat dmuchawca. Szarfa zwisała tak niezręcznie dlatego, że starał się go ukryć. Upewniam się w chwili, gdy Merek do mnie mruga.

Jednak mi uwierzył.

– To jest proces, a nie przedstawienie – mówi Merek. – Będziemy więc zachowywać się zgodnie z powagą sytuacji. Przeprowadzić pierwszego świadka.

Wyraz tryumfu znika z twarzy królowej w jednej chwili.

– Kogo...?

– Pierwszego świadka. Wezwałem do zamku tregellańskiego medyka, by podzielił się z nami swą wiedzą. Nie pozwolę, by ktokolwiek twierdził, że mój pierwszy proces jako nowego króla obył się

w sposób niesprawiedliwy. Potrafię okazać łaskę.

Uśmiecham się mimo knebla.

– Nie zgadzam się! – mówi kategorycznie królowa, zrywając się z miejsca. – Świadek będzie próbował bronić rodaka. Wszyscy oni uczestniczą w zмовie przeciw Lormere. Nie, Merek, nie zgodzę się na to.

Lief patrzy na mnie, niczego nie rozumiejąc, a dworzanie wiercą się i szepczą niespokojnie. Pomruki nie uchodzą uwagi królowej, która próbuje zastraszyć tłum gniewnym spojrzeniem. Wie jednak, że ziarno wątpliwości zostało już zasiane.

– Dobrze – mówi, wzdychając ciężko. – Wprowadzić świadka. Miejcie jednak wszyscy na uwadze, że nie będzie on bezstronny.

Strażnicy otwierają drzwi i wprowadzają do sali niskiego mężczyznę o ciemnej skórze i krótkich, czarnych włosach. Mężczyzna kłania się królowej i Merekowi, starając się nie patrzeć w kierunku moim i Liefa.

– Medyku, nie mamy ciała, które mógłbyś zbadać, ale wszyscy zebrani w tej sali widzieli na własne oczy, jak mój ojczym upadł podczas uczy. Zmarł krótko później. Opiszę jego objawy, a ty w oparciu o nie przedstawiś sądowi swoją diagnozę. Podołasz?

– Podołam, Najjaśniejszy Panie – odpowiada medyk.

– Mój ojczym doznał nagłego niedowładu w nogach, a potem także i w rękach. Nie mógł wstać ani chodzić bez pomocy. Słabość ogarnęła całe jego ciało, aż w końcu stracił też zdolność mówienia. Zmarł wkrótce potem.

Medyk słucha uważnie, po czym kiwa głową i chrząka.

– Wasza Wysokość, wasz opis objawów tragicznie zmarłego króla każe się domyślać, że dotknęła go przypadłość atakująca mózg. – Królowa nachyla się nad stołem, a medyk odruchowo cofa się o krok. – Dopływ krwi do mózgu zostaje zakłócony i chory traci władze w członkach, której nie mogą przywrócić mu żadne próby. Śmierć następuje w wyniku niedokrwienia żywotnych narządów ciała.

– Jakie są przyczyny owej przypadłości? – pyta Merek.

– Występuje ona w sposób naturalny i dotknąć może każdego, w dowolnej chwili – mówi medyk, a dworzanie z wrażenia wstrzymują oddech.

– Kłamstwo! – krzyczy królowa. – Został otruty!

– Wątpię, by medyk mógł się mylić, matko. Tak więc zdaniem świadka śmierć nastąpiła z przyczyn naturalnych? – pyta Merek pobladłego Tegellanina.

– Tak, Wasza Wysokość.

– Przyjmuję diagnozę biegłego świadka.

– To absurd – syczy królowa. – Tregellańska trucizna z korzenia piżmowego wywołuje paraliż nerwów i śmierć w wyniku uduszenia. Wystarczy sześć do ośmiu liści, by powalić dorosłego mężczyznę. Ten Tregellanin – mówi, wskazując Liefa – otruł nią króla, a ten tutaj – celuje palcem w medyka – próbuję go chronić.

– Skąd wiesz, czym jest korzeń piżmowy, matko? – pyta cichym głosem Merek i dworzanie milkną. – Skąd tak dokładnie wiesz, że wywołuje paraliż i uduszenie? Jak na kogoś nie znającego się na medycynie użyłaś bardzo fachowych słów.

Królowa połknęła haczyk. Nie odpowiada od razu, i jej wahanie trwa odrobinę zbyt długo.

– Nadworny zielarz Rulf pokazał mi ustęp w jednej ze swoich ksiąg. Zwróciłam się do niego w obawie, że król został otruty, a on potwierdził moje podejrzenia. To oczywiście z księgi znam fachowe słownictwo. Cytowałam tylko to, co przeczytałam.

– Pokaż mi swój medalion.

– Co takiego?

– Pokaż medalion. Mnie i całemu dworowi.

– Merek, nie pora teraz na... – Merek nachyla się i szybkim ruchem chwyta łańcuszek, na którego końcu kołysz się medalion ukryty dotąd za dekoltem sukni. Królowa próbuje się wyrwać, ale Merek nie puszcza wrzynającego się w jej białą szyję łańcuszka i zmuszą ją do bezruchu, uważnie oglądając ozdobę.

– Podczas polowania powiedziałaś mi, że kazałaś spiłować medalion, by nadać mu bardziej lormerański charakter – mówi Merek i unosi medalion, by wszyscy mogli zobaczyć wizerunek flecisty. – Kiedy lord Bennel zapytał, czy znalazłem Śpiącego Księcia, kazałaś go zabić, rzekomo za obrazę Twylli. Czy rzeczywiście taki był powód, matko? A może musiał zginąć dlatego, że przypomniawszy nam wszystkim o Śpiącym Księciu?

– Co ty robisz? Oszalałaś? – syczy królowa i próbuje wyrwać medalion z jego ręki. Merek przygląda się ozdobie zimnym wzrokiem.

– Wysłałem ludzi do Tallith. Wrócą w ciągu dwóch tygodni i potwierdzą, czy w pobliżu pustego katafalku w ruinach królewskiego zamku znaleźli ciało młodej dziewczyny. Nakazałem też moim strażnikom zamknąć i zabezpieczyć wejścia do zamku oraz powiadomić mnie, gdyby próbował się do niego dostać obszarpaniec w resztkach starodawnego ubrania, szukający swej pani. Niemy konsyliarz, którego trzymasz w podziemiach zamku został zatrzymany w celu przesłuchania, a twoje komnaty są w tej chwili przeszukiwane. Wzywam drugiego świadka, lady Twyllę.

Dworzanie nawet nie próbują już zachować ciszy. Słyszę huk przewracanych ławek, kiedy zrywają się z miejsc, by mi się przyjrzeć. Z oskarżonej stałam się świadkiem. Strażnik wyjmuje mi z ust knebel i rozpoznaję zarys jego twarzy, taki sam jak u Dimii. Taul.

Wzrok wszystkich zebranych spoczywa na mnie niczym ciężkie brzemie.

– Twyllo, bądź tak dobra i podziel się z dworem tym, co odkryłaś – mówi Merek.

Królowa wydaje się niemal rozbawiona, gdy zaczynam mówić, a mój głos sięga wszystkich zakamarków sali.

– Przyzwałaś Nosiciela – mówię, wpatrując się w królową. Mam nadzieję zobaczyć chwilę, gdy pogardliwy uśmiezek zniknie z jej twarzy na dobre. – Twój naszyjnik jest jego totemem. Przywołałaś go w noc, kiedy na niebie pojawiły się słoneczne siostry. Następnego dnia zabrałaś wszystkich z zamku, by pozwolić Nosicielowi działać. Słyszałam muzykę fletu i widziałam służącą, którą omamiła. – Szczeka królowej zaczyna drgać, a ja ważę każde słowo, posyłając je ku niej niczym strzały. – Kiedy książę ogłosił nasze zaręczyny, otrułaś króla i próbowałaś rzucić podejrzenie na mojego strażnika, aby sprowokować wojnę z Tregellanem. Chcesz, żeby Śpiący Książę został twoim własnym alchemikiem, żeby wytwarzał dla ciebie złoto potrzebne na opłacenie wojny. Wojny o twój własny Złoty Wiek Lormere. – Nie wspominam o tym, że chciała wyjść za własnego syna i Merek rzuca mi wdzięczne spojrzenie.

Przez dłuższą chwilę dworzanie milczą jak osłupieli. Okazało się, że moja przemowa działa lepiej niż mój śpiew.

– Naprawdę sądzisz, że ktokolwiek uwierzy w dziecinne bajki opowiadane przez dziwkę? – odzywa się królowa. – To zwykła legenda, wszyscy wiedzą, że Śpiący Książę to tylko legenda...

– A Daunen Wcielona? – odpieram. – Czy wszyscy wiedzą, że to tylko legenda?

Narastające napięcie wśród dworzan jest wręcz wyczuwalne.

– Błuznierstwo – syczy królowa.

– Porannica nie istnieje, a Próby są kłamstwem. Nigdy nikogo nie zabiłam, bo to ty wszystko wymyśliłaś. Dobrze o tym wiesz, wie o tym też Merek i Rulf. Tyrek oddał życie za twój sekret. Lief nie przygotował sobie odtrutki, bo porannica nie istnieje. Moja skóra nie jest i nigdy nie była trująca. To zwykłe kłamstwo. Przyznaj, że to kłamstwo.

Burza gniewnych okrzyków dworzan jest niemal ogłuszająca, ale wrzask królowej jest słyszalny mimo hałasu.

– Oszalałaś! Być może udało ci się omamić i zczarować mojego syna, ale nie zdołasz oszukać

wszystkich. Mój lud... – jej wywód przerywa wejście do sali strażnika, tego samego, który przyniósł wieść o śmierci króla. Strażnik niesie małą, szklaną fiolkę i w sali znów zapada cisza, ciężka i niebezpieczna.

– Wybacz, Najjaśniejszy Panie – mówi strażnik, ignorując królową i zatrzymując się przed Merkiem. – Znaleźliśmy to w garderobie królowej, w szkatule z biżuterią. – Szklana fiołka w jego dłoni jest identyczna z tymi, które podawano mi podczas prób.

Merek gestem nakazuje strażnikowi, by ten podał fiolkę nerwowemu medykowi. Mężczyzna wacha zawartość, tylko raz.

– To korzeń piżmowy, Wasza Królewska Wysokość. Korzeń piżmowy w roztworze alkoholowym.

– Podłożyliście mi to! – mówi królowa, zrywając się na nogi. – Próbujesz pozbawić mnie korony razem z tą swoją dziwką. Aresztować księcia! – wrzeszczy. Strażnicy nie wykonują najmniejszego nawet ruchu.

– Nie muszę pozbawiać cię korony. Twój mąż nie żyje, a bez króla nie możesz dłużej sprawować władzy. Powinnaś była o tym pomyśleć, zanim go zabiłaś – mówi Merek i zwraca się do dworzan. – Oskarżam była królową o zdradę korony Lormere, mojej korony. Czy ktoś jest przeciw? Czy ktoś potrafi dowieść jej niewinności?

Królowa stoi obok syna jak wryta i wpatruje się we mnie z zaciśniętymi pięściami. Przez jedną chwilę jestem pewna, że spróbuje ucieczki, ale zaraz otwiera zaciśnięte dłonie i wygładza suknię. Spogląda na Merka twardym i zimnym wzrokiem.

– A ty? Jak będziesz rządził bez królowej? Ty też nie możesz samodzielnie sprawować władzy. Chyba że zamierzasz ułaskawić tę ladacnicę i ożenić się z nią – dodaje, posyłając mi jadowite spojrzenie.

– Twylla nie popełniła żadnej zbrodni – mówi Merek, choć głos niemal niezauważalnie mu się załamuje. – Jestem teraz regentem Lormere i uznaję, że nie popełniła żadnego przestępstwa przeciw koronie.

– Nadal chcesz, żeby została twoją żoną? Nawet po tym, jak znalazłam ją owinięta wokół niego niczym żmiję, kiedy on...

– Cisza! – krzyczy Merek.

Królowa dumnie unosi brew.

– Przepraszam cię za to, Merek. Za swój wybuch, okrutne słowa i podstępny plan.

– Nie – odpowiada Merek dziwnym, nieswoim głosem. – Nie przepraszę.

– Jestem ci potrzebna – uśmiecha się królowa. – Śpiący Książę nadchodzi. Jestem ci potrzebna, by go kontrolować. To ja mam totem, a kto wie, do czego zdolny jest bez niego...

Merek przygląda się jej wraz z całym dworem, a ja widzę, że się waha.

– Totem jedynie przyzywa Nosiciela – mówię, nie do końca pewna swojej racji. – Poza tym nie ma nic wspólnego ze Śpiącym Księciem. Nie pozwala go kontrolować.

– Nie waż się do mnie odzywać. – Królowa odwraca się i patrzy na mnie takim wzrokiem, że przezornie cofam się o krok, ale dzięki moim słowom Merek odzyskał już pewność siebie. Mocnym szarpnięciem zrywa łańcuszek medalionu, chyba nieco zdumiony własnym zdecydowaniem, a jego matka wpatruje się w ozdobę okrągłymi z zaskoczenia oczyma.

– Teraz to ja mam totem – mówi Merek. – Jeżeli ma on jakikolwiek wpływ na Śpiącego Księcia, to ja będę z nim rozmawiał.

– On cię zabije! – wykrzykuje królowa, śmiejąc się maniakalnie. – Myślisz, że będziesz mógł z nim negocjować? Dlatego, że zjadłeś obiad z radą Tregellanu? On przespał pięćset lat i obudził się z niczym! Wszystko, co znał dawno przestało istnieć, jego rodzina wyginęła, a królestwo leży w gruzach. Myślisz, że ot, tak sobie siądzie z tobą do stołu i wypije szklanekę wina? Głupcze! Nie masz pojęcia, jak rządzić królestwem, nie wspominając o obronie przed potworem. Potrzebujesz mnie.

– Nie – głos Mereka jest martwy, całkiem wyprany z emocji. – Potrzebuję jedynie tego, byś zniknęła mi z oczu, z mojego zamku i mojego życia. Skazuję cię na śmierć przez powieszenie.

Jego słowa długo odbijają się echem wśród głuchoj ciszy.

Uśmiech znika z twarzy królowej jak senna mara.

– Co?!

– Karą za zdradę jest śmierć. Dobrze o tym wiesz – mówi Merek, nie patrząc jej w oczy.

– Jestem królową, nie możesz kazać mnie powiesić.

– Nie. Królową będzie moja żona. Ty nie zostaniesz moją żoną. Jesteś zdrajczynią.

– Jestem twoją matką.

Dworzanie przysłuchują się ich rozmowie w grobowej ciszy, a ja i Lief stoimy w oniemiałym bezruchu. Trzymając mnie dotychczas za ramię strażnik gdzieś zniknął i zauważam, że w drzwiach pojawili się inni. Wyraźnie na coś czekają.

– Do chwili, gdy moi ludzie powrócą z Tallith z ciałem dziewczyny, masz okazję, by pogodzić się z Bóstwami. Potem twój czas dobiegnie końca. Zabrać ją do celi. – Strażnicy ruszają żwawym krokiem, nie mogąc się wprost doczekać, by wypełnić jego rozkaz. Cieszę się, że to właśnie Taul chwyta ją za wykręcone do tyłu ręce. Królowa stoi niczym pomnik i nie próbuje stawiać oporu, kiedy wyprowadzają ją z sali. Do ostatniej chwili nie spuszcza wzroku z Mereka, choć ten odwraca się do niej plecami.

– Rozwiązać ręce lady Twylli i jej strażnikowi – rozkazuje Merek.

– Stać! – wykrzykuje do strażników królowa, gdy uwalniają mi ręce. Zatrzymała się w drzwiach wielkiej sali, a jej oczy płoną wściekłym ogniem. – Nie tylko ja tu zawiniłam, prawda, Lief? Może powiesz Twylli, skąd się tutaj wzięłaś?

– Zabrać ją stąd – rozkazuje ponownie Merek i strażnicy wloką królową do lochów, a jej obłąkańczy śmiech długo jeszcze brzmi w moich uszach.

Zdumiona odwracam się do Lief'a i mam wrażenie, że zawala się cały świat. Lief jest tak blady, że siniaki odcinają się ostrym kontrastem na tle jego skóry. Nie wygląda na człowieka, którego przed chwilą ułaskawiono. Wygląda jak ktoś, kogo skazano na zapomnienie.

– O czym ona mówi? – pytam.

Lief nie podnosi na mnie oczu, a ukłucie w mojej piersi zwiastuje ból złamanego serca.



– Wyjdźcie stąd! – zwraca się Merek do dworzan. – Zostawcie nas.

– O czym ona mówi? – pytam znowu Lief, który nadal patrzy w ziemię. Robię krok w jego kierunku i Merek zeskakuje z podwyższenia i zatrzymuje mnie w miejscu, póki nie zostajemy w sali tylko we trójkę, a drzwi nie zostają zamknięte. Wówczas sam zwraca się do Lief.

– O czym mówiła moja matka, strażniku? Co zrobiłeś? Pomogłeś jej przyzwać Nosiciela? Pomogłeś otruć mojego ojczyma? Czyżby mówiła prawdę i Tregellanin jednak miał z tym coś wspólnego?

– Nie, przysięgam – mówi cicho Lief. – Nie miałem nic wspólnego ze śmiercią króla ani ze Śpiącym Księciem.

– W takim razie o co jej chodziło? – dopytuję się.

Lief kręci głową i Merek wlepia w niego gniewne spojrzenie.

– Albo sam nam powiesz, albo każę z powrotem przyprowadzić tu królową – mówi surowo. – Ale tak czy inaczej dowiemy się, co zaszło.

Lief zamyka oczy i mam wrażenie, że wszyscy na raz wstrzymujemy oddech.

– Pracowałem dla królowej.

– Przecież wiem, wynajęła cię, żebyś mnie chronił – mówię naiwnie.

– Nie, Twyllo. Wynajęła mnie, żebym cię uwiódł. Żebyś nie mogła zostać żoną księcia.

Mam wrażenie, że wszelkie kolory i odgłosy otoczenia zniknęły, pozostawiając tylko jego powtarzane echem słowa. „Wynajęła mnie, żebym cię uwiódł”. Powtarzam je w głowie raz za razem, aż tracą sens, a potem czuję, jak nogi odmawiają mi posłuszeństwa i Merek obejmuje mnie, bym nie upadła. Prostuję się o własnych siłach, przytrzymując się ramienia Mereka i wpatrując się w mężczyznę, którego kocham.

– Wynajęła cię, żebyś mnie uwiódł?

– Chciała się upewnić, że księżę się z tobą nie ożeni – kiwa głową Lief.

– Nie rozumiem – mówię cicho.

Lief bierze głęboki oddech i w końcu patrzy mi w oczy.

– Powiedziałem ci, że jestem synem rolnika i to prawda, podobnie jak to, że mój ojciec rzeczywiście nie żyje. Ale mój pradziad nie był chłopem, tylko kapitanem tregellańskiej armii. Moja rodzina mieszkała w zamku, należała do dworu ówczesnego króla. Tak było do czasu wojny. Mój pradziad zginął w wyniku wojny z Lormere.

Słucham i przyglądam mu się rozszerzonymi oczyma.

– Po wojnie lud się zbuntował, wniąc króla i niedobitki jego armii za spustoszenie kraju. Doszło do zamieszek i motłoch pojmał rodzinę królewską wraz z jej stronnikami. Był wśród nich mój pradziad. Wszyscy bez wyjątku zostali ścięci, a moja prababka musiała uciekać, by ocalić życie, zarówno własne, jak i swego syna. Musiała ukrywać swoje pochodzenie, by zapewnić mojemu dziadkowi bezpieczeństwo. Wyszła za prostego rolnika, człowieka znacznie niższego od niej stanu, ale nie miała innego wyboru. Nie mieli dzieci, więc gospodarstwo odziedziczył mój dziadek, a po nim mój ojciec. Wszystko przez Lormere.

– Nie rozumiem – powtarzam, powoli wymawiając słowa i Merek chwytła mnie mocniej, bym nie upadła. Lief patrzy gdzieś w bok, nie mogąc znieść ciężaru mojego spojrzenia.

– Po śmierci mojego ojca nie zostało nam nic. Moja matka mieszka w ruderze na końcu świata, a siostra nie może nawet wyjść z domu, bo tamtejsi ludzie... – Lief przełyka, nie kończąc zdania. – Wszystko to wina Lormere. Gdyby nie wasza królowa i jej rodzina, ja również wychowałbym się na królewskim dworze. Zamiast potajemnie uczyć się czytać, zostałbym uczonym. Gdyby nie Lormere, nie doszło by do przewrotu, a ja byłbym podobny do niego – mówi, wskazując ruchem głowy Merek. – Przybyłem tu po to, by obrabować zamek. Zamierzałem się włamać i zabrać wszystko, co zdołałbym unieść, a potem zabrać łup do domu i tam go sprzedać. Pozwoliłoby to nam przynajmniej częściowo wrócić do należącego nam życia.

Lief zerka na mnie, po czym znowu spuszcza wzrok, nerwowo wykręcając palce.

– Chciałem pieniędzy. Chciałem zarobić choć tyle, by odzyskać rodzinne gospodarstwo. Ale zostałem schwytyany i wtrącony do lochu. Myślałem, że to koniec. Byłem w końcu Tregellaninem i przyłapano mnie na okradaniu królewskiego zamku. Wtedy przyszła do mnie wasza królowa. Chyba ktoś musiał donieść jej, że mnie pojмали. Zaproponowała, że mnie uwolni i sowicie wynagrodzi, jeżeli tylko pomogę jej pozbyć się ciebie. Miałem sprawić, byś się we mnie zakochała i przekonać do wspólnej ucieczki i porzucenia księcia. Zgodziłem się. Królowa przeniosła twojego drugiego strażnika, a potem zaaranżowano konkurs o jego stanowisko. Był ustawiony, więc nie mogłem przegrać. – Lief arogancko wzrusza ramionami. – Dostałem okazję zdobycia złota i zemsty na Lormere, i sama królowa miała mi w tym pomóc.

Unoszę rękę, chcąc mu przerwać.

– To nie może być prawda...

Twarcz Liefa wykrzywia grymas smutku i wstydu.

– Miałem przekonać cię do ucieczki, a następnie zawiadomić strażników, by wiedzieli, gdzie nas przechwycić i pojmać. Ty miałaś zostać odesłana z zamku w niełasce, a ja miałem otrzymać zapłatę. Zauważyłem jednak, jak księżę na ciebie patrzy i wiedziałem, że ci wybaczy i znajdzie sposób, by cię tu zatrzymać. Tacy jak on zawsze ostatecznie wygrywają. Ale mógłby cię nie zechcieć, gdyby... gdybyś nie była dziewczicą. Gdyby ktoś go ubiegł. Szczególnie, gdyby był to człowiek z ludu.

Wybiegam z sali, pchana impulsem instynktu samozachowawczego, nie mogąc dłużej słuchać jego słów. Biegnę korytarzem na oślep i przewracam się, upadam na kolana i wymiotuję, nie mogąc dłużej wstrzymać mdłości, plując i drżąc na całym ciele.

Ktoś kładzie chłodną dłoń na moim karku i po raz pierwszy doceniam, że koi płonący we mnie ogień. Lief mnie wykorzystał. Mówił, że mnie kocha, był w moim łóżku i przez cały czas planował tylko zemstę na rodzinie królewskiej.

W końcu udaje mi się usiąść i Merek delikatnie wyciera mi usta rękawem. Łzy płyną mi z oczu strumieniami, więc osusza mi również policzki.

– Jestem ci winien ogromną wdzięczność – mówi cicho. – Podobnie jak całe Lormere. Przepraszam. Musiałaś sądzić, że ci nie uwierzyłem, ale w lochach czekało na mnie dwóch strażników, których lojalności nie byłem pewien. Musiałem stworzyć pozory i zarzucić ci kłamstwo. Jednym z nich był Taul, który potwierdził to, co powiedziałaś mi o jego siostrze. Przy kolacji zauważyłem medalion matki. Wyglądał dokładnie tak, jak go opisałaś. Posłałem więc po medyka, który nie zdążył pomóc Dorinowi. Wiedziałem, że musiała gdzieś ukryć truciznę, więc kazałem aresztować niemowę. Nikt inny nie mógł dostarczyć jej trucizny. Moi ludzie przeszukali jej komnaty, kiedy przygotowywała się do procesu. Przepraszam, nie mogłem powiedzieć ci prawdy. Potrzebowałem, by sama się zdradziła i to publicznie, na oczach wszystkich, by nie mogła później wszystkiemu zaprzeczyć lub wymordować świadków.

– Okłamał mnie – mówię, ignorując wszystko, co powiedział Merek.

– Nie wiedziałem o roli twojego strażnika. Bardzo mi przykro.

– Dorin... Gdyby nie głupie uządlenie pszczoły, nic podobnego by się nie wydarzyło. Dorin nie pozwoliłby Liefowi się do mnie zbliżyć.

– Twyllo... nie jestem pewien, czy Dorin naprawdę umarł w wyniku uządlenia.

– Jak to?

– Nie mam pewności, ale podejrzewam, że i on został otruty przez moją matkę. Po to, by pchnąć cię w ramiona Lief. Kiedy dowiedziałem się, że Dorin jest umierający, rozmawiałem z jednym z uzdrowicieli. Powiedział mi, że Dorin walczył o powrót do zdrowia i przez dłuższy czas byli pewni, że przeżyje. A potem jego stan gwałtownie się pogorszył. Nie chciałem ci wówczas o tym mówić, bo wydawało mi się to bezcelowe. Ale teraz myślę, że kazała go otruć.

Czuję, jak coś we mnie zamienia się w lodowate żelazo. Sprytnie to wymyśliła.

– Gdyby przeniosła Dorina, byłabym wstrząśnięta – mówię głosem, który dociera do mnie jakby z wielkiej odległości. – Nikomu bym nie zaufała, nie pozwoliłabym nikomu się zbliżyć. Ale Dorin był chory, a Lief był ramieniem, na którym mogłam się wypłakać... byłam przekonana, że Dorin mu ufa, dlatego sama mu zaufałam.

– Co mogę dla ciebie zrobić? – pyta Merek. – Co cię uszczęśliwi?

– Chcę zobaczyć, jak jej ciało płonie – odpowiadam, patrząc mu w oczy i widząc, jak otwiera usta ze zdumienia.

– Mówię poważnie. Przywołała nieumarłego księcia, by wszcząć nową wojnę. Zabiła mojego strażnika i twojego ojczyma, nie wspominając o innych, niezliczonych ofiarach. Jest obłąkana.

Merek przygląda mi się, jakby widział mnie po raz pierwszy w życiu.

– Nie powinieneś kazać jej powiesić. Podaj jej korzeń piżmowy. Chcę, żeby wiedziała, że umiera.

– Chyba nie mówisz poważnie?

– Mówię całkowicie poważnie, Merek.

Po raz pierwszy w życiu pragnę czyjejś śmierci. I nie tylko śmierci. Chcę, żeby królowa cierpiała, chociaż żadne jej męczarnie nie zdołają odkupić tego, co zrobiła Dorinowi, Merekowi i mnie.

– Dlaczego? – pytam. – Po co był jej ten cały plan? Dlaczego po prostu nie oddała mnie Nosicielowi?

– Nie mogła tego zrobić, bo wpadła we własną pułapkę. Całymi latami wmawiała całemu królestwu, że jesteś jego wybawicielką, symbolem wiary zesłanym po to, by zostać moją żoną. Miałaś być nadzieją Lormere. Gdyby zabrał cię Nosiciel, lud by się zbuntował i rozpoczęto by poszukiwania. Ja sam szukałbym cię wszędzie. Za jej sprawą stałaś się zbyt ważna. Nie mogła tak po prostu cię zabić.

Wracam myślami do biednego króla, który pomimo swego tytułu i pochodzenia okazał się nie dość ważny.

– Dlatego postanowiła mnie zdyskredytować? Zniszczyć moją reputację?

– Mówiłem ci, że ludzie muszą w coś wierzyć. Uwierzyli w ciebie, więc musiała zniszczyć ich wiarę, żeby móc wyeliminować cię ze swoich planów. Gdybyś do tego czasu zginęła w jakichkolwiek okolicznościach, lud uznałby, że Lormere jest przeklęte. Kraj by się rozpadł i popadł w ruinę. Kontrolowanie ludności za pośrednictwem Bóstw jest jak miecz obusieczny. Gdyby jednak okazało się, że tak naprawdę nie jesteś Daunen, że Bóstwa się ciebie wyrzekły, mogła się ciebie pozbyć. Na osłodę ogłosiłaby, że Lormere posiadało sekret alchemii, a potem rzuciłaby cię psom na pożarcie.

Kiwam głową, ledwo nadążając za tym, co mówi.

– Kazała mi przywieźć z Tallith wszystko, co tam znajdę. Podejrzewałem, że chodzi jej o wiedzę alchemiczną, że zmusi naszych uczonych, by ją opanowali. Nie widziałem w tym niczego złego, zresztą mówiłem ci, że sam również chciałem tej wiedzy dla królestwa. Ale w swoim zaślepieniu przywiozłem jej rzeczywiście wszystko, łącznie z totemem. Myślę, że miała nadzieję go zdobyć. W końcu znacznie łatwiej jest przywołać alchemika, niż zagłębić się w starożytne tajemnice alchemii. Potem musiała już tylko pozbyć się mego ojczyma, obwinić o jego śmierć Tregellan, wyjść za mnie za żonę i wykorzystać

Śpiącego Księcia jako żywą fabrykę złota.

Obejmuję się ramionami, jakby tylko to mogło pozwolić mi się pozbierać.

– Co mam zrobić ze strażnikiem? – pyta cicho Merek. – To on jest winny zdrady. Ty nie zrobiłaś niczego złego.

To nieprawda, myślę. Sama wpuściłam Liefę do mojego łóżka, i to po tym, co Merek powiedział mi w Sali Luster.

Kiedy mówię mu o wszystkim, z trudem przełyka ślinę, ale ze zrozumieniem kiwa głową.

– Nie ma w tym twojej winy. Posłużono się tobą jak pionkiem w grze. Ale zrobię to, co zechcesz. Jeżeli chcesz i jego skazać na śmierć, zgodzę się.

– Nie.

Mój wewnętrzny sprzeciw jest tyle nagły, co absolutny. Nie mogę doprowadzić do jego śmierci. Wiem, co zrobił, sam do wszystkiego się przyznał, ale nie chcę jego śmierci. Nie czuję do niego nienawiści.

Dlatego, że mimo wszystko mu nie wierzę. Próbuję, ale nie potrafię mu uwierzyć. Moje serce powtarza mi, że kłamał.

– Co zmieni jego śmierć? Szkody zostały już wyrządzone.

Merek gniewnie zaciska szczęki.

– Byłaby to stosowna kara za jego zbrodnie. Chyba że... gdyby okazało się, że zawiódł i plan królowej się nie powiódł...

– Co masz na myśli?

– Gdyby jednak nie udało mu się nas podzielić i postanowilibyśmy kontynuować to, co rozpoczęliśmy przed czterema laty...

Mój uśmiech jest smutny.

– Potrzebuję cię – mówi Merek. – Śpiący Książę nadchodzi. Ona ma rację, sam sobie z nim nie poradzę. Bez ciebie nie powstrzymałbym matki i nie mogę walczyć z nim bez ciebie.

– Być może on nie chce wojny, może chce jedynie zrozumieć, co mu się przytrafiło.

– Uwierz mi, że żaden książę na świecie nie zaznałby spokoju, gdyby odebrano mu jego własność, jego dom. Żaden książę i żaden inny człowiek. Sama widziałaś, do czego zdolny był twój strażnik tylko dlatego, że stracił rodzinne gospodarstwo. W czasach Śpiącego Księcia nikogo z nas nie było na świecie, a Lormere było jedynie zlepkim wsi pośród gór. Teraz jest jednak prawdziwym królestwem z wieloma miastami, stolicą i królewskim zamkiem. Lormere rozkwita i staje się tym, czym niegdyś było Tallith. Naprawdę wierzysz, że nie spróbuje nam tego wszystkiego odebrać? Że nie uważa, iż ma do tego prawo? Słyszałaś, co powiedziała moja matka. Bez królowej u boku mogę rządzić jedynie jako regent. Lormere potrzebuje króla. Muszę stać się równy Śpiącemu Księciu. Zostań moją królową, Twyllo. Zostań i rządz królestwem wraz ze mną. Razem zdołamy zapewnić Lormere bezpieczeństwo.

– Merek, lud zaakceptuje cię jako swego króla nawet beze mnie – mówię, biorąc go za rękę. – To, co się tutaj wydarzyło przekona wszystkich, że dawne obyczaje muszą ulec zmianie. Poprą cię lordowie, a ludzie zaakceptują zmiany, jeżeli będziesz wobec nich uczciwy i szczery. Powiedz im prawdę. Powiedz, że Śpiący Książę nadchodzi i że muszą ci zaufać, byś mógł ich przed nim bronić.

– Całą prawdę? – pyta Merek. – Nawet o tobie i o Daunen?

– Nie – odpowiadam po chwili namysłu. – Pozwól, by ich wiara umarła śmiercią naturalną. Nie zasłużyli na to, by im ją odbierać.

Merek rumieni się, a ja ściskam lekko jego dłoń.

– Bądź dobrym królem, by nie musieli modlić się do Bóstw. Nie zawieź ludzi i powtarzaj im, że kochasz ich oraz całe królestwo i że zawsze będą dla ciebie najważniejsi. Do tego nie jestem ci potrzebna.

– Ale ja chcę ciebie – mówi z uśmiechem. – Nie tylko po to, bym mógł zostać królem. Zawsze

chciałem tylko ciebie. Mimo wszystkiego, co się wydarzyło i tak wybieram ciebie.

Jest taki szczerzy. Wiem, że miałabym na niego dobry wpływ. Utemperowałabym jego gniew i ociepliłabym obecny w nim chłód. Potrzebna mu królowa, z którą będzie mógł rozmawiać i którą będzie kochał. Mogłabym zostać u jego boku i wspólnie przekonalibyśmy się, co dalej, a gdyby wojna jednak nadeszła, lepiej byłoby wspólnie stawić jej czoła. Lormere to przecież i mój dom.

– Chciałabym się nad tym zastanowić – mówię, dotykając jego policzka. – Chciałabym podjąć samodzielną decyzję, na którą nie wpłynie ani niczyje zdanie, ani moja chęć zemsty, ani też możliwość wybuchu wojny. Jeżeli miałabym być z tobą, chcę wybrać cię sama. Nie chcę, byś kiedykolwiek zwątpił, że cię wybrałam.

Merek kiwa głową, choć jego twarz powleka smutek.

– Czekałem jedenaście lat, żebyś mnie ocaliła – mówi cicho. – Myślę, że mogę poczekać jeszcze trochę.

Myśl o tym, że mogłabym ocalić go niczym legendarna bohaterka prawie wystarcza, bym zgodziła się za niego wyjść.

– Co zrobimy ze strażnikiem? – Jego pytanie wrywa mnie z zamyślenia.

– Chciałabym z nim porozmawiać. Potem możesz go wygnać i zagrozić śmiercią, jeżeli wróci do Lormere.

Merek ujmuje moją dłoń i składa na niej pocałunek.

– Byłabyś dobrą królową – mruczy cicho. – Kiedy podejmiesz decyzję, będę czekał w ogrodzie.

Pomaga mi wstać i ogląda moją twarz i włosy, by doprowadzić mnie do porządku, zanim wrócę do wielkiej sali. Zamykam za sobą drzwi i zostaję sam na sam z Liefem.

Stoi naprzeciw podwyższenia, jakby od chwili mojego wyjścia z sali nawet się nie poruszył. Nasze spojrzenia się spotykają przez chwilę trwa między nami niemy pojedynek o dominację. Zmęczona napięciem siadam na jednej z ławek i czekam.

– Przepraszam – mówi w końcu Lief.

– Za co?

– Za wszystko.

Kiwam głową.

– Nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak bardzo królowa mnie nienawidzi.

Lief długo patrzy w podłogę.

– Nie zawsze tak było – mówi. – Myślę, że nienawidziła samej siebie.

Nie mogę się oprzeć, by na niego nie spojrzeć.

– Co masz na myśli?

– Myślała, że zawiodła, że jest przeklęta. Najpierw umarła jej córka, potem mąż, a potem nie mogła mieć więcej dzieci. Chciała za wszelką cenę zachować koronę i być największą królową w historii Lormere. Nienawidziła siebie za to, że cię potrzebowała.

Gniewnie zaciskam szczęki.

– Wiedziałaś, że zamierzała mnie zastąpić jako żona Mereka? Powiedziała ci o tym, kiedy knuliście ten wasz spisek? Chciała się mnie pozbyć, żeby wyjść za własnego syna i rozpocząć wojnę z twoim krajem, z twoimi rodakami. Powiedziała ci o tym? Ona przyzwała potwora z legend, Lief, i to przez nią wszyscy znaleźliśmy się w niebezpieczeństwie. Co zrobimy, kiedy Śpiący Książę po nas przyjdzie?

– Nie wiedziałem o tym. I nie obchodzi mnie, co robią obłąkani władcy, w Lormere czy gdziekolwiek indziej.

Zrywam się z ławki i zbliżam się do niego z zaciśniętymi pięściami.

– Co ja ci takiego zrobiłam, by na to zasłużyć, Lief? Czym ci zawiniłam, że postanowiłeś mnie zniszczyć? A może miałam być jedynie ofiarą wojny?

– Nie znałem cię, kiedy to wszystko się zaczęło...

– A teraz? Teraz znasz mnie bardzo dobrze, prawda? Na litość Bóstw, Lief, ufałam ci!

Lief patrzy w podłogę, kręcąc głową.

– Zniszczyłeś mój świat – mówię. – Nie królewski ród Lormere, tylko mój świat i mnie. I zrobiłeś to, udając, że mnie kochasz.

– Nie udawałem – odpowiada natychmiast. – Nie udawałem, że cię Kocham. W każdym razie nie na końcu.

– Teraz też kłamiesz! – wykrzykuję.

Robi krok w moim kierunku i wiem, że jeżeli weźmie mnie teraz w ramiona, zapomnę o wszystkim i zatracę się całkowicie. Cofam się szybko, by odgrodzić się od niego ławką.

– Próbowałem powiedzieć ci prawdę w ogrodzie zielarzy, ale nie mogłem. Każdego dnia próbowałem ci powiedzieć. Gdyby udało nam się uciec, przyznałbym się do wszystkiego.

– Jak możesz kłamać mi w twarz?

– Pokochałem cię. – Ton jego głosu jest wręcz błagalny. – Taka jest prawda, choć być może nie zawsze tak było. Początek nie był udany, ale nie zdradziłem cię na koniec. Naprawdę chciałem z tobą uciec. Wróciłem po ciebie. Nie po złoto, nie po zemstę, tylko po ciebie...

– Ośmielasz się...

– Taka jest prawda – powtarza stanowczo. – Nie wiedziałem, co o tobie myśleć. Robiłaś coś dobrego i żałowałem umowy z królową, postanawiałem ją złamać. A potem robiłaś coś podłego, jak wtedy, gdy nastraszyłaś Dimię i chciałem jej dotrzymać. Kiedy jednak zobaczyłem, jak księżę całuje cię w Sali Luster, pojąłem, że naprawdę cię Kocham. I że chcę wprowadzić wszystkie nasze plany w życie razem z tobą.

– Bogowie... – zakrywam dłońmi żołądek, który znów grozi wymiotami na wspomnienie naszych rozmów. – Kłamałeś cały czas. To dlatego nie chciałeś uciekać już pierwszej nocy! Najpierw jeszcze musiałeś mnie zniszczyć i upewnić się, że królowa będzie wiedziała, gdzie i kiedy nas przyłapać.

– Nie zrobiłem tego, bo się w tobie zakochałem! Wtedy, kiedy po raz pierwszy byliśmy razem, nic jej nie powiedziałem. Mogłem zdradzić cię już wtedy, ale nie zrobiłem tego. Kiedy wróciłem, byłem gotów z tobą uciec.

– Ale powiedziałaś jej o nas, żeby mogła nas przyłapać! Na litość Bóstw... – Przypominam sobie grube rękawice strażników, którzy przyszli po nas z królową. Byli gotowi, by mnie aresztować, bo powiedział jej, czego ma się spodziewać. – Wiedziałaś, że po nas przyjdzie i leżałeś ze mną, czekając, aż zastanie nas nago na podłodze. Zhańbiłeś mnie.

– Nie! Chciałem odejść, zostawić ciebie i opuścić Lormere na zawsze, ale... nie mogłem. Wróciłem po ciebie. Powiedziałbym ci wszystko. Nie wiedziałem, że po nas przyjdą, Twyllo, musisz mi uwierzyć!

– Jak mam uwierzyć w cokolwiek, co mi mówisz? Jesteś kłamcą, od początku mnie okłamywałeś.

– Ale ty mimo to mnie kochasz, jak i ja Kocham cię mimo wszystko. Może nam się udać, Twyllo. Wiem, że nie zaczęliśmy najlepiej, ale liczy się przecież zakończenie. Bądź ze mną.

Nie mogę znieść jego wzroku, tych wielkich oczu, zielonych jak zorza na zimowym niebie.

Przerywa nam jakiś hałas w korytarzu przed salą i Lief korzysta z okazji, by obejść ławkę i ująć mnie za rękę.

– Twyllo, oddam ci resztę swojego życia. Należę do ciebie i tylko do ciebie. Spędzę każdą godzinę, każdy dzień reszty swego życia, próbując wynagrodzić ci krzywdy, których ode mnie doznałaś. Pozwól mi na to, proszę. A jeżeli dojdzie do wojny, on nie zdoła zapewnić ci bezpieczeństwa. Ja cię obronię. Wybacz mi i pozwól, bym dowiódł, że możesz mi ufać.

Nie, nie mogę pozwolić, żeby mi to zrobił... Nie może prosić mnie o przebaczenie. Nie teraz, kiedy po raz pierwszy w życiu jestem prawdziwie wolna i mogę wybrać swoje przeznaczenie. Mogę wybrać pomiędzy bezdusznym kłamcą, którego mimo wszystko Kocham, lub złamanym, pokonanym księciem, który uważa, że zdołam go ocalić...

A kto ocali mnie?

Epilog



W starych legendach bohater o szlachetnym obliczu zawsze zjawia się z mieczem w ręku, w samą porę, by zabić smoka i uratować księżniczkę. W żadnej ze starych legend nie ma mowy o tym, że księżniczka nie powinna była nigdy zdawać się na łaskę tych, którzy pragną jej krzywdy.

Moje życie nie jest starą legendą.

Ogień przygasa, a światło zachodzącego słońca uniemożliwia już czytanie. Dorzucam bierwion do małego paleniska, a kiedy płomień chciwie pożera suche drewno, przyrządzam sobie kolację. Mój posiłek jest skromny i składa się na niego chleb oraz słony, miękki ser, jaki wyrabia się tutaj, w Tregellanie. Jem powoli, jedną ręką rozsmarowując ser na kromkach chleba, a drugą przytrzymując stronę w książce. Kiedy kończę jeść, z roztargnieniem odsuwam talerz z okruchami chleba w stronę paleniska, aż moją uwagę przyciąga odblask światła. Przez chwilę przyglądam się, jak ogień zamienia cynowy talerz w złoto i z dreszczem przypominam sobie inne czasy. Odsuwam talerz od ognia i wracam do czytania, otrząsając się ze wspomnień o przeszłości. Przeczytałam już wszystkie stare legendy. Te o krwi i brudnym złocie, o Zimowej Wiedźmie, a także o Szkarłatnym Varulvie, ale nigdy nie mam dosyć. Lubię czytać baśnie o zmyślonych, niemożliwych rzeczach, ale nie takie, których bohaterowie mogliby opuścić stronicę książki i stanąć przeniesić się do mojego świata. Dlatego unikam baśni o Śpiącym Księciu.

Merek obiecał, że do mnie napisze, a ja obiecałam wrócić, gdyby Śpiący Książę kiedyś przybył do Lormere, ale minęło już wiele miesięcy, a ja nie otrzymałam żadnych wieści. Na wszelki wypadek zwracam baczną uwagę na wieści, jakie od czasu do czasu trafiają tu z dalekiego Lormere, choć wieść, którą nazywam teraz domem jest od Lormere tak daleko, jak to tylko możliwe bez zapuszczania się do Tallith. Nikt tutaj nie wie, kim jestem i kim byłam. Całkowicie mi to odpowiada. Jestem jak czysta, niezapisana karta. *Tabula rasa*.

Zaczynam wierzyć, że Śpiący Książę zmarł, że komuś udało się w jakiś sposób złamać klątwę i opowieść o nim dobiegła ostatecznego końca. Wiem, że to tylko moje własne, pobożne życzenia, i że dawno powinnam była się ich oduczyć. Ale mimo to każdy kolejny dzień bez wieści z Lormere sprawia, że czuję się odrobinę bardziej wolna. I odrobinę szczęśliwsza.

Niektórzy mieszkańcy wsi zapraszają mnie niekiedy na kolację. Martwią się o mnie, bo mieszkam sama, z dala od innych. Jak na razie jednak zbyt wielką przyjemność sprawia mi siedzenie we własnej chacie, gdzie w otoczeniu moich własnych książek mogę robić, co tylko zechcę. Nauczyłam się, że bycie samą bardzo różni się od samotności. Żyłam niegdyś pośród ludzi i byłam bardzo samotna, a teraz jestem sama i nigdy wcześniej nie byłam podobnie zadowolona z życia. Zauważyłam ostatnio, że stale nuce melody, której nigdy wcześniej nie słyszałam. Nową, własną piosenkę. Muszę zacząć spisywać słowa, kiedy tylko przyjdą mi do głowy.

Odgradzam się zasłonami od zapadającego za oknem wieczoru, po raz ostatni uśmiechając się do mojego ogrodu. Na wiosnę urosną w nim dzikie kwiaty.

Leżę skulona w fotelu, czytając przy świetle nielicznych świec i ognia na palenisku. Powieki zaczynają mi opadać, częściowo z powodu ciepła, a częściowo za sprawą wina, które wypiałam podczas lektury. Zaznaczam stronę zakładką i odkładam księgę dochodząc do wniosku, że lepiej pójść już do łóżka, niż obudzić się rano z zeszywniałym karkiem i wbitym pomiędzy zebra grzbietem okładki. Nabieram powietrza, by zdmuchnąć świece, kiedy rozlega się stukanie do drzwi i zamieram w bezruchu.

Znam ten rytm, bo przez jeden jasny, piękny miesiąc w zupełnie innym świecie słyszałam go co dzień. Puk-puk-puk, znajome jak dźwięk mojego własnego głosu.

Powinam odczuwać lęk, gniew i nienawiść. Nie powinam się cieszyć.

Ale gdy moja senność gdzieś znika i otwieram drzwi, odczuwam jedynie nadzieję.

Podziękowania



Mam nadzieję, że podobała wam się opowieść, którą właśnie przeczytaliście. Jeżeli tak, powinniście wiedzieć, że w procesie jej powstawania brały udział wymienione niżej osoby.

Moja agentka, Claire Wilson z agencji Rogers, Coleridge and White. Dziękuję za wszystko, naprawdę WSZYSTKO. Jesteś najlepsza. Mogłabym użyć tu wszystkich znanych superlatyw, a i tak nie udało by mi się oddać pełni twojego majestatu. Bez ciebie ta książka nigdy by nie powstała. Nie mogę też zapomnieć o Lexie Hamblin, która również jest wspaniałą.

Wszyscy z wydawnictwa Scholastic UK, szczególnie zaś moja redaktorka, Genevieve Herr. Od początku czuwałaś nade mną i moją powieścią, dlatego też mogę powiedzieć, że również bez twojego udziału nigdy by nie powstała. Z tego oraz z wielu innych powodów należysz do moich ulubionych osób na świecie, podobnie jak Sam Selby Smith za okazywane wsparcie, Emily Lamm za pracę redakcyjną, Jamie Gregory za przepiękną okładkę, na widok której rozplakałam się ze szczęścia, oraz Rachel Phillips, moja nieskończenie cierpliwa publicystka. Przepraszam i dziękuję.

Mallory Kass z Scholastic Inc. Mieć jedną redaktorkę, która tak dobrze rozumie moją powieść jest rzeczą wspaniałą, ale mieć dwie takie redaktorki to spełnienie marzeń. Nie wiem, kto złożył ofiarę z kozy za moje powodzenie, ale tym osobom dziękuję również. Mam wiele szczęścia.

Dziękuję wszystkim z Scholastic. Inc. za niekończące się spory i drużyny zwolenników Mereka i Liefa. Czekam na obiecane koszulki i znaczki, a może nawet flagi. A na pewno na naklejki na zderzaki

Dziękuję Robin Stevens, która przekonała mnie, że warto opowiedzieć tę historię w czasie, gdy byłam przekonana, że jest do niczego. Znowu miałaś rację i muszę powiedzieć, że lubię przeżywać wzloty i upadki wraz z tobą.

Dziękuję Liv Goldsmith, która jako pierwsza przeczytała te powieść i napisała do mnie list pełen zwrotów powszechnie uważanych za wulgarne. Czym zresztą bardzo mnie ucieszyła.

Dziękuję Jules Blewett-Grant, która zawsze znajduje dla mnie miejsce w swoim domu, swojej rodzinie i swoim życiu, a także robi najlepszy na świecie pudding Yorkshire.

Dziękuję Emilie Lyons, najbardziej niebezpiecznej spośród moich przyjaciółek. Jeżeli ja jestem Syriuszem Blackiem, Emilie jest Jamesem Potterem. Kiedy otrzymałam pierwszy wydruk próbny tej książki, Emilie odwiedziła mnie w Paryżu, gdzie weszliśmy na szczyt wieży Eiffla, by napić się szampana. Upuściła także moją książkę w ser brie, ale już jej to wybaczyłam.

Dziękuję Jimowi Deanowi, który znalazł wydruk próbny książki i zachwycał się nią często i publicznie. Bardzo się cieszę, że cię poznałam i że zostaliśmy przyjaciółmi, chociaż należysz do Puchonów.

Dziękuję wszystkim moim wspaniałym przyjaciołom, a szczególnie Adamowi R., Alexii C., Alice O., Catherine D., Denise S., Emmie G., Gary'emu M., Lauren J., Nichole K., Pe M., Rainbow R., Sophie R., oraz Stine S. za wasz entuzjazm i doping, a także za to, że często zmuszacie mnie do śmiechu. Lubię was. Muszę też wspomnieć o Jeffie Goldblumie, który jest Jeffem Goldblumem. To wystarczający powód.

Jeżeli o kims zapomniałam, przepraszam i obiecuję, że następnym razem się poprawię. Nie

chciałam, żeby zabrzmiało to jak groźba.

Jeżeli moja książka wam się nie spodobała, winni są wszyscy ludzie, o których wspomniałam. Głównie winna jestem ja, ale to oni bezwstydnie mnie zachęcali i wspierali moje wysiłki.

Jeszcze jedno.

Jeżeli znacie wiktoriański język kwiatów, zwróćcie uwagę na wzmianki o roślinach w tej książce i wykażcie się wiedzą.

MELINDA SALISBURY mieszka nad morzem, gdzieś w południowej Anglii. Jako dziecko szczerze wierzyła, że książka *Matylda* Roald Dahl to jej biografia. Wiarygodności temu dodawał fakt, że jej dziadek często mylił się i nazywał ją Matyldą, a w miejscowej bibliotece pogardliwe odnoszono się do książek, które wypożyczała. Niestety nigdy nie ujawniła swoich zdolności telekinetycznych. Lubi podróżować i przeżywać przygody. Lubi także średniowieczne zamki i nie-średniowieczne akwaria, Ryszarda III i wszystko co skandynawskie. *Córka zjadaczki grzechów* to jej pierwsza powieść.

Można znaleźć ją na Twitterze jako [@AHintofMystery](https://twitter.com/AHintofMystery), ale czujcie się ostrzeżeni – Melinda tweetuje często.



Melinda Salisbury

Trylogia

Druga część trylogii zanurza się jeszcze głębiej w niebezpieczny świat Lormere, teraz ogarnięty przez wojnę. Kiedy śmiertelni wrogowie najeżdżają ziemię, młoda zielarka walczy, by uratować swojego ukochanego. Tymczasem mityczne ciemności stają się rzeczywistością i okazuje się, co naprawdę jest komu pisane.

Table of Contents

[Strona tytułowa](#)

[Dedykacja](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Epilog](#)

[Podziękowania](#)

[O Autorce](#)